

PIĘKNO JESZCZE NIGDY NIE BYŁO TAK PRZERAŻAJĄCE



KRWAWE  
RÓŻE

DOT HUTCHISON

**DOT HUTCHISON**

**KRWAWE RÓŻE**

Przełożyła  
Joanna Dziubińska

**FILIA**

*Niebezpiecznym dziewczynom z uśmiechami  
o ostrych krawędziach*

*Ma na imię Darla Jean Carmichael i jest twoją pierwszą.*

*Ale wtedy jeszcze o tym nie wiesz.*

*Wiesz za to, widząc ją w ten ciepły, wiosenny dzień, że Bóg przeszedł samego siebie, tworząc tak piękną istotę jak ona. Ma niewinną urodę, bez sztuczności i próżności, i właśnie dlatego tak ją kochasz. Ciężkie fale blond włosów spływają jej na plecy, a ubrana jest w białą wizytową sukienkę w starym stylu, kupioną specjalnie na Wielkanoc, ma nawet koronkowe rękawiczki i sztywny od krochmalu koronkowy kapelusz. Czy kiedykolwiek widziałeś coś tak czystego? Tak niewinnego?*

*Nawet natura przyznaje ci dziś rację. Trawnik, po obu stronach prochowej ścieżki prowadzącej do kościoła, porasta gęstwina żółtych i białych żonkili, które choć się starają, nie potrafią dorównać urodzie Darli Jean. Nawet dzikie stokrotki są w tym roku żółto-białe, choć zazwyczaj przecinają pola wstęgami bladego fioletu.*

*W tym roku liczy się tylko Darla Jean.*

*Ale Darla Jean nie jest sama.*

*Idzie pod ramię z młodym mężczyzną, jej ręka spoczywa w jego zgiętym łokciu, jakby tam było jej miejsce, a tak przecież nie jest. Jej ręka tam nie przynależy, bo on nie jest tobą. Darla Jean jest twoja.*

*Od zawsze.*

*Nigdy nie musiała ci tego mówić – zawsze po prostu o tym wiedziała, bo ty i ona jesteście dla siebie stworzeni, bez względu na to, co powiedzieliby ludzie, gdyby się o tym dowiedzieli.*

*Wściekły i zrozpaczony, idziesz za nimi do ceglanego kościółka, który na tle bujnie kwitnących drzew wygląda jak szpikulec. To dziwne, ale mimo napływu emocji, które tętnią ci w uszach jak drugi puls, zauważasz też inne rzeczy. Mężczyzna niesie w drugiej dłoni koszyk ze smakolymi, które matka dziewczyny kazała jej zanieść do kościoła. Każdy przysmak jest oddzielnie zapakowany do sprzedaży na parafialnym jarmarku, ponieważ kościół potrzebuje nowego dachu przed nadejściem deszczów.*

*Ten obcy nachyla się do niej za każdym razem, gdy dziewczyna się zaśmieje.*

*A ona dużo się śmieje.*

*Ale ten odgłos należy do ciebie, tak jak reszta niej. Jak ona śmie się nim dzielić z kimś innym? Ten śmiech zawsze dawał ci ukojenie, łagodził gniew, który kłębi się tuż pod twoją skórą. Teraz za każdym razem, gdy go słyszysz – wysoki i subtelny, niczym wietrzne dzwonki na tylnej werandzie – czujesz ostry ból w piersi, pulsujące echo w czaszce.*

*Razem wchodzi do kościoła, a ty przez chwilę szukasz okna, przez które mógłbyś ich dobrze widzieć, jednocześnie będąc niezauważonym. Bez względu na to, czy cię widzi, czy nie, Darla Jean powinna wiedzieć, ile ci zawdzięcza i jak powinna się zachowywać. Wnętrze kościoła*

*jest przyćmione, pełne cieni przecinanych słonecznymi snopami, ciągnącymi się od okien, więc nie od razu zdajesz sobie sprawę z tego, co się dzieje.*

*Aż nagle to do ciebie dociera.*

*Zalewa cię krew.*

*On ją całuje albo ona całuje jego, ich twarze nachylone są ku sobie, ich ciała znajdują się niespełna krok od siebie. Być może to dla niego pierwszy pocałunek.*

*Wiesz, że dla niej na pewno.*

*Pierwszy pocałunek, który miał być twój – na który czekałeś przez te wszystkie lata. Ale czciłeś ją, wiedząc, że jest zbyt czysta, zbyt niewinna, by kalać ją w taki sposób.*

*Była zbyt czysta. Była zbyt niewinna.*

*Osuwasz się po murze kościoła, czując jak cegły boleśnie ocierają ci plecy i wrzynają w ubranie. Cały się trzęsiesz – może nawet płaczesz. Jak ona mogła? Jak ona mogła zrobić sobie coś takiego? Jak mogła zrobić to tobie?*

*Jak mogła pozwolić się zbrukać?*

*Jest teraz nic niewarta, tak samo jak wszystkie inne dziwki na tym świecie, dumnie obnoszące się ze swoim ciałami, uśmiechami i mierzące wszystkich okrutnym, kpiącym wzrokiem. A czciłbyś ją aż do śmierci.*

*Mimo wszystko kochasz ją. Jak mógłbyś inaczej? Nadal kochasz ją na tyle, by ją ocalić, nawet przed nią samą.*

*Słyszysz, jak chłopak wychodzi, mamrocząc coś na usprawiedliwienie – musi pomóc braciom się wyszykować. Słyszysz, jak pastor serdecznie wita Darlę Jean. Mówi jej, że musi udać się do miasta po kubeczki na lemoniadę – czy może tu zostać przez chwilę sama? Ależ oczywiście. Zna ten kościół od dziecka. Zawsze czuła się tu bezpiecznie. Nie wyobraża sobie, by mogło być inaczej. Patrząc, jak ksiądz oddala się ścieżką, słyszysz, jak Darla Jean zaczyna śpiewać.*

*Jej piosenki także są twoje, a teraz nikt prócz ciebie ich nie słyszy.*

*Wita cię z uśmiechem, gdy wchodzisz do środka. Oczy jej błyszczą, ale nie widzisz w nich tej szczerości co kiedyś. Już nie. Straciła swoją niewinność. Im bliżej podchodzisz, tym bardziej jej uśmiech blednie.*

*Ma czelność zapytać cię, co się stało.*

*Wiesz, że nie masz zbyt wiele czasu – miasto znajduje się trzy kilometry stąd, a pastor często chodzi tam na piechotę – ale wystarczająco dużo, żeby jej wytłumaczyć. Wszystko jej tłumaczysz.*

*Obiecałeś jej wspólne życie i że zawsze będzie mogła na ciebie liczyć. Obiecałeś, że przychylnisz jej nieba.*

*Pogardziła tym.*

*To wszystko jej wina.*

*Wybiegasz z kościoła, zraniony i zdradzony, czując, jak wciąż kipi w tobie złość.*

*Darla Jean zostaje w środku, ułożona na kamiennej posadzce. Jej wizytowa sukienka to teraz strzępy, które powoli nasiąkają czerwienią. Zerwane dla niej żonkile – prezent, którego nie doceniła – leżą rozrzucone wokół. Oczy, szeroko rozwarłe i puste, wyrażają jej konsternację. Zrobiłeś jej też poszarpany uśmiech, którym teraz może się dzielić z resztą świata.*

*Nie będzie się już więcej śmiać, nie będzie śpiewać, nie będzie mogła splamić tego, co twoje.*

*Teraz nie robi już niczego. Może wcale tego nie chciałeś. Może nóż myśliwski wyslizgnął ci się z rąk i wbił za głęboko. Może zapomniałeś, że pod skórą jest tyle krwi. Być może zrobiłeś dokładnie tak, jak chciałeś.*

*W końcu to tylko kolejna dziwka.*

*Teraz Darla Jean nie żyje.  
Nie wiedziałeś, że będzie twoją pierwszą.  
Jeszcze o tym nie wiesz, ale nie będzie też ostatnią.*

## LUTY

Papierkowa robota, jeśli na moment spuścisz ją z oka, gwałtownie rozmnoży się jak króliki i druczane wieszaki. Spoglądając z niezadowoleniem na najświeższą stertę dokumentów na swoim biurku, agent specjalny Brandon Eddison zastanawia się, jak by wyglądały, gdyby je teraz podpalił. Wystarczyłoby tak niewiele – potarcie zapalki, pstryknięcie zapalniczki, rogi kilku kartek wystające pośrodku stosu, aby papiery równo zajęły się ogniem i nagle zniknęły.

– Jeśli podpalisz formularze, ktoś wydrukuje je na nowo, a na dodatek będziesz musiał jeszcze zrobić sprawozdanie z pożaru – z prawej strony dobiega go czyjś rozbawiony głos.

– Zamknij się, Ramirez – wzdycha w odpowiedzi.

Mercedes Ramirez – jego koleżanka z pracy i przyjaciółka – tylko się śmieje i wyciąga na krzesło, tworząc sylwetką długą, zakrzywioną linię. Krzesło skrzypi na znak protestu. Na jej biurku też znajdują się dokumenty, ale zamiast leżeć ułożone w stosy zaścielają blat równą warstwą. Mimo to, gdyby Eddison poprosił Ramirez o konkretną kartkę, znalazłaby ją w niespełną minutę, co nie mieści mu się w głowie.

W rogu, przodem do ich narożnych biur, znajduje się stanowisko ich przełożonego, dowodzącego agenta specjalnego Victora Hanoveriana. Ku zniesmaczeniu i zadziwieniu Eddisona wszystkie dokumenty na biurku kolegi zdają się wypełnione i posortowane do kolorowych folderów. Jako dowódca ich nieustraszonego tria Vic ma najwięcej papierkowej roboty z nich wszystkich, a zawsze najszybciej się z nią wyrabia. To pewnie efekt trzydziestu lat pracy w FBI, myśli Eddison, co napawa go lekkim przerażeniem.

Znów spogląda na swoje biurko i najnowszą stertę papierów, po czym, mamrocząc pod nosem, sięga po formularz z góry. Ma system pracy, który śmieszy Ramirez w równym stopniu, co jej metoda go irytuje. Mimo dużej wielkości stosu nie mija wiele czasu, nim przekłada dokumenty na odpowiednie kupki po drugiej stronie biurka, uporządkowane według tematu i pilności. Leżą wyrównane do tylnej krawędzi i rogów blatu, a jedyne, co się zmienia, to ich wysokość.

– Rozmawiałeś o tym kiedyś z lekarzem? – pyta Ramirez.

– A ty miałaś kiedyś kontrolę z sanepidu w swojej sprawie?

Ramirez prychna i odwraca się do swojego biurka. Byłoby miło, gdyby raz na jakiś czas

dała się sprowokować. Nie jest z kamienia, ale o dziwo trudno zaleźć jej za skórę.

– Gdzie jest Vic?

– Jedzie tu właśnie z przesłuchania. Bliss poprosiła, żeby był przy nim obecny.

Zastanawia się, czy powinien napomknąć, że ponad trzy i pół miesiąca po tym, jak uratowali część dziewcząt z płonącego Ogrodu, nadal używa ich *motylich* imion, nadanych im przez oprawcę.

Ostatecznie nic nie mówi. Ramirez pewnie sama zauważyła. Zwykle robota jest łatwiejsza, jeśli są w stanie pozamykać wszystko w zgrabnych przegródkach w swoich głowach. Trudno to połączyć z informacjami o tym, kim były te dziewczyny przed porwaniem.

Musi zabrać się do pracy. To dzień biurowy, a przynajmniej w większości, więc naprawdę powinien sprawić, by, zanim pójdzie do domu, zniknęła choć jedna ze stert. Jego wzrok ląduje na kolorowej wieży folderów w tylnym prawym rogu biurka, która z roku na rok staje się coraz wyższa, ale nie zawiera żadnych odpowiedzi. Ten stos nigdy nie znika.

Odchyła się na krzesło i przygląda dwóm oprawionym zdjęciom, stojącym na komodzie na dokumenty, gdzie trzyma przybory biurowe i czyste formularze. Pierwsze, na którym jest wraz z młodszą siostrą, zrobiono w Halloween wiele lat temu, niedługo przed tym, jak została porwana, gdy wracała do domu ze szkoły. Miała tylko osiem lat. Logika podpowiada Eddisonowi, że ona na pewno nie żyje. Ale choć minęło dwadzieścia lat, nadal przygląda się każdej dwudziestokilkuletniej kobiecie, która wygląda choć trochę jak ona. Nadzieja bywa dziwna i nieprzewidywalna.

Z drugiej strony, zanim jego siostra Faith stała się punktem w statystyce zaginionych dzieci, była też dziwna i nieprzewidywalna.

Drugie zdjęcie jest nowsze, ma tylko kilka lat. To pamiątka z jednej z najbardziej dziwacznych, spontanicznych i niezwiązanych z pracą wycieczek w jego życiu. Priya i jej matka ciągały go za sobą w różne dziwne miejsca w ciągu sześciu miesięcy spędzonych w Waszyngtonie, ale ten jeden wypad nadawałby się na koszmar. Eddison nie jest nawet pewien, jak znaleźli się na polu pełnym wielkich, wykutych w kamieniu popiersi prezydentów. Eddison i Priya wdrapali się na ramiona Lincolnowi, pokazując jednocześnie na wielką dziurę w potylicy rzeźby. Realistyczne? Tak. Intencjonalne? Sądząc po opłakanym stanie pozostałych sześciometrowych figur... raczej nie. Ma i inne zdjęcia z tego dnia – schowane bezpiecznie w pudełku na buty w schowku w jego garderobie – ale to jest jego ulubione. Nie z powodu niepokojącego popiersia zamordowanego prezydenta, ale dlatego, że Priya zaskoczyła na nim samą siebie, szeroko się uśmiechając.

Nie znał jej bezwiednie uśmiechającej się. Ta Priya rozpadła się na kawałki kilka dni przed tym, jak poznał dziewczynę, która z nich powstała. Priya, jaką znał, składa się z samych ostrych krawędzi, warknięć i prowokujących uśmiechów. Jeśli zachowa się łagodnie, życzliwie, to jest to czysty przypadek. Może jej matka dostrzeża w niej jeszcze jakąś delikatność, ale nikt inny, odkąd jej siostra została zredukowana do zdjęć i faktów w jednym z kolorowych folderów na tylnym rogu jego biurka.

Eddison jest przekonany, że nie zaprzyjaźniłby się z dawną Priyą. Prawdę mówiąc, nadal jest zaskoczony, że przyjaźni się z tą obecną. Powinna być dla niego wyłącznie siostrą ofiary, dziewczyną, którą ma przesłuchać i której współczuć, a nie z którą ma się zakumplować. Tylko że w pierwszych dniach po śmierci siostry Priya była tak cholernie zła – na mordercę, na swoją siostrę, na policję, na cały zastrany świat – a Eddison doskonale zna ten rodzaj gniewu.

A ponieważ myśli o niej, bo dziś jest dzień biurowy, przypadający po szeregu złych dni spędzonych na próbach zapanowania nad mediami zainteresowanymi sprawą Motyli, wyciąga prywatną komórkę, robi zdjęcie oprawionej w ramkę fotografii i wysyła jej. Nie spodziewa się



odpowiedzi – tam, gdzie teraz przebywa Priya jest dopiero dziewiąta, a że dziewczyna nie musi wstawać do szkoły, pewnie nadal leży zawinięta w kołdrę.

Ale chwilę później jego telefon wibruje w odpowiedzi. Dostaje zdjęcie zrobione w szerokim kadrze, przedstawiające budynek z czerwonej cegły, który powinien wyglądać dostojnie, ale sprawia wrażenie pretensjonalnego. Część cegieł pokryta jest rdzewiejącymi żelaznymi kratami, które w cieplejszych miesiącach pewnie porasta bluszcz. Miejscami ciąg cegieł przerywają wysokie, jakby średniowieczne, okna.

Co to, do cholery, jest?

Jego telefon znów wibruje.

*To szkoła, w której o mały włos bym wylądowała. Żebyś widział, jakie mają mundurki.*

*Wiedziałem, że uczysz się przez internet tylko po to, żeby móc cały dzień siedzieć w piżamie.*

*Nie tylko po to. Wiesz, jak dyrektor się wpienił, kiedy mama powiedziała mu, że mnie nie zapisze? Powiedział, że robi mi krzywdę, zezwalając na taką podrzędną formę edukacji.*

Eddison robi kwaśną minę.

*To pewnie nie była miła rozmowa.*

*Gość chyba przywykł do tego, że zawsze dostaje to, czego chce, jak trochę pomacha fiutem. Ale mama ma większego.*

Eddison czuje nagle jakiś ciężar na ramionach, aż lekko podskakuje. Ale to tylko Ramirez, która jego zdaniem, ma spaczoną definicję przestrzeni osobistej – on przynajmniej wie, że coś takiego istnieje. Zamiast się kłócić, bo to nigdy nic nie daje, przechyla ekran, żeby koleżanka mogła przeczytać.

– Pomacha... Eddison! – Pstryka go boleśnie w ucho. – Ty ją tego nauczyłeś?

– Ona ma prawie siedemnaście lat, Ramirez. Umie się chamsko wyrażać bez mojej pomocy.

– Masz na nią zły wpływ.

– A jeśli to ona ma zły wpływ na mnie?

– Kto tu jest dorosły?

– Na pewno żadne z was – odzywa się nowy głos.

Oboje się wzdrygają.

Vic nie poucza ich, że w godzinach pracy prywatne telefony powinny być wyłączone ani że mają ważniejsze sprawy do roboty. Mija ich spowity zapachem świeżej kawy i woła przez ramię:

– Pozdrów ode mnie Priyę.

Eddison posłusznie pisze SMS-a, a Ramirez wraca do swojego biurka. Agent śmieje się z natychmiast odesłanej odpowiedzi:

*Ojej, dostałeś burę?*

*A tak w ogóle dlaczego nie śpisz?*

*Włóż się po okolicy. W końcu mamy ładną pogodę.*

*Nie jest zimno?*

*Jest, ale przynajmniej w końcu z nieba nie sra śniegiem, śniegiem z deszczem ani innym mokrym i zimnym paskudztwem. Obczajam miejsce.*

*Zadzwoń do mnie później. Opowiesz, co widziałas.*

Czeka na odpowiedź, po czym odkłada telefon do szuflady, gdzie trzyma broń, odznakę i inne rzeczy, którymi nie powinien się bawić, gdy siedzi za biurkiem. W całym tym nieubłaganym nawale okropieństw, z jakimi styka się w pracy, Priya jest dla Eddisona jak mała pyskata iskierka życia.

Pracuje w FBI wystarczająco długo, by być za to wdzięcznym.



W Huntington w stanie Colorado w lutym można nieźle odmrozić sobie tyłek. Nawet w kilku warstwach ubrań, w których wyglądam jak ludzik Michelin, czuję, jak chłód zakrada się pomiędzy tkaniny. Jestem tu od tygodnia, a dopiero dziś pogoda pozwoliła na to, by wyjść z domu i porozglądać się po okolicy.

Jak dotąd nie zauważyłam wielu różnic w stosunku do miejscowości, gdzie mieszkałam przez ostatnie cztery lata. Firma, w której pracuje mama, przenosi ją z miejsca na miejsce, bo zajmuje się rozwiązywaniem problemów w różnych jej oddziałach. Za trzy miesiące znów wyjeżdżamy, może nawet na dobre, bo ma przejąć dział zasobów ludzkich w siedzibie w Paryżu. Nie żeby Francja miała być ostateczną destynacją, choć chyba obie mamy nadzieję, że tak będzie. *Priya w Paryżu* – brzmi tak uroczo. Tymczasem Huntington znajduje się na tyle blisko Denver, że mama może spokojnie dojeżdżać do pracy, ale wystarczająco daleko, żeby bardziej przypominało zażyłą społeczność niż bezimienne miasto, cytując agenta nieruchomości na usługach firmy, który wpuścił nas do domu po przylocie.

Po pięciu dniach śniegu z deszczem przez weekend w końcu napadało go tyle, że trawniki stały się białe i puchate, a pobocza brzydkie i szare. Niewiele rzeczy jest na świecie brzydszych niż brudny, zepchnięty przez pług śnieg. Drogi są jednak przejezdne, a chodniki błękitnawe[1] od

soli. Zupełnie jakby wcześniej miała tu miejsce masakra Smerfów.

Wkładam ręce do kieszeni płaszcza, choć są ubrane w rękawiczki, żeby było mi jeszcze cieplej i żeby palce przestały mnie świerzbić, by móc wziąć do ręki lepszy aparat niż ten w telefonie. Zostawiłam swój sprzęt w domu, a Huntington okazuje się trochę ciekawsze, niż zakładałam.

Mijając pobliską podstawówkę, widzę gniazdo wiewiórek w pobliżu placu zabaw – właściwie to stojący na wysokich palach kurnik pomalowany na czerwono. W podłodze znajduje się dziura, przez którą wiewiórki mogą wchodzić i wychodzić, a w środku migające czerwone światelko kamery, by dzieci w szkole mogły obserwować zwierzątka podczas zimy. Obecnie kilka z nich zdaje się spać na czymś, co wygląda na podarte szmatki i trociny. Tak podejrzewałam – to przecież dom wiewiórek.

Jakieś półtora kilometra dalej, niedaleko skrzyżowania, znajduje się pusta przestrzeń, zbyt mała, by mogła stanowić park, ale z przepiękną altaną z kutego żelaza pośrodku. Tak jakby altaną – nie ma podłogi, tylko pale wbite w zamrożoną ziemię, ale mimo grubego metalu stalowe podpory są ze sobą misternie splecione, a przypominająca cebulę kopuła wygląda, jakby została wykonana z delikatnej koronki. Konstrukcja przypomina ślubną kapliczkę, ale otaczają ją restauracje fast food i odosobniony salon optyczny.

Żeby wrócić do domu inną drogą, muszę przejść przez siedmiopasmową jezdnię, przy której wszystkie znaki wskazują zły kierunek. Na żadnym z pasów nie widać ani jednego auta. Fakt, jest dopiero wpół do dwunastej i większość ludzi siedzi w pracy lub szkole, ale mam przeczucie, że jeżdżą tędy tylko kierowcy lubiący igrać z losem.

I tak robię zdjęcia wszystkiego, nawet jeśli robione telefonem w większości wyjdą fatalnie, bo tak już mam. Świat wydaje się nieco mniej przerażający, jeśli oddziela mnie od niego obiektyw aparatu. Zazwyczaj jednak robię zdjęcia dla Chavi, żeby mogła zobaczyć wszystko to, co ja.

Chavi nie żyje już od prawie pięciu lat.

Nadal robię zdjęcia.

To przez śmierć Chavi poznałam moich agentów FBI, Eddisona, Mercedes i Vica, którzy są *moi* w pewien istotny sposób. Moja starsza siostra powinna być dla nich tylko kolejnym przypadkiem, kolejną martwą dziewczyną w kartotece, ale po całym zdarzeniu dalej sprawdzali, co u mnie. Pocztki, e-maile, telefony... aż w pewnym momencie przestałam mieć pretensje o to, że nie dają mi zapomnieć o zamordowaniu Chavi, bo mimo licznych przeprowadzek dzięki nim mam swoją dziwną grupę przyjaciół w Quantico.

Mijam bibliotekę, która bardziej przypomina katedrę – ma witraże w oknach i wieżę dzwoniczą – oraz sklep z alkoholami, stojący pomiędzy dwiema kancelariami prawnymi specjalizującymi się w reprezentowaniu klientów oskarżonych o prowadzenie pod wpływem. Nieco dalej widzę centrum handlowe, na końcu którego stoi gigantyczna, całodobowa siłownia, a z drugiej strony pozaszkolna świetlica edukacyjna. Pomiedzy nimi znajduje się siedem różnych restauracji fast food. Z jakiegoś dziwnego powodu podobają mi się te sprzeczności i bałagan – potęgują świadomość, że nasze dobre zamiary często idą się jebać i że niewiele trzeba, żeby ujawniły się nasze wady.

Dużo większe centrum handlowe – dwupiętrowe i o bardziej wyszukany wyglądzie, niż powinny mieć miejsca tego typu – mieści chyba najelegantszy na świecie supermarket Kroger. Znak na zewnątrz informuje, że na terenie sklepu znajduje się Starbucks, ale kolejny jest w galerii i jeszcze jeden po drugiej stronie ulicy, więc chyba nie ma się czym przechwalać.

Powinam zjeść coś na lunch, ale jeśli to tylko możliwe, staram się nie jadać sama. Nie chodzi o kwestię niezdrowego jedzenia poza domem – z mamą zjem każde żarcie na wynos.

Chodzi o bycie w pojedynkę. Po kilku latach prób zrównoważenia potrzeb mojego ciała i emocji nadal nie mam wszystkiego pod kontrolą. Czasem – a przynajmniej tylko w gorsze dni – nadal zażeram się aż do granic wytrzymałości, gdy przypominę sobie, że Chavi nie ma. Nie ma jej, a to kurewsko boli w zupełnie niezrozumiały dla mnie sposób, bo wszystko, co powoduje aż taki ból, powinno krwawić, powinno dać się naprawić, a tego akurat nie można. Jedzenie oreo, aż wzdyma mi brzuch, skręca mnie w żołądku i zaczynam wymiotować, to dla mnie sposób, by nadać sens temu bólowi.

Minęło kilka miesięcy, odkąd wychyliłam się za granicę, jaką sama sobie wyznaczyłam i padłam na kolana przed muszlą klozetową – a oreo w drugą stronę nie smakują już tak dobrze jak w pierwszą – ale nadal jestem... *świadoma* tego, że nie do końca panuję nad sobą. Mama zawsze dużo mniej martwiła się moją wagą niż zajadaniem przeze mnie smutku aż do oporu, ale we dwie – z jej żelazną siłą woli i moją ulgą, że przynajmniej jedna z nas ją ma – dałyśmy radę ustabilizować sytuację tak, żebym nie wahała się bez przerwy między sylwetką wieszaka i pączka.

A to że przy obecnej wadze bardziej niż zwykle przypominam Chavi... no cóż. W dobre dni potrafię to jakoś znieść, ale unikam zdjęć i luster większych niż w pudernicze. W złe dni czuję się, jakby ktoś wbijał mi igły pod skórę i aż trzęsą mi się ręce, tak bardzo pragnę oreo. Mama mówi, że jeszcze nade mną pracujemy.

Wchodzę do Krogera. Nos zamarzył mi na amen, więc przyda się coś ciepłego do picia. Jeśli nic nie zjem aż do powrotu do domu, to mniejsze szanse, że zrobię coś głupiego.

Za barem kawiarni stoi drobna, przypominająca wróbla kobieta. Wygląda na oko na osiemdziesiąt lat, zabarwione na lawendowo włosy upięła w kok „na dziewczynę Gibsona”[2] jaskrawofioletowymi wsuwkami. Jej plecy i ramiona są przygarbione, ręce powykręcane przez artretyzm, ale wzrok ma bystry, a uśmiech życzliwy, więc zaczynam się zastanawiać, czy potrzebuje tej pracy, czy może jest jedną z tych kobiet, które biorą pół etatu po przejściu na emeryturę, bo dom albo mąż po pewnym czasie zaczynają działać im na nerwy.

– Jak masz na imię, złotko? – pyta z mazakiem w dłoni, sięgając po kubek.

– Jane.

Bo mnie wkurza, jak ludzie masakrują moje prawdziwe imię.

Kilka minut później moje zamówienie jest gotowe. W kawiarni, w rogu sklepu spożywczego, stoi kilka stolików i krzesel, a przez głośniki w suficie płynie generyczna smoothjazzowa składanka, ale wszystko i tak tonie w odgłosach reszty marketu: piskliwych wezwaniach przez interkom, trzaskach zderzających się koszyków, spadających puszek i pudełek, wrzaskach dzieci, szumie poprockowych hitów. Sklepowy chaos zgrzyta z atmosferą supermarketowej kawiarenki, przez co sprawia ona jeszcze dziwniejsze wrażenie.

Wracam na zewnątrz, na chłód i wiatr, który się wzmógł, i idę przez parking. Przyszłam zza tyłów centrum handlowego, ale droga wiodąca od frontu doprowadzi mnie prosto do domu, a najwyższa pora wracać.

Nagle staję w bezruchu na widok małego, dziwnego pawilonu ogrodowego. Mieści się na porośniętej trawą wysepce, jednej z kilku, które dzielą parking na części. Żelazną konstrukcję przykrywa z trzech stron coś, co wygląda na ciężkie, białe płótno. W środku grzejniki przemysłowe rozżarzone do czerwoności, bezpiecznie zamontowane na wspornikach, wiszą nad głowami grupki, w większości starszych mężczyzn w jednakowych czarnych lub granatowych kaszkietach, wyszywanych żółta nitką. Wszyscy są ciepło ubrani, by chronić się przed chłodem wdzierającym się przez wejściową część namiotu. Siedzą przy kamiennych stoliczkach, na których rozłożone są plansze i pionki. To nie powinno nic dla mnie znaczyć, ale znaczy, bo to coś boleśnie znajomego.

Nic nie może się równać z widokiem starszych panów zebranych nad partią szachów.

Tata i ja graliśmy w szachy.

On był fatalnym graczem, a ja takiego udawałam, co dużo bardziej przeszkadzało jemu niż mnie. Graliśmy w każdy sobotni poranek w parku niedaleko domu, a podczas długich bostońskich zim w stojącym obok pustym kościele. Czasem tata chciał grać również w tygodniu, ale dla mnie było coś szczególnego w tej naszej sobotniej tradycji.

Nawet bez taty szukam grupek szachowych wszędzie, gdzie tylko się przeprowadzamy. Przegrywam wszystkie partie – przynajmniej połowę z nich – celowo, ale nadal chcę grać. Resztę rzeczy związanych z tatą skrupulatnie odsunęłam gdzieś na bok, ale próby przekonania innych, że jestem beznadziejna w szachy, postanowiłam sobie zachować.

Słyszę gdzieś w pobliżu skrzywienie otwierających się drzwi samochodu, co odwraca moją uwagę od starszych panów i ich szachownic. Kilka kroków dalej uśmiecha się do mnie młoda kobieta, na oko po dwudziestce, która siedzi za kierownicą auta z robótką na kolanach.

– Możesz do nich podejść – mówi. – Nie gryzą. A przynajmniej nie zębami.

Od kilku lat niezbyt mi idzie uśmiechanie się – wyglądam wtedy dość makabrycznie – ale staram się przybrać stosowną, przyjazną minę.

– Nie chciałam przeszkadzać. Pozwalają innym ze sobą grać?

– Czasem. Mają wprawdzie swoje zasady, ale nie zaszkodzi zapytać. Mój dziadek tam siedzi.

To wyjaśnia robótkę. Całe szczęście – parkingowa Madame Defarge[3] byłaby nieco przerażająca.

– Idź, zapytaj – zachęca mnie, bezwiednie gładząc kciukiem czerwoną włóczkę okręconą wokół małego palca. – W najgorszym wypadku ci odmówią.

– Zachęcasz tak wszystkich, którzy przystają trochę się pogapić?

– Tylko tych, którzy wyglądają na samotnych. – Zamyka drzwi, zanim zdołam wymyślić jakąś odpowiedź.

Po kilku chwilach stania w miejscu jak idiotka, czując ból wzbierający we wszystkich częściach mojego ciała, które nie zdążyły jeszcze zamarznąć, idę na trawę i do nieco cieplejszego namiotu. Gracze przerywają swoje partie i wlepiają we mnie wzrok.

Prawie wszyscy mężczyźni są starsi – najwyraźniej weterani, sądząc po nazwach operacji i dywizji na ich czapkach. W parkach szachowych często można spotkać weteranów wojennych, więc choć nie znam historii wszystkich działań militarnych, orientuję się na tyle, by przyporządkować ich do odpowiednich grup wiekowych. Większość z tych facetów służyła w Wietnamie, kilku w Korei, kilku w operacji Pustynna burza, a jeden bardzo stary, owinięty kocami i posadzony najbliżej jednego z piecyków, ma na głowie kaszkiet z napisem „Operacja Neptun” wyhaftowanym nitką, która zdołała wyblaknąć do odcienia starej musztardy.

O cholera.

Ten człowiek szturmował plażę w Normandii, jeszcze zanim urodzili się moi dziadkowie.

Jeden z weteranów z Wietnamu, pochylony mężczyzna o obwisłej skórze twarzy, z bulwiastym, usianym czerwonymi żyłkami nosem, sugerującym, że szachy są jego sposobem na to, by nie pić w ciągu dnia, patrzy na mnie krzywym okiem.

– Nie potrzebujemy datków.

– Nie przyszedł z pieniędzmi. Chciałam zapytać, czy innym też pozwalacie zagrać.

– A grasz? – po tonie głosu poznaję, że mi nie wierzy.

– Kiepsko, ale tak. Zawsze gdy gdzieś się przeprowadzimy, szukam innych szachistów.

– Ciekawe. Myślałem, że młodzi ludzie mają od tego internet.

– To nie to samo.

Najstarszy z mężczyzn odchrząkuje, a pozostali spoglądają na niego. Każda grupa ma swoją hierarchię – weterani niczym się tu nie różnią – ale bez względu na właściwą rangę wojskową II wojna światowa bije wszystko. Ten człowiek przeżył piekło i nosi swoje blizny dłużej niż ktokolwiek z obecnych. Takiego stopnia nie degraduje ani emerytura, ani zwolnienie ze służby.

– Podejdź tutaj.

Obchodzę stolik i przysiadam na skraju ławy, która za nim stoi. Przygląda mi się – nie wiem, czego szuka – i czując mdławo-słodki zapach jego oddechu, zastanawiam się, czy jest cukrzykiem i czy nie szkodzi mu, bez względu na grzejniki i grube warstwy ubrań, siedzenie tu w tak niskiej temperaturze. Jego skóra, cienka jak pergamin, marszczy się, zachodząc na siebie miękkimi zmarszczkami. Cera ma nierówny koloryt z powodu wieku i zmęczenia, pokrywają ją niebieskie pajęczki żyłek rozpięte od skroni aż pod oczy. Na jednej skroni widać bladą bliznę, która ciągnie się aż za ucho. Pamiątka z Normandii? Czy może coś zupełnie innego?

– Prowadzisz własną wojnę, prawda, panienko?

Zastanawiam się nad tym, pozwalając pytaniu wybrzmieć. Odpowiedź przyjmuje kształt Chavi, wściekłości i żalu, jakie noszę w sobie od jej śmierci.

– Tak – odpowiadam w końcu. – Nie wiem tylko, kto jest moim przeciwnikiem. – W wojnie potrzebny jest wróg, ale nie jestem pewna, czy ktoś jest w stanie sabotować mnie równie dobrze jak ja sama.

– Każdy z nas przynajmniej kilka razy się nad tym zastanawiał – mówi, potakując, i przerzuca spojrzenie na pozostałych mężczyzn. Obserwują nas wszyscy prócz jednego: ten z nieznacznym grymasem gapi się w szachownicę, uświadamiając sobie, że jego król jest w potrzasku. – Jak się nazywasz?

– Priya Sravasti. A pan?

– Harold Randolph.

– Salwa! – mężczyźni wykrzykują zgodnym chórem. Tylko jeden tego nie robi i nie wygląda jak weteran. Jest młodszy, delikatniejszy i w jego oczach jest coś – a raczej czegoś w nich nie ma – co sprawia wrażenie, że nie przynależy do tej grupy w taki sposób jak pozostali.

Salwa przewraca oczami. Powoli ściąga z ręki wełnianą rękawiczkę, pod którą znajduje się druga bez palców, równie spłowiała co litery na czapce z daszkiem. Podnosi rozedrganą dłoń – bardziej z niedowładu mięśni niż z zimna – i dotyka palcem koniuszka swojego nosa.

– Czujesz to?

Mam ochotę się uśmiechnąć, ale nie chcę go wystraszyć i sprawić, że będę tu niemile widziana.

– Nie, proszę pana.

– No to dziś biegnij do domu się rozgrzać, ale wróć, kiedy zechcesz. W weekendy nie gramy za często. Za dużo ludzi.

– Dziękuję panu – odpowiadam. Spontanicznie całuję go w policzek i czuję, jak w usta łaskocze mnie miękki wąsik. – Na pewno jeszcze przyjdę.

Gość z bulwiastym nosem parska śmiechem.

– Patrzcie no tylko, Salwa znalazł sobie kandydatkę na byłą żonę.

Pozostali kiwają do mnie głową, bardziej na powitanie niż z sympatią, ale nie szkodzi. Muszę zasłużyć na swoje miejsce, pokazać im, że nie jestem tu z nudów i że nie łatwo mnie spłoszyć. Wstaję i zbieram się do wyjścia, ale chcę się jeszcze przez chwilę ogrzać, zanim ruszę w drogę powrotną, i spoglądam na mężczyznę na drugim końcu stołów – tego, który wydaje się tu nie pasować. Nie ma na głowie czapki z daszkiem, tylko zwykłą wełnianą, zsuniętą do tyłu tak, że widać jego jasne włosy koloru ani blond, ani brąz.

Uśmiecha się do mnie bez wyrazu.

– Wyglądasz znajomo – wypalam.

Jego uśmiech się nie zmienia.

– Często to słyszę.

Co ty nie powiesz. Do nikogo nie jest podobny, więc właściwie wygląda jak wszyscy. W jego wyglądzie nie ma ani jednej wyrazistej cechy, niczego, co sprawiłoby, że rozpoznałabym go poza klubem szachowym. Nie jest przystojny, nie jest brzydki, po prostu... jest. Nawet jego oczy są mętnej, nieokreślonej barwy.

Uśmiech nie wpływa na wyraz jego twarzy. Dziwne. Uśmiech powinien odmienić ułożenie policzków, kształt ust, zmarszczki wokół oczu. Ale jego twarz nie wygląda ani odrobinę inaczej niż ta sprzed uśmiechu. Nie żeby wyglądał sztucznie, ale nie wygląda też... no cóż, naturalnie. Ale mówiąc szczerze, grupy szachowe w parkach to raj dla osób nieprzystosowanych społecznie. Może powinnam być pod wrażeniem, że w ogóle nawiązał kontakt wzrokowy.

Kiwam głową, wciąż odczuwając lekki dyskomfort, i wychodzę z namiotu. Nie jest mi już aż tak zimno, co nie oznacza, że dzień robi się cieplejszy, a raczej stanowi ostrzeżenie w stylu: „idź do domu, zanim sobie coś odmrożisz, kretynko”.

Gdy jestem już w okolicy domu, zatrzymuję się przy sporej wiacie osłaniającej skrzynki pocztowe dla naszej ulicy. Do jednego ze słupów przymocowany jest nawet kubeł na ulotki. Kiedy nachodzi mnie nostalgia, tęsknię za naszą skrzynką w Bostonie z odciskami naszych dłoni w jaskrawych kolorach na radosnej, żółtej powierzchni. Tata nie chciał odbić swojej dłoni – uważał, że nie wypada – więc we trzy zaatakowałyśmy go pędzlami z farbą i na koniec uzyskałyśmy wielokolorową odbitkę wąsów na przedniej klapie.

Ciekawe, czy wciąż mamy tę skrzynkę. Nie widziałam jej od kilku przeprowadzek. Ale z drugiej strony podobnie jest z przynajmniej połową naszych rzeczy – rozpakowywanie po to, by za moment znów się pakować, jest niewarte wysiłku.

Wyciągam ze skrzynki plik ulotek i przesadnie wielkie pocztówki zaadresowane do „Szanownego Sąsiada” i „Mieszkańców” i wrzucam je do kubła wraz z kartką przypominającą o wizycie u dentysty w Birmingham. Widzę też kopertę w pogodnym, wiosennym odcieniu zieleni, zaadresowaną ręką Mercedes. Nie jest to znów takie zaskakujące – technicznie rzecz biorąc, dziś zaczynam lekcje online z korepetytorką z Francji, żebym przyzwyczała się do myślenia i pracy w innym języku, a Mercedes zawsze wysyła mi kartkę z okazji pierwszego dnia szkoły, bez względu na to, ile razy w roku zaczynam od nowa.

Niespodzianką są za to dwie inne koperty niemal identycznego rozmiaru. Jedna opisana jest wersalikami, czarne litery stanowią wyraźny kontrast z jaskraworóżowym papierem. Charakter pisma – czytelny i naturalny – to jeden z tych, które wyglądają dobrze, nawet gdy kartki i tusz zaczynają płowieć. Jasnoniebieska koperta została zaadresowana przyzwoitym charakterem pisma wymagającym nieco więcej uwagi przy czytaniu.

Kartka od Mercedes przysłała zgodnie z przewidywaniami, ale Vic i Eddison zwykle przysyłają je w innym terminie.

Żadna z nich nie przypomina kartki, którą podpisaną przez całą trójkę, przysłała w maju. Nie będzie zawierała żadnego tekstu, nawet wydrukowanego, tylko ich podpisy, przypomnienie, że śmierć mojej siostry nie została zapomniana. Nadanie kartki wymaga nieco uważnego planowania i wiedzy na temat pracy poczty, by nie przysłała w tym samym czasie co życzenia urodzinowe.

Nic przecież tak nie mówi „wszystkiego najlepszego” jak przypomnienie, że FBI wciąż nie wie, kto w ciągu ostatnich lat zamordował twoją siostrę oraz wiele innych dziewczyn.

W domu ściągam z siebie płaszcz i wieszam w szafie w przedpokoju, po czym idę po

schodach do swojego pokoju, pozbywając się po drodze kolejnych warstw ubrań. Rzucam koperty na łóżko, a ciuchy na krzesło przyciągnięte tu z nieużywanej jadalni, aby zapanować nad chaosem w pokoju. Po gorącym prysznicu, dzięki któremu do koniuszków moich palców i nosa wraca czucie, schodzę z powrotem do kuchni i robię owsiankę z torebki, dodając cynamon, miód, i mleko i zabieram ją ze sobą na górę.

Dopiero gdy siedzę na łóżku w piżamie, a owsianka działa cudownie na mój żołądek, sięgam po koperty.

Kartka od Mercedes jest dokładnie taka, jakiej się spodziewałam – radosne życzenia miłego powrotu do szkoły, napisane długopisem w rażącym kolorze, w połowie po hiszpańsku. To taka nasza zabawa: ona pisze do mnie w swoim języku, a ja odpisuję jej po francusku. Następnie wyciągam kartkę od Vica – czarno-białe zdjęcie trzech kotów w ogromnych okularach. Wiadomość w środku nie ma związku z żadną konkretną okazją – tylko kilka linijek na temat listów jego córki wysyłanych z uczelni i przygnębiającej deszczowej pogodzie w północnej Virginii. Kartka od Eddisona, z obrazkiem balansującym pomiędzy żartem a obrzydliwością, nie zawiera tekstu.

Dlaczego trzy na raz?

Wtedy spoglądam na kartkę Mercedes, której przód obklejony jest taką ilością brokatu, jakby wyrzygał się na niego jednorożec, i zdaję sobie sprawę, że cały ten brokat tu nie pasuje. Grafika jest bardzo subtelna i pastelowa, ale tu i ówdzie pojawiają się zawijasy z czegoś, co wygląda na gęsty, kluskowaty klej z błyszczącymi drobinkami, zaschnięty w małych plasterkach w jaskrawym kolorze. Wsuwam paznokieć kciuka pod jeden z nich i delikatnie próbuję oderwać. Chwilę później trzymam w dłoni szorstki pasek kleju i widzę, co znajdowało się pod nim.

Zakryła motylki.





*Ona nazywa się Zoraida Bourret, a dziś wypada Wielka Niedziela.*

*Lubisz Święta Wielkanocne spędzane w tradycyjnych kościołach, do których dziewczynki i kobiety wciąż przychodzą ubrane w białe sukienki i koronki oraz kapelusze ze wstążkami lub kwiatami. Jest coś wspaniałego w tym, jak siedząc na tyłach kościoła, spoglądasz na morze wielkanocnych kapeluszy.*

*A w tym roku widzisz też Zoraidę.*

*Oczywiście, widziałeś ją już wcześniej, gdy pomagała swojej matce zająć się zgrają młodszego rodzeństwa. Słuchałeś plotek i tych subtelnych drobnostek, które nie są już plotką, ale nie stanowią też sensacji. Jej ojciec policjant zginął na służbie i choć Zoraida wybierała się na studia i miała przed sobą wspaniałą przyszłość, porzuciła wszelkie dodatkowe zajęcia i swoją szansę na lepsze wykształcenie, aby pomóc w domu, zanim ktokolwiek zdołał ją o to poprosić.*

*Jaka dobra dziewczyna, mówią kobiety.*

*Kochane dziecko.*

*Wspaniała siostra.*

*Ani trochę nie wygląda jak Darla Jean, ale ma w sobie coś, co ci ją przypomina. Minął prawie rok, odkąd Darla Jean cię zdradziła, a mimo to nadal ją kochasz, tęsknisz, oplakujesz.*

*Ale Zoraida to naprawdę dobra dziewczyna. Obserwujesz ją wystarczająco długo, by wiedzieć to na pewno. Wraca po lekcjach prosto do domu i po drodze odbiera ze szkoły swoje rodzeństwo, karmi je, pomaga w odrabianiu lekcji i odprowadza na zajęcia dodatkowe. A kiedy matka wraca do domu po pracy, Zoraida niemal zawsze ma już ugotowany obiad. Pomaga kąpać*

*i kłaść do łóżek młodsze rodzeństwo, dopiero wtedy siada przy kuchennym stole i bierze się do własnej nauki. Kończy pracę późno w nocy, ale rano wstaje przed wszystkimi, by dopilnować, że zjedzą coś przed wyjściem, ubiera się i idzie do szkoły.*

*A kiedy przychodzą do niej chłopcy – a przychodzą, bo to piękna dziewczyna, i sam Bóg wie, że świat staje się lepszy, gdy się uśmiecha – grzecznie ich odprawia, bo rodzina jest ważniejsza.*

*Bo dobra z niej dziewczyna.*

*Kiedy msza się kończy, łatwo ukraść urocze, malutkie torebeczki, które zostawiły na ławce jej dwie młodsze siostry. Bliźniaczki cały czas o nich zapominają i coś im świta dopiero w połowie drogi do domu. Ponieważ rodzina oszczędza benzynę, a z kościoła wraca się dość długo, zwykle to Zoraida samotnie wraca po zgubę. Za każdym razem kręci głową, gdy musi to zrobić, ale też się uśmiecha, bo kocha bliźniaczki i zrobiłaby dla nich wszystko.*

*A ty zrobiłbyś wszystko dla niej.*

*Musisz dla jej dobra dopilnować, by zawsze była taka dobra, taka czysta.*

*Kradniesz więc toreбки, wiedząc, że bliźniaczki sobie o nich przypominą i czekasz, aż ona po nie wróci. Kościół pustoszeje szybciej niż zwykle, wszyscy spieszą do domu na poszukiwanie pisanek w trawie, uroczysty obiad albo spotkanie z dalszą rodziną. Siedzisz w cieniu i czekasz, aż w końcu ona nadchodzi, wachlując się kapeluszem. Jest z białej, wykrochmalonej koronki, ze wstążką w brzoskwiniowym kolorze przeplecioną przez rondo i podstawę korony. Brzoskwinia i biel wyglądają tak delikatnie na tle jej ciemnej skóry. Do sukienki ma przypiętą pojedynczą kalię o fioletowym wnętrzu w formie bukietu, sięgającą jej prawie do ramienia.*

*Podchodzisz do niej od tyłu, cicho stawiając stopy na cienkim dywanie, i zasłaniasz jej dłonią usta. Dziewczyna bierze szybki wdech, zaczyna krzyczeć, ale zaciskasz jej gardło ramieniem. Szarpie się, ale wiesz, jak długo trzeba przytrzymać, by w końcu padła nieprzytomna.*

*Jej sukienka jest taka biała i czysta. Taka niewinna. Nie możesz znieść myśli, że mogłaby się ubrudzić.*

*Kiedy nieco później przychodzi jeden z jej braci, martwiony, że jeszcze nie wróciła do domu, zastaje ją leżącą przed ołtarzem, a wokół jej głowy, ułożone niczym aureola, leżą białe kalie o purpurowych środkach. Jej ubrania są starannie złożone na kościelnej ławce, na nich kapelusz, a obok zwykle czarne buty zapinane na sprzączki. Cięcie na jej szyi jest równe, bo nieprzytomna dziewczyna nie mogła się wyrwać.*

*Bez bólu, bez strachu.*

*Nie będzie miała okazji upaść jak Darla Jean, nie zmierzy się z taką pokusą i zdradą.*

*Zoraida Bourret na zawsze pozostanie grzeczną dziewczynką.*



Mieszkanie Eddisona nigdy nie wygra w konkursie na najpiękniejszy wystrój. Nie jest ani przytulne, ani szczególnie sympatyczne, wygląda trochę kancelaryjnie. Jest uporządkowane – nawet czekające na załadowanie do zmywarki naczynia w zlewie są opłukane i schludnie ułożone – ale nie zawiera zbyt wiele sprzętów, więc nie ma swojego charakteru. Ściany są tego samego jasnożółtego koloru, który zastał, gdy się wprowadził. W oknach powiesił zasłony, z jednej strony dlatego, że przez żaluzje do środka wpadało zbyt wiele światła, a z drugiej – naprawdę nie chciał, by ktoś tu zaglądał. Z wyjątkiem stołu jadalnianego – pstrokatego, pokrytego warstwą płytek szkaradztwa, które Priya i jej matka uratowały z likwidowanej restauracji meksykańskiej i dały mu w prezencie jako żart – meble są ciemne i praktyczne. Jego filmy i książki są schowane w szafie koło telewizora.

Eddisonowi tak się podoba. Kiedy wraca do domu z akcji, podczas których przebywa w domach innych ludzi i widzi wszystkie osobiste rzeczy nadające miejscom charakter, jest wdzięczny za to, że posiada własną neutralną przestrzeń. Być może jest w tym też szczypta paranoi. Nie ma pewności, czy zna choćby jednego funkcjonariusza, który nie odczuwa uprzejmego, ale zwykle tłumionego lęku, że pewnego dnia ktoś postanowi zemścić się na jego najbliższych. Nie afiszując się ze swoim życiem prywatnym i nie zostawiając na widoku niczego, co sugerowałoby, jak go zranić – nawet w swoim własnym mieszkaniu – czuje się dużo bezpieczniej.

Nie stracił siostry dlatego, że wstąpił do FBI – wstąpił do FBI dlatego, że stracił siostrę – ale nie może znieść myśli, że mogłyby narazić na niebezpieczeństwo swoich rodziców lub różne

ciotki, wujków i kuzynów, z którymi wciąż utrzymuje kontakty.

Dzisiaj jednak, po całym dniu gapienia się na dokumenty, z których będzie się pewnie odkopywał przez resztę tygodnia, nie może oprzeć się wrażeniu, że miejsce nazywane przez niego domem, jest wręcz sterylne.

Ściąga garnitur, przebiera się w domowe ciuchy i siada na kanapie z opakowaniem jedzenia na wynos. Żona i matka Vica wiele razy proponowały z dobroci serca, że nauczą go gotować, ale o ile nie chce spalić domu, szczytem jego umiejętności są zupka chińska i sos do makaronu z torebki. Choć Ramirez często dogryza mu z tego powodu, nie ma to nic wspólnego z tym, że jest facetem – chodzi raczej o to, że gotowanie strasznie go nudzi.

Zarządca budynku nie byłby chyba szczęśliwy, gdyby znów musiał zamalować ślady dymu na suficie.

Jego prywatne zdjęcia, jakiegokolwiek, na których znajduje się on, ktoś mu bliski lub miejsce, z którym jest związany, spakowane są do pudełek po butach i zamknięte w schowku w szafie w sypialni. Są pod ręką, jeśli ma ochotę je pooglądać, ale innym trudno byłoby je znaleźć. Kilka zdjęć może jednak spokojnie wyeksponować. Eddison spogląda na nie zamiast poszukać meczu w telewizji.

Nie pamięta, czy mówił Priyi, dlaczego w jego domu nie ma żadnych fotografii, kiedy przyjechały po niego z mamą po drodze na grilla do Vica. Obie mieszkały jeszcze w Waszyngtonie, jak przez mgłę kojarzy, że wspominał o tym jej matce, choć nie wymieniał powodów. Deshani Sravasti to niebywała kobieta o przenikliwej (i nieco przerażającej) intuicji do ludzi. Pewnie zauważyła brak zdjęć, zanim on cokolwiek na ten temat powiedział, i domyśliła się, z czego to wynika. Więc może to ona powiedziała o tym Priyi.

To dało początek przygodom Agenta Specjalnego Kena. Nie jest pewien, skąd Priya wzięła plastikowego Kena – podejrzewa córki Vica – ale uszyła mu garnitur i małą, granatową wiatrówkę z wielkim żółtym napisem „FBI” na plecach. Teraz gdzie tylko Priya pojedzie, zabiera ze sobą Agenta Specjalnego Kena i robi mu sesję na tle słynnych lub ciekawych miejsc. Kilka takich fotografii wisi u Eddisona w ramach nad telewizorem.

Jego ulubione powstało w Berlinie – lalka jest prawie zgięta w pół, jej głowa leży na stole, na którym stoi wielki kufel z kilkoma łykami piwa na dnie. Widać, że spod wiatrówki wystają bawarskie szorty. Eddison jest przekonany, że Priya to jedyna osoba, jaką zna, która bez skrępowania ustawia lalkę do minisesji zdjęciowej w miejscu publicznym tak, by wyglądała na pijaną. Nie podpisuje zdjęć ani nie podaje dat na odwrocie, czasem tylko wspomni, co to za miejsce, jeśli nie jest oczywiste. Z pozoru bezosobowe fotografie, ale w gruncie rzeczy osobiste.

Bezpieczne.

Odzywa się jego komórka, tańcząca z każdą wibracją po stoliku w salonie. Przygląda się jej nieufnie, aż przypomina sobie, że Priya miała zadzwonić.

– I jak? Twoje nowe miasto jest ciekawe? – pyta zamiast rzucić „cześć”.

– „Ciekawe” to dobre określenie – przyznaje dziewczyna. – Tutejsze centra handlowe stanowią przedziwną mieszankę dobrych zamiarów i rezygnacji.

– W końcu miałem okazję przeczytać artykuł o twojej matce w grudniowym „The Economist” – mówi. – Robi wrażenie.

– Wywiad nie zaczął się najlepiej. Dziennikarz cały czas pytał o Chavi i tatę, więc mama nie była zachwycona.

W wypadku Deshani Sravasti „nie była zachwycona” oznacza, że gość miał szczęście, jeśli udało mu się uciec bez popuszczenia w spodnie. Magazyn najwyraźniej wysłał kogoś zaprawionego w boju, sądząc po tym, jak potoczyła się reszta wywiadu.

– Kiedy przestał pytać o życie osobiste, sprawy przybrały lepszy obrót – dodaje Priya. –

Mama uwielbia opowiadać o tym, jak gasi pożary w różnych oddziałach firmy.

– Cieszę się, że jest za to doceniana. – Był zdumiony, gdy wchodząc do księgarni, zobaczył Deshani na okładce czasopisma. Jej wzrok był śmiały i wyzywający nawet na zdjęciu. Artykułowi towarzyszyło więcej fotografii, jedna zrobiona w jej biurze w Birmingham, inna przedstawiała ją i Priyę siedzące na kanapie.

Nie był ani trochę zaskoczony, widząc, że Priya podpisana jest drobnym drukiem jako fotograf pod zdjęciem, na którym widnieje tylko matka.

Wtedy następuje pauza w rozmowie, nie tyle sekunda ciszy, co zawahanie, a wahanie nie jest w stylu Priyi. W ciągu pierwszych dziesięciu minut ich spotkania ta dziewczyna rzuciła w niego misiem i powiedziała, żeby przestał być takim pierdolonym tchórzem. Tak właśnie zostali przyjaciółmi.

Zazwyczaj stara się nie zastanawiać, jak to o nim świadczy.

– O co chodzi, Priyu?

– Wszystko u was w porządku?

To pytanie mrozi mu krew w żyłach, choć nie potrafi powiedzieć dlaczego. Dźga makaron plastikowym widelcem.

– U kogo? Naszej ekipy? No jasne.

– Na pewno? Bo dostałam dziś kartki od całej waszej trójki.

Cholera.

Nie wiedział, że Vic planuje wysłać kartkę, ale powinien pamiętać o Ramirez. Czy trudniej byłoby coś zauważyć, gdyby przyszły tylko dwie?

Ale to Priya, wykapana córka swojej matki. Żadna z nich nigdy nie potrzebowała wszystkich faktów, aby prawidłowo dojść z punktu A do punktu M.

– Nie musisz mi mówić, co się dzieje. Wiem, że możesz nie chcieć albo ci nie wolno. Po prostu się martwię. – Znów to wahanie, sprawdzanie lodu przed wykonaniem kolejnego kroku. – Mercedes zamazała klejem z brokatem motyle na kartce od siebie.

Kurwa.

Ale zeszyły wtorek – dzień, kiedy wszyscy wysłali kartki – był dla nich wszystkich bardzo zły. Nie powinien się dziwić.

– Ujmę to trochę inaczej – ciągnie dziewczyna. – Dacie sobie jakoś radę?

Eddison zastanawia się nad tym przez chwilę, pozwala sobie przyswoić pytanie, jeśli ma znaleźć jakąś odpowiedź. Priya nic nie mówi, nie naciska, nie wierci mu dziury w brzuchu. Jest niezła w czekaniu.

Motyle też były w tym dobre – jedne lepsze od innych. Większości ocalonych cierpliwość już nie wychodzi.

Nie było go w Ogrodzie, gdy wyciągnięto stamtąd ciała dziewczyn, które zginęły tuż przed eksplozją lub w jej trakcie. Wracał do Quantico, czując, jak wściekłość sący się w nim do miejsc wydrążonych przez to, co widział.

Gdy zaczęli poznawać całą historię, wypełniła go przerażająca świadomość, że ta sprawa nigdy się nie skończy. Nie żeby miała nie zostać doprowadzona do końca w sensie prawnym, bo zostanie. Kiedyś. Ale to nie było śledztwo, które można rozwikłać, odłożyć i przejść do następnego. Nie należało nawet do tych przytaczanych podczas wspomniania własnej kariery.

To była sprawa, która jest w stanie zniszczyć człowieka, okaleczyć na resztę życia, bo jak ludzie mogą robić takie rzeczy?

A ponieważ pyta Priya, najlepiej ze wszystkich znająca to uczucie, gdy nic nie jest w porządku – wie, że nie ma nic złego w tym, by czuć się źle – Eddison zastanawia się, co może, a czego nie może jej powiedzieć. Ostatecznie postanawia, że informacje i tak przedostaną się do

mediów, ale na pewno nie od niej.

– Jedna z dziewczyn uratowanych z Ogrodu popełniła w zeszłym tygodniu samobójstwo. Priya wydaje z siebie cichy odgłos, raczej w zamyśleniu niż w odpowiedzi.

– W sumie nie byliśmy zaskoczeni – mówi dalej Eddison. – Nie w przypadku tej dziewczyny. Bardziej zaskoczyło nas to, że nie zrobiła tego wcześniej.

– Rodzina?

– Załamała się, będąc jeszcze w Ogrodzie. Rodzina tylko bardziej ją pogрузzyła. Ale jest...

– Trzecia – Priya kończy zdanie za niego. – To trzecie samobójstwo w niespełna cztery miesiące.

– Psychologowie mają obawy co do kolejnych dwóch. Mówią, że prawdopodobieństwo jest spore.

– A pozostałe?

– Czas pokaże. – Nie znosi tego powiedzenia, ale jeszcze bardziej tego, jakie jest prawdziwe. – Kilka z nich... nie do końca się z tym upora, ale jakoś sobie poradzą. Jeśli poczują zagrożenie, podpalą cały świat i pociągną go za sobą na dno.

– Cztery miesiące to niedługo.

– Niecałe cztery.

– Niecałe cztery – potulnie przyznaje mu rację, nie dlatego że poprawka jest istotna, ale dlatego że rana Eddisona jest świeża, a ona o tym wie. Agent ma poczucie, że powinien się tym bardziej przejąć. Jest, do cholery, z FBI i jeśli ma okazywać uczucia, to nikt nie powinien być tego świadkiem.

– Myślałaś o tym kiedyś? – pyta nagle.

– Nie. – Odpowiedź pada szybko, ale nie natychmiast. Nie jest obronna ani odruchowa. – Chavi stanowiła ogromną część mojego świata, ale nie była *całym* moim światem. Choć byłam – nadal jestem – tym załamana, byłam też równie wkurzona. A to robi różnicę, prawda?

– Tak?

– Nawet jeśli nie, to robią ją inne rzeczy. Odebrano mi siostrę, ale nie straciłam swojej wolności, nie straciłam tożsamości. Nie musiałam wyznaczać dnia, w którym umrę.

Data przydatności do spożycia. Tak to określiła jedna z dziewczyn uratowanych z Ogrodu. Jakby były kartonami mleka.

Eddison czuje, jak *lo mein* z krewetkami przewraca mu się w żołądku.

– Straciłam siostrę. Twoje Motyle straciły swoją tożsamość. Przynajmniej w tym tkwi różnica.

– Wiedzieliśmy, że ona spróbuje to zrobić. Ostrzegaliśmy jej rodziców, błagaliśmy, żeby pozwolili jej skorzystać z pomocy psychologa.

– Vic błagał.

– I Ramirez – mówi Eddison bez wstydu, bo błaganie nie jest w jego stylu.

Zawsze lepiej radził sobie z podejrzanymi niż ofiarami. Kolejna rzecz, która pewnie mówi o nim więcej, niż powinna.

– Świadomość nie zmienia tego, jak się czujesz, gdy coś już się przydarzy.

Ale czy na pewno? A z drugiej strony sama niewiele na ten temat wie. Człowiek, który zamordował jej siostrę, nadal jest na wolności i nawet jeśli dowiedzą się, kim jest, nie przywróci to Chavi życia.

– Poznam je kiedyś? – pyta.

Eddison mruga powiekami i prawie odsuwa telefon od ucha, jakby chciał na niego spojrzeć.

– Kogo?

– Dziewczyny, które podpalą cały świat, w razie gdyby same miały spłonąć. Mam wrażenie, że zakumplowałybyśmy się.

Eddison parska śmiechem.

– Nie wątpię. Ale nie, nie ma mowy, nigdy ich nie poznasz – odpowiada stanowczym tonem, jednocześnie zdając sobie sprawę, co przed chwilą powiedział. Chryste, Priya bez dwóch zdań dogadałaby się z Inarą i Bliss. Zaprzyjaźniłyby się w mgnieniu oka. Co to, to nie.

Jej ciche prychnięcie, tylko odrobinę głośniejsze od oddechu, rozluźnia uścisk w jego piersi. Dziwne, że dzięki temu Eddison jednocześnie czuje się lepiej i gorzej.

Ale dla swojego własnego dobra i dobra sytuacji nie może pozwolić, żeby kiedykolwiek się spotkały.



O wpół do chuj wie której w środę rano wrywam się ze snu, obudzona gwałtownym młóceniem, czując, jak ucieka spode mnie łóżko. A przynajmniej tak mi się wydaje. Podskakuję na materacu jak piłka i przecieram zlepione powieki. W pokoju nadal jest ciemno, ale do środka wpada z korytarza wystarczająco dużo światła, żebym dostrzegła sylwetkę mamy, która siedzi mi na nogach okrakiem, z rękami na biodrach niczym Superman. Rama łóżka skrzypi pod dodatkowym ciężarem.

Stękam i opadam na łóżko, zakrywając twarz poduszką.

– Mamo, co ty, do cholery, robisz?

Mama śmieje się i kładzie obok mnie. Jej oddech, ciepły i znajomy na mojej szyi, pachnie kawą.

– Fakt, że możesz się uczyć w piżamie, nie oznacza, że nie powinnaś wstawać o rozsądnej godzinie.

– Czy na dworze nadal jest ciemno?

– Tak.

– No to nie jest to rozsądna godzina.

Mama śmieje się i unosi poduszkę, żeby pocałować mnie w policzek.

– Wstawaj, skarbie. Zrobię ci śniadanie.

Fakt, mama robi niesamowite gofry. Może nawet warto dla nich wstać z łóżka.

Wychodzi do pracy tuż po śniadaniu, a ja spędzam resztę poranka, próbując siłą skłonić swój mózg, żeby myślał po francusku podczas matmy, fizyki i historii. Mam historii po uszy – nigdy nie przyszło mi na myśl, jak amerykańska była moja wcześniejsza edukacja, póki nie zaczęłam nadrabiać zaległości, aby znaleźć się na poziomie dzieciaków, z którymi będę się uczyć jesienią.

Kiedy zaczyna mnie boleć głowa od językowego przeciążenia obwodów, odsuwam wszystko na bok i wkładam na siebie osiem do dziesięciu warstw ubrań i wychodzę na spotkanie ze światem. Dzień jest słoneczny, ale zimny. Potwornie zimny.

Pewna część mnie zastanawia się, dlaczego weterani wolą się bawić z grzejnikami przemysłowymi zamiast wejść do jakiegoś wnętrza. Nawet z ogrzewaniem w namiocie jest tak zimno, że można odmrozić sobie tyłek, a przecież dwa kroki dalej mają trzy Starbucksy. Ale nie będę o to pytać. Dziś po raz pierwszy naprawdę będę z nimi grać i muszę zaskarbić sobie szacunek. W każdej grupie jest tak samo.

– Ej, Niebieska, dzisiaj grasz ze mną – oznajmia czerwono nosy weteran z Wietnamu, zanim jeszcze wejdę na trawnik.

Kilku innych prycha, słysząc to przezwisko, ale jest trafne. Bindi[4] pomiędzy moimi oczami to niebieski kryształ osadzony w srebrze, taki sam jak ówiek w moim nosie, a kiedy tylko ściągnę z głowy wełnianą czapkę, od razu widać w moich włosach jaskrawe szafirowe pasemka. Ten, który nadał mi ksywkę, mruga, spoglądając na moją fryzurę, po czym śmieje się, jakby triumfalnie.

– A jak ja mam pana nazywać? – pytam, przechodząc nad ławką.

– Mów temu parszywemu skurczybykowi Corgi, słyszysz? – woła facet siedzący obok niego, ignorując kuksańca w żebra wymierzonego przez kumpla. Mają identyczne czapeczki i zastanawiam się, jak to jest przejść z kimś przez piekło, a potem nadal służyć sobie wsparciem.

No cóż, nawet gdy zdarzy się inny rodzaj piekła. Strata to strata, a moja matka i ja zawsze się wspierałyśmy, choć żadna z nas nie przeszła przez taką wojnę jak oni.

Corgi i ja rozkładamy nasze pionki, podczas gdy inni weterani przedstawiają się: Steven, Phillip i Jorge, a obok Corgiego – Szczęściarz, który chyba ma trochę w czubie. Pozostali skupieni są na swoich partiach. Z miejsca w rogu, jak podejrzewam – stałego, Salwa posyła mi lekki uśmiech i macha, po czym powraca do gry z mężczyzną o pospolitej twarzy, z którym rozmawiałam tydzień temu.

Gdy zaczynamy grać z Corgim, Szczęściarz i Jorge zwracają większą uwagę na naszą szachownicę niż swoją i podrzucają mi często sprzeczne wskazówki. Pomijając początkowy wybuch Szczęściarza, zachowują się wzorowo, co oznacza właściwie, że lawirują pomiędzy ekstremalną, czasem wręcz niezręczną, grzecznością, a rodzajem chamstwa, które w latach spędzonych w koszarach musiało wyciskać z ich dowódców łyzy dumy. Mamroczą przeprosiny,



gdy tylko przypomną sobie, że słucham. Ale śmieję się razem z nimi, co sprawia, że wkrótce rozluźniają się i wracają do swojej naturalnej dynamiki, a przynajmniej jej ułdzonej wersji, kiedy w pobliżu przebywa kobieta.

– Mówiłaś, że uwielbiasz grać – podejrzliwie zauważa Corgi po swoim drugim zwycięstwie.

– Ale wcale nie mówiłam, że jestem dobra.

– I dobrze – zauważa Jorge.

Tata był tak okrutnie złym szachistą, że przegranie z nim wymagało większego skupienia niż starcie z wytrawnym graczem. A kiedy zdałam sobie sprawę, że inni chętniej pozwalają mi ze sobą zagrać, jeśli nie stanowią zagrożenia dla ich ego... no cóż. Może jakaś część mnie każe podtrzymywać tę passę przegranych ze względu na tatę, choć to także dziwny rodzaj pragmatyzmu. Kiedy gram, wiedząc, że przegram, to gram bez presji i niezdrowych emocji.

Na nowo ustawiamy pionki do kolejnej partii i Szczęściarz obchodzi stoliki, żeby zająć moje miejsce, grożąc Corgiemu, że obije mu mordę za jakąś puszczoną przez niego obelgę. Corgi uśmiecha się od ucha do ucha.

Mężczyźni wyznają sobie miłość na najdziwniejsze sposoby.

– Zagraj ze mną, panienko – zachęca mnie Salwa, stawiając swoje figury w początkowej pozycji.

Wszyscy się przesiadają, szukają sobie nowych partnerów i przekomarzają, kto będzie grał którym kolorem. Siadam na miejscu Pana Nikt, a on przesuwają się o jedno miejsce, żeby zmierzyć się z względnie młodym weteranem operacji Pustynna burza, który przedstawia się jako Płochy.

Powstrzymałam się od pytań przy Corgim i Szczęściarzu, ale „Płochy”?

Uśmiecha się szeroko, a jego szerokie policzki unoszą się.

– Dostałem tę ksywę na pierwszym szkoleniu – mamrocze. – Sierżant zakradał mi się za plecy i wykrzykiwał mi do ucha rozkazy. Niemal za każdym razem zrywałem się z krzykiem na przynajmniej pół metra. Przewalali mnie Płochy.

A tego typu przezwiska zwykle się przyjmują.

Pan Nikt spogląda na mnie z nieznacznym uśmiechem, ale nie przedstawia się. Nie pytam – jest w nim coś, co sprawia, że nie chcę, by pomylił moją grzeczność z zainteresowaniem.

Salwie trudno się skupić na naszej rozgrywce. Zapomina, jakie były ruchy i czyja jest kolej. Czasem zaczyna coś z zapalem opowiadać i umyka mu fakt, że jeszcze się nie ruszył. Nie przypominam mu o tym, chyba że robi skonsternowaną minę. Szczerze mówiąc, wolałabym posłuchać opowieści o tym, jak upił się z kolegami gatunkowym winem w opuszczonym *chateau* i próbował nauczyć krowę, jak się jeździ na nartach. Trudno mi sobie wyobrazić, żeby ten mężczyzna miał kiedykolwiek tyle energii, ale pewnie był niewiele starszy ode mnie, kiedy został wysłany na front.

Od czasu do czasu Płochy patrzy na naszą szachownicę i kręci głową, posyłając mi krzywe spojrzenie. Wzruszam ramionami, ale się nie tłumaczę. Mam swoje powody i tyle.

Salwa zaczyna przysypiać w połowie naszej drugiej partii. Jeden z weteranów z Korei, który przedstawił się jako Pierce, narzuca mu na ramiona kolejny koc, podsuwa go pod podbródek i opatula rękę.

– Sklep zaoferował, że udostępni nam swoją kawiarnię – rzuca szorstko, jakby zawstydzila go jego własna troskliwość. – Salwa powiedział, że może jest stary, ale jeszcze nie umarł i albo gramy tutaj, albo nigdzie.

– Nie ma nic złego w odrobinie dumy – odpowiadam. – A przynajmniej kiedy ma się braci, którzy mogą ją nieco utemperować odrobiną rozsądku.

Patrzy na mnie ze zdumieniem i nieco się uśmiecha.

– Zresztą i tak powinnam już wracać do domu. Mam na jutro dużo nauki. – Wstaję z ławki i rozprostowuję zdrętwiałe, obolałe mięśnie. – Jeśli to nie kłopot, to wrócę w piątek.

– Wracaj, kiedy chcesz, Niebieska – mówi Pierce.

Mam przeczucie, że tylko Salwa będzie do mnie mówił po imieniu.

– Chętnie cię tu jeszcze zobaczymy.

Czuję pod mostkiem mały bąbelek ciepła. Przez ostatnie lata przyjmowano mnie do wielu grup szachowych, ale to pierwszy raz od Bostonu, kiedy naprawdę poczułam się mile widziana.

Poprawiam płaszcz, znów wkładam czapkę i idę przez parking do supermarketu po coś ciepłego do picia. Dzięki grzejnikom w pawilonie siedzi się przyjemnie, choć może nie jest tam gorąco, ale przede mną jeszcze długa droga do domu – z kubkiem ciepłego kakao będzie mi milej.

W kawiarni czeka dość długa kolejka, co zdaje się wynikać z tego, że nowy barista pracuje w pojedynkę i stara się realizować ciągle zmieniające się zamówienia od hordy starszych kobiet ubranych na fioletowo i czerwono.

Czy jest jakiś rzeczownik zbiorowy, określający grupę pań z Red Hat Society[5]?

Obok kolejki, zaledwie kilka kroków ode mnie, ktoś siada na krześle i wiesza swoją grubą brązową kurtkę na oparciu. To Pan Nikt z szachów. Wyciąga książkę z kieszeni kurtki – tak zniszczone wydanie w miękkiej oprawie, że nie sposób poznać, co to jest. Strony mają pozaginane rogi, grzbiet jest przełamany, a przedniej i tylnej okładki nie ma. Po prostu nie ma. Otwiera książkę, ale na nią nie patrzy.

Patrzy na mnie.

– Warto się napić czegoś ciepłego.

To dlaczego nie stoi w kolejce?

Przestępuję z nogi na nogę i odsuwam się o kilka centymetrów. Mężczyzna nie znajduje się blisko mnie, ale czuję się przez niego osaczona. I pewnie nie powinnam nazywać go Panem Nikt – takie rzeczy zazwyczaj wymykają się przypadkiem i przyprawiają o zażenowanie.

– Nie pamiętam twojego imienia.

– Bo się nie przedstawiłem.

Przesuwam się do przodu wraz z kolejką. Jedna z kobiet w fioletowo-czerwonych kostiumie gani baristę, który wygląda jakby był na skraju załamania nerwowego.

– Na zewnątrz jest zimno – rzuca mężczyzna przerywając przedłużającą się ciszę.

– Mamy luty w Colorado.

– Zmarzniesz, wracając do domu – ciągnie, przegapiając albo ignorując sarkazm. – Może cię gdzieś podwiozę?

– Nie, dziękuję.

– Lubisz marznąć?

– Przyda mi się trochę ruchu.

Nie odwracam się, ale czuję, jak mężczyzna taksuje mnie wzrokiem z góry na dół.

– Przesadzasz. Wyglądasz świetnie.

Co jest, do cholery, nie tak z ludźmi?

Znów przesuwam się do przodu, nieco za daleko, żebyśmy mogli prowadzić rozmowę, a po kilku minutach w końcu staję przy kasie.

– Poproszę gorącą czekoladę z bitą śmietaną.

– Imię?

– Jane. – Płacę, biorę resztę i przesuwam się do miejsca odbioru zamówień. Panie z Red Hat Society gnieźdzą się przy ladzie z dodatkami do kawy i stopniowo migrują w stronę rogu

kawiarni, gdzie ich koleżanki zsunęły kilka stolików.

– Jean! – woła barista. Prawie mu się udało.

Przeciskam się pomiędzy ostatnimi członkiniami czerwono-fioletowej zgrai, biorę swój napój i ruszam w stronę drzwi.

– Wcześniej robi się ciemno. Jesteś pewna, że nie chcesz, żebym cię podwiózł? – dopytuje Pan Nikt, kiedy go mijam.

– Tak, ale dziękuję.

– Mam na imię Landon.

Nie, ma na imię Zbok.

Ale kiwam głową na znak, że usłyszałam i odchodzę.

Zboczeni faceci to smutna rzeczywistość. Patrzyłam, jak Chavi była przez nich nagabywana, a ja zaczęłam się z nimi zmagać, jeszcze zanim weszłam w wiek dojrzewania. Nigdy nie spotkałam się z nikim, kto byłby na tyle odważny, żeby niestosownie zachować się w stosunku do mamy, co wcale nie znaczy, że to się nie zdarza. Tylko pewnie dzieje się w trochę mniej oczywisty sposób.

Kiedy sprawdzam skrzynkę, czeka na mnie tylko jedna niespodzianka: zwykła biała koperta z adresem zwrotnym, którego nie poznaję, ale dostrzegam masywne pismo Vica i pieczętkę z Quantico. Gdy wchodzę do domu, ściągam z siebie warstwy ubrań i wieszam je w szafie przy drzwiach, po czym podchodzę do smukłego, pokrytego ceramicznymi płytkami stolika przy schodach. Na czterech płytkach namalowany jest motyl z rozłożonymi skrzydłami, delikatny, w odcieniach fioletu i zieleni, ale niemal całkowicie zakrywają go wianek żółtych jedwabnych chryzantem, gruba czerwona świeca i zdjęcie w ramce.

Chavi teraz mieszka tutaj, w tej ramce, i tym podobnych przedmiotach. Ramka jest pokryta złotym brokatem, wytartym w górnym lewym rogu aż do złotej farby pod spodem. We trójkę długo się zastanawialiśmy, jakie zdjęcie tu umieścić. Wiedzieliśmy, które chcemy i które oddaje prawdziwą naturę Chavi, ale tym samym zdjęciem posługiwały się policja i media, to samo zdjęcie można było znaleźć wszędzie w internecie, gazetach i na plakatach z prośbą o informacje. Ostatecznie i tak się na nie zdecydowaliśmy. To była Chavi.

Wybraliśmy jej naturalne zdjęcie, bo na nim, nawet na tle standardowego szaroburego tła i w niezręcznej pozie z podbródkiem podpartym pięścią, wyraźnie widać jej osobowość. Ma błysk w oprawionych gęstymi, czarnymi rzęsami i połyskującymi biało-złotymi cieniami oczach i odrobinę czerwieni na ustach, pasującą do pasemek w jej włosach. Jej bindi i ćwiek w nosie to czerwone kryształy oprawione w złoto, ciepłe jak cała ona. Miała ciemniejszy odcień skóry ode mnie, jak u taty, przez co kolory jeszcze bardziej się wybijały. Tym, co sprawiło, że to zdjęcie w pełni oddaje charakter Chavi, był fakt, że kompletnie zapomniała o sesji zaplanowanej na ten dzień. Spędziła poranek, bawiąc się nowym zestawem pastelów olejnych, więc musiała się szybko wyszykować, ale wyglądała idealnie – z wyjątkiem tęczowego śladu pastelów na zewnętrznej krawędzi dłoni, którą podpira głowę.

Z malutkiej szuflady pod blatem wyciągam pudełko zapalek, zapalam czerwoną świecę i nachylam się, żeby pocałować wytarty róg. Tak zatrzymujemy Chavi przy nas, nadal jest częścią naszego życia w sposób, który nie graniczy z obsesją czy obłędem.

Nie mamy zdjęcia taty. Jednak to nie była decyzja Chavi, żeby odejść. Tata sam o tym postanowił.

Siadam na kanapie i obracam kopertę w dłoniach, szukając wskazówek co do jej zawartości. Nie przepadam za tajemniczą pocztą – po śmierci Chavi dostawałam jej aż nazbyt wiele, bo ludzie w całym kraju poznali nasz adres i wysyłali nam listy, kartki i kwiaty. Listy z pogrózkami też – zadziwiające, ilu ludzi czuło potrzebę pisania do zupełnie nieznanym im

osób, żeby im wytłumaczyć, dlaczego ich bliscy *zasługiwali* na śmierć. Pismo Vica mnie uspokaja i niepokoi jednocześnie. Jeśli ma zamiar przysłać coś więcej niż pocztówkę, zwykle mnie o tym uprzedza.

Charakter pisma w środku zdecydowanie nie należy do Vica. Papier firmowy pasuje do adresu zwrotnego na kopercie, litery są eleganckie, ale proste i czytelne. List zaczyna się bez powitania, od razu zmierza do sedna.

*Victor Hanoverian mówił mi, że wiesz, jak to jest – poskładać się do kupy po tym, jak przydarzyło Ci się coś straszego.*

*Ja też wiem, a przynajmniej kiedyś wiedziałam. Może nadal wiem – dla samej siebie – ale teraz są też inne osoby, którym nie wiem, co powiedzieć ani jak pomóc. Nie pamiętam już, jak to się robi, nie umiem już zgadnąć.*

*Nazywam się Inara Morrissey i jestem jednym z Motyli Vica.*

Jasna cholera.

Przebiegam wzrokiem resztę listu, nie tyle pobieżnie czytając, co rejestrując charakter pisma, żeby sprawdzić, czy gdzieś znajduje się wiadomość od Vica lub coś, co wyjaśniłoby mi, dlaczego postanowił mi go wysłać. Czy to nie łamie jakichś zasad? Oczywiście, znam jej imię i nazwisko – Motyle od niemal czterech miesięcy pojawiają się w każdym serwisie informacyjnym, ale nasze losy łączą jedynie agenci. Czy nie istnieje jakiś przepis zobowiązujący FBI do rozdzielania tego typu spraw?

Z drugiej strony Vic był ostrożny, prawda? Nie dał mojego adresu Inarze – sam nadał list. Nie muszę odpowiadać, nie muszę jej podawać swoich danych. Jak ona w ogóle się o mnie dowiedziała?

Wracam do miejsca, w którym przerwałam czytanie.

*Zobaczyłam twoje zdjęcie na biurku Eddisona kilka tygodni temu, a ponieważ Eddison to taki specyficzny typ, wzbudziło ono moją ciekawość. Nie sądziłam, że w ogóle lubi ludzi. To Vic powiedział mi, kim jesteś i jaka byłaś, kiedy się poznaliście. Powiedział mi, że straciłaś siostrę z rąk seryjnego mordercy i pierwsza myśl, jaka przyszła mi do głowy, brzmiała: „ciekawe, ja też”.*

*To był chyba pierwszy raz, kiedy nazwałam którąś z dziewczyn moją siostrą i zaskoczyło mnie, jak bardzo to zabolalo – stracić je ponownie w zupełnie nowy sposób albo czuć wobec nich coś takiego, a nigdy tego nie powiedzieć na głos.*

*Nie pytam o to, przez co przeszedłaś. Wiem, że mogę to sprawdzić, ale nie chcę. Szczerze mówiąc, dużo bardziej od tego, co Ci się przydarzyło, interesuje mnie to, co postanowiłaś zrobić dalej.*

*W Ogrodzie łatwo było być silną. Inne dziewczyny liczyły się z moim zdaniem i nietrudno było na to pozwalać, ponieważ wiedziałam, jak postępować z rozmysłem i mogłam mieć je na oku, gdy się tego uczyły. Teraz jednak jesteśmy wolne, a one oczekują ode mnie, że będę tak silna jak w Ogrodzie, a ja nie wiem, jak to zrobić, kiedy wszyscy mnie obserwują.*

*Nie wiem, jak się do tego wszystkiego zabrać. Nigdy nie byłam szczęśliwa i nigdy mi to nie przeszkadzało. Byłam taka, jaka byłam. Teraz ludzie oczekują ode mnie, że pokażę im, jak wylizuję rany, ale ja nie chcę tego robić. Nie powinnam być do tego zmuszana. Jeśli chcę pozostać nieszczęśliwa, to czy nie powinnam mieć do tego prawa?*

*Kiedy Vic o Tobie wspomina albo ledwie słyszy Twoje imię, ma minę, jakby mówiono o jednej z jego córek. Eddison chyba naprawdę Cię lubi, a byłam przekonana, że nienawidzi wszystkiego, w czym tętni życie. A Mercedes na samą wzmiankę o Tobie, uśmiecha się i robi nieco smutną minę, przez co zaczynam rozumieć, że uśmiechem obdarza wszystkich, smutna zaś robi się tylko dla ludzi, których kocha.*

*Oni Cię na swój sposób zaadoptowali, a teraz adoptowali mnie, lecz nie do końca wiem, jak im na to pozwolić.*

*Nie musisz mi odpisywać. Trudno mi rozmawiać o tych rzeczach z innymi dziewczynami, bo w ich oczach muszę wyglądać na silniejszą, niż jestem, a nie chcę ich zawieść. Ale Vic uśmiechnął się, kiedy zapytałam, czy mogłabym do Ciebie napisać, więc mam nadzieję, że przecucie mnie nie myli i to jednak dobry pomysł.*

*Jak możesz się poskładać do kupy, kiedy część Ciebie, która na zawsze przepadła, stanowi jedyny powód, dla którego ktokolwiek na Ciebie patrzy?*

Yyy.

Ona pyta mnie, jak zrobić coś, czego mnie samej chyba nie udało się osiągnąć. Gdybym miała zgadywać, dlaczego Vic wysłał ten list – ponieważ ona ma rację. Nie powinniśmy musieć zbierać się do kupy, jeśli nie mamy na to ochoty. Nie powinniśmy musieć być silne, odważne, pełne nadziei ani nic z tych pierdół. Mama zawsze podkreślała, że nie ma nic złego w tym, że nie jest u mnie w porządku. Nie jesteśmy nikomu nic winne.

Muszę to przemyśleć przez kilka dni.

Kiedy mama wraca do domu kilka godzin później z laptopem i aktówką w jednej ręce i torbami z jedzeniem na wynos w drugiej, siedzę nad swoim pamiętnikiem i próbuję opisać, jak się czułam, gdy Pierce powiedział, że „chętnie mnie jeszcze zobaczą” w pawilonie szachowym.

– Przyniesiesz talerze? – pyta mama, nachylając się, żeby pocałować ramkę i o mały włos podpalając sobie szalik. Odstawia torby na podłogę – jedzenie na wynos z większą ostrożnością niż komputer.

W ubraniach do pracy wygląda pięknie i władczo – szare, skrojone blisko ciała ołówkowa spódnica i marynarka nie zyskują wiele na delikatności dzięki lawendowej bluzce i wzorzystej apasce. Jej długie włosy są wywinęte w wysoki, precyzyjnie upięty kok, a buty na obcasie na tyle wysokie, żeby robiła wrażenie, ale też wystarczająco niskie, by z łatwością mogła skopać każdemu tyłek. Jedyne rzeczy, które wydają mi się nie na miejscu, to te, których mama nie ściąga z siebie po pracy – szmaragdowo-złote bindi oraz ćwiek w nosie, a także cienki, złoty kolczyk-kółko przebijający dolną wargę.

Mama z pełną świadomością pozostawiła rodzinę i znaczną część swojej kultury, kiedy dwanaście lat temu wyjechała z Londynu do Stanów, ale zachowała te elementy, które lubiła. Dzięki nim ludzie nie brali nas za muzułmanki. Mamę mało obchodziło, czy popełniała przy tym jakieś świętokradztwo, jeśli tylko jej śniadokóre córki były bezpieczne. Bindi, biżuteria, mehendi[6], które robimy od czasu do czasu, mają ponoć większe znaczenie, niż do nich przywiązujemy.

Wstaję i przynoszę talerze i sztuce. Gdy zaniosę torby z jedzeniem do salonu, idę po dwie szklanki mleka i czyste pojemniki na żywność. Czekam jednak, żeby to mama nałożyła nam jedzenie na talerze. Kwestia samokontroli. Wolę, gdy to ona czuwa nad wielkością porcji.

Wraca na dół w getrach i luźnej koszulce z długim rękawem, na którym znajdowało się kiedyś logo liceum Chavi. Nadal widać jego pozostałości, jeśli przymruży się oczy i wie, co powinno być napisane. Reszta wyblakła, złuszczyła się i wytarła. Mama wyciągnęła wsuwki z koka i splotła włosy w luźny warkocz, który spuściła na plecy. To oblicze mamy, która lubi ubrudzić sobie palce ziemią i pielęgnować rośliny i która zawsze, równie szybko jak jej córki, rozpoczynała bitwę na poduszki.

Gdy siadamy na dywanie, żeby stolik kawowy posłużył nam za stół jadalny, mama sięga po pudełka i zaczyna nakładać nam jedzenie na talerze. Krewetki w sosie pomarańczowym i makaron *lo mein* dla niej, kurczak w sosie słodko-kwaśnym i biały ryż dla mnie, a każdy posiłek podzielony po równo między talerzami i plastikowymi pojemnikami. Mama rozkłada

opakowanie sajonki, ale nie rozlewa porcji zupy – z pierożkami wonton dla mnie i z jajkiem dla niej. Zupa na wynos nie smakuje zbyt dobrze na drugi dzień, więc nie ma co sobie zawracać głowy. Jutro obie zjemy dzisiejsze resztki na lunch, a wieczorem jedzenie z innej restauracji na wynos.

Większość kuchennych rzeczy nadal jest w pudełkach, co prawdopodobnie nie zmieni się w ciągu nadchodzących tygodni. Gotowanie nie wchodzi na razie w grę.

– Jak tam szachy? – pyta mama przy krewetkach.

– Dobrze. Nie mogę się doczekać następnego razu.

– Polubiłaś nowych graczy?

– Tak, z wyjątkiem jednego. – Mama spogląda na mnie przenikliwie, ale ja wzruszam tylko ramionami i zatapiam zęby w kawałku oblepionego sosem kurczaka. – Będę go unikać.

– Na wszelki wypadek weźmiesz ze sobą gaz pieprzowy?

– Przypięłam go do kluczy w zewnętrznej kieszeni kurtki.

– To dobrze.

Przez chwilę jemy w ciszy, która nie jest niezręczna ani krępująca, to tylko sposób, na zapomnienie o tym, co działo się w ciągu dnia i przygotowanie na wieczorny relaks. W końcu mama włącza telewizor, odnajduje kanał informacyjny, wycisza dźwięk i czyta paski z informacjami. Po posiłku obie wstajemy, żeby posprzątać ze stołu. Mama zbiera resztki jedzenia i śmieci, a ja talerze i sztućce. Mamy zmywarkę, którą obecnie blokują dwie sterty pudeł, ale właściwie nie ma powodu, żeby jej używać tylko na nas dwie. Myję naczynia i odkładam je na suszarkę przy zlewie.

Mama wraca na dywan i włącza Xboxa oraz grę Lego. Ja zwijam się w kłębek na kanapie z moim bieżącym pamiętnikiem.

Przez długi czas jedynymi słowami na stronie były: „Droga Chavi”.

Chavi zaczęła pisać pamiętniki, jeszcze zanim się urodziłam. Brała zwykle bruliony, ozdabiała okładki i pisała listy do mnie, żeby przygotować swoją młodszą siostrę do życia. Kiedy podrosłam, nauczyłam się pisać i sama zaczęłam prowadzić pamiętnik, naturalną rzeczą wydało mi się, że powinnam jej odpisać. Nie czytałyśmy nawzajem tego, co napisałyśmy. Czasem kopiowałyśmy fragmenty lub wpisy jedna dla drugiej lub czytałyśmy trochę na głos. Siadałyśmy razem na łóżku u jednej w pokoju, kiedy tata kazał nam iść spać – bo skoro on jest zmęczony, to wszyscy na pewno też – i nawet nie jestem w stanie zliczyć, ile razy zasnęłam z policzkiem na kartce i długopisem w ręce, a obudziłam, gdy Chavi opatulala mnie kołdrą i kładła się obok.

– Czy my porzucamy Chavi? – pytam nagle.

Mama przerywa grę i spogląda na mnie przez ramię. Po chwili odkłada kontroler na stolik i opiera się plecami o kanapę.

– Wyjeżdżając do Francji – wyjaśniam. – Czy my ją porzucamy?

– A porzuciłyśmy ją, gdy wyprowadziłyśmy się z Bostonu?

Jej prochy spoczywają w niepozornej urnie, która bardziej przypomina tubę na wino. Tata nalegał, żebyśmy trzymali jej prochy nad kominkiem, ale mama i ja zapakowałyśmy je już na wyjazd do Francji i chcemy je rozsypać po polach lawendy. Nie żeby Chavi kiedykolwiek o to prosiła, w końcu ile siedemnastolatek myśli o swoim pochówku, ale coś takiego zdaje się pasować. Uwielbiała wycieczki w dolinę Loary, na które jeździliśmy, kiedy jeszcze wszyscy mieszkaliśmy w Londynie.

Ale Chavi to nie jej prochy. Bardziej jest zdjęciem na naszym ołtarzyku z chryzantemami i świeczką, ale to nadal nie...

– Czy Francja to będzie nasz dom?

– No, teraz zaczynam rozumieć. – Odwracając się twarzą do mnie, mama obejmuje mnie

za kostki i opiera podbródek na moich miękkich włochatych skarpetkach. – Od śmierci Chavi mieszkaliśmy w różnych miejscach, ale w żadnym nie stworzyliśmy domu.

– Dom jest tam, gdzie ty.

– I to się nigdy nie zmieni – mówi mama bez zawahania. – Ale ty mówisz o miejscu, nie o osobie.

– Czy to egoistyczne?

– Ależ skąd. – Gładzi kciukiem wgłębienie za moją kostką. – Strata Chavi była czymś potwornym. Ta rana nigdy się całkiem nie zablizni. Wiem, że przy tych wszystkich przeprowadzkach żyliśmy trochę w zawieszaniu, ale kiedy przeniesiemy się do Francji, będzie inaczej. Wyobrażasz sobie, jaka Chavi byłaby wściekła, gdybyśmy nie zagrzały tam miejsca? Gdyby to był dla nas tylko etap przejściowy? – Zagłębia podbródek w wierzch mojej stopy. – Pięć lat temu trudno by było wyobrazić sobie życie, w którym nie ma Chavi.

– Ale tak ono teraz wygląda.

– Ale tak ono teraz wygląda – przytakuje mi mama. – A kiedy już będziemy w jakimś miejscu dłużej niż pięć miesięcy, kiedy jakieś miejsce stanie się nasze, to jesteśmy winne sobie i twojej siostrze, żeby w nie wrosnąć. Stworzyć w nim nasz dom. Przeróżająca myśl, prawda?

Kiwam głową, ledwie widząc przez łzy.

– Kochamy ją, a to oznacza, że nie jesteśmy w stanie jej porzucić.

Znów kiwam głową.

– Jest coś jeszcze. – Kiedy nie reaguję od razu, mama przebiega dwoma palcami po mojej nodze, aż dociera do łaskotliwego miejsca pod kolanem. – Priya.

– Tej wiosny umrze kolejna dziewczyna – szepczę, bo powiedzenie tego na głos wydaje mi się czymś strasznym. – On znowu kogoś zabije, bo dopóki go nie złapią, nie ma powodu, żeby przestał. Co można zrobić, żeby powstrzymać kogoś od zabijania?

– Pytasz mnie o zdanie? Ja przywiązałabym go za jaja i obdarła ze skóry przy pomocy tępego, zardzewiałego noża. Choć podobno policja nie przepada za takimi metodami.

Może właśnie to dręczy mnie w liście Inary. Wszystko związane z Ogrodem jest obiektem medialnej gównoburzy, co prędko się nie zmieni. Wszyscy mają swoje zdanie, jakąś teorię. Wszyscy mają swoje własne pojęcie tego, co oznacza sprawiedliwość. Kiedyś myślałam, że niczego nie pragnę bardziej, niż zobaczyć, jak morderca Chavi zostaje aresztowany, ale im robię się starsza, tym bardziej podoba mi się fantazja mamy.

Jak to o mnie świadczy?



Rano w dniu pogrzebu Eddison przyjeżdża po Ramirez pod jej maleńki dom (który jak się upiera, prawidłowo powinno nazywać się chatą) i jadą po Vica. Pora jest nieprzyzwoicie wczesna, niebo nie zrobiło się jeszcze nawet szare, ale przed nimi długa droga do domu rodziny Kobiyashi w Karolinie Południowej. Parkuje na chodniku, żeby nie zablokować samochodu Vica ani żadnej z pań Hanoverian.

Frontowe drzwi otwierają się, zanim jeszcze agenci staną na ganku. Matka Vica zaprasza ich do środka.

– Popatrzcie tylko na siebie – wzdycha. – Wyglądacie jak dwa kruki.

– Jedziemy na pogrzeb, Marlene – przypomina jej Ramirez, całując ją w policzek.

– Kiedy to ja w końcu wybiorę się na tamten świat, nie wolno wam przyjść w czerni.

Każę to zaznaczyć w testamencie. – Zamyka drzwi i ciągnie Eddisona za kurtkę, żeby pocałować go w policzek. Minęła zaledwie godzina, odkąd się ogolił, więc przynajmniej raz nie jest zarośnięty i szorstki. – Dzień dobry, skarbie. Chodź do kuchni, zjesz śniadanie.

Eddison już ma odmówić – nie lubi jeść o tak wczesnej porze, bo ciężko mu wtedy na żołądku i kiepsko się czuje – ale Marlene Hanoverian prowadziła własną piekarnię aż do przejścia na emeryturę, więc byłby głupcem, gdyby odmówił czegokolwiek, co wyszło spod jej ręki.

Wchodzą do kuchni i Eddison staje jak wryty, wlepiając wzrok w osoby siedzące już przy stole. Patrzą na niego dwie młode kobiety, obie po osiemnaście lat. Jednej na powitane delikatnie drgają kąciki ust. Druga uśmiecha się szeroko i pokazuje mu środkowy palec. Obie mają przed



sobą po talerzyku z ociekającą lukrem cyfamonową bułeczką.

Nie jest pewien, dlaczego jest taki zaszokowany. To jasne, że pozostałe ocalałe będą chciały wziąć udział w pogrzebie. Choć dla niektórych byłoby to zbyt traumatyczne przeżycie, inne pragnęłyby zobaczyć, jak dziewczyna, z którą kiedyś były w niewoli, zostaje po śmierci opuszczona do ziemi, a nie spreparowana w szkło i żywicy w korytarzach Ogrodu, jak większość pozostałych.

– Dzień dobry – agent wita się ostrożnym tonem.

– Vic zaproponował, że nas podwiezie – mówi ta wyższa. Inara Morrissey – Eddison słyszał, że ponoć oficjalnie zmieniła imię i nazwisko – ma na sobie ciemnoczerwona sukienkę, która pewnie powinna gryźć się z jej złotobrazowymi włosami, ale tak nie jest. Wygląda elegancko i zbyt perfekcyjnie jak na tak wczesną godzinę. – Przyjechaliśmy tu wczoraj pociągiem.

Żyją teraz w Nowym Jorku. Inara mieszkała tam już przed porwaniem. Bliss pochodzi z Atlanty, ale wprowadziła się do Inary i jej grupy współlokatorek, kiedy tylko wypuszczono ją z aresztu. Pozostali członkowie jej rodziny przeprowadzili się do Paryża ze względu na pracę ojca. Eddison czasem się zastanawia, czy relacje między nimi uległy poprawie, ale nie ma zamiaru drażnić Iwa, żeby się dowiedzieć.

Wie, że nie powinien nazywać jej Bliss[7] – to Ogródnik nadał jej takie imię, które nie dość, że stanowi bolesne przypomnienie tego, co się stało, to zupełnie do niej nie pasuje – ale nie potrafi też mówić do niej Chelsea. Chelsea to takie normalne imię, a Bliss to diabeł wcielony. O ile dziewczyna nie każe mu inaczej, będzie nazywał ją Bliss. Jest drobniutka i ledwie sięga Inarze do ramienia, gdy siedzą obok siebie. Jej nieokiełznane czarne loki zaczesane są do tyłu, a na sobie ma odważną niebieską sukienkę w intensywniejszym odcieniu niż jej niemal fiołkowe oczy.

Nie jest zaskoczony brakiem czarnych ubrań. Wie, że obie dziewczyny nie unikają tego koloru. Dość dobrze przystosowały się do życia na zewnątrz (choć czasem ma wątpliwości co do Bliss) i pracują w restauracji, w której to kolor obowiązujący obsługę. W Ogrodzie jednak wszystkie ich ubrania były czarne. Czarne i bez pleców, żeby wyeksponować wytatuowane skrzydła. Same nigdy nie ubrałyby tej barwy, aby oddać cześć jednej z nich. Eddison ma tylko nadzieję, że państwo Kobiyashi nie uznają tego za nietakt.

Ale z drugiej strony Bliss nie należy do taktownych. To nie pierwszy raz, kiedy przywitała go środkowym palcem.

– Przyjedzie ktoś jeszcze? – pyta, z ostrożności przepuszczając przed siebie Ramirez i pozwalając jej pierwszej usiąść na kuchennym narożniku. Bardzo szanuje obie dziewczyny ze względu na to, co przeszły, ale nie jest do końca przekonany, czy je lubi. I z wzajemnością. Jeśli tylko może oddzielić się od nich choćby jedną osobą, to Eddison tak właśnie robi i nie czuje się z tego powodu jak tchórz.

– Być może Danelle i Marenka – odpowiada Inara, zlizując lukier z palca. Nieznaczne przebarwienia po wewnętrznych stronach dłoni to ślady po oparzeniach i ranach z nocy, gdy w Ogrodzie doszło do wybuchu. – Nie były do końca zdecydowane, gdy rozmawialiśmy z nimi w śróde.

– Boją się, że państwo Kobiyashi zachowają się wobec nich jak świnie – dorzuca Bliss. Gdy Ramirez rzuca jej pytające spojrzenie, Bliss rysuje palcami kształt motyla na swojej twarzy.

Agentów przechodzi dreszcz.

W jakiś dziwny sposób sprawa robi się coraz gorsza. Niektóre dziewczyny, albo dlatego, że już wcześniej miały ze sobą problemy, albo licząc, że to pomoże im uciec, próbowały zyskać względy oprawcy. W nagrodę on oznaczał je jako swoje faworyty za pomocą wytatuowanej

kolejnej pary skrzydeł, tym razem na twarzy, pasującej do tych na plecach. Wszystkie dziewczyny mogły zakryć swoje skrzydła, gdy wyszły z Ogrodu. Danelle i Marenka, jedyne ocalałe z tatuażami na twarzy, muszą polegać na bardzo grubej warstwie dobrego makijażu.

Nawet jeśli zakryją mniejsze skrzydła i tak traktowane są inaczej przez tych, którzy wiedzą o ich istnieniu. Zwykle postrzegane są gorzej, jak gdyby podlizywanie się po to, by nieco dłużej zachować życie, w jakiś sposób czyniło je nikczemnymi.

Eddison ma nadzieję, że ostatecznie się rozmyślą. Lubi Danelle i Marenkę, bo obie są spokojne, zrównoważone i mniej pyskate od Inary i Bliss. Lepiej żeby opłakiwały Terezę... Amiko, na imię miała Amiko – Eddison poprawia samego siebie – bez spoczywających na nich nienawistnych spojrzeń rodziców dziewczyny.

Marlene kładzie talerzyki przed nim i Ramirez, po czym nalewa kawy do kubków. Mimo wczesnej godziny i tego, że nie jedzie na pogrzeb, jest w pełni wyszykowana, a na tle jej ciemnozielonego swetra wyróżnia się pojedynczy sznur delikatnych, eleganckich pereł.

– Biedna dziewczyna – mówi. – Przynajmniej teraz zazna spokoju.

To chyba zależy od przekonań i wiary, prawda? Ramirez gładzi krzyżyk przy swoim gardle i milczy. Inara i Bliss zapychają usta drożdżówkami, żeby nie musieć odpowiadać.

Eddison nie jest do końca pewien, w co wierzy, jeśli chodzi o śmierć, samobójstwo i podobne rzeczy.

Wtedy do kuchni wchodzi Vic, poprawiając węzeł swojego ciemnobrązowego krawata. Eddison i Ramirez są ubrani na pogrzeb. Vic jest ubrany na pogrzeb Motyla – brąz i kość słoniowa są na tyle posępne, by oddawać szacunek pogrążonym w żałobie rodzicom i wystarczająco odległe od czerni, aby solidaryzować się z ocalałymi. Jest delikatny i posiada wyczucie... Eddison mógłby tu wymienić mnóstwo zalet, które nigdy nie będą do niego pasować, nawet kiedy ma dobry dzień.

– Siadaj i jedz, Vic – mówi mu matka.

Vic całuje ją w czubek głowy, ostrożnie omijając skrzętnie upięte wsuwkami srebrne loki.

– Musimy już jechać, mamo. Jest prawie...

– Victorze, usiądziesz, zjesz i zaczniesz ten potworny dzień jak trzeba.

Victor siada.

Inara zakrywa usta dłonią, ale jej brązowe oczy aż błyszczą. To bardzo opanowana młoda kobieta, która w towarzystwie zwykle kontroluje swoje reakcje, ale Eddison wie, że czuje się naprawdę swobodnie tylko w otoczeniu dziewczyn, z którymi mieszka.

– Proszę, pani Hanoverian, niech nam pani powie, że wrzucała synkowi liściki do kanapek na drugie śniadanie.

– Niech no się zastanowię. W poniedziałki pisałam mu, żeby dokonywał dobrych wyborów, we wtorki, żeby dał mi powody do dumy, w środy... – ale urywa z uśmiechem, widząc, jak dziewczyny trzęsą się od bezgłośnego śmiechu i opierają o siebie.

– A wy mi nie wierzyłyście – łaja je Vic z ustami pełnymi drożdżowego ciasta.

To dziwne – śmiać się, zanim ruszysz w drogę na pogrzeb siedemnastolatki. Szesnastolatki. Kolejne urodziny obchodziłaby dopiero za kilka tygodni.

Inara pochwytuje jego spojrzenie i wzrusza ramionami.

– Albo się śmiejesz albo płaczesz. Co wolisz?

– Krzyżeć – odpowiada lakonicznie.

– Ja też – warkliwie odpowiada Bliss, odsłaniając zęby. Utknęła jej między nimi odrobina suto doprawionego cynamonem ciasta.

Dochodzi do wniosku, że Inara w końcu zwróci jej uwagę.

Ich siedmiogodzinna podróż do Karoliny Północnej upływa w spokoju, ale nie w ciszy.

Ramirez rozsiada się na tyle auta, bo jeśli nie prowadzi i nie ma do wypełnienia papierkowej roboty, to jazda samochodem ją usypia. Inara i Bliss siedzą na środkowym siedzeniu, a włączone radio chodzi na tyle cicho, że mogą swobodnie rozmawiać z Vicem, który prowadzi. Eddison słucha, ale się nie udziela. Głównie wpatruje się w telefon i przegląda powiadomienia Google na temat ciał znalezionych w kościołach. Jest nieco za wcześnie na to, żeby morderca Chavi znów uderzył, ale i tak regularnie sprawdza – na wszelki wypadek.

Bliss chodzi do szkoły i nadrabia braki w swoim wykształceniu, żeby latem mogła przystąpić do GED[8]. Wygląda na to, że ani ona, ani Inara nie postanowiły jeszcze, czy pójdą na studia. Eddison to rozumie. Jeśli nie wiedzą, co chcą robić – a nie wydaje mu się, żeby wiedziały – po co teraz się za to zabierać, skoro zdają sobie sprawę z tego, że nadciągający proces pochłonie im tyle czasu? Już i tak dość często muszą przyjeżdżać do Waszyngtonu, żeby składać zeznania w postępowaniu przygotowawczym. Obie zostaną powołane na świadków, jeśli sprawa trafi na wokandę, zanim stuknie im osiemdziesiątka, a Inara zdążyła już obiecać innym dziewczynom, że będzie na sali sądowej podczas zeznań każdej z nich.

Choć agent często widzi, że Inara matkuje swoim koleżankom, nie mieści mu się to w głowie. Ta dziewczyna jest jak pitbull, który chce tańczyć w balecie.

Motyl w rękawicach bokserskich.

Po dwóch postojach na tankowanie i coś do zjedzenia dojeżdżają do kościoła, gdzie odbędzie się msza żałobna. Na parkingu nie ma zbyt wielu samochodów.

– Jesteśmy za wcześnie? – pyta Ramirez półprzymkniętym głosem, sięgając po torebkę, żeby poprawić makijaż.

– Odrobinę – odpowiada Vic.

Ramirez nie zdążyła się jeszcze porządnie obudzić, ale Eddison słyszy komunikat ukryty pomiędzy wierszami: Vic nie spodziewa się zbyt wielu ludzi.

Bliss rozpina pas z głośnym kliknięciem, po którym metalowy zatrask uderza z impetem w drzwi.

– A nie mówiłam. Kobiyashi to świnię. Pewnie w ogóle nie urządziliby pogrzebu, gdyby o samobójstwie nie powiedzieli w wiadomościach.

Eddison spogląda na Inarę, która znała Terezę lepiej niż Bliss, ale ta patrzy przez okno na biały kościół.

Wysiadają z samochodu i przeciągają się. Vic bierze Bliss pod rękę, kiedy ruszają ku podwójnym drzwiom kościoła. Wynika to częściowo z kultury osobistej – Marlene wychowała gentlemiana – ale Eddison mógłby się założyć o swoją miesięczną pensję, że dowódca ich ekipy chce mieć dziewczynę przy sobie, na wypadek gdyby trzeba było ukrócić jej zachowanie. Ramirez szybko przegląda się w ciemnej szybie auta i wchodzi za nimi do środka.

Eddison się nie śpieszy. Opiera się o samochód i patrzy na kościół baptystów. Z wyjątkiem głównego wejścia budynek otaczają gęste krzewy, a ziemia pod spodem wysypana jest rudawym mulczem. Przestrzeń przed krzewami wyznaczają sosnowe paliki, dalej zaś ciągnie się pas spłowiałej trawy. Czy to miejsce na klomby? Gdy kwitną, kościół pewnie wygląda malowniczo. To od razu kojarzy mu się z Ogrodem, więc zaczyna się zastanawiać, jak wyglądał przed eksplozją i... kurwa, czy jest coś, czego ta sprawa nie może zepsuć?

Był na zbyt wielu pogrzebach, a mimo to każdy z nich jest po prostu...

Inara opiera się o auto koło niego, obejmując się w tali. Na małym palcu ma pierścionek połączony z bransoletką na nadgarstku.

– Wiesz, nie musisz tutaj być.

– Właśnie, że... – Ale milknie, przetyka odruchowe oburzenie, bo to Inara. Inara, która zawsze mówi to, co myśli, ale zwykle nie tak, jak można by się tego spodziewać.

Eddison zdaje sobie sprawę, że rzeczywiście, wcale nie musi tutaj być. To nie wymóg FBI, nie rozkaz ani też jedna z powszechnie stosowanych wytycznych. Nie ma oficjalnych powodów, które nakazywałyby mu udział w pogrzebie dziewczyny, która zabiła się, ponieważ szwy, w miejscu gdzie coś w niej pękło za pierwszym razem, były zbyt słabe, żeby wytrzymać kolejne ciosy. To jego osobiste przekonania sprawiły, że się tu znalazł, zasady, w imię których wciąż mierzy się z okropieństwami swojej pracy. Bo tak jest słusznie.

To jego wybór.

Spogląda na Inarę. Nie jest zdziwiony, że dziewczyna obserwuje go z miną, z której trudno wyczytać, co myśli. Nie nauczyła się tego ani w Ogrodzie, ani po tym jak stamtąd wyszła. Zawsze tak miała.

– Dziękuję.

– Uważaj, Eddison – droczy się z nim, unosząc dłonie w geście udawanej kapitulacji. – Ktoś mógłby cię usłyszeć i pomyśleć, że jesteś prawie taki sam jak ja.

– Prawie – agent przytakuje tylko po to, by zobaczyć jej zaskoczony uśmiech.

Nie proponuje jej swojego ramienia, a ona wcale tego nie oczekuje. Odpychają się od samochodu i wchodzą razem do kościoła, spinając ramiona, oboje przekonani, że z pewnością nie będzie to ostatni pogrzeb Motyla, choć może być najstraszniejszy.

Dla Inary niewykluczone, że będzie to najstraszniejszy pogrzeb w ogóle, ale Eddison jest doskonale świadom, że nadchodzi wiosna. Ktokolwiek zabił Chavi Sravasti i wiele innych dziewczyn, zabije ponownie z pobudek, których FBI nie potrafi ustalić. Eddison będzie więc uczestniczył z Victorem i Ramirez w kolejnym pochówku, czując się jak ostatnia świnia, bo będzie wdzięczny, że nie chowają Priyi.



Miałam pięć lat na to, by świadomość śmierci Chavi przeniknęła mnie do szpiku kości, ale mimo to wspomnienia wcale nie zrobiły się mniej bolesne i nie przestałam budzić się z koszmarów zlaną potem i z gardłem zdartym od krzyku. Nie jestem przekonana, by cokolwiek było w stanie to powstrzymać.

Budzę się, gdy mama mocno mną potrząsa i tuli do siebie, zanim jeszcze zdolałam otworzyć oczy i sobie przypomnieć, że jestem bezpieczna w swoim łóżku, w naszym wynajętym domu w Huntington, daleko od lokalnego kościoła na przedmieściach Bostonu, gdzie ostatnio widziałam swoją siostrę. Koszmary nie pojawiają się cyklicznie – nie da się też przewidzieć, co je wywoła – ale zdarzają się na tyle często, że opracowałyśmy metodę, jak sobie z nimi radzić.

Podczas gdy ja biorę chłodny prysznic, mama ściąga z mojego łóżka przemoczone od potu prześcieradła i zanoszi je na dół do pralni. Kiedy wraca z dwoma kubkami herbaty w dłoniach, jestem już przebrana w świeżą piżamę i leżę w jej łóżku. Ani ona, ani ja nie chcemy, żebym była sama po jednym z takich snów, ale wiem, że już nie zasnę. Jednak nie godzę się, by ona też się nie wyspała, czuwając ze mną – to taki nasz kompromis. Włączamy DVD i mama zasypia twardym snem już podczas pierwszego odcinka jednego z programów BBC Nature.

Do łóżka mamy zabrałam ze sobą pamiętnik, ale nie bardzo mam ochotę na pisanie. Mam już kilkanaście brulionów, w których opisuję lata swoich koszmarów. Opowiadanie Chavi o kolejnym w niczym nie pomoże.

Co innego opowiadanie o nim komuś innemu.

Spod okładki pamiętnika wystaje list od Inary, który tkwił tu przez ostatni tydzień. Chyba

w końcu wiem, jak na niego odpowiedzieć.

*Droga Inaro,  
moja siostra Chavi umarła w poniedziałek, dwa dni po moich dwunastych urodzinach.  
Miała siedemnaście lat.*

*Cały weekend spędziliśmy, świętując. W sobotę byliśmy w pobliskim parku. Właściwie był to kościelny ogród, ale ponieważ kościół miał problemy z podatkami i hipoteką, więc okoliczni mieszkańcy tak jakby przejęli budynek. Wszystko kwitło, a dzień upłynął nam pod znakiem gier i jedzenia. Niedzielę spędziliśmy w gronie rodziny, przy ulubionym jedzeniu i filmach. Wyszliśmy tylko raz, gdy mama i Chavi zabrały mnie do galerii, żebym przekłuła sobie nos.*

*Tata został w domu na znak protestu. Moi rodzice urodzili się w Indiach, ale wychowali w Londynie, i tata zawsze się upierał, że skoro porzucili swoją kulturową społeczność, powinni też zrezygnować z jej symboli.*

*W poniedziałek poszliśmy do szkoły. Chavi zwykle jeździła na rowerze ze swojego liceum do mojego gimnazjum i razem wracałyśmy do domu, ale tego dnia miałam zebranie kółka zajmującego się księgą pamiątkową, a ona zaplanowała naukę z grupką przyjaciół z klasy. Chavi dysponowała znacznie większą wolnością niż wielu jej znajomych, głównie dlatego, że jej nie nadużywała. Dawala mamie znać, kiedy gdzieś dojechała lub ruszała w drogę powrotną do domu, i zawsze informowała, jeśli zmieniły się jej plany, miejsce spotkania lub jego uczestnicy. Zawsze.*

*Kiedy więc Chavi napisała w SMS-ie, że wróci do domu o dwudziestej pierwszej, to nie mieliśmy powodu myśleć, że będzie inaczej, ale nastąpiła dziewiąta, a Chavi wciąż nie było.*

*Nastąpiła dziesiąta, a jej wciąż nie było.*

*Nie odpowiadała na SMS-y ani telefony, a to zwyczajnie nie było w jej stylu.*

*Mama obdzwoniła wszystkich przyjaciół, z którymi Chavi miała się uczyć, ale powtarzali to samo: wyszli z kawiarni po dwudziestej i pojechali rowerami w tę samą stronę. Jeden z kolegów zaproponował, że odwiezie Chavi, ale ona odmówiła. Chavi nigdy nie przystawała na jego propozycje, bo się w niej podkochał, a ona nie chciała go zwodzić. Tata śmiał się ze mnie i mamy, że się martwimy. Chavi po prostu zachowuje się jak nastolatka, powiedział, a kiedy wróci do domu, dostanie szlaban i więcej coś takiego nie przyjdzie jej już do głowy. Tylko że Chavi by się tak nie zachowała.*

*Na ekranie pojawia się menu DVD i zaczyna grać muzyka, która co dwadzieścia sekund włącza się na nowo. Zamiast wstać, żeby zmienić płytę, ponownie wciskam „odtwórz wszystko”. Przez chwilę strzepuję rękę i rozmasowuję skurcz.*

*Łatwo opowiadać o zaginięciu Chavi. O tym, co stało się dalej, już nie.*

*Ale cały świat może się przyglądać koszmarom Inary. Dopóki nie zginie kolejna dziewczyna, moje znajdują się na kartce przeznaczonej tylko dla niej. Dam radę.*

*Mama zadzwoniła na policję. Dyspozytor wysłuchał jej, przyznał, że zachowanie jest nietypowe i zaczął ją wypytywać. Gdzie widziano ją po raz ostatni? W co była ubrana? Jaki kolor miał jej rower? Czy możemy przesłać aktualne zdjęcie e-mailem? Chavi miała iść jesienią na studia, ale miała siedemnaście lat, więc wciąż była nieletnia. Dyspozytor powiedział, że do domu przyjedzie policjant, na wypadek gdyby moja siostra wróciła, ale inni będą jej szukać w terenie.*

*Do tego czasu tata zdążył już nieźle wkurzyć się na Chavi za to, że inni się przez nią martwią. Na mamę za to, że zrobiła takie zamieszanie. Nawet na mnie za to, że chciałam iść z mamą szukać siostry. Przegapiłam większość ich kłótni, bo mama odesłała mnie do mojego pokoju, żebym ubrała się w coś cieplejszego. Kiedy wróciłam na dół, policjant stał w drzwiach, czując się niezręcznie, a mama wrzeszczała na tatę, żeby siedział w domu, skoro nie ma zamiaru zadać sobie trudu i poszukać swojego zaginionego dziecka.*

*Z moją mamą się nie zadziera.*

*Było na tyle późno, że żaden z radiowozów nie włączył syreny. Migaly im jednak światła kogutów, przez co sąsiedzi wyszli z domów i dołączyli do poszukiwań. To był ciekawy widok – ludzie pozarzucali płaszcze na piżamy i dobrali się w pary, uzbrojeni w latarki i gwizdki.*

*Josephine – najlepsza przyjaciółka i dziewczyna Chavi, choć większość wiedziała tylko o ich koleżeńskej relacji – poszła szukać zaginionej w stronę szkoły. Jej mama musiała trzymać za nią latarkę, Josephine tak bardzo się trzęsła. Wiedziała to samo, co ja i mama: Chavi nigdy by nie zniknęła, nie dając nikomu znać o sobie.*

*Mama i ja poszliśmy do kościoła. Odkąd się tu wprowadziliśmy, właściwie nie był to kościół, ale wszyscy wciąż go tak nazywali. Kilku członków dawnej kongregacji zrzuciło się nawet na pensję dla Franka, weterana z operacji Pustynna burza, który mieszkał w kawalerce na tyłach posesji i zajmował się utrzymaniem terenu. Jedne z bocznych drzwi zawsze były otwarte na wypadek złej pogody albo gdyby ktoś potrzebował schronienia. Może Chavi spadła z roweru i nie mogła dotrzeć do domu? Może podczas hipotetycznego upadku rozwalila sobie telefon i nie miała jak zadzwonić po pomoc.*

*Najpierw sprawdziliśmy park, ale kiedy mama odwróciła się w stronę drzew na tyłach działki, kazała mi poczekać przy kościele. Kiedy zaczynało robić się cieplej, zatrzymywali się tam włóczędzy, wołała więc sprawdzić sama. Jeszcze raz kazała mi poczekać i obiecała, że obudzi Franka, abym nie była sama.*

*Nie poszłam za nią, ale też nie czekałam. Nie mogłam czekać, nie jeśli istniała jakaś szansa, że w tym budynku znajduje się moja siostra. Ani na moment nie przyszło mi na myśl, że coś złego może mi się tu stać. Kościół był bezpiecznym miejscem, nie z powodu moich religijnych skojarzeń, tylko dlatego że zawsze tak było. Tu nic nam nie groziło.*

*W słoneczne dni przesiadywałyśmy w nim godzinami. Ona na podłodze ze szkicownikiem na kolanie, otoczona kałużami kolorowego światła na szarym kamieniu. Uwielbiałyśmy te kościelne witraże. Chavi co chwilę uznawała, że coś źle narysowała i zaczynała od nowa, a ja krążyłam w pobliżu z moim aparatem i fotografowałam kurz tańczący w snopach promieni słonecznych, kolor kamienia, to, jak światło i pyłki sprawiały, że Chavi cała migotała.*

*W dobre dni właśnie taką Chavi widzę, gdy zamykam oczy: światło, kolor i migotanie.*

*Znów wciskam „play” na menu płyty i dociskam dłoń płasko do koca, żeby przestała się trząść.*

*Dam radę.*

*Jeśli nie chcę, nie muszę nawet tego wysyłać. Ale dam radę skończyć. Ile razy Inara musiała opowiadać obcym swoją historię?*

*Leżała na widoku, w przestrzeni nawy pomiędzy ołtarzem a spłowiałymi częściami posadzki, gdzie kiedyś znajdowały się ławki. Była kompletnie naga, ale mój umysł właściwie tego nie zarejestrował – to była moja siostra, wiele razy widziałam ją nago – w przeciwieństwie do tego, że ubrania zostały skrzętnie poskładane i odłożone na jej plecak kilka kroków dalej. Chavi miała wręcz alergię na składanie ubrań. Ale to, jak czysta była jej ulubiona koszulka, tylko mi uświadomiło, ile krwi znajduje się na podłodze wokół mojej siostry. Padłam przy niej na kolana, potrząsając nią, żeby się obudziła. Obudź się, proszę, obudź, krzyczałam.*

*Nigdy w życiu nie widziałam tyle krwi.*

*Nie słyszałam, jak Frank wszedł do środka, ale pojawił się nagle nie wiadomo skąd i nie w pełni ubrany, uzbrojony w pistolet do malowania. Spojrzał na Chavi i natychmiast gwałtownie się odwrócił. Dopiero później zdałam sobie sprawę, że szukał tego, kto to zrobił. Następnie spróbował mnie odciągnąć.*

*Chyba coś do mnie mówił. Nie bardzo pamiętam.*

*Nie miałam jednak zamiaru się ruszyć. Walczyłam z jego uściskiem i, prawdę mówiąc, on sam był za bardzo zszokowany, żeby na poważnie się ze mną siłować. Nadal krzyczałam do Chavi, szturchając ją w żebra, tam gdzie miała łaskotki, bo nie potrafiłaby czegoś takiego wytrzymać, co dopiero spać, ale wciąż się nie ruszała.*

*Przy drzwiach rozległ się jakiś odgłos, a po nim krzyk mamy – moje imię wybrzmiało ostrym, przenikliwym i przerażonym tonem – na co Frank pobiegł w jej stronę. Powstrzymał ją przed wejściem do środka, zagradzając jej drogę i błagał przez łzy, żeby mnie do siebie zawołała. Żebym odeszła od Chavi.*

*Nigdy nie zapomnę kwiatów wokół mojej siostry i w jej włosach: to były chryzantemy żółte jak słońce.*

*Kojarzysz, jak czasem wielkie tragedie albo wydarzenia w mediach mają to jedno definiujące, charakterystyczne zdjęcie? Takie, że nawet lata, całe dekady później, ludzie są w stanie rozpoznać je w ułamku sekundy?*

*Kiedy reporterzy zaczęli relacjonować zdarzenie, nie mieli zdjęcia ciała Chavi, tylko zdjęcie z książki pamiątkowej i foty z Facebooka. Więc użyli mojego.*

*Dwunastolatki umazanej krwią, która nadal krzyczy, wyje i wyciąga dłonie w stronę kościoła – w stronę mojej siostry – podczas gdy ratownik medyczny z posępną miną niesie ją na rękach. Całymi miesiącami widziałam to zdjęcie wszędzie. Nie mogłam przed nim uciec, zresztą powraca ono co wiosnę, kiedy umiera kolejna dziewczyna, której ktoś podcina gardło i otacza kwiatami, a w sprawę włącza się FBI.*

*Nie było mnie przy tym, jak powiedziano tacie. Musiał to zrobić policjant czekający w domu. Tata przyjechał do szpitala, gdzie lekarz podał mi łagodny środek uspokajający. Poruszał się tak powoli, jakby bolało go całe ciało. Jakby zestarzał się o całe wieki. Jeszcze niedawno śmiał się z naszych obaw.*

*Chyba już nigdy potem nie słyszałam, żeby się śmiał.*

*Chavi umarła, jak stwierdzał oficjalny raport, pomiędzy dwudziestą pierwszą a dwudziestą drugą w poniedziałkowy wieczór.*

*Reszta naszej rodziny właściwie też umarła, około północy, tylko trochę zajęło, zanim zdaliśmy sobie z tego sprawę. Mama i ja byliśmy niemal jak feniksy, które odradzają się z popiołów. Tata tylko płonął i płonął, aż całkiem się wypalił.*

*Opinia publiczna kradnie ofiarom ich tragedie. Brzmi to dziwnie, wiem, ale możliwe, że jesteś jedną z niewielu osób, które rozumieją, co mam na myśli. To się przydarzyło nam i naszym bliskimi, ale wystarczy, że wiadomość pojawi się w mediach, a nagle każdy, kto ma telewizor albo komputer, czuje się upoważniony do oglądania wszystkich naszych reakcji i chce patrzeć, jak próbujemy żyć dalej.*

*A przecież nie mają prawa. Minie trochę czasu, zanim w to uwierzysz, ale nie jesteś nikomu nic winna.*

*Nasi agenci są nieźli w adoptowaniu zagubionych owieczek, ale tak naprawdę nie musimy im na to pozwalać. Jasne, to oni robią pierwszy krok, ale to my dajemy zgodę, by to się naprawdę wydarzyło. Jest w tym coś krępującego – świadomość, że w każdej chwili możemy odejść, a oni bez słowa sprzeciwu nam na to pozwolą.*

*Jeszcze większe pocieszenie poczujesz, gdy zdasz sobie sprawę, że chcesz zostać, że to dobra rzecz, którą wolno nam mieć.*

*Że wolno nam być szczęśliwymi.*

*Nadal nad tym pracuję, a w międzyczasie? Wolno nam też zmagać się z traumą. Nie musimy się tego wstydić.*

*Jeśli będziesz chciała, odpisz. Nie wiem, czy posiadam jakąś mądrość, którą mogłabym się*



*podzielić, ale Twoje listy są mile widziane.*

Jest tylko o półtora roku starsza ode mnie.

Podejrzewam, że nie wiek ma tu znaczenie.

Wiele godzin później, kiedy mama wychodzi do pracy, wracam do swojego pokoju i owijam się kołdrą jak w naleśnik. Właściwie nie śpię, tylko odpływam w półśnie, aż czuję takie parcie na pęcherz, że muszę natychmiast wstać z łóżka. Najlepiej będzie, jeśli już nie wrócę pod kołdrę. Czuję, jak w moim podbrzuszu odzywa się głód. Myśl o tym, by coś zjeść, jest... niepokojąca.

Znam ten nastrój. Jeśli zacznę jeść, nie przestanę. Nawet gdy będę napchana i cierpiąca z przejedzenia, bo ten rodzaj bólu ma dla mnie więcej sensu niż żal i wściekłość, które jątrzą mi się pod skórą.

Biorę prysznic, suszę włosy, próbuje zapamiętać, że muszę poprosić mamę, by odświeżyła mi pasemka, bo mam już przynajmniej półtora centymetra odrostu. Podkreślam oczy grubą kreską i mocno maluję usta. Chavi nauczyła mnie wszystkich makijażowych trików, które sprawiają, że wyglądam wyzywająco, zalotnie lub zaczepnie. Sama zawsze plasowała się gdzieś pomiędzy pierwszym a drugim, co łagodziła opalizującymi cieniami w kolorze złota i bieli. Zwykle nakładam srebro i biel, ale nie dziś. Dziś jest dzień czerni, czerwieni i furii.

Kiedy już jestem ubrana i sprawdzam obecność gazu pieprzowego w zewnętrznej kieszeni kurtki, wychodzę z domu na szachy. Powietrze jest tak suche, że oddychanie aż boli i mam przeczucie, że w ciągu najbliższych godzin będę potrzebować chusteczek z drugiej kieszeni, jeśli pójdzie mi krew z nosa.

Wchodzę na uschnięty trawnik, Corgi podnosi głowę i cicho gwizdże z uznaniem.

– Naprawdę do nas pasujesz, Niebieska. – Widząc mój ostry i jednocześnie kruchy uśmiech, kiwa głową. – No chodź. Szczęściarz nie wygrał z nikim od tygodni. Daj mu szansę, bo trzeba mu będzie zmienić ksywkę.

Siadam naprzeciw Szczęściarza, który wydaje się całkiem trzeźwy, i gramy, aż stwierdzi, że tak odsadził Corgiego w niekończącym się rankingu wygranych, że jego przyjaciel nigdy się nie wygrzebie.

Corgi to dobry gracz, nawet gdy gra z równym sobie przeciwnikiem. Jeśli ranking jest choć trochę prawdziwy, to Szczęściarz nie ma szans.

Ale Corgi uśmiecha się, drapie po nosie i mówi, że Szczęściarz nie powinien się tak cieszyć.

Landon rozpoczyna grę z Płochym na drugim końcu namiotu. Kiedy przesiada się, żeby zagrać ze Stevenem, zjawia się przy mnie. Postanowiłam na razie udzielić mu kredytu zaufania i założyć, że wcale nie chce zachowywać się jak zbok. Może nie zdaje sobie sprawy, że tak jest. Po prostu nie będę wchodzić z nim w interakcję.

Dzisiaj jednak mam wielką ochotę, tak dla zasady, zaatakować go gazem pieprzowym, więc chyba lepiej, jeśli nie będzie wchodzić mi w drogę.

Wspierając się o ramię Corgiego, wstaję z ławki i rozprostowuję kończyny zeszywniałe na zimnie.

– No, Corgi, pokaż mi, jak to się robi.

On i Szczęściarz niemal identycznie się do mnie uśmiechają, po czym Corgi przesuwa się na zwolnione przeze mnie miejsce. Przez chwilę wiszę mu nad ramieniem i obserwuję rozpoczęcie gry – już przy piątym ruchu widzę, że Szczęściarz przegra – aż mężczyźni na drugim końcu zaczynają się przetasowywać. Jak gdyby nigdy nic idę zająć miejsce naprzeciw Pierce'a, który zwykle trzyma się blisko Salwy, żeby mieć na niego oko.

Gram z Piercem kilka rund, a potem z Płochym, podczas gdy Salwa drzemie sobie,

podpierając się rękoma. Dziewczyna w samochodzie – Hannah, jak dowiedziałam się swojego drugiego dnia, najmłodsza wnuczka Salwy – przychodzi, żeby sprawdzić, jak się czuje. Trzyma w dłoni pasek do pomiaru poziomu cukru i wsuwa mu dłoń pod rękaw, żeby pobrać krew z przedramienia. Urządzenie w jej drugiej dłoni jest wielkości jajka, ale odczytuje pomiar z paska i podaje wynik, który ona zapisuje w telefonie.

Chyba lubię Hannah. Nie dlatego, że ją lepiej poznałam – jeśli Salwie nie trzeba zmierzyć cukru, zwykle siedzi w samochodzie – ale dlatego, że nie sprawia wrażenia, jakby to był dla niej przykry obowiązek albo ciężar. Opatula się ciepłymi ciuchami i czeka ze swoją robótką albo książką, od czasu do czasu zerkając w stronę pawilonu, żeby sprawdzić, jak tam dziadek. Poza tym zdaje się lubić towarzystwo pozostałych weteranów. Mówią na nią Panna Salwa, na co ona przewraca oczami i kwituje, że normalni ludzie mówią jej Hannah.

Kiedy Salwa nagle wyrywa się z drzemki, spogląda na mnie zaspanym wzrokiem.

– Dzisiaj w okopach, panno Priyu?

– Tak jest. Czasem tak bywa.

– To prawda. – Obraca szachownicę bokiem, żeby mógł sięgnąć po pionki i figury. Grube rękawiczki schowałam do kieszeni, ale wciąż mam na sobie parę wełnianych mitenek, które okrywają mi prawie całą dłoń. Daję mu je, a jego skóra jest szorstka i cienka jak papier, kiedy zaciska palce na moich.

– Jesteś za młoda, żeby tu siedzieć.

Nie pyta. Jeśli nie chcę mu powiedzieć, to nie muszę, a on nie miałby mi tego za złe.

Myślę o Franku z Bostonu, któremu nie było łatwo wrócić do domu po wojnie, ale zawsze okazywał się bardzo hojny i pomocny. Zdarzały się dni, kiedy unikał towarzystwa ludzi i nie było w tym nic złego – dawaliśmy mu wtedy spokój. Po tamtej nocy w kościele takich dni zrobiło się więcej.

– Jakiś czas temu zamordowano moją siostrę – szepczę, licząc na to, że słuch go nie zawodzi i nie będę się musiała powtarzać. Płochy i Jorge, którzy siedzą obok nas, skupieni są na swojej partii. – To ja ją znalazłam. Wczoraj w nocy... przeszłość stała się teraźniejszością.

Kiwa głową i delikatnie ściska mnie za rękę.

– A teraz, kiedy już nie śpisz?

– Ciężka noc przeszła w ciężki dzień.

– Ale przyszedłeś do nas.

– Sami wiecie, jak to jest mieć taki ciężki dzień, bo inaczej pewnie byście tu nie przychodzili.

Uśmiecha się i cała jego twarz znika w zmarszczkach i fałdach.

– Dzięki, że przyszedłeś nawet w ciężki dzień.

Zostaję na tyle, żeby dokończyć partię z Salwą, po czym idę do sklepu po coś do picia na drogę powrotną do domu. Landon wchodzi za mną do środka.

Hura.

Staje za mną w kolejce, a mój dyskomfort przeradza się w złość, gdy zdaję sobie sprawę, że trzymam palec na spuście gazu pieprzowego i oplatom palcami skórzany pokrowiec. Nie lubię tkwić w niesprecyzowanym poczuciu zagrożenia. Chcę bezpośredniego niebezpieczeństwa, czegoś, co mogę wskazać palcem, wiedząc, że wszyscy w lot zrozumieją, a nie serii odczuć i wrażeń, na które kobiety potakują, a mężczyźni kręcą głowami.

– Wyglądasz dziś na smutną – mówi.

– Wydaje ci się.

Smutek i żal to nie to samo. Dlatego są na to dwa różne słowa. Może to subtelna różnica, ale w języku nie utrzymują się określenia, które nie mają wyraźnego celu. Synonimy nigdy nie

stanowią dokładnych odpowiedników.

– Jesteś pewna? – pyta, stając niemal obok mnie.

– Tak.

– Robi się ciemno.

– Zgadza się. – Rzeczywiście, niebo robi się granatowe, a temperatura spada. Zostałam dłużej, niż miałam w planie, ale czuję się lepiej. Wszyscy weterani mi pomogli, ale chyba najbardziej potrzebowałam potwierdzenia Salwy, że nie jestem dla nich kłopotem.

– Nie powinnaś wracać do domu sama po ciemku.

Odwracam się nieco w jego stronę i uśmiecham niezbyt miło, pokazując za dużo zębów.

– Dam sobie radę.

– Po ulicach chodzi wielu złych ludzi.

– Mam tego świadomość.

Zanim skończyłam dwanaście lat, byłam tego świadoma tylko częściowo. Teraz nigdy już chyba o tym nie zapomnę.

Za ladą kobieta o ptasiej urodzie tym razem nie pyta mnie o imię. Przyjmuje tylko pieniądze i robi gorącą czekoladę, dodając więcej syropu czekoladowego, niż powinna.

– A jeśli ktoś zrobi ci krzywdę? – naciska Landon, idąc za mną na koniec baru, niczego nie zamówiwszy.

Eddison czasem żartuje, że kupi mi paralizator na urodziny. Chyba powinnam mu o tym przypomnieć.

Ignoruję Landona, odbieram zamówienie od baristki, której plakietkę z imieniem zawsze zasłania fartuch. Tym razem nie dodaję ani wanilii, ani cukru, bo wolę obejść się smakiem, niż dalej ciągnąć tę wymianę zdań. Ale on nadal idzie za mną między stolikami, więc wyciągam klucze i gaz pieprzowy z kieszeni.

Nagle słyszę skowyt i gdy się odwracam, widzę, że z Landona ścieka coś, co przed chwilą było dużą, gorącą kawą – najwięcej z okolic twarzy i rozpiętego kołnierzyka grubej koszuli. Inny mężczyzna, wyższy i ubrany w sweter w warkocze, grzecznie, acz jakby z nieszczerością w głosie przeprosza Landona. Ociera jego koszulę małą serwetką, która właściwie niczego nie zbiera.

– Już wystarczy! – warczy Landon i odchodzi, ociekając kawą.

Mężczyzna odwraca się do mnie z uśmiechem i teraz go rozpoznaję – to przystojny facet, który czasem siedzi w rogu kawiarni z książką, a czasem ze stertą papierów. Jest pewnie przed czterdziestką, zadbany, choć nie wygląda na próżnego i nie stara się też ukryć, jak jego ciemnokasztanowe włosy siwieją na skroniach.

– Przepraszam, ale miałem wrażenie, że on ci się narzuca.

Cofam rękę do kieszeni, żeby ukryć gaz pieprzowy, ale jeszcze go nie puszczam.

– Bo narzucał.

Mężczyzna wyciąga z kieszeni garść prawdziwych serwetek i schyla się, by zetrzeć z podłogi resztki kawy, które nie wsiąknęły w Landona. Gdy wytrze dłonie, wyciąga portfel, a z niego wizytówkę.

– Niedawno zaprojektowałem stronę internetową firmy przewozowej z naszego miasta. Głównie po to, by pomóc emerytom dostać się do sklepu, lekarza i pozałatwiać różne sprawy. Jeśli będziesz się kiedyś czuć niepewnie, zadzwoń do nich.

To prosta wizytówka, ze zwykłym logo wyśrodkowanym u góry i informacjami czytelnie wydrukowanymi pod spodem. Są tam numer telefonu i adres strony internetowej, coś, co przynajmniej mogę sprawdzić.

– Powiedz im, że Joshua dał ci ten numer – dodaje.

– Dziękuję. Będę o tym pamiętać. – Puszczam klucze, biorę wizytówkę, wkładam ją do drugiej kieszeni, tam gdzie mam chusteczki. Rozglądam się za Landonem, ale pewnie nadal jest w łazience czy gdziekolwiek sobie poszedł, więc kiwam głową na pożegnanie i wychodzę.

Później dam tę wizytówkę mamie, żeby ją sprawdziła. Ten numer może okazać się przydatny, jeśli nagle zmieni się pogoda, gdy będę poza domem. Po drugiej stronie miasta działają linie autobusowe, ale nie zatrzymują się wystarczająco blisko domu, żebym mogła z nich swobodnie korzystać, a taksówka to moim zdaniem za duży wydatek.

Idę do domu inną drogą niż zwykle, z dłonią z powrotem na gazie pieprzowym i cały czas oglądam się za siebie. Mama od wczesnych lat wpajała nam ostrożność i starała się dopilnować, by nasz rozsądek nie przerodził się w paranoję. Ja zawsze instynktownie wyczuwam zboków, a ona ludzi, którym warto zaufać.

W domu, kiedy mój nos wróci już do normalnej temperatury, żeby trochę poprawić sobie humor, wyciągam Agenta Specjalnego Kena z walizki, w której zwykle mieszka, i ustawiam go pod oknem, w kąciku śniadaniowym, z małym, plastikowym kubkiem na kawę. Śnieg na zewnątrz jest stary i za kilka dni pewnie stopnieje, ale światło ulicznych lamp ciekawie się od niego odbija, przez co Agent Specjalny Ken wygląda tęsknie jak w marzeniach Barbie. Ma na sobie miniaturową wersję paskudnego bożonarodzeniowego swetra, który wysłałyśmy z mamą Eddisonowi w zeszłym roku i który szczerze mówiąc, na Kenie jest dużo mniej paskudny. Nie ma na nim wystarczająco dużo miejsca na ohydne detale.

Robię kilka zdjęć swoim aparatem, by mieć dobre ujęcie na później, ale jedno robię telefonem i od razu wysyłam, komu trzeba.

Pół godziny potem, przebrana w piżamę i gotowa, żeby pouczyć się przez kilka godzin, zanim mama wróci z obiadem, dostaję odpowiedź od Eddisona.

*Nie pomyślałbym, że to białe gówno jest takie ładne, gdybym musiał po nim chodzić.*

Śmieję się, co ostatnimi czasy rzadko mi się zdarza. Eddison ma swoją własną definicję pocieszenia – pewnie dla większości ludzi mało kojącą – ale jest w niej coś krzepiącego, potwierdzającego fakt, że masz zły dzień, bez zadawania zbędnych pytań.

Kiedyś zastanawiałam się, czy złapanie przez Trójkę z Quantico mordercy Chavi położyłoby kres moim koszmarom. Teraz myślę, że to bez znaczenia – koszmary zawsze ze mną będą.



Eddison powinien jechać do domu. Wyszedł już z biura po długim dniu odkopywania się z zaległej dokumentacji i analizowania nowych danych odnośnie do toczącego się śledztwa w sprawie Ogrodu i przestępstw popełnionych przez rodzinę MacIntoshów. Czuje w kościach tępy ból, jakby był już bardzo zmęczony, ale miał jeszcze w sobie resztki sił.

To nie dłużące się godziny ani nawet otepiająca mechaniczność wypełniania dokumentów tak go wykończyły, ale zawartość papierów.

Są takie dni, kiedy to tylko praca. Ale są i takie... przez które wielu dobrych agentów się wypala, a prędzej czy później dotyka to większości.

Powinien pojechać do domu, żeby odpocząć, zająć głowę czymś innym niż obrazami martwych dziewczyn w szkle i żywicy. Ale zamiast to zrobić, trzymając w ręku kubek świeżej kawy z kawiarni na rogu, wraca do budynku FBI i jedzie windą na swoje piętro. Jest tu cicho, morze pustych biurków, tylko jeden agent cicho chrapie. Eddisona kusi, żeby go obudzić, ale śpi na poduszce położonej na biurku i przykryty kocem jak peleryną.

Nie przygotowujesz się tak dobrze na spanie przy biurku, jeśli nie masz powodu, by *musieć* zostać w pracy. Eddison zostawia go w spokoju, mając cichą nadzieję, że biedakowi uda się jakoś rozwiązać problem, z którym się zмага.

Bierze stertę kolorowych folderów leżącą w tylnym rogu biurka, która nigdy stamtąd nie znika. Metalowy zatrask ledwie mieści kartki i zdjęcia. W sali konferencyjnej będzie mógł je wszystkie rozłożyć – akta szesnastu ofiar i teczkę z ich całościowymi uwagami do sprawy. Szesnaście folderów to za dużo – zdecydowanie za dużo – ale nadchodzi wiosna, więc o ile nie

znajdą czegoś, co doprowadzi ich do zabójcy, zginie kolejna dziewczyna.

Nie chce widzieć siedemnastej.

Bierze pierwszą teczkę, otwiera ją i zaczyna czytać, żeby przypomnieć sobie szczegóły, których tak naprawdę nigdy nie zapomniał. Może tym razem znajdzie coś nowego, co zmieni jego tok myślenia. Może tym razem, w końcu natrafi jakiś trop.

– Szukasz kłopotów?

Podskakuje na dźwięk tego głosu, potrącając łokciem kubek. Desperacko próbuje go pochwycić, gdy zaczyna się chwiać, ale na próżno.

Kubek jest na szczęście pusty.

Jezu, jak długo on tu już siedzi?

Podnosi głowę i widząc rozbawienie na twarzy swojego partnera, robi kwaśną minę.

– Co ty tu robisz, Vic?

– Wróciłem, żeby nadgonić trochę z papierkową robotą. Zobaczyłem włączone światło. – Vic siada na obrotowym krześle i mierzy wzrokiem porozkładane kartki. Rozprzestrzeniły się po stole, wychodząc poza krawędzie teczek, ale wciąż są starannie od siebie oddzielone. Jedynym folderem w nieładzie jest ten dotyczący Chavi po lewej stronie Eddisona.

– To dlatego zawsze jesteś obrobiony z papierkową robotą? – pyta Eddison. – Wracasz tu nocami?

– Idę do domu na obiad, żeby spędzić trochę czasu z rodziną. A potem, kiedy wieczorem dziewczynki wracają do lekcji, idą na randki albo zalegają przed telewizorem, czasem wracam, żeby nadrobić zaległości. I po co ten urażony ton?

Naprawdę brzmiał, jakby był tym urażony? Eddison zastanawia się, po czym niechętnie przyznaje, że Vic pewnie ma rację. Byłoby miło, gdyby bardziej doświadczony agent dał mu w ostatnich latach cynk, jak to się robi.

Vic sięga po najbliższy mu folder, zgarnia zdjęcia w równy plik i odwraca je do dołu.

– Naprawdę sądzisz, że za dwudziestym pierwszym razem uda ci się dostrzec coś, czego nie spostrzegłeś wcześniej?

Zamiast odpowiedzieć Eddison tylko patrzy na teczkę w rękach Vica.

– Celna uwaga. – Po chwili Vic zamyka folder i odkłada go na poprzednie miejsce. – Spróbujmy czegoś nowego.

– To znaczy?

– Są pewne rzeczy, które bierzemy za pewnik, bo wiemy już, że sprawy są powiązane. Spróbujmy o tym na moment zapomnieć. Pomyślmy tak: mamy luźny dzień w robocie i analityk szukający informacji w systemie ViCAP[9] przychodzi do nas z tymi aktami, twierdząc, że chyba mamy do czynienia z seryjnym mordercą. – Wyczekująco spogląda na Eddisona.

Eddison odwzajemnia spojrzenie.

Wzdychając, Vic bierze teczkę, w której znajdują się tylko ich notatki, i kładzie ją na krześle obok siebie.

– Wiem, że nienawidzisz takich gier, ale ta metoda przydaje się w dochodzeniach. Zrób mi tę przyjemność.

– Każdy z przypadków zdarzył się w innej jurysdykcji – mówi Eddison, na co jego partner kiwa głową. – Za każdym razem inny stan, brak skupiska geograficznego albo wyraźnych upodobań. Wszystkie ofiary mieszkały w miastach lub na przedmieściach, nie na obszarach wiejskich, ale nic na mapie nie wskazuje, by istniał między nimi jakiś związek.

– Okej, w takim razie co je łączy?

– Przedział wiekowy: od czternastu do siedemnastu lat. Wszystkie były uczennicami, wszystkie płci żeńskiej.

Vic wstaje i wyklada na każdą z teczek zdjęcie portretowe ofiary. W większości są to zdjęcia ze szkolnych ksiąg pamiątkowych, choć kilka pochodzi z innych okazji. Niepozowane zdjęcia zwykle więcej mówią o danej osobie, ale te pozowane łatwiej zidentyfikować.

– Co jeszcze?

Eddison próbuje udawać, że nie widział tych fotografii wielokrotnie, że ma je przed oczami za każdym razem, gdy tylko je zamknie, próbuje udawać, że niczego o nich nie wie.

– Nie ma jednego typu urody – mówi w końcu. – Wszystkie są młode i obiektywnie patrząc, ładne, ale kolor włosów, skóry, pochodzenie etniczne są całkowicie niespójne. Cokolwiek sprawia, że te dziewczyny są dla mordercy atrakcyjne, nie ma to związku z ich wyglądem.

– No to musimy szukać dalej.

– Nie jestem w akademii.

– Wiem. – Vic stuka palcem z jaskrawozieloną teczkę. – I zdaję sobie sprawę z tego, że robiliśmy to samo siedem lat temu przy Kiersten Knowles. Wiemy to, co wiemy, bo ktoś inny połączył ze sobą te sprawy. Niektóre fakty uznaliśmy za prawdziwe, bo tak zostały nam przedstawione. Może znalezienie czegoś przełomowego wymaga dogrzebania się do rzeczy, których przeoczenia nie jesteśmy jeszcze nawet świadomi?

– Potrzebuję więcej kawy.

– Przyniosę. Ty myśl.

Kiedy Vic wychodzi z sali konferencyjnej, Eddison wyciąga jedno z niepozowanych zdjęć z teczki Chavi i opiera je o pusty kubek. To jedno z jej ostatnich zdjęć, zrobione zaledwie dwa dni przed śmiercią. Dwunaste urodziny Priyi. Wszystkie dziewczyny i kobiety, jak również co bardziej uprzejmi mężczyźni na sąsiedzkiej imprezie mieli na głowach wianki z kwiatów, ozdobione kolorowymi wstążkami. Priya była wtedy chuda jak patyk. Szybko wtedy rosła, ale nie przybierała na wadze, spod sukienki sterczały jej kości biodrowe i żebra. Jej buzia o wychudzonych rysach cała promienieje. Od tyłu obejmuje ją starsza siostra. Ktokolwiek zrobił im to zdjęcie, złapał je w ruchu, ich ciemne włosy falują wokół nich, czerwone i niebieskie pasma są wyraźne jak wstążki. Priya miała na głowie wianek z białych róż, a Chavi z żółtych chryzantem, których długie płatki wyglądają jak włochata opaska. Obie ubrane były w wesołe sukienki i rozpinane sweterki i chodziły po trawie boso.

Dwa dni później Chavi nie żyła.

Tak samo jak tamta wersja Priyi.

Vic wraca do sali konferencyjnej i podaje mu kubek z napisem „Jesteś moim superbohaterem”. Eddison nie jest pewien, czy to miał być żart, czy może Vic nie zwrócił uwagi, po co sięga. W ich służbowej kuchni mają na półkach takich przypadkowych kubków.

O tym, że Vic jednak nie patrzył, po co sięga, przesądza jeden rzut oka Eddisona na drugą rękę partnera. Napis na ozdobionym serduszkami kubku Vica mówi, że jest on „najlepszą mamą na świecie”.

– We wszystkich przypadkach przyczyna zgonu jest taka sama – mówi Eddison, biorąc ostrożnie łyk. Kawa jest piekielnie gorzka, to podgrzewana w mikrofali zlewka, ale ma moc. – Poderżnięte gardło. W większości to równe, głębokie, pojedyncze cięcie, parę jest nieco niedokładnych, co wskazywałoby na większe wzburzenie napastnika lub walkę. Kilku techników kryminalistyki zasugerowało, że wykonano je najprawdopodobniej nożem myśliwskim o gładkim ostrzu. Kąt rany zmienia się w zależności od wzrostu ofiary, ale wszystko wskazuje, że atak nastąpił od tyłu, a napastnik miał około stu osiemdziesięciu centymetrów wzrostu. Cięcie z lewej do prawej sygnalizuje osobę praworęczną.

– Zanim przejdziemy do ułożenia ciała, co jeszcze łączy wszystkie te napaści? W sensie

fizycznym?

– Tu właśnie widzimy dwa oddzielne profile ofiar. – Eddison szuka swoich notatek, ale zdaje sobie sprawę, że Victor wciąż trzyma jego teczkę i wlepia w niego wzrok.

Vic kręci głową i ruchem kubka wskazuje na akta rozłożone na stole.

– Z szesnastu jedna, dwie, cztery, siedem... nie, osiem zostało zgwałconych i w różnym stopniu pobitych. Podarto im ubrania i albo pozostawiono na nich, albo złożono obok. Pozostałe osiem nie zostało zgwałconych, nie widać też żadnych oznak napaści seksualnej. Ślady siniaków wokół szyi sugerują, że prawdopodobnie duszono je do nieprzytomności. Ubrania ostrożnie ściągnięto i umieszczono w pewnej odległości. Żeby ich nie zabrudzić? – Eddison szybko kartkuje odpowiednie raporty medyczne. – Brak innych obrażeń na tych ośmiu ofiarach.

– A po śmierci? Co zrobił z ciałami?

– To właśnie wzbudziło podejrzenia, że te morderstwa mogą się łączyć. – Wyciąga zdjęcie z każdej teczki, nadal czując się jak uczeń podczas szkolnej prezentacji, ale kładzie w taki sposób, aby Victor mógł je zobaczyć. – Każdą z ofiar znaleziono w kościele, nawet jeśli nie były wierzące lub przesadnie z nim związane. Same świątynie należą do różnych obrządków. W raporcie koronera można przeczytać, że ciała nie były przenoszone. Fakt, zwłoki zostały odpowiednio zaaranżowane, ale dziewczyny zabito tam, gdzie je znaleziono.

Eddison myśli o białym kościele baptystów, w którym odbył się pogrzeb Terezy, o lodowatej grzeczności, z którą państwo Kobiyashi przywitani agentów, i jawnej agresji, z jaką zwrócili się do Bliss i Inary.

Bliss warknęła na nich w odpowiedzi, ale to Inara *otworzyła trumnę*, żeby włożyć kilka kartek papieru nutowego pod skrzyżowane dłonie Terezy.

Eddison przeczesuje dłonią włosy i drapie się po głowie. Musi niedługo pójść do fryzjera – włosy są już na tyle długie, że zaczynają się kręcić.

– Wszystkie znajdowały się mniej więcej w tej samej części kościoła, w nawie środkowej pomiędzy ołtarzem a ławkami. Wszystkie miały kwiaty na sobie lub wokół siebie, każda ofiara inny gatunek.

– Skąd pochodziły kwiaty?

W poszczególnych teczkach znajdują się całe strony policyjnych przesłuchań z kwiaciarzami. Niektóre kwiaty rosły w tym sezonie w okolicy, morderca mógł więc sam je zerwać. Inne pewnie kupił, ale najprawdopodobniej poza miastem, żeby nie wzbudzić podejrzeń. Kilka lokalnych kwiaciarni prowadziło rejestr transakcji dotyczących konkretnych gatunków kwiatów, ale wykazywały one za mało sztuk w stosunku do tego, co znaleziono na miejscu zdarzenia. Nawet jeśli morderca kupuje część kwiatów na miejscu, to resztę zdobywa gdzieś indziej.

Był jednak jeden wyjątek.

– Maeghan Adams, ofiara numer czternaście, została otoczona kameliami, które niemal na pewno zakupiono w sklepie jej matki. Gotówka, brak kamer przemysłowych, a sprzedawczyni nie zwróciła na niego uwagi, by móc podać bardziej szczegółowy opis niż „wysoki mężczyzna między trzydziestym a sześćdziesiątym rokiem życia”. – Eddison stara się nie ulec frustracji. Większość ludzi nie potrafi aktywnie obserwować innych i zauważać oraz zapamiętywać szczegółów ich wyglądu.

– Co jeszcze?

– Morderstwa mają miejsce na przestrzeni dwóch miesięcy. Najwcześniejsze w połowie marca, najpóźniejsze w pierwszej połowie maja. Z jakichś powodów wiosna prowokuje tego gościa.

Vic wstaje, tłumiąc jęk zmęczenia, przeciąga się i sięga po kubek z suchymi markerami,



który stoi na stole. Znaczną część jednej ze ścian zajmuje biała tablica, którą obecnie pokrywają punkty pozostałe po szkoleniu na temat molestowania seksualnego. Vic wyciera tablicę szybkimi ruchami i rzuca gąbkę na podłogę.

– No dobrze. Rozrysujmy to.

Jest już pewnie koło północy, ale Eddison kiwa głową i otwiera pierwszy folder akt, po czym odchrząkuje i zaczyna czytać na głos.

– Pierwsza znana ofiara – Darla Jean Carmichael, lat szesnaście. Zamordowana w Kościele Południowych Baptistów pod wezwaniem Większej Chwały, w Holyrood w Teksasie, na obrzeżach San Antonio, dwudziestego trzeciego marca. Zoraida Bourret...

Podczas gdy Eddison wyczytuje nazwiska i daty wraz z innymi szczegółami, które zwracają jego uwagę, Vic zapisuje je na tablicy, oznaczając kolorami odpowiednie informacje. Daty i miejsca na zielono, policjanci i agenci zajmujący się sprawami na niebiesko, zeznania rodzin na fioletowo, szczegóły na temat ofiary na czerwono. Robili tak już wcześniej, zarówno w wypadku tej sprawy, jak i innych – spisywali wszystko w jednym miejscu i liczyli na to, że zobaczą coś, co umknęło ich uwadze na licznych stronach akt.

Istnieje pewne pytanie, które wykładowcy zadają każdej grupie szkolonej w akademii: dlaczego trudniej jest złapać kogoś, kto zabija rzadziej?

Odpowiedź jest złożona. Trudniej jest zidentyfikować schemat zachowania. Charakterystyczne elementy nie są aż tak wyraźne. Morderca pod wpływem impulsu działa pochopnie i pozostawia za sobą ślady. Seryjnemu mordercy potrzeba więcej czasu, żeby popełnić jakiś błąd.

Zdaniem Eddisona wszystko sprowadza się do kontroli. Im więcej czasu mija pomiędzy morderstwami, tym większą kontrolę nad sobą ma morderca i tym większe szanse, że wszystko dobrze zaplanuje i będzie ostrożny. Ktoś, kto zabija tylko raz w roku, nie spieszy się, nie jest zdesperowany i ma małe szanse coś spieprzyć. Cierpliwy człowiek nie musi się martwić tym, że zostanie schwytyany.

Eddison nie jest cierpliwym człowiekiem. I tak zbyt długo już czekał, żeby powiedzieć Priyi – żeby powiedzieć rodzinom wszystkich ofiar – że złapali skurwiela, który zabił ich córki i siostry. Nie chce dodawać do sterty kolejnej teczki, do listy – kolejnego nazwiska.

Tylko nie jest pewien, czy istnieje jakiś sposób, by tego uniknąć.

Już prawie nastał marzec.



*Nazywa się Sasha Wolfson i widzisz ją po raz pierwszy, kiedy prawie rozbija kabriolet swojego wujka. Dach jest opuszczony, a rzeński, wiosenny wiatr rozwiewa jej włosy, rozrzucając je na boki i na jej twarz. Dziewczyna gwałtownie się zatrzymuje, żeby je związać, cały czas się śmiejąc.*

*Ma wspaniały śmiech.*

*Jej wujek też się śmieje, nawet gdy podaje jej szal, by zawiązała go sobie na głowie, i cierpliwie wyjaśnia rzeczy, takie jak zmiana pasów, jazdy na suwak i czarne punkty. Uczy ją jeździć.*

*Tygodniami podążasz za tym śmiechem przez lekcje jazdy, spacery po szkole i weekendy, które spędza, pomagając w rodzinnej firmie ogrodniczej. Ma rękę do kwiatów i zawsze wplata jakiś we włosy. Jej rodzice najczęściej powierzają jej prace wymagające delikatności, jak przeplatanie smukłych, łamliwych pnączy przez siatkę i przesadzanie słabszych roślin. Najbardziej lubi ogrody z motylami i czasem plecie sobie wianek z kapryfolium.*

*Czuć jego zapach w powietrzu, kiedy przechodzi obok, a drobne kwiaty odcinają się na tle jej rudych włosów.*

*Dowiadujesz się, że jej siostra to nieokielznana dziewczyna. Jest na studiach i pieprzy się ze wszystkim, co chodzi na dwóch nogach. Biedni rodzice, słyszysz: te telefony z komisariatu w środku nocy, narkotyki, wypadki samochodowe i alkohol. Przynajmniej mają Sashę.*

*Przynajmniej mają dobrą dziewczynę, z której mogą być dumni.*

*Wiesz jednak, jakie potrafią być dziewczyny, gdy robią się starsze. Darla Jean była dobrą*

*dziewczyną, aż nagle przestała. Zoraida oparła się pokusom i teraz jest już od nich bezpieczna, ale Leigh... Leigh Clark zawsze była wredna i bez niej świat jest dużo lepszy. Kiedy Sasha dostanie prawo jazdy i kiedy będzie mogła sama pojechać gdzieś samochodem, to kto wie, co jej strzeli do głowy?*

*Nie. Jej rodzice może i ponieśli porażkę przy starszej córce, ale przy Sashy dobrze się spisali. Zaslugują na to, by wiedzieć, że ona zawsze będzie dobrą dziewczyną.*

*Jest prawie lato, a jej wianek z kapryfolium to dziś gruba korona. Wplotła w niego włosy w taki sposób, że teraz wszystkie spięte są u góry, a fryzura wygląda na wpół elegancką, na wpół nieokielznaną. To dziewczica z bajki, przed którą kłania się cała natura. Czytałeś kiedyś bajki. Wiesz, że w pewnym momencie zawsze pojawia się księżę i księżniczka przestaje być niewinna. Pocałunek na przebudzenie, dla uzdrowienia, na przypieczętowanie uczucia. Księżniczki stają się królowymi, a nie ma takiej królowej, która nie zasługiwałaby na to, by zginąć.*

*Rude, ciemne od potu, kosmyki wymykają się z korony i przyklejają do jej szyi i gardła, gdy zajmuje się klombami przed kościołem. Wstaje, przeciąga się i rusza w stronę ciemnego, cichego budynku po coś do picia dla ochłody.*

*Idziesz za nią, bo wiesz, co dzieje się z księżniczkami, których nikt nie broni przed światem.*

*Po wszystkim zrywasz pojedynczy kwiat z jej rozpadającej się korony i kładziesz go sobie na języku. Oprócz miedzianego smaku krwi czujesz słodycz kapryfolium.*

[1] W niektórych stanach USA sól wykorzystywana do posypywania oblodzonych chodników barwiona jest na niebiesko dla lepszej widoczności [wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki].

[2] Dziewczyna Gibsona (ang. *Gibson girl*) – ideał piękna amerykańskiej kobiety przełomu XIX i XX wieku, stworzony przez rysownika Charlesa Dany Gibsona. Na ilustracjach „dziewczyna Gibsona” miała kręcone włosy upięte w wysoki kok na przodzie, często z luźno opadającymi wokół twarzy kosmykami.

[3] Madame Defarge – czarny charakter *Opowieści o dwóch miastach* Charlesa Dickensa. Kobieta koduje w swoich robótkach nazwiska osób, które mają być zamordowane.

[4] Bindi – znak na czole noszony przez kobiety z kultur hinduistycznych, często nazywany „świętą kropką”.

[5] Red Hat Society – amerykańska organizacja, założona początkowo dla kobiet po pięćdziesiątym roku życia, obecnie bez wymagań wiekowych, zajmująca się aktywizacją społeczną i towarzyską swoich członkiń. Ich cechą rozpoznawczą są czerwone kapelusze i fioletowe suknie.

[6] Mehendi – zwyczaj zdobienia dłoni panny młodej skomplikowanymi wzorami malowanymi henną.

[7] *Bliss* – z jęz. ang. błogość, rozkosz, szczęście.

[8] GED (General Educational Development) – rodzaj testu kompetencyjnego, uznawany za odpowiednik dyplomu ukończenia szkoły średniej w USA.

[9] ViCAP (*Violent Crime Apprehension Program*) – z jęz. ang. Program Ścigania Brutalnych Przestępców.

## MARZEC

Z dnia na dzień niskie temperatury coraz mniej doskwierają. To tego typu zmiana, której właściwie się nie zauważa, bo zimno to zimno i nie da się wyczuć różnicy kilku stopni. Ale termometr upiera się, że naprawdę jest cieplej.

Chowając twarz w wysokim kołnierzu płaszcza, niemal zasłaniającym jej oczy, mama zarzeka się, że termometr kłamie.

Zdołałam się już przyzwycząić do niskiej temperatury dzięki szachom, spacerom i kilku wyprawom z aparatem. Nadal ubieram się na cebulę, ale nos nie odmarza mi już tak szybko, jak na początku. Przytulam się do ręki mamy i próbuję podzielić się z nią swoim ciepłem.

– Przypomnij mi, dlaczego to robię? – pyta głosem stłumionym przez szalik.

– Bo to był twój pomysł.

– Co za głupota. Jesteś mądrzejsza, więc czemu mnie nie powstrzymałaś?

– Jeśli jestem mądrzejsza, to dlaczego sama to robię kilka razy w tygodniu?

– Masz rację. Obie jesteśmy idiotkami. – Mama drepcze w miejscu, podczas gdy czekamy na zmianę świateł na skrzyżowaniu, a ja bujam się razem z nią. – Tęsknię za zielenią, córeczko.

– Proponowałam, że kupię ci roślinkę.

– Jeśli jest z materiału lub plastiku, to to nie roślinka. – Spuszcza wzrok na swoje grube rękawice i wzdycha. – Chcę znowu mieć paznokcie brudne od ziemi.

– Zapakujemy dużo nasion do Francji. – Nie, wróć. – Najpierw się upewnimy, czy możemy legalnie przewozić nasiona do innych krajów...

– Niedorzeczne prawo.

– Inwazyjne gatunki to bardzo poważny problem, mamó

– Aksamitki to problem?

– Największy.

Przystajemy przy porośniętej trawnikiem wyspie na środku parkingu. Pawilon nadal tam stoi, a jedna płachta jest podwinięta i spięta pasami. Pewnie po to, żeby napalona okoliczna młodzież nie mogła zakraść się do środka i skorzystać z odosobnienia. Zniknęły grzejniki przemysłowe i mały generator, do którego były podłączone. Jest niedziela po południu, więc weteranów nie ma.

– Siedzisz tutaj przy takiej pogodzie? – pyta mama z niedowierzaniem. – Przecież nawet nie lubisz się ubierać.

– Piżama to też ubranie.

– Na wyjście z domu?

– Nie, ale tu nie chodzi o ubranie, tu chodzi o ludzi.

– Oj, moja mała antyspołeczna córeczko.

– Nie jestem antyspołeczna, jestem antygłupia.

– Jedno i to samo.

– Jak to możliwe, że pracujesz w zasobach ludzkich?

– Dobrze kłamię.

Nie rozwodzę się mamie na temat szachów, bo choć bardzo mnie wspiera, jej zainteresowanie grą jest zerowe. Na bieżąco informuję ją, gdzie idę i o której, ale to wszystko w tym temacie.

Opowiedziałam jej za to o Landonie, zwłaszcza że dalej chodzi za mną do Starbucksa. Na szczęście nie wychodzi za mną, a to już coś. Podejrzewam, że powiedziała Eddisonowi o Landonie, bo dostałam SMS-a z zapytaniem, czy niebieski to naprawdę mój ulubiony kolor, czy może tylko uważam, że jest charakterystyczny, co w normalnych okolicznościach byłoby dziwne. Następnie chciał się upewnić, że nadal jestem praworęczna. Powiedziałam mu, że mój ulubiony kolor to słoneczny żółty, nie żeby to była prawda, ale niech się trochę namęczy, próbując znaleźć paralizator w tym kolorze.

– Zaraz odmarzną mi sutki.

Parskając śmiechem, ciągnę mamę po trawniku w stronę centrum handlowego.

– No to chodź. Zjemy coś.

Po lunchu idziemy do Krogera po kilka rzeczy. Mama chce zrobić coś słodkiego dla Minionków ze swojego biura, co jest dobrym pomysłem, o ile nie będzie do tego potrzeba piekarnika, misek, miarki czy blaszki do pieczenia.

Chavi i ja zawsze byliśmy z mamą blisko. Oczywiście, istniała mocno zarysowana granica pomiędzy „koleżanką” a „mamą” i jeśli jakaś sytuacja ją naruszała, to mama zawsze wcielała się w „mamę”. Ale do momentu przekroczenia tej granicy mogła być obiema tymi osobami. Po tym, co stało się z Chavi i tatą, granica przesunęła się. Nadal się tam znajduje, tak samo wyraźnie zarysowana i nie podlega negocjacjom, ale terytorium, na którym mama jest przyjaciółką, siostrą i wichrzycielką, znacznie się poszerzyło. Nie sądzę, żeby Vic mi wierzył, kiedy zarzekam się, że to ona stanowi główny powód moich różnych kłopotów w szkole. On wtedy odpowiada, że to jej wpływ, a nie ona sama.

Ja wiem lepiej. W siedmiu przypadkach na dziesięć to moja mama robi awantury w szkole. Ja zwykle jestem skłonna puścić obelgi mimo uszu. Mama nie, zwłaszcza jeśli pochodzą od nauczycieli.

Ale koniec końców rzeczą, którą najbardziej w niej lubię...

– Dwie takie śliczne kobiety jak wy powinny się uśmiechać!

– Taki wścibski facet jak ty powinien iść się jebać.

... że nie toleruje pierdolenia. U nikogo, nawet u siebie. Nie chodzi o zachowanie w stylu dupka, choć potrafi, jeśli uważa, że to prawidłowa reakcja, ale o szczerość i uczciwość.

To dzięki mamie z odwagą mówię, że nie mam się dobrze i że nie czuję się z tym źle.

Kupujemy oreo, cukier, kremowy twarożek, czekoladowe groszki, tłustą śmietanę i papier pergaminowy. Postanawiamy, że ostatecznie możemy kupić jedną miskę, nie czując się głupio z tym, że nie poszukałyśmy swojej w kartonowych pudłach. Idziemy na kompromis i kupujemy wielką misę na popcorn we wzór w paski i kropki, zaprojektowaną prawdopodobnie pod

wpływem narkotyków. To najbrzydsza miska, jaką kiedykolwiek posiadałam, wliczając robione ręcznie naczynia ceramiczne z przedszkolnych warsztatów.

Jest w pewien sposób niesamowita.

Kupujemy też wielką butlę mleka, mimo że zaczniemy tego żałować, gdy tylko ruszymy z powrotem do domu.

Mama narzeka całą drogę powrotną, przybierając jękliwy ton, który zawsze mnie rozśmiesza, i co chwilę plecie coraz to większe głupstwa. Miałam chyba osiem lat, gdy po raz pierwszy to zrobiła. Byliśmy w restauracji i przysłuchiwaliliśmy się, jak pewna mała dziewczynka dostaje napadu hysterii przy stole. Tata rzucił komentarz, że jej rodzice powinni bardziej nad nią panować, mama zaczęła naśladować jęki i użalania dziecka, aż tata w końcu odpuścił i zamówił sobie drinka.

Ich małżeństwo nie zawsze było harmonijne, ale nawet w tych dobrych momentach nie potrafiłam odgadnąć, na jakich zasadach się opiera.

Skrzynka pocztowa w większości zapchana jest ulotkami – bo żadnej z nas nie chciało się jej wczoraj sprawdzić – ale znajduje się w niej też duża koperta z dokumentami ze szkoły w Paryżu oraz zwykła, od Inary. Chowam ją do kieszeni na później. Jeszcze nie wspomniałam mamie o naszych listach, bo pewnie poinformowałyby Eddisona, a to popchnęłoby go na skraj załamania nerwowego.

Jestem prawie pewna – kiedy powiedział, że kilka Motyli podpaliłoby świat zamiast zginąć samotnie, miał na myśli Inarę.

– Popatrz, Priya.

Obie stajemy jak wryte, patrząc na nasz ganek. Leży tam bukiet żonkili owinięty w soczystozieloną bibułę. Są przeróżne – jedne całkowicie żółte, inne o żółtych gardłach, otoczonych białym wachlarzem płatków. Związane są na dole białą skręconą wstążką, a wyżej, tam gdzie bukiet nabiera nieco objętości, dodano białą, prześwitującą kokardę. Wydaje się, że łądyg jest z pół tuzina, ale obfite kwiaty dodają bukietowi objętości.

To nie pierwszy raz, kiedy przed naszym domem pojawiły się kwiaty. Po śmierci Chavi było ich pełno na naszym progu. Wszyscy przynosili nam kwiaty i jedzenie. Jak byśmy byli w stanie to wszystko zjeść, zanim się zepsuje. Większość kwiatów wyrzuciliśmy, bo ich zapachy w domu zrobiły się tak intensywne i tak mocno zaczęły się ze sobą ścierać, że z trudem mogliśmy oddychać. Tym bardziej, że przez te pierwsze kilka tygodni każdy oddech był dla nas wyzwaniem. Perfumowane powietrze tylko pogarszało sytuację.

Trwało to rok. Ostatnio kiedy niespodziewanie dostałyśmy kwiaty, mieszkaliśmy w Omaha i ktoś z biura mamy dowiedział się o Chavi. Szybko zniechęcono tę osobę do podejmowania tego tematu, w szczególności z mamą lub ze mną. Tutaj wie tylko Salwa, ale on nie zna mojego adresu. Zresztą i tak nie przysłałby mi kwiatów, a przynajmniej tak sędzę. Poprzednim razem zdarzyło się to w... San Diego. Tam też dostałyśmy żonkile.

– Czekaj, mammo.

Zatrzymuje się na wpół schylona nad bukietem i unosi brwi ze zdziwienia, gdy widzi, jak wyciągam z kieszeni telefon.

– Poważnie?

– No proszę.

Kołysze się w przód i w tył, wykonuje zachęcający gest torbą z butlą mleka.

Ostrożnie odstawiam zakupy na chodnik. Ściągam rękawiczkę, żebym mogła zrobić kilka zdjęć, zanim przykucnę obok bukietu. Pomiędzy łądygi wetknięto bilecik. To właściwie mały, biały, prostokątny kartonik, w dodatku nierówno przycięty. Wyciągam go z bukietu dłonią wciąż tkwiącą w rękawiczkę. Napisane jest tylko *Priya*. Tusz jest jaskrawoniebieski. Pismo nie wygląda

na znajome, ale długopis był mocno dociśnięty do podłoża. Litery mają połysk, który zwykle kojarzy mi się z długopisami sprzedawanymi po dwanaście w paczce za trzy dolce dla tych, którzy często je gubią albo ktoś im je kradnie.

Brak etykiety. Kiedy kwiaty dostarczane są z kwiaciarni, zwykle dołączone jest do nich jakieś potwierdzenie nadania. Dzięki niemu zidentyfikowałyśmy nadawcę w Omaha.

Robię jeszcze kilka zdjęć, trzymając kartonik przed bukietem, po czym zabieram kwiaty i zakupy. Mama nadal wygląda na skonsternowaną, wchodzimy do kuchni i pokazuję jej bilecik.

Jej twarz nieruchomieje, mimika zostaje wstrzymana do chwili, aż zdecyduje, co myśleć.

– A więc już tu jest.

– Może – mamrocze. – Dostawałyśmy żonkile już wcześniej.

– Tak, ale w San Diego – odpowiada, unosząc jedną brew. – Pewnie pamiętasz, co jeszcze zdarzyło się w San Diego.

Rzucam jej wredne spojrzenie.

Mama tylko wzrusza ramionami. Taktem wykazuje się w pracy i tylko, jeśli to konieczne. Nie przywiązuje do niego zbyt wiele wagi w życiu prywatnym.

– Dostawaliśmy je też w Bostonie – przypominam jej. – Kiedy sprawę Chavi połączono z innymi, dostałyśmy masę wcześniejszych kwiatów.

– Więc uważasz, że to jakiś psychofan mordercy?

– Myślę, że warto wziąć to pod uwagę.

Marszczy czoło, patrząc, jak wrzucam kwiaty do zlewu wraz z papierem, w który były zwinięte.

– Powiemy Trójce z Quantico?

– A jest o czym? – Przejeżdżam kciukiem po krawędzi telefonu, próbując przeanalizować nasze opcje. Tak samo jak w szachach – nie mogę myśleć tylko o ruchu, który właśnie wykonuję. Trzeba być trzy, pięć, nawet osiem posunięć do przodu i realizować każdą zagrywkę w kontekście całej partii. – Nie wiemy, czy to cokolwiek znaczy.

– Czy to może być Landon?

– Możliwe. Ale te żonkile to może być zbieg okoliczności.

– Akurat.

– Twoja córka została zamordowana przez seryjnego mordercę niespełna półtora kilometra od domu.

– Słuszna uwaga, wszystko jest możliwe – wzdycha. Zaczyna rozpakowywać zakupy, dając sobie chwilę do namysłu. Mama zawsze ma coś do powiedzenia, ale jeśli może się najpierw zastanowić, to skorzysta z okazji. – Powiedz Eddisonowi – mówi, kiedy wszystko albo znajduje się już w szafkach, albo stoi przy kuchence gotowe do pracy. – Czy to prześladowca, czy morderca, FBI i tak będzie musiało się w to wmieszać. A jeśli będą wiedzieć od początku, to tym lepiej.

Nachylam się w jej stronę, opieram o jej ramię i czekam.

– Jeśli to on – mówi – jeśli naprawdę znów cię znalazł... Zostawić tę sprawę nierozwiązaną, kiedy jest poza naszym zasięgiem, to co innego.

– Dlaczego myślisz, że teraz jest w naszym zasięgu?

– Jeszcze tak nie myślę, ale jeśli to on, to może być nasza szansa. Tym większa, jeśli wtajemniczymy FBI. A przynajmniej częściowo – dorzuca. – Podejrzewam, że nie muszą wiedzieć wszystkiego.

Zakończenie sytuacji, w rozumieniu mamy, to zobaczyć gnoja, który zabił Chavi, martwego u jej stóp. Ja zazwyczaj wyobrażam sobie, jak słyszę „jesteś aresztowany”, a potem zostają mu odczytane jego prawa.

Zazwyczaj.

Miałyśmy pewną wiedzę o poprzednich sprawach – co było nieuniknione, po trosze w związku z pytaniami FBI na temat Chavi, a częściowo przez media, które uparły się, że musimy wiedzieć. Przez jakiś czas nie chciałyśmy słyszeć nic więcej.

I wtedy przydarzyło się San Diego.

Nie ukrywałyśmy przed naszymi agentami, że coś wiemy, ale raczej... no cóż. Zawsze omijali szczegóły podczas przesłuchań, żeby nie obarczyć nas ciężarem pozostałych zgonów. Chavi to był nasz ciężar, ale w sprawach seryjnych morderców łatwo zostać przytłoczonym nieszczęściem całej grupy ofiar. Łatwo jest doświadczyć poczucia winy za morderstwa, które zdarzyły się po śmierci twojego bliskiego – dostałyśmy kartki od rodzin Zoraidy Bourret, Mandy Perkins i Kiersten Knowles, kiedy informacje o morderstwie Chavi pojawiły się w wiadomościach. Wówczas budzi się w tobie poczucie, irracjonalne, ale silne, typu: „Dlaczego nie byłam w stanie dostarczyć informacji, dzięki którym by go złapano?”. Nie chodzi o: „Co takiego zrobiłam, że moja córka/siostra została zamordowana?”, a raczej „Co zrobiłam nie tak, że go nie powstrzymano?”.

Poczucie winy nie musi być racjonalne. Ono po prostu jest.

Noszę w sobie imiona pozostałych ofiar, ale nie z poczucia winy, ze zwykłych żalu i wściekłości. Nasi agenci starali się nas chronić od dodatkowych krzywd, które wiążą się ze sprawami seryjnych morderców, ale to nie ich wina, że przeżywamy traumę i nie reagujemy tak, jak można się po nas spodziewać.

– Jak masz zamiar to rozegrać? – pyta mama.

– To właściwie bez znaczenia, jakie to kwiaty. Problemem jest fakt, że ktokolwiek je tu przyniósł, wie, gdzie mieszkamy.

– Więc powiesz prawdę. Oryginalne podejście do tematu.

Tylko mama uznałaby podzielenie się ułamkiem posiadanych informacji za mówienie prawdy.

Wybieram najwyraźniejsze ze zdjęć, na którym widać kwiaty i karteczkę, i wysyłam je do Eddisona z wiadomością: *Leżały pod drzwiami, kiedy wróciliśmy z zakupów.*

Nie dostaję natychmiastowej odpowiedzi, idziemy z mamą się przebrać i wracamy do kuchni, żeby zrobić trufle oreo. Jakąś godzinę później, kiedy siedzimy na kanapie, czekając, aż masa się schłodzi, żebyśmy mogły przejść do następnego etapu przygotowań, rozlega się specjalny dzwonek ustawiony tylko dla połączeń od Eddisona – *Bad reputation* Joan Jett – moim zdaniem pasuje doskonale.

– Hej.

– Czy to żonkile? – pyta z ziajanym tonem.

Zerkając na mamę, włączam telefon na głośnik.

– Tak. A czy to ważne?

– Może.

– Dyszysz.

– Byłem pobiegać. Czy ktoś wcześniej wysyłał ci żonkile?

W jego głosie pobrzmiwa profesjonalny ton, który oznacza, że trzeba mu najpierw pozwolić zadać pytania, zanim spróbujemy wyciągnąć od niego jakieś wyjaśnienie. Nie zawsze podoba mi się ten ton, ale rozumiem, dlaczego to ważne.

– W San Diego i Bostonie.

– Czy w San Diego dostałaś jeszcze jakieś inne kwiaty?

Mama i ja wymieniamy spojrzenia.

– Tak, ale nie pamiętam jakiego rodzaju.



Mama podnosi brwi ze zdziwienia, ale nie zaprzecza. Nigdy wcześniej nie okłamałam Eddisona w tak bezpośredni sposób i chyba mi się to nie podoba.

– Może napisałaś o tym do Chavi?

– Tak, ale musiałabym poszukać w dziennikach.

– Zrób to, kiedy będziesz miała chwilę. Nie było żadnej etykiety od nadawcy?

– Tylko mały kartonik. Podniosłam go w rękawiczkach – dodaję.

– Przyślę do was kogoś z biura w Denver po te kwiaty. Tak na wszelki wypadek. Nie wyrzuciłaś ich, prawda?

– Nie, są w zlewie.

– Zlew jest mokry?

Mama prychna.

– Litości, jakbyśmy zmywały w tym domu naczynia.

Nastaje krótka chwila milczenia, podczas której Eddison stara się chyba zdecydować, czy ma puścić jakiś komentarz. Nie robi tego i to chyba słuszny wybór.

– Jak myślisz, ile by ci zajęło znalezienie właściwego dziennika?

– Nie wiem. Mam ich całe pudła, a nie układam ich w żaden konkretny sposób.

– Z jakiegoś powodu?

– Chavi i ja czasem do nich wracaliśmy, więc ładowały z powrotem w kartonach w byle jakiej kolejności. Niektóre lubiliśmy bardziej niż inne i trzymałyśmy je przy sobie. Nadal tak robię.

Biedny Eddison z nerwicą natręctw, chyba właśnie zatrzymałam mu akcję serca, jeśli wnioskować po ciszy w słuchawce. Widziałam jego biurko – widziałam też biurka pozostałych agentów i Mercedes – i choć moje pudła to nie ten sam kaliber, w jego mniemaniu może być im blisko do kataklizmu, który potrafi wywołać Mercedes.

– Spróbuj to szybko namierzyć – mówi w końcu. – Bardzo by nam pomogło, gdybyś przekazała agentowi listę kwiatów, jakie wcześniej dostałaś. A jeśli się nie uda, to podaj mi ich nazwy, jak tylko coś znajdziesz.

– Powiesz nam, o co chodzi?

– Pięć lat temu powiedziałaś, że nie chcesz wiedzieć o innych przypadkach w sprawie. To nadal aktualne?

Mama kładzie dłoń na mojej kostce i odrobinę za mocno ściska palce. Nie mówię jej, żeby mnie puściła.

Nie jestem pewna, dlaczego się waham, może pomijając obawę, że jeśli powiem mu choć trochę, to wtedy wyznam mu wszystko, a są rzeczy, o których na prawdę nie musi wiedzieć. Są sprawy, które powinnyśmy z mamą same poukładać, plany, które musimy zrobić, choć myślałyśmy, że będziemy mieć więcej czasu.

Spodziewałyśmy się, że coś się wydarzy – może nawet miałyśmy taką nadzieję – ale nie sądziłyśmy, że to nastąpi tak szybko po naszej przeprowadzce.

– Porozmawiam z Victorem – mówi Eddison, kiedy trochę za długo milczymy. – I tak musi się dowiedzieć o rozwoju sprawy. Zastanów się i powiedz mi, kiedy będziesz gotowa. Jeśli postanowisz, że chcesz wiedzieć, to pogadamy w cztery oczy, i bez dyskusji.

– Zrozumiałam – szepczę, grając małą przestraszona dziewczynkę, którą powinnam być. Którą byłabym, gdybym była trochę mądrzejsza.

– Wyślę ci SMS-em nazwisko agenta, kiedy tylko go wyznaczą. Wylegitymuj go. I znajdź ten dziennik.

– W San Diego myślałyśmy, że to pewien chłopak. – Mówię mu, nie mogąc znieść, jak cienki zrobił się mój głos. – Pomagałam mu w nauce, a on trochę się we mnie podkochiwał, więc

myślałyśmy, że tylko chce być miły i dość dziwnie to okazuje. Powiedział, że to nie on, ale nie miałyśmy innych podejrzanych, a kiedy się przeprowadziłyśmy, wszystko się skończyło. Nie sądziłyśmy, że to coś ważnego ani związanego z...

– Priya, ja cię o nic nie oskarżam. – Jego głos jest łagodny i delikatny, choć Eddison zarzeka się, że nie potrafi taki być. – Nie miałaś powodu myśleć, że to może być coś ważnego. Ale bardzo się cieszę, że mi o tym mówisz. Muszę zadzwonić do Vica i biura w Denver. Wyślę ci nazwisko, okej? I odezwę się później.

– Dobrze.

Rozmowa się kończy i przez jakiś czas mama i ja siedzimy na kanapie i wpatrujemy się w telefon, w tle leci film, w którym Leonardo DiCaprio tonie. Mama kręci głową, przez co kosmyki włosów wyplątują się jej z warkocza i opadają wokół twarzy.

– Czas podjąć jakąś decyzję, córeńko. A w międzyczasie znieśmy na dół te pudła i zacznijmy je przeglądać. Agenci będą potrzebować przynajmniej dat doręczenia, o ile nie poproszą o skopiowanie całych twoich wpisów.

– Co twoim zdaniem powinnam zrobić?

Mama przez długi czas nic nie mówi. Następnie wstaje z kanapy, przyciąga mnie do siebie i mocno obejmuje.

– Ta decyzja należy do ciebie. Jesteś moją córką i zawsze będę służyć ci radą, ale nie mogę ci mówić, co masz robić. Nie w ten sposób. Jesteś prawie dorosła i musisz podejmować wybory, z którymi będziesz w stanie żyć.

– Chyba musimy dowiedzieć się dokładnie, z czym mamy do czynienia, zanim coś postanowimy. Te kwiaty mogą znaczyć zbyt wiele rzeczy.

– No to poczekamy. – Całuje mnie w policzek prawie przy uchu. – Zbierzemy wszystkie informacje, jakie tylko się da, i wtedy zadecydujemy.

Istnieją różnego rodzaju prześladowcy, ale ponieważ liczę, że ten jest także mordercą, wzbiera we mnie niewypowiedziany lęk.



Czuje na sobie spojrzenie Vica, ciężkie, zmartwione, ale i odrobinę rozbawione. Bez względu na to, jak poważna byłaby sytuacja, Vica zawsze bawi, gdy Eddison chodzi w tę i z powrotem.

Ale z drugiej strony Vic nigdy nie widział, jak sam zastyga w bezruchu za każdym razem, gdy pojawia się jakaś ważna informacja. Vic zamiera, Eddison drepcze.

Ramirez nerwowo uderza długopisem o stół, ale Eddison ma wrażenie, jakby bębniła mu w czaszkę.

Odwraca się nieco zbyt gwałtownie, gdy dociera do ściany i zauważa, jak Ramirez robi kwaśną minę i ostrożnie odkłada długopis obok notesu. Będzie miał później wyrzuty, że tak ją przestraszył. Może nawet za to przeprosi. Na razie po prostu się cieszy, że łomot ustał.

Wszyscy są w sali konferencyjnej i czekają na wiadomość z biura w Denver. Eddison nadal ma na sobie przemoczoną potem koszulkę oraz spodnie dresowe, a wiatrówkę zarzucił na oparcie krzesła. Vic jest w starych dżinsach, ale przebrał się z poplamionej farbą flanelowej koszuli w czystą koszulkę polo, gdy tylko przyszedł do biura. Ramirez...

Cholera, będzie jej współczuć później, ponieważ, jak widać wyraźnie, była na randce, kiedy Vic wezwał ją do pracy późnym popołudniem. Chyba zakręciła włosy lokówką, bo widzi, jak jej naturalne fale próbują się wyzwolić z gładkich spirali, i ma na sobie sukienkę oraz szpilki na niebotycznych obcasach, których nie nosi do biura nawet wtedy, gdy cały dzień mają wypełniać formularze i odbierać telefony. Mimo to nie poskarżyła się i ani razu nie wspomniała o tym, że musiała dać komuś kosza przez jakieś wymysły Eddisona.

Byłoby najlepiej, gdyby to były tylko wymysły.

Telefon konferencyjny na środku stołu wydaje z siebie przenikliwy dźwięk, na co Vic wciska guzik głównego głośnika.

– Tu Hanoverian.

– Vic, mówi Finney. Nic im nie jest. Są nieco zszokowane, może lekko wkurzone, jeśli dobrze zaobserwowałem, ale wszystko u nich w porządku.

Cała trójka wypuszcza z płuc wstrzymywane oddechy. Oczywiście, że nic im nie jest. To na razie nie jest zagrożenie, tylko możliwość zagrożenia.

Po głębszym namyśle Eddison dochodzi do wniosku, że nie ma nic zaskakującego w tym, że jedna lub obie panie Sravasti mogą być wkurzone.

– Jak wygląda sytuacja? – Chwilę później pyta Vic. To on zna Finneya osobiście i to on był kiedyś jego partnerem. Eddison nie zdawał sobie sprawy, ale kiedy tylko Vic dowiedział się, że Sravasti przeprowadzają się do Huntington, wtajemniczył w sprawę Takashiego Finnegana, żeby mieć w rejonie kogoś do pomocy, gdyby coś się stało.

Nie ulega wątpliwości, że żadne z nich nie zakładało, że do tego dojdzie.

– Na bileciku nie ma odcisków palców. Podobnie jak na zewnętrznej stronie bibuły – raportuje agent. – Przekazałem wszystko do laboratorium i może od nich dowiemy się czegoś więcej. Kwiaty mogą pochodzić właściwie zewsząd: z kwaciarni, supermarketu, prywatnej szklarni, innego miasta, cholera wie. W e-mailu masz zdjęcia z jej pamiętnika.

Ramirez obraca laptopa w stronę Vica, żeby mógł się zalogować. Eddison obchodzi stół, żeby spojrzeć koleżce przez ramię.

– O cholera, ona nie żartowała – mówi pod nosem, gdy zdjęcie się ładuje.

Chyba nigdy w życiu nie widział tylu zeszytów w jednym miejscu.

– Te dzienniki są tylko jej – mówi Finney i nawet Vic robi nieco oniemiałą minę. – Dzienniki siostry odsunąłem na bok.

– Więc nie masz listy kwiatów, które otrzymała – podsumowuje Vic.

– Nie, ale dziewczyna robi z tym porządek. Nie wiem nawet jak. Każdy brulion wygląda inaczej, nie widziałem też, żeby choć jeden miał jakąś etykietę. Nie ma też żadnych dat z wyjątkiem roku.

– Na każdym zeszytzie?

– Tylko na pierwszym w roku.

– Możemy im zamontować kamerę przed drzwiami? – pyta Ramirez. Dotyka palcami długopisu, ale wtedy zerka na Eddisona i odkłada dłonie na uda.

– Pani Sravasti złoży o to wniosek. Właścicielem domu jest jej firma, która udostępnia go na wynajem krótkoterminowy, potrzebna jest więc zgoda na dokonanie zmian. W międzyczasie zaczną używać wbudowanego alarmu zabezpieczającego okna i drzwi.

– Dopiero zaczną? – powtarza Vic, marszcząc brew.

– To bezpieczna okolica, większości ludzi wystarczy zamknięcie drzwi na klucz. Jeden z moich agentów dojeżdża z Huntington. Pojedzie się przedstawić, a potem będzie sprawdzał, czy wszystko u nich w porządku. Jeśli dostaną zgodę na kamerę, pomoże im ją zainstalować.

Vic kaszle, zasłaniając usta ręką.

– Uważajcie, w jaki sposób przedstawię tę propozycję Deshani.

– Już to zrobiliśmy – chichocze Finney. – Archer pracował w serwisie elektronicznym przez całe studia: potrafi zamontować i zainstalować sprzęt, zanim inni dokończą czytać instrukcję. Sam mówiłeś, że ta rodzina przeszła przez piekło, a mimo to przetrwała. Nie śmiałybym zakładać, że nie dałyby rady zrobić tego same. – Agenci z Quantico słyszą na linii odgłos klawiatury i sygnał otrzymania nowej wiadomości. – Następnym razem, gdy Priya pójdzie

na szachy, spróbuje zrobić zdjęcie gościa, który za nią łązi. Puścimy je w obieg i miejmy nadzieję, że ustalimy jego nazwisko i jakieś podstawowe informacje.

– Sprawdźcie, czy przebywał gdzieś w okolicach San Diego – oschle nakazał Vic, na co Finney parsknął śmiechem.

– Jasne. Wasze panie trzeźwo myślą. Jestem pod wrażeniem.

Vic uśmiecha się i kręci głową.

– Nie wzniecą pożaru, ale zatańczą wokół niego, jeśli będą mogły się przy tym ogrzać.

– Deshani wznieciłaby pożar – Eddison i Ramirez poprawiają go chórem.

Oburzenie ich partnera zagłusza kolejne parsknięcie z głośnika.

– Zdążyłem zauważyć. Przerażająca kobieta i w pełni świadoma tego, jakie sprawia wrażenie.

Pocierając dłońmi twarz, Eddison w końcu opada na krzesło. Swędzi go skóra, bo pot na jego ciele dawno już zasechł w słonych, drażniących smugach.

– Jest jeszcze jedna rzecz, której musicie być świadomi – mówi Finney poważniejszym tonem.

Vic stęka.

– Taki wstęp nie zwiastuje niczego dobrego.

– Oczywiście, że nie. Dlatego używam go jako ostrzeżenia. – Z głośnika dobiega szelest przekładanych kartek.

– No to dawaj, Finney.

– Mogłem dziś zacząć działać od razu. Jest niedziela i nie musiałem prosić nikogo o pozwolenia. Choć w poniedziałek pewnie dostanę za to niezłą zjebkę, przez co później możemy napotkać nieco przeszkód.

– Dlaczego?

– Wspominałem już, że od kilku miesięcy mamy nowego szefa wydziału?

– A co to ma...

– To Martha Ward.

– Ja pierdolę.

Eddison i Ramirez wpatrują się w swojego starszego stopniem partnera. Vic bardzo rzadko używa wulgaryzmów w pracy – przestał to robić, gdy jego córki na tyle podrosły, że zaczęły niewinnie powtarzać ciekawe słowa.

– Rozumiem – wzdycha Vic. – Porozmawiam z naszym szefem i zobaczę, czy możemy coś zdziałać w tej kwestii.

– Myślisz, że to coś da?

Vic się waha.

– Będę cię informował na bieżąco – ostatecznie mówi Finney. – Powodzenia.

Połączenie się kończy i trójka agentów przez pewien czas siedzi w niezręcznej ciszy. W końcu Ramirez podnosi długopis i robi z nim coś skomplikowanego, w wyniku czego już po chwili jej włosy są niemal idealnie spięte z tyłu głowy, a skuwka długopisu wystaje z nich jak ozdoba.

– Martha Ward? – pyta delikatnie.

Vic kiwa głową.

– Dlaczego ona ma niby być przeszkodą? Ma reputację takiej, która nie raz uratowała komuś dupę.

– Chyba truła komuś dupę – poprawia ją Vic. – Martha Ward uprzykrzyła życie niejednemu agentowi, bo dla niej profilowanie zabójcy to religia i nie zgodzi się na żadne odstęstwa. Schemat jest rzeczą nadrzędną.

Eddison pierwszy łączy wszystkie wątki i zaczyna kląć pod nosem, aż Ramirez rzuca w niego suchym markerem.

– Nasz zabójca jak dotąd nigdy nie wysłał dziewczynie kwiatów, zanim ją zabił. To, że Priya dostała kwiaty stanowi odejście od schematu. Ward nie da się przekonać, że wszystkiemu winna jest ta sama osoba.

Vic jeszcze raz kiwa głową, robiąc pochmurną minę.

– Czternaście lat temu Finney i ja szukaliśmy zaginionych dzieci z Minnesoty. Różny wiek, różna płeć, ale wszystkie dzieci miały brązowe włosy i oczy, a także jasny odcień skóry. Odnaleziono tylko troje.

– Martwe?

– Owinięte w folię przemysłową, następnie w koce i częściowo zakopane. Były ułożone na boku, jakby spały, a pod folię wciśnięto im pluszowe przytulanki.

– Poczucie winy? – pyta Ramirez.

– Tak pomyśleliśmy. Nasza początkowa teoria zakładała, ponieważ wszystkie dzieci były do siebie podobne i najwyraźniej przez jakiś czas przetrzymywane, że morderca próbuje stworzyć rodzinę. Tego typu profil bardziej wskazywałby na kobietę, ale nie na tyle, by wysnuć poważne wnioski.

– Ward nalegała, żeby w profilu pojawiła się płeć?

– Nie do końca. Mniej więcej w tym samym czasie pracowała nad kompletnie inną sprawą. Jedna po drugiej ginęły brunetki o jasnej cerze, a niedługo potem ich zwłoki odnajdywano w pobliżu placów budowy.

– Sprawy były połączone, prawda? Musiały!

Mimo wszystkiego, co w życiu przeszła, Ramirez nadal jest optymistką. Eddison nie.

– Ward nie chciała zbadać takiej możliwości – zgaduje, pewien, że ma rację. – Zająłeś się tym bez jej udziału?

– Nie mieliśmy wyboru. – Vic siada na krześle i marszczy czoło na to wspomnienie. – Uparła się, że sprawy nie mają ze sobą nic wspólnego. Nasz sprawca to ewidentnie kobieta, a jej – mężczyzna. Dzieci kontra dorosłe kobiety, zupełnie inna przyczyna zgonu i rytuały pośmiertne.

– Dzieci, które umarły, zginęły przypadkiem, ale morderca urządził sobie przesłuchania kobiet, prawda? Próbował znaleźć idealną matkę do swojej idealnej rodziny. – Ramirez wzdycha, a Vic kiwa głową. – Najlepszym sposobem na złapanie go było sprawdzenie obszaru wspólnego.

– Podczas gdy klóciliśmy się z Ward, znaleziono zwłoki następnej kobiety, a kolejna zaginęła. Finney i ja poszliśmy do przełożonych, dostaliśmy zgodę na przejście śledztwa i rozwiązaliśmy je. Nie wzięliśmy jednak pod uwagę, że szef naszego szefa jest dobrym przyjacielem Ward. Po jakimś czasie dał jej awans. Finney został przeniesiony do Denver, a trzy dni później z pretensjami do całego świata i moim nazwiskiem w papierach przyszedł do nas świeżo upieczony absolwent akademii, Eddison.

Eddison usiłuje ukryć przed Victorem, że się rumieni.

– Chcesz powiedzieć, że byłem twoją karą?

– No co ty. Już od dawna miałeś do nas przydział. To transfer Finneya był karą. Ward zna się na polityce i ma świetne kontakty, więc pnie się po szczeblach kariery, a jeśli będzie w stanie utrudnić nam życie, nie zawaha się. Co za pech, że została szefem sekcji Finneya.

– Więc ukarze Priyę tylko po to, żebyś nie miał lekko.

– Szczerze mówiąc, Priya nic ją nie obejdzie. Ward ma tyle empatii co zdechła ryba.

Ramirez przechyla głowę na bok.

– Ward kontra Deshani – kto zwycięży?

Vic aż się wzdryga.

Jeśli coś potrafi wzbudzić dreszcz u Victora Hanoveriana, to Eddison nie chce widzieć tego na oczy.

Sterna wielokolorowych folderów leży na stole obok laptopa Ramirez, czekając na świeże notatki. Obok znajduje się pusta teczka. Już wkrótce na etykietce pojawi się imię, pewnie napisane ręką Vica, bo pismo Ramirez jest na to trochę za ładne, a pismo Eddisona mało czytelne.

„Priya Sravasti”

Zastanawia się, czy to przypadek, że teczka jest niebieskiego koloru.

Żadna z nich nie jest czerwona, ale teczka Chavi jest żółta, a to sprawia, że Eddison zaczyna myśleć o paralizatorze i czy Priya robi sobie z niego jaja w kwestii swojego ulubionego koloru. Naciska mocno na oczy nasadami dłoni, jak gdyby ucisk mógł sprawić, że wszystkie jego myśli nagle znieruchomią. Przez moment, mimo że skończył biegać już kilka godzin temu, nadal ma wrażenie, jakby dyszał.

Kiedy opuszcza dłonie i podnosi wzrok, Vic patrzy prosto na niego.

– Dopilnujemy, żebyś miał elastyczny grafik.

– Jak mam jej powiedzieć, że ludzi, którzy powinni jej chronić, blokuje polityka?

– Powiedziałbym szczerze, jak jest.

– Wścieknę się.

– I dobrze. Jeśli ona i Deshani wystarczająco się wkurzą, to może przepchną sprawę do szefa Ward.

Nadal pamięta, jak poznał Priyę, i ulgę, którą poczuł, widząc jej wściekłość. To oznaczało, że raczej nie będzie płakać, a on po zniknięciu Faith przestał sobie radzić z płaczącymi dziewczynkami. Ale minęło pięć lat i choć wkurzona Priya jest bez wątpienia zabawna, Eddison nie chce, by ta wściekłość miała konkretny cel. Nie, skoro tak mało jej trzeba, by przeszła z poirytowania (stan naturalny) do białej gorączki (kataklyzm). Nie, kiedy wie, jak trudno jej wrócić do siebie po takiej złości, jaka staje się przez nią krucha i ile to może trwać.

Obiecał, że nigdy jej nie okłamie, nawet żeby poprawić jej nastrój. Priya mówiła, że nie chce niczego wiedzieć o pozostałych dziewczynach, jednak z upływem czasu respektowanie tej prośby zakrawa o kłamstwo. Dwa lata temu Eddison zaczął czuć się jak oszust, ale milczał, bo ona nie chciała wiedzieć, a on nie chciał jej przestraszyć.

Vic szturcha go w kostkę znoszonym mokasynem.

– Da sobie radę. Jak zawsze.

Ale on wie lepiej niż Vic, z czym zмага się Priya, kiedy próbuje sobie to wszystko jakoś sensownie poukładać i spojrzeć na śmierć swojej siostry z szerszej perspektywy. Ponieważ Vic ma mnóstwo powodów do zmartwienia, a Eddison jeszcze za mało, więc nie zdradził sekretu Priyi i Deshani. Nie wspominał o napadach głodu, po których złana potem dziewczyna leży na podłodze w łazience i wymiotuje, bo jej siostry nie ma – po prostu nie ma – i nic nie jest w stanie tego zmienić.

Kiedy Faith została porwana, Eddison zaczął palić. Nie był to bunt wobec zaleceń lekarzy. Wiedział, że to go powoli zabije i taki świadomy wybór samozagłady wydawał mu się słuszny. Nie próbował przestać aż do czasu, kiedy Vic wziął go pod swoje skrzydła. Przestał całkowicie, gdy Priya zmarszczyła nos i powiedziała mu, że śmierdzi gorzej niż szatnia chłopaków w jej szkole.

Zadając pytanie, skąd wie, jak śmierdzi szatnia chłopaków, zapomniał sięgnąć po papierosa. Czasem wciąż gdzieś tam jest ten gest, ta potrzeba, ale to już nie to co kiedyś. Może z powodu Priyi. Ale bardziej dlatego, że gdy zobaczył ten niszczyielski impuls u kogoś innego, jemu samemu przestał przynosić ulgę. Czyli to jednak nadal zasługa Priyi.

Tym razem to Ramirez go kopie – delikatnie, ponieważ jej niebotyczne szpile sprawiają ból jak sukinkot, kiedy się zamachnie – i kiwa głową. Długopis utrzymujący kok przechyla się, ale nie wypada.

– Bez względu na to, ile razy są w rozsypce, zawsze zbierają się do kupy. Jeśli Priya zacznie się podłamywać, Deshani postawi ją do pionu.

Co Vic powiedział im w listopadzie? „Niektórzy ludzie nie potrafią wyjść z traumy. Inni składają do kupy popękane kawałki, nie zwracając uwagi na ostre krawędzie”.

Miał na myśli Inarę, ale tutaj to też pasuje.

Bierze głęboki oddech i wyciąga swoją komórkę z kieszeni wiatrówki, żeby napisać SMS-a.

*Tylko bez oreo, okej? Postarasz się?*

Odpowiedź przychodzi niecałą minutę później.

*Wszystkie oreo pokruszyłyśmy na trufle. Lepiej/gorzej? Postaram się.*

Nie jest nawet zaskoczony, że minutę później jego telefon znów się odzywa, tym razem z wiadomością od Deshani.

*Będę czujna. Priya nie ma w pokoju słodyczy, więc jeśli coś przyjdzie jej do głowy, usłyszę ją na schodach.*

Można jej zaufać – pewnie będzie siedzieć na podłodze przy drzwiach swojej sypialni, nasłuchując przez całą noc skrzypienia schodów lub odgłosu kroków na dywanie. Prawdopodobnie Bóg miał na myśli Deshani, kiedy dawał matkom niezłomny instynkt opiekuńczy.

– W Colorado osoby poniżej osiemnastego roku życia nie mogą legalnie używać paralizatora – mówi w końcu, a jego partnerzy spoglądają na niego z ukosa, nie wiedząc, o co mu chodzi. – Ma już gaz pieprzowy, więc co innego możemy jej dać?

– Kij baseballowy? – sugeruje Ramirez.

Vic przyciska palcami grzbiet nosa i powoli kręci głową.





*Nazywa się Libba Laurghan i gdy widzisz ją po raz pierwszy, jej wielowarstwowa suknia, w której przyszła na szkolny bal, jest zakasana na tyle wysoko, że widać ramiona chłopaka, który zanurzył głowę między jej udami. Siedzi na masce samochodu, jedną ręką podciągając halki, a drugą trzymając go za włosy. Ciszę nocy wypełniają jej gardłowe krzyki, jak gdyby wcale nie znajdowali się na widoku i nikt nie mógł przyjść sprawdzić, co to za hałasy.*

*Jej sukienka ma tak jaskrawy różowy kolor, że prawie świeci w ciemności. Na jej nadgarstku i we włosach widzisz bukiecik z goździków o płatkach, których brzegi mają kolor nasyconej czerwieni, jakby zostały muśnięte krwią.*

*Widzisz, jak trzyma go za rękę w kościele. Ich ciała dzieli stosowna odległość, ale jedno zawsze wyciąga dłoń do drugiego, kiedy się od siebie oddalają. Widzisz ich w kinie, jak chodzą razem do szkoły i gdy z niej wracają.*

*Jak pieprzą się w hamaku, w ogrodzie na tyłach jej domu i śmieją za każdym razem, gdy prawie z niego wypadną.*

*Myślisz sobie, że się kochają, a przynajmniej na tyle, na ile rozumieją miłość w tak młodym wieku. Szepczą do siebie, kończą tak każdy telefon i rozmowę. Nie widzą nikogo poza sobą.*

*Może jest w tym coś wzniosłego, ale jej to nie uratuje. Tak nie postępują dobre dziewczyny bez względu na to, jak bardzo są zakochane. Tak się nie godzi, to nie w porządku. Jest młoda, więc to zrozumiałe, ale przejdzie niezauważone. Nie możesz pozwolić, by jej przyjaciele myśleli, że takie zachowanie jest wybaczone, akceptowalne.*

*Dopiero kiedy zostają przyłapani – jej matka wraca do domu kilka godzin wcześniej, niż przewidywali, gdy wciąż są nadzy i splątani ze sobą w ogrodzie za domem – zdajesz sobie sprawę, jaka jest młoda.*

*Czternaście lat a już ladacznica.*

*Jej matka płacze, gdy goni na wpół rozebranego chłopca przez podwórko i wyrzuca go z posesji, ignorując wołania córki dobiegające zza pleców. Opierasz się o drugą stronę płotu i słuchasz, jak matka robi jej wykład, że nie tak ją z ojcem wychowali.*

*Nie jesteś zaskoczony, gdy Libba wymyka się z domu tej samej nocy, żeby poszukać chłopca, którego kocha.*

*Nie jesteś zaskoczony, kiedy próbuje z tobą walczyć, bo ta dziewczyna zdobywa to, czego chce, a chce tego chłopca, chce żyć.*

*Nie możesz na to pozwolić.*

*Może i tamten obchodzi się z nią delikatnie, ale jest zbyt młoda, by wiedzieć, jak potraktują ją dorośli mężczyźni, więc musisz jej pokazać.*

*Musisz jej wytłumaczyć, czym będzie dla mężczyzn, gdy przestanie być dobrą dziewczyną. Tego nie da się odzyskać.*

*Już masz ją zostawić na kościelnej podłodze, ale myślisz, że ona ma tylko czternaście lat. Przykrywasz ją więc jej potarganymi ubraniami – przynajmniej na tyle, by zasłonić kluczowe miejsca i chowasz tkaninę pod goździkami.*

*Białymi, muśniętymi czerwienią, które krwawią przez żyłki płatków prosto do serca.*

*Pamiętasz.*



Mama zagania mnie do łóżka około pierwszej. Siadam na materacu i patrzę na tańczące po ścianach cienie rzucane przez migoczące światło elektrycznej świeczki przy fotografii Chavi. To samo zdjęcie, które mamy na dole, ale ramka wykonana jest z kawałków kolorowego tłuczonego szkła i metalu. Wianek z materiałowych chryzantem jest identyczny.

Mój bieżący dziennik z długopisem przypiętym do przedniej okładki znajduje się w szufladzie szafki nocnej. Ozdobiony jest niepokojącym kolażem zniszczonych głów prezydentów, powstałym ze zdjęć z wycieczki, na którą zabrałyśmy Eddisona, gdy jeszcze mieszkaliśmy w Waszyngtonie. Jedno się wybija, przedstawia małą, niemal niezauważalną, niebieską jaszczurkę, siedzącą w przerwie pomiędzy Kennedym a Taftem, z zawieszka w pyszczku, na której widnieją rzymskie cyfry. Jaszczurka pojawia się we wszystkich moich dziennikach. Czasem na zewnątrz okładki, czasem na jej wewnętrznej stronie, czasem na marginesie którejś kartki.

Pamiętniki Chavi łatwo byłoby poustawiać w kolejności, bo moja siostra była bardziej konsekwentna. W dolnym lewym rogu wewnątrz okładki zawsze rysowała mnie z czymś sugerującym datę, spoczywającym w moich rękach. Mógł to być kalendarz-zdzierak, taki z miesięcznym planem, na którym zaznaczono odpowiedni dzień albo stosowny rysunek związany z charakterystycznym świętem. Każdy zeszyt zaczynał się od następnego dnia miesiąca. Żeby je uporządkować, wystarczyłoby zerknąć na rysunek po wewnętrznej stronie okładki.

Chavi doszła prawie do sierpnia.

Nigdy nie zasnę.

Czekam, aż mama wreszcie pograży się we śnie w swojej sypialni na drugim końcu korytarza, po czym idę w kierunku schodów. Jeden stopień, prawie na samym dole, skrzypi, chyba że stanie się na nim po lewej stronie, zamiast po środku, ale na następnym trzeba stanąć całym ciężarem, bo inaczej głośno się odezwie. Chwytam się balustrady i przeskakuję nad obydwojma.

Świeczka przy zdjęciu Chavi nie jest zapalona. Ostatnia, która kładzie się spać, musi ją zdmuchnąć, żebyśmy przypadkiem nie spaliły całego domu. Chcę – a może potrzebuję – ją zapalić, ale nie robię tego. Przez drzwi wejściowe sączy się wystarczająco dużo światła, by zdjęcie było niemal w pełni widoczne. Poświata lamp ulicznych, błada i żółtawa, rozciąga się po ścianach i wzdłuż schodów. Przełamuje się na suficie w przedpokoju i wygina pod dziwnym kątem, a dalej płacze po balustradzie, sięgając półpiętra.

Przed domem przejeżdża samochód, przez co światło się zmienia i na moment, zanim zamknę oczy, cienie tworzą iluzję, że coś zwisa z poręczy.

Serce zaczyna boleśnie łomotać mi w piersi i robię unik głową, kiedy idę korytarzem do salonu. Coś ociera mi się o ramię, aż się wzdrygam, ale już po chwili czuję się jak ostatnia kretyńska, bo zdaję sobie sprawę, że to tylko moje włosy. Sprawdziłyśmy każdy centymetr domu, uruchomiłyśmy alarm. Nie ma tu nikogo prócz mnie i mamy. Jestem w stanie wymienić całą listę powodów, dlaczego nie ma nic złego w tym, że jestem taka lękliwa. Potrafię je nazwać, a to pomaga. Gdzieś pośród rozmyślań o tym, kto nie żyje i czy ktoś obserwuje nasz dom, pojawia się wspomnienie, które tej nocy jest nieco wyraźniejsze niż zwykle.

Kiedy mój tata powiesił się na balustradzie domu w St. Louis dwa dni przed pierwszą rocznicą śmierci Chavi, jego stopy nie otarły mi się o ramię. Nie podeszłam na tyle blisko, żeby się przekonać, czy sięgałyby do mojej wysokości.

Wróciłam ze szkoły, otworzyłam kluczem drzwi wejściowe i zanim zdążyłam się schylić, żeby pocałować ramkę Chavi, zobaczyłam go. Stałam nieruchomo i spojrzałam na niego. Wisiał tam już chyba od kilku godzin. Zdecydowanie był już martwy. Nie musiałam go dotykać, żeby mieć pewność. Kupił linę kilka tygodni wcześniej, żeby powiesić hamak, ale nigdy tego nie zrobił.

Nie krzyknęłam.

Wciąż nie jestem pewna dlaczego, ale pamiętam, że po prostu stałam i patrzyłam na mojego martwego ojca. Czulałam się... zmęczona. Może otępiła.

Wyszłam przed dom, zamknęłam drzwi na klucz, zadzwoniłam do mamy i słuchałam, jak używa służbowej komórki, żeby zadzwonić na policję, jednocześnie wybiegając z biura. Przyjechała na miejsce przed policjantami, ale nie weszła do środka, żeby popatrzeć. Siedziałyśmy razem na ganku, aż do przyjazdu funkcjonariuszy i karetki. Pewnie wymagał tego protokół, ale jej pojawienie się było całkowicie zbędne.

Trzymałam w rękach koperty, w tym te kolorowe z kartkami od Trójki z Quantico. Dotarły idealnie na czas.

Tej nocy przeniosłyśmy się do hotelu i właśnie położyłyśmy się do łóżka, choć wiedziałyśmy, że żadna z nas nie zaśnie. Rozległo się pukanie do drzwi. To był Vic z torbą pełną koszulek FBI z długimi rękawami i flanelowych spodni od piżamy, reklamówką nie pochodzących z hotelu kosmetyków i dwulitrowym kubłem lodów.

Znałam wtedy Vica prawie rok i już go szanowałam. Pokochałam go za to, że nie powiedział „wszystkiego najlepszego”. Nie wspomniał ani o tym, ani o kartkach. Mimo że ponad wszelką wątpliwość było to samobójstwo, przyjechał do Missouri, żeby z nami porozmawiać i upewnić się, że sobie poradzimy. Ani razu nie zapytał, jak się czujemy.

Była prawie trzecia nad ranem, kiedy w końcu poszedł znaleźć dla siebie wolny pokój. Wyciągnął ze swojej torby jeszcze jedną rzecz. To była pomięta papierowa torba na zakupy. Gdy ją otworzyłam, na łóżko wysypały się oreo – dwanaście strunowych torebek na kanapki, w każdej po trzy ciasteczka, opatrzone dniem i datą wypisanymi spiczastym pismem Eddisona.

Przyznanie istnienia potrzeby, racjonowanie impulsu.

Tego dnia trochę pokochałam też Eddisona – jak członka rodziny, jak przyjaciela. Bo oreo świadczyły o tym, że nie mam się dobrze, a racjonowanie – że kiedyś to się zmieni.

W domu nie mamy oprawionych zdjęć taty, tak jak Chavi. Częściowo wynika to z faktu, że Chavi nie postanowiła nas opuścić, ale to nie wszystko... jeśli tata chciał odejść, nawet jeśli sądził, że samobójstwo to jedyne wyjście, to mama by zrozumiała. Bez względu na upadki i wzloty ich małżeństwa, przynajmniej to było pewne.

Tata zabił się w taki sposób, że można było mieć całkowitą pewność, że to właśnie ja go znajdę. Byliśmy w St. Louis od kilku miesięcy i celowo nie dołączałam do żadnych pozalekcyjnych kółek czy innych zajęć, przez które musiałabym dłużej zostać w szkole. Mama wracała do domu dopiero wieczorem, więc o ile nie zdarzyłby się jakiś wypadek, nie było możliwości, żebym zobaczyła go jako druga.

Mama mogłaby mu wybaczyć niemal wszystko, ale nigdy nie wybaczy mu tego, że pozwolił mi się znaleźć.

Szczerze mówiąc, nie sądzę, żeby o tym myślał, chyba nie był już w stanie. Prawdopodobnie jedyna rzecz, jaka chodziła mu po głowie, była myśl, że nie może skorzystać z drzewa na tyłach ogrodu, bo zobaczyłby go sąsiad i odciął za wcześniej albo jakoś inaczej go uratował, a jego zdaniem nie było już czego. W głębi serca jestem przekonana, że był tak skoncentrowany, aby nikt go nie znalazł, że nawet się nie zastanowił, co się stanie po wszystkim.

Dla mamy to nigdy nie będzie mieć znaczenia.

Nie spaliłyśmy jego zdjęć, po prostu ich nie eksponujemy. Leżą starannie spakowane, zachowane, bo pewnego dnia będą mi potrzebne, nawet jeśli mama postanowi już nigdy ich nie oglądać.

Następnego dnia zadzwoniłyśmy do jego rodziny. Kiedy wyjechaliśmy z Londynu, rodzice zerwali kontakty ze swoimi krewnymi. A może wyjechaliśmy z Londynu, bo zerwali z nimi kontakty? Nigdy nie byłam do końca pewna, co się wydarzyło, wiedziałam, że żadne z nich nie lubiło o tym mówić. Opuścili bliskich i swoje wyznanie, a może też porzucili wiarę. Po wyjeździe pierwszy raz zadzwoniliśmy do dziadków, żeby ich powiadomić o zamordowaniu Chavi.

Obwiniali moich rodziców, że nas zabrali, zabrali do Ameryki – kraju pistoletów i przemocy – jakoś nie liczyło się dla nich, że Chavi zabito nożem w dużo bezpieczniejszej dzielnicy niż ta, w której mieszkaliśmy w Londynie. To była kara dla moich rodziców za to, że wyjechali i koniec.

Przez kolejny rok więcej do nich nie zadzwoniliśmy, aż do chwili, gdy trzeba było im powiedzieć o tacie. Znów, w jakiś sposób, to była nasza wina. Gdyby mama nie oddzieliła go od rodziny, miałby potrzebne wsparcie. Gdyby mama nie była taka bezbożna, znalazłby pocieszenie, którego potrzebował. Mama rzuciła słuchawką, zanim babcia zdołała się rozkręcić. Musieli się dowiedzieć o jego śmierci, więc im powiedziała, ale na tym koniec. W teorii mamy wielką rodzinę, ale w rzeczywistości stanowimy ją ja, mama i odrobina Chavi, jaką udało się nam zatrzymać.

Na przykład nieco ponad dwieście brulionów wypełnionych jej wielkimi ozdobnymi literami, których sterta, niczym zniszczona góra, stoi z boku w salonie.

Skoro nie mogę zasnąć, powinnam być produktywna i przewertować moje pamiętniki,

żeby znaleźć te z San Diego, ale nie mogę tego zrobić, nie włączając światła.

Jest zbyt późno (albo zbyt wcześnie) na górne oświetlenie, a w pobliżu zeszytów nie ma gniazdka, żeby mogła przyciągnąć tam lampę.

Kiedy wchodzę do kuchni i zapalam słabe światełko nad kuchenką, torby czekoladowych groszków nadal leżą na blacie. W lodówce na improwizowanych tacach z tektury przykrytych pergaminem znajdują się małe grudkowate kulki z pokruszonych oreo, kremowego serka do smarowania i cukru. Biorę opakowanie tłustej śmietany, przekładam ją do jedynego rondla, jaki wypakowałyśmy z kartonów i skręcam palnik prawie do minimum. Śmietana powoli się nagrzewa i muszę uważać, żeby się nie zagotowała, bo zrobią się w niej grudy. Kiedy przy brzegach pojawiają się małe pęcherzyki powietrza, dodaję cukier, czekoladę i przykrywam całość, wyłączając palnik i pozwalając śmietance samodzielnie roztopić groszki.

Wykładam tace na blat obok pudełka wykałaczek. Otwieram opakowanie i wbijam po jednej w każdą kulkę. Trzęsą mi się ręce. Patrę na nie przez chwilę, próbując ustalić, czy jestem wkurzona, przestraszona czy zmęczona. Kurwa mać! Pewnie wszystko naraz.

Czuje chyba pewną potrzebę. Bo wiem, co zdarzyło się w San Diego i co stało się po naszym wyjeździe. Bo schematy rzadko kiedy powtarzają się przypadkiem, bo tata się poddał, a ja nie jestem tak silna jak mama... bo śmierć Chavi powoduje ból, który nie ma – nie może mieć – sensu, a ja mam przed sobą całe tace pełne sposobów na to, by uczynić ten ból nieco bardziej namacalnym.

Ściągam przykrywkę z garnka i mieszam zawartość. Przy pomocy wykałaczek zanurzam kulki w czekoladzie, a dłonie wciąż mi się drżą. W żołądku czuję skurcz pragnienia. Wiem, że będzie mi niedobrze, a ten fizyczny ból w żaden sposób nie poprawia emocjonalnego, ale to bez znaczenia. Wielokrotnie przekonałam się, że to nie pomaga.

Liczy się tylko to, że boli, jak powinno.

Kiedy wszystkie kulki są już pokryte czekoladą, wkładam tace z powrotem do lodówki, żeby stężały. Szkoda, że drzwi lodówki nie trzaskają. Miałabym większą satysfakcję, że przynajmniej raz nie dałam się złamać.

Gdy się odwracam, w drzwiach widzę mamę. To, jak opiera się o framugę, odsłonięte gardło i skroń przylegająca do drewna mówią mi, że obserwuje mnie już od jakiegoś czasu.

– Ile czekolady zostało? – pyta ochryplym, niskim głosem.

– Trochę, ale niedużo.

– Mamy kilka bananów. – Nieznacznie przestępuje z nogi na nogę i podkurcza palce stóp, by jak najmniej dotykały zimnej podłogi. – Nie są już takie jędrne, jak lubisz, ale jeszcze nie zbrązowiały.

– Dobrze, niech będzie.

I tak właśnie kończymy na podłodze, maczając banany w rondlu z polewą czekoladową, otoczone kilkunastoma grubymi białymi świecami, które stoją w różnych miejscach salonu. Nie potrafię sprawić, żeby w magiczny sposób pojawiło się więcej bananów niż te właśnie zjedzone dwa i pół. Mama zabiera rondel do zlewu, zanim zdążę wymyślić, co innego mogłybyśmy w nim zanurzyć.

– Spodziewałam się, że w truflach będą braki – mówi, wracając, i z gracją siada z powrotem na dywanie.

– Pewnie po kilku byś mnie powstrzymała.

– Tak, ale nie musiałam.

– To nie pomaga.

– A czy to kiedykolwiek miało jakieś znaczenie?

Właściwie nie mam na to odpowiedzi – nie żebym za każdym razem się nad tym nie

zastanawiała – chwytam więc krawędź brulionu na samym dole i przyciągam do siebie najbliższą stertę. Znajduję jaszczurkę, która trzyma się Wieży Eiffla, i pokazuję ją mamie.

– Na wszelki wypadek znajdź wszystkie bruliony od sto czterdzieści do sto osiemdziesiąt. Będziemy mieć trochę mniej kartkowania.

– Wymyśliłaś to, gdy miałaś pięć lat? – mamrocze mama.

– Dziewięć. Wcześniej zeszyty były obłożone w papier do pakowania, ale gdy spodobały mi się jaszczurki, to je przerobiłam.

Zanim mama pójdzie na górę, żeby wyszykować się do pracy, mam już przed sobą rozłożone pięć i pół miesiąca w San Diego. Znajac mamę, jej kolejnym projektem będzie uporządkowanie reszty zeszytów i ułożenie ich we właściwej kolejności, żeby można było odpowiednio zapakować je w pudła. Fakt, że zostały wypakowane, nie będzie działać jej na nerwy, tak jak zapewne wkurzałyby Eddisona, ale on raczej nie będzie do nich zaglądać.

Resztę ranka spędzam zalogowana w mojej wirtualnej szkole, próbując skupić się na nauce. Nie mogę się skoncentrować, a podczas sesji na Skype z nauczycielką wyglądam chyba jak dziecko wojny, bo wybacz mi rozkojarzenie. Mówi mi, że mogę się zameldować dopiero w środę, a jeśli będę potrzebować więcej czasu, to wystarczy, że ją uprzedzę. Po ostatnich dwudziestu czterech godzinach zwyczajna życzliwość wydaje mi się czymś bardzo dziwnym i chyba nawet nie potrafię powiedzieć dlaczego.

Uczę się do jedenastej, a gdy wiem, że dłużej już nie dam rady, wrzucam pamiętniki do plecaka, którego nie używałam od miesiący. Ostrożnie sprawdzam swój aparat, pakuję go w pokrowcu do środka i wychodzę na szachy. Czuję się pewniej z gazem w swojej kieszeni.

Nie spodziewam się, żeby coś miało się wydarzyć. Żonkile to... otwarcie szachowe. Mam czas, choć może brzmi to dziwnie. W szachach najszybsze możliwe zwycięstwo nazywa się „matem szkolnym”. Potrzeba do niego tylko dwóch ruchów i jest wykonalne tylko, gdy gracz posługujący się białymi pionkami wykaże się niebywałą głupotą.

Umiarkowanie głupi człowiek może uniknąć schwymania, jeśli popełni każde z morderstw na obszarze pod inną jurysdykcją, ale ten przypadek od siedmiu lat jest już w rękach FBI. Fakt, że do tej pory go nie aresztowano, dowodzi, że morderca jest nie tylko cierpliwy, ale też bystry.

Najciekawsze partie szachowe odbywają się pomiędzy przeciwnikami, którzy dobrze się znają. Wiedzą, co drugi może zrobić, i jednocześnie próbują temu zapobiec, krok po kroku wykonując własny manewr. Po każdym ruchu obaj gracze muszą na nowo oszacować sytuację na szachownicy, jakby była kostką Rubika w rozmiarze dwanaście na dwanaście pól. Nie wiem, kto zabił moją siostrę, ale wiem dość sporo na jego temat. Jego morderstwa opowiadają pewną historię.

Nie powtarza gatunku kwiatów i nie bawi się w kotka i myszkę.

Cokolwiek oznaczają żonkile – jeśli w ogóle pochodzą od mordercy – stanowią tylko otwierający ruch.

Jeśli nie pochodzą od mordercy... to ten, kto je przyniósł, wie, gdzie mieszkam. Jeśli zrobię z siebie więźnia własnego domu, wcale nie będę bezpieczniejsza niż na zewnątrz.

Powtarzam to sobie w drodze na szachy. Nawet w to wierzę.

Corgi jest na parkingu, kiedy docieram na miejsce i idzie w stronę namiotu z dwoma kubkami kawy w ręce. Nie ze Starbucksa, tylko gównianej, darmowej lury, którą w supermarkecie leją seniorom do styropianowych kubków. Prawie podskakuje ze strachu na mój widok, o mały włos nie rozchlapując kawy na rękawiczki.

– Chryste panie! Wyglądasz, jakbyś wstała z grobu, Niebieska.

– Nowa moda – żartuję. – Wyglądam aż tak źle?

– Nie chciałbym cię spotkać w ciemnej uliczce. – Jeszcze raz mierzy mnie wzrokiem,

kiwa głową i upija nieco kawy. – W oświetlonej też nie.

– A na parkingu?

– Ludzie mówią, że my, żołnierze, jesteśmy odważni, a przynajmniej byliśmy. – Uśmiecha się do mnie i choć może ma nos jak hobbit, to jego oczy są jasne. Wiem, jak wygląda, kiedy ma zły dzień. Dziś wszystko z nim w porządku.

Wszyscy siedzą w środku, nawet bardzo skacowany Szczęściarz. Zamiast usiąść odchrząkują.

– Czy komuś będzie przeszkadzać, jeśli zrobię kilka zdjęć?

Mężczyźni wymieniają osłupiałe spojrzenia, po czym znów patrzą na mnie.

– Lubię robić zdjęcia. Chciałabym w ten sposób zarabiać na życie. Jeśli nie macie nic przeciwko, zrobiłabym wam kilka fotek, żeby mieć na pamiątkę, gdy znów się przeprowadzimy. Bez pozwania, bo to niezręczne, tylko... po prostu uchwycę was. Takich, jakimi jesteście.

Szczęściarz gapi się w swoją kawę z grobową miną, jakby znajdowały się w niej odpowiedzi na zagadki wszechświata i będzie miał przesrane, jeśli nie wskrzesi w sobie energii, żeby je odnaleźć.

– I ze wszystkich możliwych dni wybrałaś właśnie dziś – wzdycha.

– Nie tylko dziś. Powtórzyłabym to od czasu do czasu.

– A rób, Niebieska – mówi Pierce, ustawiając swoje pionki. – I tak niewiele będzie dziś z ciebie pożytku.

Przez chwilę przyglądam się partiom, nie wyciągnąwszy aparatu z plecaka, i daję weteranom szansę, by się rozluźnili. Czasem zdarza się, że ktoś nie może skupić się na grze i chodzi między stolami, obserwując szachownice innych, albo mamy nieparzystą liczbę graczy, gdy ktoś na przykład musi iść do lekarza. Mija kilka chwil i znów zachowują się jak zwykle.

Kiedy wyciągam aparat i patrzę przez okienko, świat zdaje się wyraźniejszy. Wyostrzony. Nie żeby choć na chwilę, nawet tu, przestały działać się okropne rzeczy, ale między mną a całą resztą znajduje się teraz szklana bariera.

Jakbym zapomniała, jak się oddycha, i ktoś właśnie szturchnął mnie w żebra, żebym wciągnęła w płuca powietrze.

Robię zdjęcia w czerni i bieli oraz w kolorze, upewniając się, że udaje mi się dobrze uchwycić Landona. Tylko Salwa podał mi swoje nazwisko i właściwie nie wiem, jak zapytać o nie pozostałych, nie wzbudzając przy tym podejrzeń.

Gdy patrzę przez obiektyw, wszystko wydaje mi się bardziej oczywiste. Na przykład to, że Corgi jednym okiem obserwuje grę a drugim Szczęściarza. To, jak Płochemu trzęsą się ręce, a jego oczy są smutne i jak Jorge w niezauważalny sposób go obserwuje. Jorge zwykle rusza się z zawrotną prędkością, z hukiem przestawia pionki na szachownicy i cofa rękę, jakby ktoś miał do niego strzelić. Dziś działa powoli i przesuwając pionki tak, że filcowa podklejka nie odrywa się od drewna planszy. Nic nagłego, nic gwałtownego. Kiedy Phillip wyciąga dłoń, żeby zbić gońca Stevena, podciąga mu się rękaw, ukazując jednoszynową bliznę po szwach sprzed lat – grubą, bladą linię z kropkami biegnącymi po obu stronach.

Salwa wygląda na jeszcze starszego, jeśli to w ogóle możliwe. Miękkie bruzdy w jego skórze wydają się głębsze, blizna na skroni bardziej naciągnięta. Robię też kilka zdjęć Hannah, kiedy przychodzi sprawdzić, jak się czuje dziadek, i kiedy wraca do auta, by zająć się robotą na drutach. Na tylnym siedzeniu ma stertę wydzierganych kocyków dziecięcych. Kiedy o nie pytam, mówi, że przekazuje je miejscowemu szpitalowi na oddział noworodkowy, żeby każdy niemowlak wrócił do domu z porządnym kocykiem. Dopiero dziś zagadnęłam ją, dlaczego tyle czasu poświęca robotą na drutach, bo to pytanie wydawało mi się nieco dziwne. Bardzo podoba mi się ten pomysł – niewinna istotka, która dopiero co pojawiła się na świecie, wraca do domu



z czymś, w co włożono serce.

Po pewnym czasie idę do środka po coś ciepłego do picia. Po raz pierwszy piję na miejscu, przy stoliku. Na ladzie leżą nowe ciasteczka, które pachną obłędnie, a ja nie jadłam nic prócz bananów nocą, ale nie mam zamiaru się skusić, a przynajmniej nie bez mamy, która powiedziałaby mi, kiedy przestać, gdybym się zagalopowała. Wiem, że nadal jestem zbyt niestabilna po wczorajszej nocy (dzisiejszym ranku?), żeby sobie ufać.

Ledwie zajmuję miejsce i wykładam bruliony na stół, gdy widzę, jak do środka wchodzi Landon i zaczyna się rozglądać. Kurwa. Obrzydza mnie, gdy muszę koło niego przejść. A jeśli teraz jestem łatwym celem?

– Mogę się dosiąść?

Podnoszę wzrok i widzę, że Joshua stoi prawie za moimi plecami, mierząc wzrokiem Landona. Siedział przy swoim stoliku, kiedy przyszłam, z nosem utkwionym w nowej książce w twardej oprawie, całkowicie pochłonięty lekturą. Rozmawialiśmy ze sobą kilka razy, spotykając się tu przypadkiem. Jest miły i nigdy nie zachowuje się nachalnie lub niewłaściwie. Nie mam dziś ochoty na towarzystwo, ale... nie chcę, żeby dosiadł się do mnie Landon.

– Pewnie.

Siada na skos ode mnie przy czteroosobowym stoliku, dając mi tym samym nieco przestrzeni, i wiesza płaszcz na krzesło obok. Ściągam mój ze stolika przekładam go na ostatnie wolne krzesło. No proszę, nie ma więcej miejsca. Z rezerwą mierzę Joshuę wzrokiem, nie do końca wiedząc, czy mam ochotę na bzdurne rozmowy, ale on tylko otwiera książkę na zakładce, obejmuje dłonią filiżankę i wraca do czytania.

No to w porządku.

Landon zajmuje miejsce kilka stolików dalej ze sfatygowaną, pozbawioną okładki książką w miękkiej oprawie. Możliwe, że to ta sama, którą czytał miesiąc temu albo inna potraktowana w podobny sposób. Mam wrodzony brak zaufania wobec ludzi źle traktujących swoje książki. Otwiera zniszczony egzemplarz i pomijając fakt, że trochę za często na mnie zerka, wydaje się nie robić gwałtownych ruchów. Odkładam klucze z brelokiem i z gazem pieprzowym w gotowości na stół i otwieram pierwszy notatnik.

W moich dziennikach brakuje konsekwencji. Czasem piszę codziennie, czasem co kilka dni, a wpisy mogą być krótkie, typu „wszystko w porządku, nie ma o czym opowiadać”, lub zajmować całe strony nieistotnymi pierdołami. Kiedy tata po raz pierwszy dał Chavi szlaban (za to, że trzymała się z chłopcem za rękę, jeżdżąc na wrotkach podczas wycieczki ośmioklasistów na tor wrotkarski), żeby upuścić pary, zaczęła epicką tyradę, która zajęła jej czternaście godzin i nieco ponad pół brulionu. Obie zawsze spisywałyśmy wszystko, co chodziło nam po głowach, są tam więc rysunki, zdjęcia i mapy, numery telefonów i adresy, a nawet listy zakupów, rzeczy do zrobienia, klucze do testów wymieszane z aktualnym komentarzem na temat tego, co robimy i jak się czujemy danego dnia. Można omijać pewne wpisy, ale przez to, jak szybko może przeskakiwać ciąg myśli bez żadnej przerwy czy ostrzeżenia, nie da się tego robić zbyt prędko.

Gdy zagłębiam się w swoje wpisy, przypominam sobie, że mimo wszystkiego, co się stało, byłam nawet szczęśliwa w San Diego. Miałam tam przyjaciół.

Poprawka.

Miałam tam przyjaciółkę, a wobec innych po prostu byłam miła.

Kwiaty zaczęły przychodzić w marcu (tak jak w tym roku), najpierw żonkile. Nie miałam powodu myśleć, że to nie chłopak, któremu pomagałam w nauce. Rumienił się za każdym razem, gdy na niego spoglądałam, i nigdy nie mówił tonem głośniejszym niż szept. To były tylko kwiaty, a ten chłopak wydałby mi się uroczy, gdyby dał mi je osobiście, zamiast zostawiać je na progu.

Po żonkilach pojawiły się kalie, wianek z gipsówki, z kapryfolium, wiązanka frezji. Ostatni pojawił się bukiet białych goździków z czerwonymi obwódkami, które wyglądały, jakby krwawiły. Pomiędzy strony brulionu wetknięte są też ich zdjęcia.

Goździki pojawiły się na dwa dni przed ekipą od przeprowadzek i w następnym tygodniu byłam już w Waszyngtonie.

Tydzień później nie miałam już przyjaciółki w San Diego. Trójka z Quantico zadawała mi nową rundę pytań i patrzyła na mnie pochmurnym wzrokiem, więc uznałam, że mogę sama sprawdzić informacje o pozostałych zamordowanych dziewczynach, zanim zapytam agentów o coś, co tylko pogorszy ich parszywy nastrój. Eddison zagadnął mnie, czy chcę znać kontekst tego przesłuchania, a ja powiedziałam, że nie.

Aż odetchnął z ulgą.

Czytanie o tym, jaka byłam szczęśliwa w San Diego, boli, bo to była anomalia. Boli i mnie wkurza, a od śmierci Chavi mam w sobie tyle gniewu i po prostu...

Chcę...

Jestem tak piekielnie zmęczona.

Zamykam ostatni brulion i pocieram twarz dłońmi, jakbym mogła z niej zetrzeć warstwę wściekłości i żalu. Joshua już dawno sobie poszedł i widzę, że na szczęście Landon też. Na miejscu Joshuy leży karteczka z tym samym numerem, co na wizytówce, którą dał mi kilka tygodni temu. Firmy przewozowej jego kolegi.

Wyrzucam karteczkę, bo nadal mam w portfelu wizytówkę. To miły gest z jego strony, ale po prostu nie skorzystam.

Marznę po drodze do domu, a gdy ostatnie promienie słoneczne ustępują całkowitej ciemności, robi się jeszcze zimniej. Pewnie mama wróci do domu niedługo po mnie. Aby przestać myśleć o tym, jak jest mi lodowato, wyliczam po cichu rzeczy, które mam zrobić dziś wieczorem: zeskanować zdjęcia z pamiętników, zgrać te z szachów i przesłać je agentom.

Na progu niczego nie ma. Chcę, żeby to oznaczało coś dobrego.

Nie jestem pewna, czy jeszcze potrafię coś takiego rozpoznać.



Nigdy właściwie się nad tym nie zastanawiał – nad uszczypliwymi uwagami Ramirez, które stanowiły element dynamiki zespołu, niemal odkąd do niego dołączył – ale tęskni za nimi, gdy Ramirez robi się miła.

Eddison wie, jakie to niedorzeczne, że cały czas trzyma w ręce lub w jej zasięgu swoją prywatną komórkę i że zrywa się złęczony za każdym razem, gdy w biurze zadzwoni telefon. Zdaje sobie sprawę z tego, że jest bardziej płochliwy niż pies w sylwestra, i nawet wyszłoby mu na dobre, gdyby koleżanka wbiła mu z tego powodu szpilę czy dwie.

Ale przecież ona widzi, jaki jest niespokojny. Rozumie to. Nie będzie mu więc z tego powodu dogryzać, nawet jeśli on w dziwny sposób tego potrzebuje (powalone, co?), bo pewnie musi się z całych sił powstrzymywać, żeby nie wystukać długopisem dziury w blacie biurka.

Jest teraz na lunchu, przeprosinowej randce z dziewczyną z wydziału antyterrorystycznego, którą musiała porzucić w niedzielę. Vic pojechał wspierać duchowo Danelle podczas najnowszej rundy przesłuchań w prokuraturze. Danelle jest dość stabilna emocjonalnie, biorąc wszystko pod uwagę, i na tyle mocno stąpa po ziemi, żeby widzieć, w jak koszmarnej znajduje się sytuacji, ale ma w sobie tyle optymizmu, że stara się przeczekać, liczyć na to, że będzie lepiej.

Jego służbowa komórka zaczyna dzwonić, na co Eddison aż się wzdryga i sprawdza swój prywatny telefon, choć poznaje po dzwonku, że to ten drugi. Marszczy czoło, widząc imię na wyświetlaczu.

– Cześć, Inaro.

– Vic jest nadal z Danelle?

– Tak, a co?

– Bliss i ja nie przyjedziemy w tym tygodniu, tak jak planowałyśmy. – Słyszysz w słuchawce wiatr, trąbienie aut, odgłosy miasta. Pewnie siedzi na schodach pożarowych albo na dachu swojego budynku. Tak czy inaczej na zewnątrz. Nie jest zdziwiony, że chciała przeprowadzić tę rozmowę z dala od swoich współlokatorek. – Zostawiłam Hanoverianowi wiadomość na poczcie, ale nie zawsze od razu sprawdza prywatną komórkę, jeśli ktoś nie dzwonił dwa razy.

– Coś wam wyskoczyło?

– Powiedzmy, że Bliss przechodzi ciężkie dni.

W tle rozlega się warkliwe „Pierdol się!”, na co Eddison ma ochotę zapytać, czy to się różni od każdego innego dnia, ale stwierdza, że chyba z tego wyrósł. Czy coś w tym guście.

– Jakiś konkretny powód?

– Kilka. Jej rodzice naciskają, żeby przyjechała do nich w odwiedziny. Nie podoba im się, że nie jest na to gotowa.

Bliss była uznawana za zaginioną przez dwa i pół roku. Po roku poszukiwań cała jej rodzina przeprowadziła się do Paryża, gdzie jej ojciec dostał pracę jako wykładowca. Skoro innym dziewczynom trudno jest powrócić do rodzin, które nigdy nie przestały ich szukać, o ile trudniej jest odbudować relacje z bliskimi, którzy postanowili żyć dalej?

– I cały czas mówią do niej Chelsea – Inara dodaje po chwili, a przekleństwa Bliss w słuchawce stają się bardziej odległe i niewyraźne.

– Tak ma na imię – Eddison czuje się w obowiązku przypomnieć.

– Wcale nie. Powiedz do mnie „Maya”, a nawet nie mrugnę. Powiedz „Samira”, a dźgnę cię nożem.

Eddison śmieje się trochę wbrew sobie, nie dlatego, że uważa słowa Inary za żart, wie, że mówi całkowicie poważnie. Poświęciła całe lata na to, by upewnić się, że Samira Grantaire nic nie znaczy, jest tylko duchem małej dziewczynki, emocjonalnie osieroconej na długo, zanim fizycznie ją porzucono. Inara to imię, które sama sobie wybrała, Maya – które zaakceptowała, gdy nadał je Ogrodnik, bo chciała żyć. Maya jest znamieniem, tuszem na jej plecach, ale Samira to rana, która może się zagoić tylko wtedy, gdy nikt więcej o niej nie wspomni.

Eddison odchrząkuje, żeby zagłuszyć resztki śmiechu.

– Ale chyba nie chce do końca życia być Bliss, co?

– Nie bardzo. Jak na razie uważa, że to zabawne. Ma listę innych opcji.

– Jacyś poważni kandydaci?

– Ja jestem za Victorią – mówi Inara beznamiętnym tonem. – Myślisz, że Vic uzna to za komplement?

Eddison aż się krztusi i znów zaczyna śmiać. Bo Vic byłby tym wzruszony, a to jeszcze śmieszniejsze.

– O Jezu.

– Tak czy inaczej Bliss nie czuje się najlepiej, co znaczy, że nie powinna przebywać w pobliżu ludzi, którym można zrobić krzywdę.

– Wiem, że ty i twoje współlokatorki macie wyjątkową definicję tego, co znaczy krzywda, ale czy to naprawdę dobry pomysł, aby zostać w domu?

– Nie, dlatego wynajmiemy sobie pokój w hotelu. Już wzięłyśmy na kilka dni wolne w pracy. Bliss będzie się mogła wściekać i biadolić bez poczucia winy, że rozszarpuje na strzępy niewinnych ludzi.

– Nie wiem, czy liczymy się jako niewinni. Albo tacy, których łatwo rozszarpać.

– Ale córki Vica już tak, a Bliss nigdy by sobie nie wybaczyła, gdyby wyrządziła im krzywdę. – Jej głos jest cichy, prawdopodobnie zbyt cichy, by koleżanka mogła go dosłyszeć. – Wiem, że jego córki są silne. Ty też o tym wiesz. Ale są niewinne mimo jego pracy i to... to po prostu zły pomysł.

– Co jeszcze u was słychać? – pyta, na co w odpowiedzi pada niezadowolone prychnięcie. Nie żeby zwykle był bardzo spostrzegawczy, ale Inara zawsze zdaje się mieć mu za złe, gdy uda mu się coś zauważyć. – Co innego ją wkurza?

Następuje długa cisza, która z powodu wiatru i odległych przekleństw Bliss przypomina trochę szum fal radiowych. Eddison może i nie jest najbardziej cierpliwym agentem w FBI, ale wie, kiedy poczekać, gdy po drugiej stronie słuchawki formuje się jakaś odpowiedź.

Gdy Inara w końcu odpowiada, jej głos jest przepełniony bólem, powoli cedzi każde słowo.

– Dostałam kolejny list od Desmonda.

– List od... zaczekaj, *kolejny*?

– To już czwarty. Przychodzą do restauracji, a adres zwrotny należy do kancelarii jego adwokata. To chyba tłumaczy, skąd wie, gdzie pracuję.

– Co pisze?

– Nie wiem, jeszcze ich nie otworzyłam. – Wzdycha. – Przekażę je wam. Naprawdę chciałam was zawiadomić już przy pierwszym, ale Ravenna miała wtedy kryzys z matką i zapomniałam. A potem przyszedł drugi i uwierz mi, naprawdę miałam zamiar.

– Ale przywykłaś do tego, że masz jakiś sekret. – Eddison jest dumny z tego, jakim równym, neutralnym i nieoceniającym głosem to powiedział. Zabrzmiał wręcz wspierająco.

– Trzeci nadszedł, gdy wiadomość o samobójstwie Amiko przedostała się do mediów.

– Ją nazywasz imieniem nadanym przez rodziców.

– Bo widziałam, jak zostaje złożona do ziemi. – To robi większą różnicę, niż pewnie powinno, ale Eddison nie ma zamiaru z nią o tym dyskutować.

– A teraz przyszedł czwarty.

– Koperty są grube. Nie sprawiają wrażenia, żeby było w nich coś więcej prócz papieru, ale kartek jest chyba sporo.

Nawet gdyby sprawa nie była skomplikowana, a jak wiadomo, w przypadku Desmonda MacIntosha nigdy tak nie było, chłopak nie powinien kontaktować się z Inarą, ponieważ jest oskarżonym, a ona świadkiem i ofiarą porwaną przez jego ojca.

– Jeśli dam znać oddziałowi w Nowym Jorku, podrzuciłabyś im te listy, zanim zabunkrujecie się w jakimś hotelu?

Ktoś, kto nie spędził z nią długich godzin w pokoju przesłuchań, pewnie nie wyłapałby zawahania w jej głosie, zanim powie „tak”.

– Pojedźcie gdzieś na plażę, jeśli jeszcze nie zarezerwowałyście hotelu – sugeruje Eddison. – Dla turystów jest jeszcze za zimno. To może pomóc.

– Myślisz?

– Dziki nieskończony bezmiar wody jak okiem sięgnąć.

Inara mruczy w zamyśleniu i Eddison wie, że wyłapuje wszystkie warstwy znaczeń. Ogród był zamkniętą przestrzenią, doskonale zaprojektowaną i utrzymaną, sztuczną. Ocean jest nieokielznany, tak ogromny, że można poczuć się przy nim małym i w pełni sobą. Nie ma żadnej fasady, maski, upiększeń.

Ocean po prostu jest. Eddison podejrzewa, że nie tylko na Bliss podziała kojąco.

Nawet jeśli ani ona, ani Inara później się do tego nie przyznają.

– Dam Vicowi znać o zmianie planów – mówi Eddison, zamiast czekać, aż dziewczyna

przyzna mu rację lub odrzuci pomysł.

– Wyślij mi SMS-em nazwisko agenta, z którym się skontaktujesz – odpowiada Inara. – Zapytam o niego.

Waha się, zanim skończy rozmowę, bo cholera, to naprawdę nie w jego stylu.

– Gdybyście czegoś potrzebowały...

– A co, Eddison, zamieniasz się w ciepłego misia? To by było straszne.

Może nie powinno to być dla niego pocieszające, ale jest.

Inara sobie poradzi. Bliss też.

Pewnego dnia.



Kiedy w czwartek wychodzę z domu na szachy i znajduję na ganku bukiet biało-fioletowych kalii, zdaję sobie sprawę, że cokolwiek mama i ja próbujemy osiągnąć w Huntington, będzie to bardziej skomplikowane, niż początkowo zakładaliśmy. Robię zdjęcia, sprawdzam bilecik – znów tylko *Priya* – i zostawiam je dla policji, agentów czy kogokolwiek, kto zostanie tu wysłany w odpowiedzi na mój SMS do Eddisona i e-mail do agenta Finnegan. Po kilku minutach zmagania się z ostatecznym podjęciem decyzji – głównie żeby się upewnić, że będę w stanie później z tym żyć – wysyłam Eddisonowi drugą wiadomość.

*Powiedz mi resztę.*

Jeśli ma się rozegrać pozostała część rozgrywki, to nie ma jak tego uniknąć. Nie wątpię, że Eddison ograniczy to, co nam powie, a mama i ja możemy udawać, że o niczym nie wiedziałyśmy. Nikt nie musi na razie zdradzać żadnych sekretów.

Życie nie było kiedyś tak skomplikowane.

Dziesięć minut później dostaję odpowiedź z godziną i numerem lotu, które przesyłam mamie. Ona zaproponuje Eddisonowi, że po niego pojedzie, on odmówi, bo nie radzi sobie zbyt jako pasażer, jeśli nie prowadzi Vic i pewnie dojedzie do Huntington na godzinę przed nią.

Nie zmienia to faktu, że nadal mam do zapelnienia większą część dnia, ale jestem zbyt wkurzona, żeby ryzykować pójsie na szachy.

Mija kolejnych kilka minut i widzę w telefonie, że dostałam e-maila od Finnegan, w którym przekazuje mi nazwiska dwóch agentów wydelegowanych po kwiaty. Droga z Denver powinna im zająć około godziny.

Podjeżdżają pod dom czarnym SUV-em jakieś czterdzieści minut później. Jestem w kuchni i siedzę w oknie, dziabiając łyżką wystygłą owsiankę. Agenci są młodzi, pewnie niedawno ukończyli akademię. Jeden z nich to ładna blondynka, która będzie musiała zaciekle walczyć, żeby zasłużyć sobie na szacunek w swojej profesji, drugi to ciemnoskóry mężczyzna o szerokich barkach, dzięki którym skończył pewnie studia na stypendium sportowym.

– Priya Sravasti? – woła mężczyzna, pukając do drzwi. – Tu agent Archer i agent Sterling. Przysłał nas agent Finnegan.

Widzę przez okno, jak Sterling klęczy już przy kaliach uzbrojona w niebieskie, neoprenowe rękawiczki.

Jeszcze raz sprawdzam nazwiska w e-mailu i podchodzę do drzwi.

– Szybko przyjechaliście.

Agent Archer uśmiecha się ciepło i naturalnie, ale nie tracąc nic z profesjonalizmu.

– Finney... agent Finnegan kazał nam nie zajmować ci zbyt wiele czasu.

No proszę, Vic ma niezłe kontakty.

Archer zadaje mi kilka pytań – czy dotykałam kwiatów, czy kogoś widziałam albo słyszałam, czy będę się czuć bezpiecznie, jeśli zostanę w domu sama – rzeczy, które już wysłałam Finneyowi e-mailem, ale dobrze rozumiem, że to element tej pracy, nawet jeśli wydaje się nieco zbyteczny. Odpowiadam więc cierpliwie, również kiedy agent celowo się powtarza, żeby sprawdzić, czy moje odpowiedzi się zmieniły albo czy przypomniałam sobie coś nowego.

Gdy tak rozmawiamy, Sterling dokładnie przygląda się bukietowi, starając się niczego nie naruszyć. Papier, w który zawinięto kwiaty, jest w tym samym kolorze radosnej, wiosennej zieleni i wyraźnie widoczny przez foliowe opakowanie. Gdy wszystkiemu zdołała się już przyjrzeć, wkłada bukiet do dużej przezroczystej torby na dowody i zakleja ją. Jej pismo na zamknięciu jest nieco niestaranne i niezgrabne w miejscach, gdzie folia się marszczy. Łatwiej byłoby chyba podpisać worek, zanim coś się do niego schowa.

Z drugiej strony agenci muszą zagwarantować, że to, co napisano na etykiecie, naprawdę znajduje się w środku, a trudno byłoby mieć pewność, jeśli torba zostanie podpisana zawczasu.

Sterling zanosí zapakowany bukiet do samochodu i wkłada go do zamykanej na klucz kasetki w bagażniku. Następnie wyciąga niską drabinkę i dwie skrzynki z narzędziami.

Spoglądam na Archera.

Raz jeszcze się uśmiecha i chowa swój mały notesik do kieszeni płaszcza.

– Finney powiedział, że firma twojej mamy zgodziła się na kamery. Skoro już tu jesteśmy, to je zainstalujemy.

– Pudełka ze sprzętem są tam – mówię, pokazując na szafę w korytarzu. – Marki, którą

polecał agent Finnegan.

– Są jeszcze jakieś inne drzwi oprócz frontowych i tylnych?

– Nie.

Zaprowadzam Sterling do drzwi na tyłach. Obie z mamą na śmierć zapomnieliśmy o ich istnieniu, aż Finnegan kazał nam sprawdzić, czy nie leżą przed nimi jakieś kwiaty. Nie leżały, a przez pobliski płot trudno byłoby dyskretnie się do nich dostać, ale zamontowanie przy nich kamery brzmi sensownie.

Tak na wszelki wypadek.

Sterling wyciąga ze swojej skrzynki z narzędziami zwinięty przyborek, który zawieszony na drzwiach wygląda jak nietypowy bożonarodzeniowy wieniec. Ma mnóstwo kieszonek i przegródek, więc agentka łatwo wyciąga z niego potrzebne narzędzia, gdy stoi na drabinie. Genialne rozwiązanie.

Archer nie ma czegoś takiego, więc zarzucam na siebie płaszcz i dołączam do niego przy drzwiach wejściowych, żeby podawać narzędzia. Nasz kuchenny taboret jest na tyle solidny, żeby utrzymać mnie lub mamę, ale skrzypi za każdym razem, kiedy agent się porusza.

– Uczyłem się o sprawie twojej siostry w akademii – mówi po pewnym czasie, trzymając między palcami splątane kable kamery.

Powinam pewnie jakoś odpowiedzieć, a przynajmniej grzecznie potwierdzić, że usłyszałam.

Ale nie.

Nie wydaje się tym zniechęcony.

– Na zajęciach analizowaliśmy pewne otwarte dochodzenia. Miały nas uświadomić jeszcze przed rozpoczęciem pracy w terenie, że nie każdą sprawę da się doprowadzić do końca. Podasz kombinierki? Te ostro zakończone.

Podaję.

– Pewnie bardzo tęsknisz za siostrą.

– Nie lubię o tym rozmawiać.

Jego dłonie nieruchomieją.

– Domyślam się – mamroczę. Przez chwilę pracuje w ciszy. Macha do nas sąsiadka z naprzeciwka ciągnąca dwójkę brzdąców do vana. Odmachuję, mimo że ona już na nas nie patrzy, ale jeden z jej synków tak. Archer odchrząkuje. – Przepraszam.

– Za co?

– Zachowałem się niestosownie, poruszając prywatne sprawy. Chciałem jakoś podtrzymać rozmowę.

– Rozmawiać, agencie, to można o pogodzie albo korkach. O wynikach przedsezonowych rozgrywek baseballa. Nie muszę wiedzieć, że pewnie widziałeś nagie zdjęcia mojej nieżyjącej siostry. – Obserwuję, jak van wyjeżdża z podjazdu. Drugi z bliźniaków przyciska buzię do szyby, udając potwora. Do niego też macham. – Wiem o tym, że akademie wykorzystuje tę sprawę jako narzędzie szkoleniowe. Agent Hanoverian uprzedził nas kilka lat temu.

– Ale ty lub twoja matka się na to zgodziłyście.

– Nie zgodziłyśmy. Nikt nas nie zapytał o zdanie. FBI może wykorzystywać swoje sprawy, żeby szkolić nowych agentów i nie muszą mieć pozwolenia od ofiar albo rodzin. Niech zgadnę – sprawa wydała ci się fascynująca i jesteś wdzięczny, że mogłeś nad nią pracować?

– Coś w tym rodzaju.

– No to nie bądź wdzięczny. To oznacza, że cieszysz się z tego, że komuś stała się krzywda.

– Hanoverian często wyklada na akademii. Wdzięczność to dla niego ważny temat. –



Podaję mu imbus.

– A słuchasz czasem, za co jest wdzięczny?

– Finney nie wspominał, jaka jesteś cięta.

Wlepiam wzrok w taboret i dochodzę do wniosku, że nie jestem w stanie go spod niego wykopać, jednocześnie nie ryzykując, że zrobię sobie krzywdę. Vic byłby rozczarowany, gdybym uszkodziła agenta, Eddison – gdybym uszkodziła siebie.

– Pójdę sprawdzić, co u Sterling.

Kiedy ostrożnie otwieram tylne drzwi, agentka zerka na mnie i kręci głową.

– Mówiłam mu, żeby o tym nie wspominał.

– Ty też się o tym uczyłaś?

– Kiedy byłam w gimnazjum, pewnego dnia wróciłam z moją najlepszą przyjaciółką ze szkoły w chwili, gdy jej ojca aresztowano za serię morderstw. Co on robił tym kobietom... Tego dnia, gdy się o nim uczyliśmy, wróciłam do siebie i wymiotowałam przez resztę wieczoru, bo w dzieciństwie spędzałam w domu tego człowieka jeden lub dwa dni tygodniowo. Nigdy jej nie powiedziałam.

– Dlaczego nie? – Czy byłoby inaczej, gdyby powiedziała jej o tym przyjaciółka?

– Ta historia już i tak wystarczająco zniszczyła jej życie. Dlaczego miałabym się do tego dokładać? – Otrzepuje ręce, ściąga swój przybornik z drzwi i schodzi z drabinki. – Podejrzewam, że ty też codziennie żyjesz sprawą swojej siostry. Mam iść z nim porozmawiać?

– Nie tym razem. Zobaczmy, czy popełni ten błąd po raz drugi.

Doceniam jednak, że się zaoferowała. Wygląda na młodą, prawdopodobnie niedawno skończyła akademię, a upominanie starszego stażem agenta pewnie nie jest łatwe.

– Sprawdźmy jeszcze, czy twój komputer może się połączyć z kamerami, i dajemy ci spokój. – Uśmiecha się bokiem i podaje mi wizytówkę. – To moja komórka i e-mail na wypadek, gdybyście czegoś potrzebowały, a Finney był zajęty.

– Myślę, że się świetnie dogadamy, agentko Sterling.

Archer wszystko instaluje, ale to Sterling pokazuje mi, jak przeglądać pojedyncze znaki czasu, jak zrobić zdjęcie z nagrania i jak od razu załączyć je do e-maila bez konieczności wcześniejszego zapisania. Kiedy widzi, że z łatwością obsługuję nowy program, zbierają się do wyjścia.

– Wiesz co – gwałtownie mówi Archer, gdy Sterling pakuje swoje narzędzia z powrotem do SUV-a – jeśli masz zamiar chować głowę w piasek przed wiedzą o pozostałych morderstwach, to powinnaś przynajmniej być wdzięczna, że analizowali je inni ludzie. FBI nie zwiera szyków tylko dlatego, że ktoś wysłał ci kwiaty. One mają znaczenie.

– Nikt nie wysłał mi kwiatów – mówię mu, świadoma baczego spojrzenia Sterling. – Dostarcza mi je pod drzwi. Gdybym nie uważała, że to coś oznacza, to nigdy bym o tym nie wspomniała.

Odjeżdżają spod naszego domu kilka minut po południu. Eddison przyjedzie tu, w zależności od korków w Denver, dopiero w okolicach osiemnastej, co daje mi mnóstwo czasu, nie jestem jednak w stanie skupić się na nauce.

Oto, na czym polega problem z fioletowo-białymi kaliami – druga znana ofiara, Zoraida Bourret, miała je ułożone wokół głowy jak na obrazie Alfreda Muchy. W jej skrzyżowanych dłoniach spoczywających na mostku znajdował się pojedynczy kwiat.

Każda ofiara ma swój kwiat, a kwiat znaczenie – coś, co w umyśle mordercy łączy go z ofiarą. Na dwa dni przed śmiercią Chavi miała na głowie wianek z jedwabnych chryzantem, a kiedy ją znalazłam, we włosy wplecione były prawdziwe kwiaty. W wielkanocny poranek, kiedy Zoraida pomagała młodszemu rodzeństwu ustawić się do rodzinnego zdjęcia, miała kalię

przypiętą do białej, wizytowej sukienki.

Nie wiem, co oznaczają kwiaty dla tego skurwiela, ale wiem, że Eddison tak by się nie bał, gdyby którakolwiek z rodzin pozostałych ofiar otrzymywała tego typu przesyłki. Czy to sprawka fana, czy zabójcy, te bukiety przeznaczone są tylko dla mnie.

To coś, czego arogancki agent – „Uczyłem się o tej sprawie, więc jestem ekspertem” – Archer pewnie nie zrozumie.

A Eddison tak. Zastanawiam się, czy mi o tym powie.

Podgrzewam puszkę zupy na lunch i przelewam ją do kubka termicznego. W zeszłym tygodniu jedna pani w Starbucksie opowiadała głośno przez telefon o nowych witrażach, które niedawno wstawiono w jej kościele, i o tym, jakie są piękne. Wtedy nie byłam szczególnie zadowolona, że muszę się przysłuchiwać tej rozmowie, ale teraz wręcz przeciwnie. Obejrzenie witraży wydaje mi się idealnym sposobem na wypełnienie tych kilku godzin.

Żonkile, a po nich kalie. Trudno nazwać coś sekwencją, kiedy na liście są tylko dwa punkty, ale jak na razie zgadzają się z kolejnością morderstw oraz dostawami w San Diego. Nikt nie rozpoczyna schematu, zamierzając już na samym początku z niego zrezygnować – jeśli coś ma mi się przydarzyć, to dopiero kiedy dostanę wszystkie kwiaty. Jak na razie jestem więc bezpieczna, nawet w kościołach.

Z torbą na aparat przerzuconą przez ramię znajduję adres w telefonie i zaczynam iść, po drodze upijając po łyku zupy. Kończę lunch, zanim dojdę do kościoła – żółtego paskudztwa, które chyba nie może być celem mojej wyprawy. To jedna z tych świątuń, której charakter poświęcono na rzecz rozmiaru – wielki, przytłaczający i kompletnie bez klimatu. Nie jestem chrześcijanką – właściwie nie mam wyznania – ale przez to, że w Bostonie wychowywałam się w pobliżu pięknego kościoła z szarego kamienia, mam pewne zdanie o tym, jaką atmosferę powinny roztaczać takie miejsca.

W budynku znajdują się okna – strzeliste, smukłe i kompletnie pozbawione koloru. O czym, do cholery, mówiła ta kobieta?

Przez chwilę stoję na parkingu, co przy temperaturze trzy stopnie na minusie nie jest znów takie straszne... cholera, co jest ze mną nie tak, że taka temperatura nie robi już na mnie wrażenia?

– Zgubiłaś się? – woła do mnie kobieta oparta o framugę bocznych drzwi. Z papierosa w jej dłoni unoszą się wąskie strużki dymu.

– Możliwe – odpowiadam, idąc w jej stronę. – Słyszałam, jak ktoś opowiadał o nowych witrażach i...

– To w kaplicy. – Macha ręką, nieumyślnie kierując dym w moją stronę. – Pokażę ci. Jeden z fundatorów kościoła strasznie się wściekł, kiedy wzniesiono nowy budynek, więc zastrzegł, że jego pieniądze mogą zostać przekazane tylko na budowę tradycyjnej świątyni. Nie podobało mu się to, jak modernizuje się kościół.

Kobieta prowadzi mnie wzdłuż czegoś, co można określić jedynie jako kompleks budynków, wszystkie z paskudnego żółtego kamienia, ale za rogiem i pasem zieleni nad skrajem drzew stoi mała budowla z czerwonej cegły i... Jasna cholera, szkła jest w niej tyle samo co murów!

Kobieta uśmiecha się do mnie, a może na widok mojej zachwyconej miny, i wskazuje mi drzwi.

– Są otwarte, skarbie. Oglądaj, ile chcesz.

Stawiam na schodku pusty kubek, wyciągam aparat i najpierw obchodzę kaplicę z zewnątrz. Większość sporych rozmiarów witraży jest misterna i elegancka, ale nie przytłacza nadmiarem szczegółów. Przywykłam do kościołów, w oknach których przedstawia się albo sceny

i postaci biblijne, albo kompletne abstrakcje, choć zwykle związane z naturą. Na jednym witrażu znajdują się góry oraz obłoki ciągnące się w oddali. Na następnym wiry bieli pomiędzy falami błękitu i zieleni, a za nimi wysokie drzewa, a na jeszcze następnym bukiet kwiatów.

Pomiędzy wielkimi oknami znajdują się małe rozety, mniej więcej dwa razy większe od mojej głowy, umieszczone po trzy, jedna nad drugą, w nieco bardziej tradycyjnej palecie barw, z pięknie zdobionymi ołowianymi ramkami. Nawet kiedy przerzucam aparat na tryb czarno-biały, bogactwo barw jest odzwierciedlone w skali szarości.

Nie wiem, ile razy obchodzę kościół, zanim zabiorę swój kubek i wejdę do środka. Promienie słoneczne rozlewają kolory po posadzce, powodując całkowity chaos, bo barwy z północnych i zachodnich okien nakładają się na siebie i zanikają w miejscach oświetlonych naturalnym światłem. Nie ma tu krzesel ani ławek, jedynie cztery klęczniki z ciemnego drewna z aksamitnymi poduszkami.

Chavi byłaby i zachwycona tym miejscem, i jednocześnie nie znosiłaby tego, że miesza się tu tyle kolorów.

Szukam dziwnych ujęć, na których widać migoczące drobinki kurzu tańczące w powietrzu, sprawiające wrażenie, że możesz dotknąć światła, oraz miejsc, gdzie kolory zlewają się ze sobą na kamieniu, tworząc obrazy jak chmury na niebie.

W końcu siadam na jednym z aksamitnych klęczników, opieram głowę o drewno i napawam się atmosferą, która tak bardzo przypomina mi Chavi i jej starania, aby uwiecznić światło i kolor na papierze. Choć bardzo ją to frustrowało, nigdy nie przestawała próbować, bo czasem to droga do celu ma największe znaczenie, a nie jego osiągnięcie.

Kiedy nachylam się do przodu, aby włożyć aparat z powrotem do futerału, coś szeleści mi w kieszeni.

Racja, list od Inary. Sprzed tygodnia. Jakoś kompletnie o nim zapomniałam w całym tym zamieszaniu.

Pewnie powinnam ją za to przeprosić.

*Droga Priyu,*

*dzięki za odpowiedź. Przyznam, że czuję się teraz trochę mniej jak idiotka. I że aż tak się nie narzucam.*

*Ale nadal się miotam.*

*Choć opinia publiczna tyle wie o Ogrodzie, jest jeszcze więcej rzeczy, o których nie ma pojęcia. Mam przeczucie, że większość z nich wyjdzie w trakcie procesu i już teraz sędzę, że niektóre szczegóły wywołają skrajne reakcje. Prawnicy Ogrodnika próbują wymusić postawienie mi zarzutów. Bycie uciekinierką nie jest przestępstwem, ale posługiwanie się fałszywym dowodem tożsamości, żeby móc pracować, już tak, a jeśli będą w stanie udowodnić, że ukradłam gotówkę z domu babci, gdy zmarła, to zapewne mi nie odpuszczą.*

*Jestem wręcz zaskoczona, że nie zarzucili mi jeszcze, że to ja ją zamordowałam, jak gdyby nie było szans, by kobieta, która całymi dniami nie robiła nic prócz palenia szlągów i picia przed telewizorem, mogła kopnąć w kalendarz bez czyjejs pomocy.*

*I rozumiem to, naprawdę rozumiem. Jestem mocnym świadkiem. Potrafię się wysłowić, nie kieruję się przesadnie emocjami i mogę mówić bez końca w imieniu dziewczyn, które nie potrafią zrobić tego same. Jeśli jednak obrona mnie zdyskredytuje, ugodzi to w nas wszystkie.*

*Masz czasem wrażenie, że popkultura cię okłamała?*

Kiedy czytam artykuły albo oglądam materiały w telewizji na temat Ogrodu i prowadzonego śledztwa, Inara zawsze wydaje mi się spokojna i całkowicie opanowana. Nie robi gwałtownych zwrotów w rozmowie, nie mąci reporterom w głowach pokrętnymi wypowiedziami.

Zastanawiam się, czy jest nierozważna, że rezygnuje z części swojej kontroli. A może odkłada ją na bok, pozwala sobie odpocząć.

Wiem, jak to jest.

*Jest tyle filmów i seriali o systemie sprawiedliwości. Sprawiają wrażenie, że wszystko dzieje się natychmiast, że proces i dochodzenie toczą się równolegle, że gliny rozpaczliwie starają się dostarczyć nowe ważne dowody oskarżycielowi w porę przed wielkim finałem i dramatycznymi mowami końcowymi. Wszystko wygląda tak, jak gdyby wyrok skazujący był czymś, co ofiary mają zagwarantowane, by potem móc spróbować wylizać rany.*

*To oczywiście bzdury, ale aż do tej pory nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo odbiegają od prawdy.*

*Trzydziestu lat przestępstw nie da się łatwo przedstawić w sądzie, zwłaszcza jeśli dupek jest bogaty i ma naprawdę dobry zespół prawników. Zniszczenie Ogrodu – nigdy nie przyszło mi do głowy, że to utrudni całą sprawę. To była nasza droga ucieczki. Eksplozja otworzyła drzwi zamykane kodem, do którego nie miałyśmy dostępu, obrona jednak twierdzi, że mogłyśmy swobodnie wchodzić i wychodzić z Ogrodu, ale postanowiłyśmy zostać. Oskarżyciele starają się zidentyfikować odnalezione na miejscu zwłoki, niektóre z nich ucierpiały podczas eksplozji, a inne odnalazły się poza terenem Ogrodu. A sądziłam, że ciała wyeksponowane w gablotach wystarczą.*

*Vic bardzo się stara, żeby żadna z nas nie straciła nadziei, ale powiedział nam ostatnio, żebyśmy przygotowały się na możliwość, że prędzej nadejdzie rocznica naszej ucieczki, niż proces się rozpocznie.*

*Nawet jeśli szukali sprawiedliwości tylko dla dziewczyn, które przeżyły, FBI ma mnóstwo dowodów, które mogą się w ogóle nie przydać. Eddison mówi, że obrona znalazła całą listę lekarzy i psychiatrów, którzy są gotowi pomóc odwlec tę sprawę jeszcze bardziej.*

*Raz Eddison strzelił mi wykład, gdy powiedziałam, że wolałabym, by Ogródnik zginął w eksplozji. Powiedział, że proces to dla nas wszystkich sposób na wymierzenie sprawiedliwości.*

*Czy to właśnie jest ta sprawiedliwość? To, że dziewczyny boją się wyjść z domu, bo wszyscy na nie patrzą i napastują, gdy są w szkole, w pracy, na terapii? To, że chłopakowi, który twierdzi, że jest zakochany, zostają odpuszczone grzechy? To, że mężczyzna, który może uniknąć kary, będzie mieszkał do końca życia w ekskluzywnym domu opieki?*

*Ludzie cały czas mi mówią, że bym była cierpliwa i czekała na sprawiedliwość.*

*Nawet jeśli on zostanie skazany, nawet jeśli dostanie dożywocie bez prawa do zwolnienia warunkowego, a nawet karę śmierci, to jaka jest w tym sprawiedliwość? Musimy na oczach wszystkich rozgrzebać nasze rany, po raz kolejny zacząć krwawić, choć już doskonale wiemy, co on nam zrobił. Czy jakkolwiek wyrok skazujący jest w stanie to zmienić?*

*Jaka sprawiedliwość nakazuje dwunastolatce zeznawać przed sądem i opowiadać o tym, jak została zgwałcona?*

*Gdyby znaleźli człowieka, który zabił Chavi, to myślisz, że by Ci to pomogło? Czy może po prostu jestem cyniczna?*

*Naprawdę się staram wierzyć w tę całą sprawiedliwość, ale nie mogę przestać myśleć o tym, o ile łatwiej by było, gdyby wszyscy trzej MacIntoshowie tamtego wieczoru zginęli.*

*Jeśli Chavi nie może się już domagać sprawiedliwości, to czemu my tak bardzo jej potrzebujemy? Co możemy z nią w ogóle zrobić?*

*Nie wiem, jak odpowiedzieć Inarze. Nie wiem nawet, jak odpowiedzieć sobie.*

*Ale czasem się zastanawiam, czy gdybym to ja umarła tamtej nocy, a Chavi została, by mnie opłakiwać, to biorąc pod uwagę, jak bardzo wierzyła w ideę łaski, czy to by jej wystarczyło, by zachować wiarę w sprawiedliwość?*



Eddison zatrzymuje się na parkingu, patrzy na kamienną kaplicę i wzdryga się. Aż do śmierci nie zrozumie, dlaczego Priya nie znenawidziła kościołów po tym, jak znalazła w jednym z nich ciało swojej siostry. Wie, że kościół-nie-kościół z Bostonu wiązał się dla niej i Chavi z wieloma miłymi wspomnieniami, wie, że patrzy na okna i myśli o słonecznych popołudniach spędzonych z siostrą, ale jakoś nie potrafi pojąć jej nieskończonej miłości do tego typu miejsc z wielkimi oknami.

Priya wychodzi ubrana w swój długi zimowy płaszcz. Ten, który kupiła, by z dramaturgią zamiatać nim po schodach jak czarny charakter z baśni Disneya i rozśmieszać tym swoją mamę. Relacja tych dwóch wykracza poza jego rozumowanie. Priya wsiada na miejsce pasażera, kładąc najpierw w nogach swoją torbę na aparat i kubek ze stali nierdzewnej.

- Witamy w Colorado, krainie lodu.
- Dlaczego jest tu gorzej niż w Waszyngtonie?
- Przez góry.

Patrzy, jak Priya odchyła głowę na oparcie i zamyka oczy.

- Wszystko okej?
- To tylko zmęczenie. Koszmary. – Nastawia sobie kark i siada bokiem, opierając się o szybę, żeby w pełni widzieć Eddisona. – Zaczynam się trochę wkurzać.

Agent kiwa głową.

– Oreó?

– To akurat pod kontrolą. – Marszczy czoło i wykręca ubrane w rękawiczki dłonie. – Czuję pokusę, ale jak na razie jest okej.

– Boisz się?

– Tak.

Eddison docenia, że dziewczyna tego nie ukrywa.

Wynajęty dom jest ładny tak, jak tylko mogą być ładne bezpłatne miejsca, i znajduje się na ulicy pełnej podobnych, nijakich domów, z których właściwie żaden niczym się nie wyróżnia. Inni sąsiedzi próbowali dodać swoim nieco osobowości, wywieszając flagi lub stawiając od frontu posągi, ale dom Sravasti ma ponurą, bezosobową fasadę. Eddison nie jest tym zdziwiony.

Zanim wejdzie z Priyą do środka, zatrzymuje się na ganku i spogląda na okap. Widzi kamerę z obiektywem skierowanym na możliwie największy kąt widzenia. Nie ma lampki, która wskazywałaby, czy kamera jest włączona, z czego jest zadowolony. Dzięki temu sprzęt nie jest aż tak widoczny.

– Nie wygląda jak obcy – mówi mu, ściągając z siebie swój ciężki płaszcz i wieszając go w szafie.

– Słucham?

– Ten, kto przynosi kwiaty. W obu przypadkach zostawił je w środku dnia, więc ktokolwiek to jest, nie wygląda, jakby tu nie pasował. Na tej ulicy mieszkają ludzie, którzy pracują w domu albo w ogóle nie pracują, a on nie zwrócił uwagi żadnego z nich.

– Mówiłaś to Finneyowi?

– Nie, ale powiedziałam Sterling i Archerowi. – Wyciąga rękę po jego płaszcz. Eddison ściąga rękawiczki i szalik i wpycha je do kieszeni, zanim jej go odda. – Kawy?

– Ja zrobię. – Już wcześniej pił kawę Priyi i zdecydowanie smakuje jak robiona przez kogoś, kto jej nie pija. Wolałby nie powtarzać tego doświadczenia.

– No to spotkamy się w salonie. – Nachyla się i otwiera małą szufladę strzelistego stolika, by wyjąć pudełko zapalek. Bez zastanowienia bierze jedną z nich i odpala grubą, czerwoną świecę, jednocześnie całując wytarty róg błyszczącej złotej ramki ze zdjęciem siostry.

Gdy Priya idzie na piętro, Eddison spogląda na zdjęcie. Chavi miała dużo ciemniejszą skórę niż Deshani i Priya, tak ciemną jak jej ojciec, ale Chryste, wygląda jak Priya. A może Priya wygląda jak ona. Widział, jak nakłada makijaż, posługując się małą puderniczką, nie oszczędzając sobie czarnego eye-linera ani delikatnych srebrnych, białych i niebieskich cieni.

Czy robi to, bo widzi swoją siostrę, gdy patrzy w lustro?

Kręcąc głową, idzie do salonu, gdzie kładzie na kanapie swoją torbę z laptopem i wraca do kuchni. Priya może i nie lubi kawy, ale jej matka nie może bez niej żyć, nie jest więc zaskoczeniem, że ekspres przelewowy stanowi najukochańszy element kuchni. Musi się nad nim trochę pogłowić, żeby rozpracować ustawienia, bo Deshani ma coś przeciwko normalnej kawie, ale wkrótce maszyna zaczyna pracować. Słyszy, że Priya schodzi i siada w salonie.

Kiedy Eddison do niej dołącza, prawie upuszcza kubek. Priya leży wyciągnięta na plecach na dywanie, otoczona ciemną kałużą swoich włosów. Nogi ma skrzyżowane i wsparte o ramię kanapy. Dłonie trzyma złożone na brzuchu. Eddison zamyka oczy, robi głęboki wdech, żeby odepchnąć obrazy z akt, które przeglądał tyle razy, że zna je na pamięć.

– Niebieska – mówi dziewczyna.

– Co?

– Chavi lubiła czerwony, ja jestem cała niebieska.

Agent otwiera oczy i przejeżdża wzrokiem po niebieskim w jej włosach, wokół jej oczu,

błysku kryształka w jej nosie i pomiędzy oczami. Jej czerwona szminka jest o kilka odcieni ciemniejsza niż na zdjęciach Chavi, ale Priya jest niebiesko-srebrna, nie czerwono-złota, i może to nie powinno robić Eddisonowi takiej wielkiej różnicy, ale w jakiś sposób mu to pomaga.

Siada na kanapie i sięga po swoją torbę, ale ona zaczyna kręcić głową.

– Zaczekaj na mamę. Nie ma sensu robić tego dwa razy.

Kolejna godzina upływa im więc na rozmowach o Ramirez i kobiecie z wydziału antyterrorystycznego, której agentka nie nazywa jeszcze swoją dziewczyną, o Vicu i jego panice związanej z wyjazdem najstarszej córki na studia jesienią. Rozmawiają o przedsezonowych rozgrywkach baseballa i próbują zgadnąć, kto awansuje do World Series. To właśnie przekazał jej Eddison – miłość do baseballa, liczb i szalonych statystyk.

Deshani wraca do domu o wpół do ósmej, odkłada torby na stolik w salonie i burczy coś do nich przelotnie, zanim ciężkim krokiem pójdzie na górę.

Eddison zerka na Priyę.

– Zacznie przypominać człowieka, kiedy się przebierze – odpowiada dziewczyna, obrywając zmechacone kulki nitek z flanelowych, pasiastych spodni od piżamy. – Zawsze gdy wraca do domu, pierwsze, co robi, to zakłada jakieś prawdziwe ciuchy.

– Jesteście chyba jedynymi osobami, jakie znam, które uważają, że piżama jest prawdziwsza od garnituru.

– Bo ty wolisz siedzieć pod krawatem niż w koszulce Nationals[10], co?

Nie ma gotowej odpowiedzi na to pytanie. A raczej ma, ale to mu wcale nie pomoże.

Priya przewraca się na czworaka i wstaje z podłogi, żeby przynieść z kuchni talerze i sztućce. Przynosi też miskę i wrusza ramionami, gdy on rzuca jej podejrzliwe spojrzenie.

– Wypakowałyśmy tylko dwa talerze.

– Bezbożnice.

– Dosłownie.

Prycha, ale bierze jeden z talerzy. Kiedy dołącza do nich Deshani, ubrana w legginsy i T-shirt z długim rękawem z logo Cambridge, Priya podzieliła już przyniesione jedzenie. Czują się swobodnie w swoim towarzystwie, bo robili tak samo, gdy Deshani i Priya mieszkały przez siedem miesięcy pod Waszyngtonem. Deshani opowiada im historyjki o swoim szowinistycznym asystencie, który nie umie kryć się z tym, jak bardzo go oburza, że podlega w pracy kobiecie, i jaką miała radochę, gdy zaproponowała mu, że może go zdegradować, jeśli woli mieć szefa zamiast szefowej. Anegdoty są błyskotliwe i zabawne, a Eddison ma wrażenie, że jedynym powodem, dla którego ten idiota jeszcze nie stracił pracy, jest fakt, że Deshani dobrze się bawi jego kosztem.

To trochę niepokojące.

Dopiero kiedy skończą jeść, a Priya zaczyna rozgniatać ciasteczko z przepowiednią, którego potem nie je, Deshani wzdycha i spogląda na sfatygowaną, czarną aktówkę.

– No dobra, przekaz nam złe wiadomości.

Chryste.

Opiera się o kanapę i pociera twarz, próbując zebrać myśli.

– Kiedy w San Diego zamordowano Aimée Browder, uznaliśmy, że to straszny zbieg okoliczności.

Priya zamyka oczy zdecydowanie zbyt szybko, by stwierdzić, że się krzywi, ale mimo to Eddison czuje się jak świnia. Jest pewnie lepszy sposób, żeby zacząć tę rozmowę, ale Bóg mu świadkiem, nie wie jaki.

– Nie zauważyłyście, żeby coś było nie tak ani nikogo, kto wyglądałby jak znajomy z Bostonu, a my nie mogliśmy znaleźć żadnych powiązań. Choć to dziwne, że miałyście coś

wspólnego z kolejną ofiarą, nic nie wskazywało, że to coś więcej niż zwykły przypadek.

– Ale chyba coś podejrzewaliście? – ostro pyta Deshani.

– Tak, ale nie mieliśmy nic na poparcie tej tezy.

– Dostawy kwiatów by to jednak zmieniły.

Eddison niechętnie kiwa głową. Nie chce, żeby Priya robiła sobie wyrzuty, ale stwierdzenie matki stawia sprawę jasno.

– Nie było powodu, żebyście przywiązywały do nich znaczenie. Zwłaszcza że nie znałyście szczegółów innych spraw.

– Dlaczego kwiaty są takie istotne? – cicho pyta Priya. Opiera się o zgięte nogi Deshani, nie otwierając oczu, a matka zaczyna przeczesać palcami jej pełne niebieskich pasemek włosy.

– Tak jak Chavi znaleziono z chryzantemami, tak każda ofiara była otoczona jakimś gatunkiem kwiatów. Pierwsza dziewczyna żonkilami, druga kaliami.

– A Aimée?

– Amarantusem.

Priya wydaje z siebie lekkie sapnięcie.

– Jej matka go uprawiała – mówi. – Miała ogród na dachu frontowej werandy, a amarantus potrzebny był jej do gotowania. Aimée codziennie podkradała kwiaty i upinała je wokół koka. Jej mama nigdy nie potrafiła zachować powagi, gdy ją za to ganiła, i po chwili obie zaczynały się śmiać. Wiesz, jak inaczej nazywa się amarantus?

Kręci głową.

– Szarłat. Trochę jak szkarłat. Wygląda jak strugi krwi.

O cholera.

– Czyli ten, kto dostarcza kwiaty, oddaje za ich pomocą kolejność morderstw – wtrąca się Deshani. Spogląda z troską na włosy Priyi i mierzy kciukiem długość odrostu kolorowych pasemek. – Musimy coś na to poradzić.

– Cały czas zapominam cię poprosić.

Eddison odchrząkuje.

Deshani podnosi brwi w odpowiedzi.

– Nie mamy po czym poznać, czy to nasz morderca, czy jakiś lokalny świr, który dowiedział się, kim jesteście, i terroryzuje was dla podniety. Pojawienie się kwiatów w San Diego i podobieństwo bilecików sugeruje to pierwsze, ale nie mamy jeszcze jak tego udowodnić.

– A co może to powodować?

Eddison nieruchomieje i obie kobiety prostują się, by lepiej go widzieć.

– Aha – szepcze Priya.

– Aha? – powtarza po niej Deshani i lekko ciągnie za pasmo włosów córki. – Czyli co dokładnie?

Eddison kiwa głową.

– Dopóki nie spróbuje zaatakować albo nie złapiemy go na gorącym uczynku, gdy będzie zostawiał kwiaty, nie ma jak się o tym przekonać. Same kwiaty nie znaczą znowu aż tyle.

– Nie znaczą aż tyle?

– Same w sobie nie są groźbą – mówi Priya. – Bez dowodów, które świadczyłyby inaczej, są zarówno prezentem, jak i ostrzeżeniem.

– Kwiaty Shrödingera – prychna jej matka. – Uroczo.

– Co to oznacza w kwestii zaangażowania FBI?

Dlaczego nie poprosił Vica, żeby przyjechał razem z nim? Vic jest w takich rzeczach o wiele lepszy.



– Eddison? – Jeszcze chwila i brwi Deshani znikną w jej włosach. – Dlaczego masz minę, jakbyśmy wezwały kata?

– Bez względu na to, kto zostawia kwiaty, to nadal sprawa FBI – mówi im. – Przekroczyła granice stanową, co czyni ją naszą.

– Ale?

Z westchnieniem opowiada im odpowiednio skróconą wersję historii Vica i Finneya z szefem wydziału Martha Ward i o jej bardzo wąskim pojęciu odpowiedzialności za sprawę. Deshani i Priya słuchają z uwagą i skupieniem, a ich poważne miny sprawiają, że wyglądają onieśmielająco, a nawet przerażająco. Kiedy kończy, matka i córka wymieniają długie, nieprzeniknione spojrzenie.

– Jakie jest prawdopodobieństwo, – w końcu mówi Deshani – że powstrzyma agentów przed przyjeżdżaniem tutaj?

– Jeśli będą się pojawiać sporadycznie, to niewielkie – przyznaje. – Finney nie lubi polityki i nie chce opuszczać swojego terenu. Ale jeśli przyjdzie co do czego, pracuje w FBI prawie tak długo jak, Vic i będzie wiedział, w które miejsce uderzyć, żeby zabolalo. O ile wizyty nie będą zabierać zbyt wiele czasu, Ward nie powinna się do tego mieszać.

– Do czasu, aż staną się częstsze? – Priya kręci głową, a w jej oczach pojawia się jakiś cień, coś, o co Eddison nie umie zapytać. – Kiedy raporty z laboratorium na temat bukietów zaczną pochłaniać więcej wysiłku i pieniędzy, niż byłaby skłonna wydać?

– Priya...

– Czyli utknęliśmy między młotem a kowadłem?

– Może. – Eddison ignoruje mamrotane przez Deshani przekleństwa, aby nie stracić kontaktu wzrokowego z Priya, i stara się dodać im otuchy. – Vic i Finney nie będą posłusznie warować i na wszystko się godzić, ale o was walczyć. Musimy tylko złapać tego faceta, zanim znajdzie taka potrzeba.

– Ale w między czasie moja córka zdana jest na łaskę kogoś, kto wie, gdzie mieszkamy, i być może zamordował jej siostrę.

Na te słowa jego twarz wykrzywia się w nieprzyjemny grymas.

– Co robicie w naszej sprawie?

– Finney sprawdza Landonę – mówi Eddison. – Brak nazwiska trochę to utrudnia.

– To twoim zdaniem potencjalny podejrzany?

– Na razie tylko się nim interesujemy w związku ze sprawą. Zobaczymy, jak to się rozwinie.

– Zawsze trzeba czekać? – cicho pyta Priya.

– Do czasu. – Eddison uśmiecha się do niej półgębkiem. – Ale przecież już o tym wiesz.

– No to czekamy.

– Dlaczego przejechałeś taki szmat drogi, żeby nam o tym powiedzieć? – Deshani przechyla głowę na bok i wystukuje o grzbiety stóp powtarzalny, ale nierozpoznawalny rytm. – Mogłeś nam to powiedzieć przez telefon.

– Chciałem, żebyście widziały moją twarz, kiedy będę wam obiecywał, że nie pozwolę temu bydlakowi was tknąć.

Obie kobiety przypatrują mu się tak długo, aż na linii jego włosów pojawiają się krople potu. Potrafią tak działać na ludzi, nawet kiedy są w pojedynkę, ale razem stają się obezwładniające.

Wtedy Priya wydaje z siebie sapnięcie przypominające śmiech.

– Chciał zobaczyć nasze twarze, mamó. Jesteśmy rodziną, a on chce się upewnić, że wszystko u nas okej.

To nie prychnięcie Deshani sprawia, że Edison zaczyna robić się czerwony, ale to też mu nie pomaga.

Nie może zaprzeczyć.



Następnego ranka Edison przynosi nam świeże pączki i siada na kanapie ze stertą dokumentów do wypełnienia, podczas gdy ja uczę się przez Skype'a z korepetytorką z Francji. Choć wokół tyle się dzieje, wyrabiam się ze wszystkimi pracami domowymi, a nauczycielka jest przekonana, że wraz z nadejściem jesieni będę w stanie bez problemu odnaleźć się na normalnych lekcjach.

Rozważałyśmy z mamą, czy nie byłoby lepiej, gdybym tu, w Stanach, skończyła szkołę wcześniej i zaczęła jesienią studia, ale to byłoby jak skok z klifu – w teorii emocjonujące, ale w praktyce – nie najmądrzejsze. Szkoła, z którą współpracuje moja korepetytorka, ma wielu uczniów z zagranicy, więc wypracowali sobie dobry system wspierania młodzieży zmagającej się z przejściem na naukę wszystkich przedmiotów w obcym języku.

Kiedy pouczę się na tyle, by być z siebie zadowolona, a Edison wypije kawę w ilości równej połowie masy swojego ciała, ciepło się ubieramy i idziemy na szachy.

– Chodzisz tędy codziennie? – pyta.

Kiwam głową, czekając, aż zmienią się światła na skrzyżowaniu.

– Średnio trzy razy w tygodniu. Kiedy przyjdzie mi ochota.

– Masz jakiś harmonogram?

– Zwykle unikam wtorków. To dzień wizyt lekarskich.

Eddison kiwa głową i powtarza moje słowa pod nosem. Prawie widzę, jak zapisuje je w swoim mentalnym notesiku. Choć nie potrafi żyć bez notatnika, który zawsze nosi w tylnej kieszeni, naprawdę stara się go nie wyciągać przy normalnych rozmowach, nawet jeśli mają związek ze sprawą.

Dzień jest na tyle ciepły, że mój gruby płaszcz nie jest konieczny, ale na tyle zimny, że bluza z kapturem i T-shirt z długim rękawem to za mało. Owijam więc szyję szalikiem, którego końce wsuwam pod zamek bluzy, mam też rękawiczki, czapkę i ciepłe buty. Ale jest połowa marca w Colorado i w końcu można poczuć, że nadchodzi wiosna.

Eddison dostał zdjęcia zrobione na szachach, ale sam chce się przyjrzeć moim nowym kolegom. W szczególności, choć tego nie powiedział, Landonowi.

Szczęściarz zaczyna do mnie wołać, gdy tylko zauważy mnie na parkingu.

– Niebieska! Chodź ze mną zagrać. Przegrywam!

Eddison cicho parska śmiechem.

Kręcę głową, wchodzę na porośniętą trawą wysepkę i witam się ze wszystkimi. Twarz śpiącego Salwy prawie całkiem zasłaniają uszy czapki, którą jak mi się zdaje, Hannah robiła na drutach w zeszłym tygodniu. Landon siedzi jak zwykle na samym końcu namiotu. Mam wrażenie, że Salwa nie do końca mu ufa, ale nie chce go wyganiać.

– To mój przyjaciel Eddison – ogłaszam. – Przyjechał na kilka dni.

Eddison wita się z grupą skinieniem głowy. W długim płaszczu w beżowym kolorze wygląda trochę groźnie. Jakimś cudem nawet neonowy zielony szalik nie jest w stanie zepsuć jego wizerunku twardego.

Pierce drapie się po nosie, mierząc go wzrokiem z góry na dół.

– Glina? – pyta w końcu.

– Powiedzmy.

Kilku mężczyzn kiwa głowami i to by było na tyle, jeśli chodzi o powitanie. Podpisałam wszystkie wysłane do FBI zdjęcia i choć Płochy, Corgi i Szczęściarz to nie imiona, przynajmniej jest od czego zacząć.

Siadam naprzeciw Szczęściarza, licząc, że wszyscy wrócą do swoich rozmów. Eddison przechadza się wokół stołów i przygląda trwającym partiom. Wychodzi na to, że zawód „powiedzmy” gliny wystarczy, by weterani uznali go za swojego. Nikt mu się więcej nie przygląda.

Z wyjątkiem Landona.

Wierci się bardziej niż zwykle. Strzela oczami po pozostałych, żeby zobaczyć, jak reagują na nowego gościa, i upuszcza prawie każdy pionek, gdy próbuje go przesunąć. Jedną z jego wież upada z taką siłą, że mimo filcowej podklejki zostawia wgniecenie w drewnie.

Eddison siada na samym końcu ławki obok Landona i zaczyna swobodną, niezobowiązującą rozmowę z pozostałymi mężczyznami. Z ciekawością przyglądam się temu, jak pracuje.

Rozmawiają o bezpieczeństwie w okolicy i weterani nie zdają sobie nawet sprawy, ile podają mu informacji o tym, gdzie mieszkają i jak wygląda ich życie. Eddison zachęca ich do tego, żeby się w pełni przedstawili i bez wyraźnego wysiłku zbiera ich nazwiska, rozśmieszając przy okazji historiami z treningów w akademii FBI, które oni próbują przebić anegdotami z koszar.

Landon znów jest tu wyjątkiem. Nie podaje swojego nazwiska – nie przedstawia się

nawet z imienia, choć rzuca je jeden z weteranów – i cały czas uporczywie wpatruje się w szachownicę, nie włączając w rozmowę. Eddison odnotowuje każde jego wzdygnięcie, a ja jestem skłonna się założyć, że ma już przygotowaną mapę miasta, na której będzie mógł zaznaczyć potencjalne rejony, w których może mieszkać.

Eddisonowi udaje się całkowicie przerazić Landona, choć nie zamienia z nim nawet słowa.

Trochę mnie to martwi, bo owszem, Landon to zbok, ale nie powinien się tak bać, chyba że jest zbokiem, który ma coś na sumieniu. To też trochę zabawne, bo Eddison i mama mają ze sobą więcej wspólnego, niż przypuszczałam. Jestem przekonana, że mój agent by się obraził, gdybym powiedziała mu coś takiego.

Zachowam to sobie na jakąś specjalną okazję.

Zazwyczaj – przez co rozumiem każdą moją wizytę w pawilonie szachowym – Landon nie wychodzi stąd, dopóki się nie pożegnają, po czym idzie za mną do marketu. Tym razem wytrzymuje zaledwie godzinę, zanim wymamrocze pod nosem coś na pożegnanie i szybko się oddala.

Steven, jeden z weteranów Pustynnej burzy, odprowadza go wzrokiem, zerka na znaczący uśmiezek Eddisona, po czym zwraca się do mnie.

– Powinnaś była nam powiedzieć, że Landon cię zaczepia.

– Nie chciałam zaburzać dynamiki grupy.

– Bezpieczeństwo jest ważniejsze.

Czasem ludzie patrzą różnie na to, co jest, a co nie jest stosownym zachowaniem pomiędzy kobietami a mężczyznami, a szachiści to podstarzali żołnierze. Lubię weteranów i tę ich niezręczną rycerskość wobec mnie, ale to nie znaczy, że zaraz założę, że o wszystkim myślimy tak samo.

– Eddison przyjechał tu w związku z pracą – mówię. – Chciał sprawdzić, czy popadłam w paranoję, tylko w ramach przysługi.

Steven odwraca się do Eddisona, który siada wygodnie na zwolnionym składanym krześle.

– No to popadła czy nie?

– W paranoję? – Widząc, jak Steven kiwa głową, Eddison wzrusza ramionami. – Nie. Człowiek tak nie ucieka, chyba że jest świadomy, że po głowie chodzą mu bardzo złe myśli.

– Masz zamiar coś z tym zrobić?

– Nie mogę nikogo aresztować za myśli, ale są mniejsze szanse, że spróbuje coś zrobić, jeśli zacnie się bać.

Wszyscy kiwają głowami z uznaniem, bo sprawa została załatwiona po męsku, i gdyby nie fakt, że strasznie mnie to bawi, pewnie byłabym urażona.

Morze i góry dają odmienne rodzaje chłodu, nawet jeśli teoretycznie temperatura jest taka sama, więc Eddison nie wytrzymuje kolejnej godziny i zaczyna szcząkać zębami mimo włączonych grzejników. Całuję Salwę w policzek, na co pozostali gwizdzą i rechoczą, i zaprowadzam Eddisona do sklepu.

Robi kwaśną minę na widok logo Starbucksa. Ma coś przeciwko wymyślnej kawie. Jeśli ktoś skasuje w knajpie więcej niż dolara za duży kubek, jego noga więcej tam nie postanie. Kiedy mieszkaliśmy w Waszyngtonie, moją ulubioną formą rozrywki było przyglądanie się, jak Eddison i mama kupują razem kawę.

Podczas gdy on piorunuje logo wzrokiem, zauważam, jak Joshua wstaje od stolika, z marynarską kurtką przewieszoną przez ramię. Lubi też chyba nosić rybackie swetry – za każdym razem widzę go w innym. Dzisiejszy ma kolor spłowiałego wrzosu, który pasuje do jego

kasztanowej czupryny. Widzi mnie i uśmiecha się, podnosząc kubek z herbatą jakby do toastu, ale nie podchodzi pogadać, tylko kieruje się w stronę drzwi.

Gdy mamy już swoje napoje, Eddison i ja wracamy do domu w swobodnym milczeniu. Oboje przystajemy i spoglądamy na pusty próg.

– Nie jestem pewien, czy chciałem zastać tu kwiaty, czy nie – mówi po chwili.

– Znam to uczucie.

Kiedy jestem bezpieczna w domu, za zamkniętymi na klucz drzwiami, Eddison wraca do Denver, żeby pogadać z Finneyem i odlecieć do Waszyngtonu. Nie umyka mojej uwadze, że ze względu na mnie, a może i na siebie, posunął się dalej niż mu wolno. Miałam być jedynie częścią służbowej sprawy, a nie częścią jego życia, ale oto pięć lat później jestem z nim bliżej związana niż z moimi prawdziwymi krewnymi i wcale tego nie żałuję.

Myślę, że on też nie, nawet jeśli musi przez to podejmować wiele trudnych decyzji.

Poświęcam kilka godzin na naukę, bo wydaje się to rozsądne, dyskutuję z mamą przez SMS-y na temat tego, co dziś zjemy (stawia na swoim, tylko dlatego że nie jadłyśmy curry od czasów Birmingham), po czym wyciągam list od Inary.

Nie jestem pewna, dlaczego nie wspomniałam o nim Eddisonowi. On ją zna, nawet jeśli nie jest pewien, czy lubi ją, czy nie (daje po sobie poznać dużo więcej, niż mu się wydaje). Ale fajnie jest zachować coś dla siebie.

Wkładam list w bieżący brulion i biorę pierwszy z dzienników z Waszyngtonu ze sterty na podłodze. Reszta nadal znajduje się w salonie. W San Diego wszystko się zmieniło, a w Waszyngtonie zdałam sobie sprawę, jak bardzo. Nie mogę się powstrzymać, by nie powrócić do swoich zapisków z tamtego czasu i poszukać wskazówek.

Dwa lata temu zaprzyjaźniłam się w San Diego z pewną dziewczyną. Nazywała się Aimée Browder i kochała wszystko, co francuskie. Miałam do nikogo się nie przywiązywać, ale Aimée zawsze była gdzieś w pobliżu, nie naciskała na mnie ani o nic nie wypytywała. Dałam się jej namówić na kółko francuskie, wspólne wypadki do kina i spędzanie razem czasu. Bywało też, że siadywałam przy drzwiach studia baletowego, do którego chodziła na lekcje tańca, i odrabiałam prace domowe przy dźwiękach muzyki klasycznej, wypowiedanych półgłosem poleceniach i głuchych odgłosach prawidłowo wykonanych skoków.

Bardzo się zaprzyjaźniłyśmy, więc kiedy miałyśmy z mamą przenieść się do Waszyngtonu, zapytałam Aimée, czy możemy utrzymać kontakt. Trwało to jakieś półtora tygodnia. Przez pierwsze dni ciszy nieszczególnie się martwiłam. Obie jesteśmy zajęte, odezwie się, gdy będzie mieć czas, myślałam.

Po jakimś czasie zadzwoniła do mnie jej mama, która tak zanosila się płaczem, że musiała oddać telefon mężowi, bo sama nie była w stanie przekazać nam, że Aimée nie żyje. Ich córka, moja przyjaciółka, została zamordowana i kiedy tylko jej tata powiedział o kościele i kwiatkach, wiedziałam, że ma to związek z Chavi. To po prostu nie mógł być przypadek.

Tamtego wieczoru nie po raz pierwszy napchałam sobie żołądek aż do bólu. Nie był to nawet jeden z pierwszych razów – trwało to już od trzech lat. Ten był chyba jednak najgorszy. Zjadłam tak dużo, że z bólu nie byłam w stanie nawet płakać. Z trudem brałam każdy wdech i miałam wrażenie, że rozsadzi mi wnętrzności. Mama chciała mnie zawieźć do szpitala na płukanie żołądka, ale to wywołało u mnie absolutną histerię.

Nie chciałam, żeby Eddison wiedział, jak źle ze mną było. Nie chciałam, żeby Vic i Mercedes w ogóle się dowiedzieli.

Nawet jeśli tego nie chcieli, agenci z San Diego zadzwonili z pytaniami o Aimée w związku ze śledztwem. Słyszałam zmartwienie w ich głosie i choć nadal było mi niedobrze, rozpaczliwie pragnęłam pochłaniać więcej tylko po to, by dalej mnie bolało.

Minęły całe dni, nim znów mogłam coś zjeść. Nawet wtedy mama musiała mnie zmusić. Nie mogłam patrzeć na jedzenie, bo od razu czułam bolesny skurcz w żołądku.

Aby przestać o tym myśleć, zaczęłam szukać informacji o innych morderstwach, ponieważ nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że Aimée zginęła przez moją ignorancję. Mama, kiedy zaglądała mi przez ramię, udawała, że nie jest szczególnie zainteresowana. Ale to ona zauważyła, że bukiety, które znajdowałyśmy na naszym progu w San Diego, odpowiadały kwiatom, którymi otaczane były ofiary seryjnego mordercy.

Żółto-białe żonkile dla Darli Jean Carmichael, nieżyjącej już tyle lat, ile miała w chwili śmierci.

Fioletowo-białe kalie dla Zoraidy Bourret, znalezionej w Wielką Niedzielę w kościele rodzinnej parafii metodystów.

Gałązki gipsówki dla Leigh Clark, córki pastora z Eugene w Oregonie.

Korona z kapryfolium dla Sashy Wolfson, której kuzyn opowiadał, jak lubiła rwać sobie kwiaty z wianka i jeść, by poczuć ich słodki smak.

Pęk kolorowych frezji dla Mandy Perkins, która dekorowała ogrody domów opieki w okolicach Jacksonville na Florydzie, budując w nich wioski krasnali.

Białe goździki dla Libby Laughran, z zabarwionymi na czerwono żyłkami i brzegami płatków, przez co wyglądały, jakby krwawiły. Miała zaledwie czternaście lat, kiedy została zgwałcona i zamordowana na przedmieściach Phoenix.

Ale do Waszyngtonu nie dostarczano żadnych kwiatów, tak samo jak do Atlanty, gdzie przeniosłyśmy się w listopadzie tego samego roku. Nie pojawiły się też w Omaha ani Birmingham, pomijając te podesłane przez idiotę z biura w Nebrasce. A skoro tajemnicze dostawy kwiatów się skończyły, uznałam, że nie ma o czym mówić moim agentom.

Gdybyśmy nie wyjechały z San Diego, następne znalazłybyśmy pod drzwiami orliki dla Emily Adams, siedemnastolatki z St. Paul w Minnesocie, niespokrewnionej z późniejszą ofiarą, Meaghan Adams. W artykułach w internecie i na stronach poświęconych jej pamięci przeczytałam, że lubiła muzykę. Miała głos anioła i śpiewała głównie piosenki folkowe, grała też na wielu instrumentach. Kilka dni przed śmiercią zorganizowała pokojowy marsz w odpowiedzi na strzelaninę w szkole w Connecticut – przypięła kilka niebieskich orlików do gryfu gitary, na której zagrała dla uczczenia pamięci ofiar.

Kiedy ten skurwiel zabił Emily, ułożył na jej poderżniętym gardle wstęgę kwiatów, aby zasłonić ranę. Wspomniano o tym w kilku artykułach, a fotografię ofiary znalazłam na stronie dla detektywów-amatorów, którzy w jakiś sposób weszli w posiadanie zdjęć dowodowych z większości miejsc zbrodni.

Imponujące, biorąc pod uwagę, że FBI zaangażowało się w sprawę dopiero przy dziesiątej zamordowanej – Kiersten Knowles.

Mimo że znalazłyśmy z mamą mnóstwo informacji, nie wiedziałyśmy nawet połowy tego, co FBI, ale podejrzewam, że nie jesteśmy dalej od nich w kwestii ustalenia prawdy. Znamy wiele faktów, ale żadne z nich nigdzie nie prowadzą. Jeśli kiedyś poznam nazwisko i tożsamość mężczyzny, który zamordował Chavi i pozostałe dziewczyny, to czy przyniesie mi to spokój? Jeśli stanie przed sądem i zostanie skazany, to czy sprawiedliwości stanie się zadość?

Patrzę na złożony list Inary i sięgam po długopis i czysty arkusz papieru.

*Droga Inaro,*

*moja mama powiedziała kiedyś, że żałuje, że ludzie mogą umrzeć tylko raz. Jednym z jej największych marzeń jest znaleźć człowieka, który ściągnął na nas ten koszmar, i zabić go jeden raz, drugi, trzeci... po razie za każdą zamordowaną dziewczynę i jeszcze raz, za nas.*

*Nie wiem, czy to bardziej, czy mniej sprawiedliwe od więzienia albo kary śmierci.*

*Kiedyś myślałam, że to by coś znaczyło. Fantazjowałam, że stoimy na sali sądowej, gdzie odczytany zostaje wyrok skazujący i obcy mężczyzna o rozmytej twarzy, siedzący na ławie oskarżonych, zaczyna płakać. Głośno i obrzydliwie. Szlochem, który budzi twoje zażenowanie, bo leją się z niego gluty. Byłby załamany, a mama i ja śmiałybyśmy się głośno i radośnie i padłybyśmy sobie w ramiona.*

*Byłybyśmy szczęśliwe.*

*Już byśmy nie cierpiały.*

*Po pewnym czasie zdałam sobie sprawę, że to nie wskrzesi Chavi. Nic jej nie wskrzesi.*

*Nagle nie mogłam znieść myśli o jakimkolwiek zakończeniu tej historii, w którym ten skurwiol mógłby przeżyć, bez względu na to, czy płakałby, czy nie.*

*Nie mam żadnych odpowiedzi.*

*Nie mam żadnych mądrych słów.*

*Mam tylko swoją wściekłość i determinację, żeby pewnego dnia nauczyć się, jak dalej żyć. Może to by była jedyna sprawiedliwa rzecz.*



Nie istnieje żaden właściwy powód, żeby zmieniać cel podróży z Waszyngtonu na Nowy Jork, ale Eddison i tak to robi. Przejeżdża palcem po ciemnym ekranie komórki, na którym wyświetla się nieprzeczytana wiadomość od Vica. Wciąż jest trochę rozdrażniony i sfrustrowany,

nie chce więc przesadnie analizować swojej motywacji. Czuje dziwny niepokój w związku z tym, jak Priya i Deshani przyjęły wiadomość o prześladowcy, ale nie potrafi powiedzieć, dlaczego go to męczy.

Zmienia plany i jedzie pociągiem do kolejnego miasta. Może uda mu się trochę popracować nad aktami w podróży i ostatecznie ta zmiana wyjdzie mu nawet na dobre. Pociąg i tak jest dużo wygodniejszy niż samolot.

Nienawidzi metra, ale to lepsza opcja niż wydać pięćdziesiąt dolców na taksówkę z dworca. Opiera się o poręcz w wagonie, jak najdalej od stosów bagaży i rozstawionych nóg, licząc przystanki i nasłuchując znajomej mieszaniny rozmów przez komórki w najróżniejszych językach oraz stłumionej muzyki, która sączy się przez słuchawki innych pasażerów.

Eddison zauważa małą dziewczynkę siedzącą na kolanach dziadka, która zaczyna chichotać, zaciskając dłonie na zrobionym na drutach szaliku, w niemal tym samym obrzydliwym odcieniu zieleni co jego własny. Mała znów się śmieje i chowa twarz w ramieniu dziadka. Na jej główce trzęsą się dwa puszyste kucyki.

Wie, że Inara mieszka w fatalnej dzielnicy. Zakomunikowała to jasno, kiedy po raz pierwszy ją przesłuchiwali. Po wyjściu ze szpitala wróciła do swojego dawnego mieszkania. Eddison słyszał, że agenci z Nowego Jorku, jeśli muszą o coś zapytać, wolą wybrać się do restauracji, w której pracuje, niż do jej domu.

Wiedzieć to zupełnie co innego, niż widzieć.

Eddison, wychodząc z metra, bierze głęboki wdech i natychmiast zaczyna się krztusić, gdy z bocznej uliczki zalatuje go odór śmieci i moczu. Po minucie przyzwyczajają się do zapachu – w pracy wahał gorsze rzeczy – i żeby ukryć broń przypiętą do biodra, dokładnie zapina marynarkę oraz prochowiec. Czułby się lepiej, gdyby w razie czego mógł po nią szybko sięgnąć, ale nie chce zwracać na siebie uwagi, zwłaszcza, że teoretycznie rzecz ujmując, nie jest na służbie.

Znajduje właściwy budynek – szkaradzieństwo z pozostałościami po bramce z kutego żelaza przy frontowych schodach. Po lewej stronie drzwi znajduje się domofon, który powinien podnosić poczucie bezpieczeństwa, ale tym razem to tylko pobożne życzenie. Eddison zastanawia się, czy ktoś rozwalił panel młotkiem, zanim został ostrzelany, czy stało się to już wcześniej, ale tak czy inaczej domofon nie działa. Połowa skrzynek w maleńkim korytarzu ma wyłamane drzwiczki, a koperty i ulotki leżą rozsypane na podłodze. Na niektórych z nich widzi urzędowe logo i pieczętki.

Skrzynka pocztowa dziewczyn jest cała i świeżo pomalowana matową, srebrną farbą, która prawie zlewa się ze zdrapanym metalem poniżej, oraz pokryta naklejkami w kwiatki. Powyżej znajduje się przyczepiona do ściany wiadomość napisana na wesołym, różowym papierze. Pismo Bliss jest duże, krągłe i niemal słodkie. Brakuje mu tylko uroczych znaczków, którymi zastępowałyby kropki nad małym „i”.

*Jeśli zakosisz nam pocztę, utnę ci jaja. Albo jajniki, jeden chuj.*

Jezu.

Wiadomość podpisana jest uśmiechniętą buźką.

Zarówno papier, jak i atrament nieco wypłowiały, ale skrzynka jest nietknięta, więc najwyraźniej mieszkańcy budynku załapali komunikat. Eddison poprawia torbę zarzuconą na ramię i wchodzi po schodach. Widzi szyb windy, ale zdaje się, że brakuje w nim kluczowego elementu...

I drzwi. Drzwi też by się przydały.

Kiedy dociera pod mieszkanie dziewczyn na przedostatnim piętrze, trochę brakuje mu tchu i zaczyna się zastanawiać, czy nie dodać więcej ćwiczeń kardio do codziennego treningu.



Może bez końca biec po równej powierzchni, ale schody są dla niego dziwnie problematyczne.

Na szczęście – lub nie – nie musi nawet pamiętać numeru mieszkania. Wystarczy poszukać na piętrze nieprzytomnego pijaka. Od lat przychodzi spać pod drzwi dziewczyn i najwyraźniej żadna z nich nie ma serca go pogonić ani nasłać na niego glin, więc wychodzą na dach i dostają się do mieszkania schodami przeciwpożarowymi przez wielkie okno.

Eddison nie ma ochoty na dalszą gimnastykę.

Lekko kopie pijaka w nogi, ale wystarczająco żeby wyrwać go ze snu.

– Znajdź sobie inne miejsce.

– Wolny kraj – mamrocze delikwent i mocniej kuli się wokół butelki.

W odpowiedzi Eddison łapie mężczyznę za kostki i zaczyna ciągnąć go za sobą na środek piętra mimo jęków sprzeciwu.

Drzwi mieszkania Inary nagle się otwierają i wychyla się zza nich dziewczyna, której puszyste, rudozłote włosy otaczają głowę niczym aureolą.

– Hej, zostaw naszego pijaka w spokoju.

– Tylko go przesunąłem – odpowiada Eddison. Pijak rozciąga się na podłodze i upija łyk z butelki, trochę oblewając się przy tym alkoholem. – Jesteś Whitney?

– A kto pyta?

Eddisonowi podoba się ta nieskrywana nieufność.

– Agent specjalny Brandon Eddison. Chciałbym się widzieć z Inarą.

Dziewczyna uśmiecha się, jakby go kojarzyła. Ma dwadzieścia kilka lat, nie więcej niż trzydzieści, jej jedno oko jest przebarwione, a źrenica wygląda na permanentnie rozszerzoną.

– Proszę zaczekać. Zawołam ją.

Po chwili w korytarzu pojawia się zaspana Inara, która zarzuca na siebie bluzę z kapturem. Ma zmierzwiłone włosy, a na stopach kapcie z Kłapouchym.

– Eddison?

– Nie zmarzniesz, jeśli wyjdziemy na dach?

Kręci głową i próbuje zasunąć bluzę. W połowie zamka musi się zatrzymać, żeby odgarnąć włosy, zanim podjedzie pod samą szyję. Pociera oczy dłońmi schowanymi w rękawy, prowadząc Eddisona na górę. Stoi tam sporo mebli, od zwykłych krzeseł ogrodowych po owiniętą w folię kanapę pod prowizoryczną markizą, która w poprzednim życiu była chyba parą hamaków.

Inara idzie w stronę kilku materiałowych krzeseł biwakowych postawionych przy gzymsie. Jeśli lekko się wychyli, Eddison zobaczy podest schodów pożarowych, na którym stoją z papierosami jej dwie rozbawione współlokatorki.

– Zdajesz sobie sprawę, że jest trzecia po południu? – pyta w końcu.

Inara robi minę niezadowolonego kota, przez którą jej twarz na moment wygląda uroczo.

– Kegs urządził imprezę po pracy – mamrocze ziewając. – Wróciłyśmy o ósmej rano. A potem pomagałyśmy Noémie przećwiczyć prezentację na zajęcia o jedenastej.

– A do pracy idziesz na...

– Musimy wyjść koło wpół do piątej. – Wyciąga nogi na jednym z krzeseł. – Co jest?

– Sędzia Merrill wydała zakaz kontaktowania się – od razu przechodzi do rzeczy. – Jeśli Desmond jeszcze raz do ciebie napisze, usłyszy dodatkowe zarzuty.

Ta informacja natychmiast ją ocuca. Przez chwilę wpatruje się w niego swoimi bladymi, prawie bursztynowymi oczami. Mruga zaskoczona, zastanawiając nad tym, co usłyszała, a na koniec kiwa głową.

– Szybko poszło.

– Obrona nie miała właściwie podstaw, by oponować. Choć żaden przepis nie zabrania

Desmondowi do ciebie pisać, to jest to niestosowne. Sędzia nie była zadowolona z tego, co przeczytała w listach.

– Co przeczytał w... cholera. No tak, musieliście je przeczytać.

Eddison odchrząkuje.

– Vic je przeczytał. I sędzia, i prawnicy. Ale z nas tylko Vic.

Inara opiera podbródek na kolanach, a Eddison ma niezręczne wrażenie, że dziewczyna odziera jego słowa z warstw znaczeń i znajduje więcej, niż chciał przekazać. Chryste, jego zdrowie psychiczne i dobre samopoczucie nagle zależą od tego, by Inara nigdy nie poznała Deshani i Priyi Sravasti. One i tak rozumieją go już zdecydowanie zbyt dobrze, nie chce, żeby czegokolwiek ją nauczyły. Mężczyzna musi zachować jakiś sposób, by móc okłamywać samego siebie. Ale ona mówi tylko:

– Pewnie listy chorej z miłości pizdy i tak nie byłyby dla ciebie szczególnie interesujące.

Eddison parska śmiechem i wygodnie rozsiada się w krześle.

– Z tego, co zrozumiałem, nie ta część stanowiła problem.

– Problem?

– Vic mówił, że błagając o twoje wybaczenie, gdzieś pomiędzy słowami, Desmond przemycił kilka prośb, żebyś nie zeznawała przeciw niemu ani jego ojcu. Żebyś... no wiesz.

Inara patrzy na niego z niedowierzaniem.

– Prośenie cię o wybaczenie to jedno, nawet jeśli Desmond wciąż nie do końca rozumie, jaki miał w tym wszystkim udział. Ale zwracanie się do ciebie z prośbą, żebyś nie zeznawała, i wywieranie tego rodzaju presji w kontekście tego, co was łączyło... to próba wpłynięcia na świadka i tu gość przekracza pewną granicę.

– Nadal twierdzi, że mnie kocha?

– Tak. Wierzysz mu?

– Nie.

Eddison patrzy przed siebie, zauważając ślady po ogniu tam, gdzie kiedyś, według opowieści dziewczyny, znajdowała się mała plantacja marihuany. Tu i ówdzie leżą kosze z zabawkami, wygląda też na to, że ktoś nieumiejętnie zamontował huśtawkę na jednej z wystających rur. Nigdy nie posadziłby na niej dziecka, ale dzięki niej imprezy są pewnie ciekawsze.

Inara wzdycha i Eddison musi wysilić się trochę bardziej, niż się spodziewał, żeby na nią nie spojrzeć. Z niektórymi prawdami łatwiej się uporać, gdy nikt nie patrzy.

– Wiem, że wierzy, że mnie kocha – mówi powoli. – Bez względu na to, czy wierzę mu, czy nie, to naprawdę uważam... sama nie wiem. Może jest taki jak jego ojciec, taką miłość zna, ale ja... nie chcę chyba wierzyć, że miłość może być tak oderwana od rzeczywistości.

– Może musi wierzyć, że to miłość – sugeruje Eddison. Kątem oka widzi, jak dziewczyna kiwa głową.

– Jestem skłonna w to uwierzyć. Jeśli ta miłość jest prawdziwa, może w jakiś sposób go rozgrzesza. Wszystkich fascynuje to, do czego ludzie są zdolni z miłości.

– Ale ty uważasz, że to nie wszystko.

– Jeśli to nie była miłość, to co to było?

– Gwałt – Eddison odpowiada wprost.

– Dokładnie. Chłopiec taki jak Desmond nie chce myśleć o sobie jak o gwałtcielu.

– Dlaczego nie przeczytałaś jego listów?

Tym razem Inara milczy na tyle długo, że Eddison musi na nią spojrzeć. Dziewczyna wpatruje się w swoje papucie i gładzi czarne kosmyki na głowach Kłapouchych. Kapsie są niedorzeczne i Eddison nie spodziewałby się, że mogłaby włożyć coś takiego, ale pewnie właśnie

dlatego ktoś je Inarze podarował.

– Przetrwanie w Ogrodzie... – mówi w końcu prawie szeptem. – Życie w Ogrodzie zależało od tego, jak dobrze zrozumiemy Ogrodnika. Od tego, jak dobrze zrozumiemy jego synów. Nie jestem już w Ogrodzie i nie chcę więcej tego zgłębiać. Nie chcę w tym więcej żyć. Wiem, że on pragnie się wytłumaczyć, ale będzie dla mnie najlepiej, jeśli nie będę tego słuchać. Nie potrzebuję tego ciężaru. Nie potrzebuję... – Przetyka ślinę, jej oczy błyszczą od łez, ale Eddison podejrzewa, że Inara jest bardziej wkurzona niż smutna. – Nie potrzebuję jego zapewnień.

Coś w tym jest. Vic umiałby pewnie to rozpoznać i taktownie się do tego odnieść.

– Nie ponosisz winy za jego uczucia.

Eddison nie jest taktowny.

Inara prycha, mruganiem próbując odgonić łzy i gniew i powrócić na bezpieczne wody kpin i kąśliwych uwag.

– Już dawno nauczyłam się nie brać na siebie odpowiedzialności za to, co czują do mnie mężczyźni.

– No to już wiesz, że cokolwiek Desmond do ciebie czuje i jakkolwiek sam to określa, nie ponosisz odpowiedzialności za ból, który mu to przysparza.

– W porządku, mistrzu Yoda.

Szczyk metalu daje im półsekundowe ostrzeżenie, nim nad drabiną pojawi się czyjaś głowa.

– Inara! Chodź nam przedstawić swojego agenta!

Eddison zerka na Inarę i bezgłośnie powtarza:

– *Twojego agenta?*

Dziewczyna tylko wzrusza ramionami.

– Lepsze to niż *agenta-misia*.

Całe, kurwa, szczęście.

– Chodź – mówi dziewczyna, wstając. – Poznasz dziewczyny z mieszkania, a potem pójdziesz z nami. Skoro już tu jesteś, to nie może cię ominąć nasza droga do pracy.

– Zawsze obieracie tę samą?

Dziewczyna tylko przewraca oczami i zaczyna schodzić po drabinie.

Eddison zna większość tych młodych kobiet z opowieści Inary. Po przedstawieniu się cztery z nich ubierają się i wychodzą. W metrze rozmawiają i chichoczą, czeszą się i robią makijaż bez lusterek. Mimo tego, że metro kołysze się i co chwilę zatrzymuje, malują się bezbłędnie. Wymieniają też pozdrowienia z kilkoma osobami, które zdają się regularnie jeździć tą samą trasą.

Eddison dzielił z Ramirez pokoje hotelowe już tyle razy, że odczuwa pewien podziw wobec procesu robienia makijażu, tylko że agentka rozkłada swoje przybory na całej toalecie i ma do dyspozycji kilka różnych lusterek. Obserwując tę czwórkę, czuje się bardzo szczęśliwy, że jest facetem i jego przygotowanie do pracy to co najwyżej golenie.

Gwiazda Wieczorna jest zdecydowanie bardziej eleganckim miejscem, niż się spodziewał, zwłaszcza po przekonaniu się, gdzie mieszkają dziewczyny. Nawet w garniturze czuje się tu odrobinę nieodpowiednio ubrany.

– Przedstawię ci Guliana – mówi Inara, popychając go do środka. – Poza tym Bliss będzie marudzić, jeśli się dowie, że przyjechałeś i nie przyszedłeś się przywitać.

– Marudzić? Czy otwierać szampana?

– Chyba i to, i to.

Guilian to postawny, przysadzisty rudzielec, którego rzednące włosy wycofują się

z czubka głowy i znajdują azyl w szczecinie wąsów pokrywających niemal całą dolną połowę jego twarzy. Mocno ściska dłoń Eddisona, a drugą kładzie mu na ramieniu.

– Dziękuję, że pomogłeś Inarze bezpiecznie do nas wrócić – mówi z powagą.

Jeśli Eddison wygląda choć w połowie tak głupio, jak niezręcznie się czuje, to jest w stanie w pełni zrozumieć, dlaczego stojąca za jego plecami Inara parska śmiechem.

Bliss, niespełna metr pięćdziesiąt pyskatej arogancji i wymyślnych inwektyw, szczerzy do niego zęby, ale tym razem wygląda, jakby naprawdę się uśmiechała, a przynajmniej bardziej niż zwykle.

– Tak mi się zdawało, że w knajpie powiało nudą. – Jej kręcone włosy spięte są w misterny kok, żeby nie wpadały do jedzenia. Dopiero gdy Eddison widzi ją obok innej kelnerki, zdaje sobie sprawę, że jej służbowy strój różni się od pozostałych.

Kelnerzy ubrani są w smokingi, a kelnerki w długie, czarne suknie wieczorowe bez ramiączek i oddzielne śnieżnobiałe mankiety, kołnierzyki oraz czarne muszki. Ale Bliss – i może się założyć, że Inara również – ma sukienkę zasłaniającą plecy, z białym kołnierzykiem przyszytym do karczku. Wszystko po to, aby nie było widać skrzydeł.

Zerka na Guiliana, który stoi w drzwiach do kuchni, i widzi, jak kiwa głową.

Nie ma co się dziwić, że Inara wróciła do pracy w tej samej restauracji.

Bliss kopie go w kostkę, co jest bardziej irytujące niż bolesne. Jej wzrost i włosy sprawiają, że kojarzy się Eddisonowi z wrednym, małym pudlem.

– Proszę, powiedz mi, że on nie może już do niej więcej pisać – mówi do niego po cichu.

– Nie bez konsekwencji.

– On nie rozumie konsekwencji tak, jak powinien.

– Może masz rację.

– Twoja druga podopieczna ma się dobrze? – Jej uśmiech robi się szerszy, a nawet przyjazny, gdy widzi, jak Eddison ciężko wzdycha. Prawie przyjazny. – Vic wspomniał, że pojechałeś w jakiejś sprawie w teren. Trochę dziwne, że on i Mercedes ci nie towarzyszyli.

– Niektóre sprawy konsultujemy indywidualnie.

– Nic jej nie jest?

– Na razie nie – wzdycha. Zaczyna myśleć, że w poprzednim życiu musiał zrobić coś strasznego, że w tym otaczają go takie niebezpieczne kobiety.

Ale niczego by nie zmienił.

– Jeśli Guilian proponuje ci stolik szefa, to się zgódź – radzi mu Inara. – Nie robi tego zbyt często.

– Czy ten stolik nie jest w kuchni?

– Jest.

– A czy wy wszyscy tam nie przesiadujecie, kiedy nie obsługujecie gości?

Jej przewrotny chichot wystarczy mu za odpowiedź. Mądrzejszy człowiek być może zacząłby się wykręcać. I brać nogi za pas.

Ale Guilian zapraszająco przytrzymuje przed nim drzwi do kuchni, na co Eddison kiwa głową, bo co mu szkodzi – prawie nigdy nie je w restauracjach tak eleganckich jak ta.



Gipsówka wygląda tym razem inaczej. Papier, w który zawinięto kwiaty, jest błękitny, nie zielony, a przez sztywne pęczki przepleciono niebieskie wstążki. Karteczka jest jednak ta sama. Posłusznie wysyłam zdjęcia do Finneya i Eddisona, zanim wejdę do środka i sprawdzę, czy mamy w domu dwa czyste kubki.

Kiedy w drzwiach pojawiają się moi nowi agenci, Archer przyjmuje propozycję kawy z zaskoczonym uśmiechem, za to Sterling pyta, czy mam herbatę.

No przecież!

Archer cały czas rzuca mi dziwne spojrzenia, kiedy sprawdzają bukiet, i zadaje mi pytania takim tonem, jakby się spodziewał, że będę się wciąż wściekać o zeszły czwartek. Szczerze mówiąc, nie mam siły na to, by żywić do niego urazę, ale jeśli mogę go trochę pomęczyć, to z przyjemnością nie wyprowadzę go z błędu. Sterling obserwuje wszystko w bardzo subtelny, nierzucający się w oczy sposób. Archer pewnie nawet tego nie zauważa. Nie wiem, czy sama bym się zorientowała, gdyby celowo nie pochwyciła mojego spojrzenia, zanim znów się do niego odwróci.

W dziwny sposób dodaje mi to nieco otuchy.

Nagranie z monitoringu na moim laptopie ustawione jest na jakieś pół godziny po wyjściu mamy do pracy. Jest zbyt ciemno, żeby można było wyraźnie zobaczyć osobę, która zostawiła kwiaty. Można oszacować wzrost – średni, ale nawet kiedy Archer manipuluje filtrami, by wydobyć więcej szczegółów, osoba jest zbyt opatulona ubraniami, żeby zauważyć coś przydatnego. Widoczne są tylko jej oczy i nos.

– Rozpoznajesz go? – pyta Archer, podczas gdy Sterling przegląda wcześniejszy materiał.

– Skąd pewność, że to *on*?

– Z tego jak chodzi i stoi – Sterling odpowiada, sprawiając wrażenie nieobecnej. Wzrok ma przyklejony do monitora, licząc na znalezienie tropów na wcześniejszych nagraniach.

Archer rozsiada się wygodnie na kanapie.

– Czyli nikogo nie poznajesz.

– Już rozumiem, dlaczego dali ci taką błyszczącą odznakę.

Sterling próbuje zamaskować kaszlem swój nagły śmiech.

– Popytamy sąsiadów i sprawdzimy, czy ktoś widział, skąd przyszedł albo w którą stronę się oddalił. Może ktoś go zna.

– Czy szef wydziału dał wam zezwolenie?

– Nie odstępimy od obowiązków w oczekiwaniu na to, czy ktoś każe się nam wycofać, czy nie – mówi swobodnie.

– A jeśli sąsiedzi zapytają, co się dzieje?

– Naprawdę myślisz, że nie wiedzą, kim jesteście? – Archer kręci głową, widząc jak jego partnerka uporczywie się w niego wpatruje. – Każdej wiosny, w każdym mieście, w którym zginęła któraś z dziewczyn, pojawiają się plakaty z prośbą o kontakt, jeśli ktoś posiada jakieś nowe informacje. Twoja matka udzieliła wywiadu dla „The Economist” i powiedziała, że przenosicie się do Huntington. Ludzie wiedzą, kim jesteś, Priyu. To oczywiste.

– To, że ty obsesyjnie badałeś jakąś sprawę, nie oznacza, że wszyscy ludzie są z nią zainteresowani – odpalam. – Większość nie zwraca aż tyle uwagi na rzeczy, które nie mają na nich bezpośredniego wpływu.

– Kiedy nowi sąsiedzi ściągają za sobą seryjnego mordercę, to raczej ma to na nich wpływ.

Miało to wpływ na Aimée, ale nikt z nas nie wiedział, że w ogóle istnieje taka możliwość, aż było już za późno. Ale Archer zachował się jak dupek, mówiąc coś takiego.

– Nie wiecie nawet, czy to na pewno jest seryjny morderca – mówię, a Sterling kiwa głową.

– A kto inny?

– Szkoda, że nie widziałeś niektórych listów i prezentów, jakie dostałyśmy od fanów tego psychologa i różnych pseudopsychoterapeutów. Nie uwierzyłybyś, ile osób uznało za stosowne przysłać nam chryzantemy.

Pełną napięcia ciszę przerywa dobiegające z komórki granie pianina. Sterling zerka na telefon i marszczy brwi.

– To Finney. Zaraz wrócę. – Zaczyna rozmowę niedbałym „Tak jest, szefie” i wychodzi do kuchni.

– Kiedy przenosicie się do Paryża? – pyta Archer.

– W maju.

– Hmm. – Bawi się mankietem płaszcza i przejeżdża palcem po niemal niezauważalnej linii szwów. – Wiesz...

– Zakładam, że zaraz się dowiem.

– Finney naprawdę nas nie uprzedził, jaka jesteś wyszczekana.

– A skąd Finney miał o tym wiedzieć? – Uśmiecham się do niego słodko i niewinnie, i upijam ostatni łyk herbaty.

Archer gapi się na mnie w osłupieniu, ale po chwili bierze się w garść.

– Wiesz, że jeśli to morderca, to może być nasza ostatnia szansa, żeby go złapać? Możemy się już nigdy więcej nie dowiedzieć, w jakim mieście przebywa, zanim kogoś zabije.

– Szukasz możliwości awansu, Archer?  
– Staram się sprawiedliwie ukarać mężczyznę, który zabił szesnaście dziewczyn – mówi gniewnie. – Biorąc pod uwagę, że jedna z nich to twoja siostra, spodziewałbym się, że trochę bardziej to docenisz.

– No to się spodziewaj.

Naprawdę słyszę, jak zaciska zęby.

– Finney mówił, że mieszkasz w Huntington – rzucam po pewnym czasie. Czuję na palcach ciepło pustego kubka, który trzymam w dłoni. – Z tego, co zrozumiałam, miałeś przejeżdżać koło naszego domu przed i po pracy.

– Bo przejeżdżam.

– No to wygląda mi na to, że masz z nas wszystkich największe szanse, żeby czegokolwiek się dowiedzieć. Koniec końców, gdyby morderca chciał, żeby zauważyła go mama lub ja, to po prostu zapukałby do drzwi albo zadzwonił dzwonkiem. – Wzruszam ramionami, widząc jego wredne spojrzenie. – Problem ze zrobieniem ze mnie przynęty, bo zakładam, że miałeś zamiar to zaproponować, polega na tym, że mogę być mało kusząca, jeśli cel nie wie, że jego czas jest ograniczony. Dlaczego miałby się spieszyć?

– Ale jeśli wyjedziecie, zanim kwiaty...

– Czy którakolwiek z ofiar dostała kwiaty przed śmiercią?

– Z tego, co udało się nam ustalić, to nie – odpowiada Sterling i staje w drzwiach do kuchni, uważnie się nam przyglądając. Podrzuca telefon w dłoni i z łatwością go łapie. – Co ci chodzi po głowie?

– Myślę, że nie wiemy wystarczająco dużo, żeby zgadywać intencje osoby, która przynosi kwiaty – mówię szczerze. – Jeśli to morderca, to łamie swój schemat. Jeśli nim nie jest, to nie możemy mieć pewności, że będzie postępował według schematu, którego nie stworzył. Nie ma jak stwierdzić, czy będzie się go trzymał aż do końca. – Ja mogę sobie snuć domysły, ale oni są agentami federalnymi – nie powinni wysnuwać wniosków w oparciu o przecucia. – Przynęta jest użyteczna tylko wtedy, gdy wiesz, jakiej reakcji możesz się spodziewać.

– Nikt nie sugeruje, że wykorzystamy cię jako przynętę – mówi Sterling ostrym tonem.

Obie spoglądamy na Archera, który ma przynajmniej na tyle przyzwoitości, żeby zrobić speszoną minę.

– Finney potrzebuje nas w Denver. – Po chwili oznajmia Sterling. – Ale wrócimy wieczorem, żeby pogadać z sąsiadami. Miejmy nadzieję, że większość ludzi będzie już w domach po pracy. Jak skończymy, zajrzemy do was.

– Przynieś kubek termiczny. Zrobimy ci herbatę na drogę powrotną.

Sterling szeroko się uśmiecha i na ułamek sekundy cała jej twarz się rozchmurza.

Agenci wychodzą w poniedziałkową szarość, którą uprzykrza śnieg z deszczem. Nie mam zamiaru iść w taką pogodę na szachy. Ale sprawdzanie ganku stało się dla mnie nawykiem, nawet kiedy nie planuję wyjść na zewnątrz.

Piszę SMS-y do Trójki z Quantico, żeby dać im znać, jak tam sytuacja, po czym na kilka godzin siadam do nauki. Po lunchu, na który zjadłam wczorajszą pizzę, rozkładam się w salonie z pustymi pudłami na dzienniki. Przez miniony tydzień, kiedy ich nie czytałam, leżały w stosach na podłodze.

Dzięki mamie to starannie ułożone sterty, ale mimo wszystko dalej sterty. Czas je spakować. Przynoszę nawet dzienniki, które mam w pokoju.

Jednak gdy natrafiam na bruliony z San Diego, zwijam się z nimi w kłębek na kanapie. Wcześniej tylko pobieżnie je przejrzałam, szukając wpisów o znalezionych kwiatkach, ale to mama zeskanowała je dla agentów. Tym razem chcę je dokładnie przeczytać.

Przez chwilę czuję się, jakbym siedziała tu razem z Aimée, i choć tyle jestem jej winna, nie mam w sobie tyle naiwności, żeby myśleć, że odpowiadam za jej śmierć, ale mimo wszystko czuję ją na swoich barkach. Jestem jej to winna, aby wspominać Aimée jako moją przyjaciółkę, a nie tylko jako ofiarę.

Aimée posiadała naturalną urodę, której sama nie dostrzegała. Nie żeby uważała się za brzydką, ale po prostu nie przywiązywała większej wagi do tego, co widzi w lustrze. Kiedy kwitł amarantus, oplatała różowo-czerwone wiechy wokół związanego wstążką koka, na co jej mama droczyła się z nią, mówiąc, że kradnie z domu jedzenie. Uczyła się tańca baletowego i prowadziła kółko francuskie w szkole. Miłość do tego kraju i jego kultury odziedziczyła po mamie, która wyjechała z Meksyku do szkoły we Francji i zakochała się w Amerykaninie.

Chodziłyśmy razem na francuski i jako jedyne miałyśmy zamiar wykorzystać nasze umiejętności w praktyce, a nie tylko po to, żeby skończyć szkołę albo załapać się na stypendium na studiach. Nadal nie jestem do końca pewna, jak Aimée namówiła mnie na kółko, pomijając to, że obiecała, że nie będę musiała nic tam robić. Może po prostu czułam się samotna. Kiedyś byłam bardzo towarzyska. Pamiętam to. Nie przypominam sobie tylko, co sprawiło, że taka byłam.

Aimée była miła, miała dobre serce i nigdy nie pytała mnie, dlaczego cierpię, a ja nigdy tego nie tłumaczyłam. Czułam taką ulgę, że mam choć jedną osobę, która nie znała dawnej Priyi i nie mogła mnie porównać z osobą z przeszłości, a przez to stwierdzić, że stałam się dziwna lub zmieniłam się na gorsze. Aimée widziała we mnie zadry, ale nigdy nie kazała mi się ich pozbyć.

To, że poprosiłam ją, żebyśmy pozostały w kontakcie, było chyba najodważniejszą rzeczą, jaką w życiu zrobiłam. Nie umiałam powiedzieć, jaką odpowiedź bym wolała. Posiadanie przyjaciółki było równie przerażające co jej utrata.

Była ze mną tego dnia, kiedy znalazłam na swoim progu bukiet gipsówki. Zaśmiała się i powiedziała, że ktoś zapomniał chyba dodać kwiatów, a ja wetknęłam je do jej koka, aż zaczął przypominać sterczącą koronę skrzydlatej wróżki.

A kiedy dla poprawy nastroju pisałam o tym Chavi, różowym, brokatowym długopisem, wspominałam jej, że przypomniało mi się moje ostatnie przyjęcie urodzinowe – korony z kwiatów i wianek z białych, jedwabnych róż, który nadal trzymałam w swojej komodzie.

Który nadal mam w komodzie.

Cały czas myślę o Aimée, kiedy pakuję swoje pamiętniki z powrotem do pudeł, tym razem układając je w odpowiedniej kolejności. Chavi i ja wyciągałyśmy je za każdym razem, gdy chciałyśmy ostatecznie rozstrzygnąć, która z nas ma rację, przypomnieć sobie coś, co nam umknęło albo po prostu sobie powspominać. Potem pakowałyśmy je wymieszane, byle jak. Teraz jednak w każdym z pudełek umieszczam wyłącznie moje zapiski, a na zaklejonych kartonach pozostawiam tylko trzy ostatnie bruliony.

Przy obiedzie mama pokazuje na stertę dzienników Chavi i kawałek sushi prawie wypada jej spomiędzy pałeczek, gdy nimi gestykułuje.

– Zastanawiałaś się, co z nimi zrobimy?

– To znaczy?

– Zabieramy je ze sobą?

Cały dom jest w nieładzie, bo przeglądamy pudło za pudłem i decydujemy, co na pewno zabieramy do Francji, nad czym musimy się jeszcze zastanowić i co albo wyrzucamy, albo oddajemy. Nie przyszło mi na myśl zastanowić się nad dziennikami.

– Nie mówię, że mamy je od razu wyrzucać – dodaje po chwili. Ostrożnie mierzy mnie wzrokiem, jakby się bała, że zaraz wybuchnę. – Mówię jedynie, że może powinnaś je przejrzeć i postanowić, co chcesz z nimi zrobić.



– Będziesz mieć coś przeciw, jeśli je zatrzymam?

Obraca palczki, żeby uszczypnąć mnie w nos czystymi końcówkami.

– Wiesz, że nie lubię trzymać się przeszłości, ale akurat w tej sprawie to nie ja decyduję. Choć to pamiętniki Chavi, to też listy do ciebie, więc jeśli chcesz, zatrzymaj je. Cokolwiek postanowisz... – Robi gwałtowny wydech i wyciąga język, żeby złapać ziarenko ryżu, które przykleiło się do złotego kolczyka. – Francja to może być dla nas nowy początek, ale nigdy, przenigdy nie zasugeruję, żebyśmy porzuciły Chavi. Chcę się tylko upewnić, że zatrzymujemy jej zeszyty dlatego, że chcesz je mieć, a nie dlatego, że czujesz to twój obowiązek.

Okej, teraz rozumiem.

Podczas gdy mama tłucze się po kuchni, przeklinając pudła garnków, talerzy i tym podobnych rzeczy, siadam na kanapie z pierwszą stertą listów miłosnych od mojej siostry. Do tej pory widziałam tylko te fragmenty, które Chavi sama zechciała mi pokazać.

Wczesne dzienniki pisane są kredką, litery są wielkie i czasem o dziwnym kształcie, ortografia na fatalnym poziomie, i można uznać ją za uroczą tylko wówczas, gdy autor jest we wczesnej podstawówce. Była taka podekscytowana moim przyjściem na świat. Obiecywała mi, że będzie najlepszą siostrą na świecie, że zawsze będzie mnie kochać, a nawet zarzekała się, że będzie ze mną dzielić się swoimi ulubionymi zabawkami. Wpis z dwóch dni po moim urodzeniu jest po prostu przesłodki, głównie dlatego, że Chavi była taka nadąsana, że aż czuć to z papieru.

W jakiś sposób moja pięcioletnia siostra nie załapała, że będę niemowlakiem i nie od razu zaczniemy się bawić.

Tak zaczyna się pewien rytuał. Wstaję rano, sprawdzam ganek, uczę się, czasem idę na szachy albo do sklepu, wracam po południu, żeby spakować trochę naszych rzeczy, znów się uczę, jemy obiad, pomagam mamie z pudłami na dole i spędzam pół nocy na czytaniu dzienników Chavi.

W piątek na ganku leży wianek z kapryfolium, włożony w coś w stylu pudełka na tort, wyścielonego niebieską bibułą.

W poniedziałek znajduję bukietik frezji w całej gamie kolorów: róży, żółci, bieli, fioleto i rdzawego pomarańcza. Na długich łądogach widać wiele jeszcze zamkniętych pąków.

Goździki przychodzą w środę, burgundowe brzegi krwawią w głąb białych płatków. Ostatnim razem dostawy na nich właśnie się skończyły. W miejsce agentki Sterling i agenta Archera, którego widuję tylko, gdy przejeżdża przed naszym domem, po kolejne kwiaty zjawia się agent Finnegan.

– Dobrze się masz? – pyta, nie odrywając wzroku od prostokątnego kartonika w dłoni ubranej w rękawiczkę.

– Pewnie. – Opieram się o framugę, trzymając kubek kakao blisko twarzy, tak żeby para niwelowała zimne powietrze. Na zewnątrz robi się cieplej, przez ostatnie kilka dni jest około trzynastu stopni, a synoptycy radośnie przewidują szesnaście w przyszłym tygodniu. Ale jestem w piżamie i jakoś nie chce mi się sięgnąć po płaszcz, który znajduje się kilka kroków ode mnie. – Chciałabym tylko wiedzieć, czego spodziewać się dalej.

– Orlików – agent odpowiada automatycznie, wsadzając karteczkę do oddzielnej torebki na dowody. – Wiesz, jak wyglądają?

– Są niebieskie? Jest o nich piosenka. Chyba. – Tak naprawdę nie chodziło mi o kwiaty, ale w dziwny sposób jego odpowiedź dodaje mi otuchy, bo przynajmniej nie zamierzał tego przede mną zatajać.

Pozostaje w przykucniętej pozycji, wspiera się przedramionami o kolana i spogląda na mnie.

– Trudno się czegoś dowiedzieć o twoim zaprzyjaźnionym zboku z sąsiedztwa.

– Landonie?

– Eddison zawęził teren do kilku obszarów miasta, w których może mieszkać, ale nie natrafiliśmy tam na nikogo, kto by go rozpoznawał i mamy problem ze znalezieniem jakichkolwiek dokumentów na jego temat. Żadnej umowy najmu, żadnego kredytu hipotecznego. Ani w miejskim wydziale komunikacji, ani na poczcie nie słyszeli o żadnym Landonie. Poszerzamy zakres poszukiwań, ale idzie powoli.

– To nie Landon jest na nagraniu – przypominam mu. – Oczy mają inny kształt.

Finney marszczy czoło i spogląda na mnie.

– Archer miał ci powiedzieć – znaleźliśmy gościa z nagrania.

– Co?

– To student z miejscowej uczelni, dorabia sobie jako kurier. Jeden z twoich sąsiadów rozpoznał go na zdjęciach z frezjami. Chłopak zeznał, że ktoś zostawił mu te kwiaty w samochodzie wraz z kopertą zawierającą adres, opłatę za dostawę i informację, o której godzinie mają być doręczone.

– Zostawia otwarty samochód, żeby ludzie mogli anonimowo dostarczać mu przesyłki? – pytam z niedowierzaniem. – To trochę...

– Szczyt idiotyzmu – kończy za mnie Finney. – To także dobry sposób, by wylądować w więzieniu, jeśli pomoże w przewiezieniu czegoś nielegalnego. Powiedział, że się z nami skontaktuje, jeśli jeszcze coś takiego się u niego pojawi.

– Więc albo kurier nas okłamał, albo nasz podejrzany dostarczył te kwiaty w inny sposób.

– Dokładnie. A takie utajone akcje trochę pasują do twojego niewidzialnego kumpla Landona. Nie ma go dziś w pawilonie na szachach. Sprawdziłem po drodze. Resztę tygodnia będziemy w sądzie. W przyszłym tygodniu albo ja, albo Archer będziemy ci towarzyszyć na szachach i miejmy nadzieję, pogadamy z Landonem, a może nawet pójdziemy za nim do domu.

– Nie widziałam go, odkąd Eddison tam ze mną poszedł. Czyli od półtora tygodnia.

– Ani razu?

– Ani razu.

– A twoi weterani?

– Nie pytałam. – Widzę, jak bruzdy na jego czole się pogłębiają i jak Finney w zamyśleniu pociera odziane w rękawiczki dłonie. – Martwisz się, co?

Przejeżdża dłonią włosy i szybko przyjmuje neutralną minę. Jego fizjonomię tworzy nietypowa mieszanka cech: ma delikatną twarz, ale korpulentne ciało, jego skóra jest blada i gęsto usiana bardzo jasnymi piegami jak u Irlandczyka, ale jego włosy są jedwabiste i ciemne.

– Szkolił mnie Victor Hanoverian. Byliśmy partnerami do czasu, aż dostałem własną ekipę, a on zaczął pracować z Eddisonem i Ramirez. Wiele razy widziałem, jak w niebezpiecznych sytuacjach musiał odpowiedzieć ogniem i nawet powieka mu nie drgnęła. Więc fakt, że codziennie przysyła mi e-maila z pytaniem, czy mamy jakieś nowe informacje, sprawia, że się martwię. Bo jeśli on jest podenerwowany, to ja już robię w gacie.

Nie spodziewałam się tego rodzaju szczerości po osobie, która jest mi właściwie obca, ale jestem mu za nią wdzięczna.

– On się boi tego, co się stanie, kiedy dostanę kwiaty z morderstwa sprzed roku, prawda?

– Albo co się stanie, jeśli wyjedziesz, zanim cała lista zostanie odbębniiona – przyznaje. – Jeśli wy się przeprowadzicie, to co się stanie, jeśli on też? Wtedy sprawa nie będzie już w rękach FBI.

– Możecie przekazać akta sprawy Interpolowi?

– Tak, i jeśli do tego dojdzie, tak właśnie zrobimy. Tylko czy poświęcą temu wystarczającą uwagę?

– Dziękuję.

– Za co?

– Za to, że nie bagatelizujesz sytuacji – mówię, wzruszając ramionami. – Gdybym nie schowała głowy w piasek, kiedy Chavi umarła, to może zgłosiłabym kwiaty z San Diego. Nie musielibyśmy teraz tego robić, a ty nie musiałbyś się skradać wokół swojej szefowej. Może Aimée nadal by żyła i ta dziewczyna po niej też.

– Nie no, zaczekaj. – Agent prostuje się z przykucniętej pozycji, jedno kolano boleśnie mu strzela, ale pomijając grymas, zdaje się tym nie przejmować. Jest nieco niższy niż ja, ale chodzi z podniesioną głową. Czuć jego charyzmę, nawet jeśli nie stara się na nikim robić wrażenia. – Nie możesz w ten sposób myśleć.

– Ale taka jest prawda.

– Nie mamy absolutnie żadnego sposobu, żeby to potwierdzić. Priya, spójrz na mnie.

Jego oczy są ciemne, tęczaówki niemal nie do odróżnienia od źrenic, ale ma też niesamowicie długie rzęsy, jakich w życiu nie widziałam u mężczyzny.

– Nie możesz w ten sposób myśleć – powtarza stanowczo. – Nic z tego, co się stało, nie jest twoją winą. Nie możesz wiedzieć, co by się stało, gdyby sprawy w San Diego potoczyły się inaczej. Istnieje tylko to, co teraz. I robisz wszystko, co w twojej mocy.

– Okej.

Wygląda na sfrustrowanego i zastanawiam się, czy niedługo odbiorę telefon od Eddisona albo Vica. Agent Finnegan, choć jest bardzo miły, nie zna mnie na tyle dobrze, żeby skutecznie wybić mi coś z głowy. – Zobaczmy, co nagrała kamera.

Tym razem na nagraniu widać kobietę, ma na sobie gruby sweter, a pod nim czarno-czerwono-żółtą koszulkę polo, które noszą pracownicy stacji benzynowej kilka ulic dalej. Nie rozpoznaję tej kobiety, ale to żadna niespodzianka. Chodzę do tego sklepu tylko wtedy, gdy wracam z szachów i z zimna za bardzo chce mi się sikać, żeby nie zdołała dojść do domu. W takich wypadkach kupuję coś do picia albo batonik, żeby nie być dupkiem, który używa łazienki, nie będąc klientem, ale nie zdarza się to na tyle często, żeby nie znała wszystkich, którzy tam pracują.

– Pójdę tam i dowiem się, czy ją rozpoznają – mówi Finney, wychodząc. – I, Priya... robisz już wszystko, co jesteś w stanie. Nie bierz na swoje barki ciężaru, który nie jest twój.

Orlik występuje w różnych kolorach i wygląda, jakby składał się z dwóch różnych kwiatów połączonych ze sobą. Centrum tworzą białe, szerokie płatki, zaś kielich jest ciemny i pasuje do cieńszych, dłuższych listków pod spodem. Orliki, które pojawiają się w piątek, dostarcza bardzo skolowany listonosz, który znalazł je na tylnym siedzeniu swojego samochodu. Są białofioletowe.

Emily Adams śpiewała o niebieskich orlikach na kilka dni przed swoją śmiercią.

Pewnie dlatego po raz pierwszy wstążka w bukiecie nie jest z plastiku. To biała satyna z wydrukowanymi na niej czarnymi nutami. Dostaję nie tylko kwiaty jej śmierci, ale też coś z jej życia.



Ramirez jest w Delaware i rewiduje sprawę, którą agenci zamknęli w lutym, ale najwyraźniej nie powiedziała tego swojej tak-jakby-dziewczynie, bo na jej biurku stoi ogromny bukiet słoneczników. Kurier musiał je trzymać, aż Eddison zsunie bajzel z biurka agentki, żeby zrobić dla nich miejsce. Ramirez kocha słoneczniki. Eddison o tym wie.

Ale po głowie krążą mu kwiaty zupełnie innego gatunku, więc ta przesyłka jest dla niego co najmniej niepokojąca.

Ramirez to jednak przyzwoita partnerka, więc Eddison robi kwiatom zdjęcie i wysyła jej, żeby mogła zadzwonić zachwycona do swojej lubej z antyterrorystycznego.

Kiedy Vic wchodzi do biura, trzyma w dłoni pół kanapki z kurczakiem i ma spiętą minę.

– Bierz płaszcz – mówi burkliwie. – Jedziemy do Sharpsburga.

– Sharps... Keely?

– Została napadnięta. Inara jest z nią w szpitalu razem z jej rodzicami.

– Inara jest w Maryland? – Ma już w rękach oba płaszcze, jak również broń i odznaki.

Reszty dowie się, kiedy Vic dokończy lunch. Bierze też na wszelki wypadek małe torby z podstawowymi rzeczami, które trzymają pod biurkami w razie konieczności nagłego wyjazdu. Raczej nie powinni zostać na noc, bo to dość blisko domu, ale nic go to nie kosztuje, więc równie dobrze mogą się przygotować.

– Keely ma ferie wiosenne. Zaprosiła do siebie Inarę na kilka dni.

A więc Inara znów zrobiła sobie wolne, pomyślał Eddison. Przy napiwkach, jakie dostaje w restauracji, może sobie pewnie na to pozwolić.

Vic kończy kanapkę w windzie, a swój pistolet i odznakę przypina do pasa.

Pomijając jeden komunikat – z informacją, do którego szpitala zabrano Keely, i że jej napastniczka znajduje się w areszcie – dwie godziny drogi do Sharpsburga mijają im w ciszy. Trudno nie wyobrażać sobie najgorszego.

Keely radziła sobie... tak, jak można się było spodziewać. Została porwana w swoje dwunaste urodziny, brutalnie zgwałcona i pobita, po czym obudziła się w Ogrodzie. Była tam tylko przez kilka dni, niezłomnie ochraniana przez Inarę oraz inne dziewczyny, ale z tego, co opowiadały ocalałe, te ostatnie doby śmierdziały strachem najgorzej ze wszystkich. Potem nastąpiła eksplozja, akcja ratunkowa i rozgłos... Keely doznała w swoim życiu więcej, niż powinno jakiegokolwiek dziecko.

Miejscowa komenda poinformowała szpital o przyjeździe FBI. Nie zdążyli dobrze pokazać swoich odznak, a już zostali skierowani do jednoosobowej sali obok oddziału ratunkowego.

Ojciec Keely nerwowo chodzi po korytarzu w tę i z powrotem i pociera dłońmi twarz. Inara stoi przy drzwiach i obserwuje go z rękami skrzyżowanymi na brzuchu. Eddison nie jest pewien, czy to postawa obronna, czy dziewczyna próbuje obronić się przed chłodem – klimatyzacja działa nieco zbyt mocno, żeby czuć się tu komfortowo w bluzce na ramiączkach. Widzi krawędzie jednego z wytatuowanych skrzydeł nad krągłością ramienia dziewczyny.

– W środku jest z nią matka oraz jedna z funkcjonariuszek – w ramach powitania informuje ich Inara.

– Otrzymaliśmy zdawkowy komunikat – odpowiada Vic. – Co się stało?

– Byłyśmy w centrum handlowym i postanowiliśmy coś zjeść. Jej rodzice siedzieli przy innym stoliku w części restauracyjnej. Keely wybrała nam miejsce, a ja poszłam po jedzenie. Usłyszałam jakieś zamieszanie i odwróciłam się. Jakaś kobieta atakowała ją nożem. Nazwała ją dziwką, powiedziała, że gwałt to kara od Boga.

– I co wtedy?

– Wszyscy byli tym zszokowani. Jakby zamarli. No to przepchnęłam się do nich i powaliłam sukę na ziemię. Być może złamałam jej nos. Puściła nóż i wtedy pojawił się ochroniarz i zakuł ją w kajdanki, a ja zajęłam się Keely.

– W jakim jest stanie?

Eddison ściąga płaszcz i podaje go Victorowi, a następnie zdejmuje gruby, czarny sweter. Dziś rano pomyślał, że będzie mu w nim wygodniej, niż gdyby założył marynarkę, skoro w planach mieli cały dzień siedzenia za biurkiem. Teraz się z tego cieszy, bo Inara uśmiecha się do niego, gdy go jej podaje.

– Dzięki. Dałam swoją bluzę Keely, żeby mogła się trochę schować. Ludzie się gapili. – Sweter jest na nią za duży, a otwór na głowę tak szeroki, że widać jej obojczyki, ale przynajmniej teraz dziewczyna nie krzyżuje rąk. – Rany cięte są płytkie, głównie na rękach, bo próbowała się nimi zasłonić. Jedno cięcie jest na policzku i wezwano już chirurga plastycznego, żeby je obejrzał.

– Czy to było to samo centrum handlowe, w którym została porwana?

– Tak. Wróciła tam nie po raz pierwszy. Jej terapeuta ją do tego zachęca.

– Więc napastniczka wiedziała, kim jest Keely.

– Trudno było by nie wiedzieć – mówi Inara ironicznie. – Niedługo wyskoczymy ludziom z lodówki. A Keely tu mieszka.

Ojciec Keely kiwa głową na powitanie, gdy zbliża się do ich strony korytarza, ale niedługo potem obraca się na pięcie i idzie w drugą stronę.

– Bardzo się starali nie dusić jej swoją nadopiekuńczością – tłumaczy Inara agentom. –

Chcieli być w pobliżu, ale nie śledzić każdego jej kroku. To był ich pomysł, żebyśmy zjadły posiłek tylko we dwie.

– Czy to jest wstęp do rozmowy o tym, kto zawinił? – pyta Vic łagodnym tonem.

Inara prycha.

– Nie, dzięki. Ostatnio mam ich już aż nadto. Tata Keely chyba próbuje upuścić trochę pary, zanim pójdzie się zobaczyć z córką.

Vic spogląda na Eddisona, po czym puka do drzwi.

– Keely? To ja, agent Hanoverian. Czy mogę wejść? – Czeka na wypowiedziane stłumionym głosem potwierdzenie, zanim wejdzie do pokoju i delikatnie zamknie za sobą drzwi.

Eddison opiera się o ścianę obok Inary i oboje obserwują ojca dziewczynki.

– Uderzyłaś ją tylko raz?

– Tak.

– Podziwiam twoją samokontrolę.

– Gdyby nie pojawił się ochroniarz, to może zdziałałabym więcej. A może nie. Zależy, czy ta wariatka znowu rzuciłaby się do ataku.

Pan Rudolph kończy kolejne okrążenie i odwraca się, by zacząć następne.

– Rozważają przeprowadzkę do Baltimore. Firma, w której on pracuje, ma tam oddział, a ona rodzinę. Myślę, że może będzie lepiej dla córki, jeśli znikną z Sharpsburga.

– A ty co myślisz?

– Myślę, że w Baltimore ludzie oglądają mniej więcej te same wiadomości – odpowiada z westchnieniem. – Nie wiem. Może nie jestem tu najlepszym doradcą. Ja wróciłam do tego samego mieszkania i tej samej pracy.

– Osiemnaście lat to nie to samo co dwanaście.

– Naprawdę? Nigdy bym się nie domyśliła.

Eddison uśmiecha się sarkastycznie, a ponieważ stoją obok siebie, nie może udawać, że Inara tego nie widzi.

– A ty masz jakieś obrażenia?

Unosi owiniętą bandażem lewą rękę. Nie wygląda to tak samo, spotkali się po raz pierwszy, ale wystarczająco podobnie, żeby Eddison się skrzywił.

– Głupio zrobiłam. Chciałam chwycić babę za rękę, a złapałam za nóż. Ale dzięki temu łatwiej mi było jej przyłożyć. To tylko kilka szwów, blizna nie będzie wielka.

Oparzenia z Ogrodu się wygoiły, Inara ma też kilka razy dziennie wykonywać zestawy ćwiczeń, żeby skóra nie straciła elastyczności.

– Dziwię się, że nie jesteś z nią w środku.

– Przez jakiś czas byłam, ale Keely zerkała na mnie, kiedy policjantka próbowała zadać jej kilka pytań. Zaproponowałam, że poczekam na zewnątrz, żeby zeznawała samodzielnie.

– A nie wróciłaś do środka, bo...?

Inara mamrocze pod nosem jakieś przekleństwo i nieporadnie wyciąga lewą ręką telefon z kieszeni. Robi to niezdarnie, bo uścisk zranionej dłoni nie jest taki mocny. Ale gdy przejeżdża kciukiem po ekranie, ignorując strumień napływających SMS-ów od, jak Eddison poznaje po imionach, innych Motyli, znajduje wiadomość od Bliss. Gdy pokazuje ją Eddisonowi, na moment staje mu serce.

To screenshot z artykułu w internecie opublikowanego niespełna godzinę temu, gdzie pod obrzydliwym, clickbaitowym nagłówkiem, znajduje się zdjęcie Inary. Keely nie jest dobrze widoczna, stoi za plecami dziewczynki, całkowicie owinięta bluzą starszej koleżanki. Widzi jednak miejsce, gdzie koszulka Inary podciągnęła się jej na plecach, ujawniając dolne skrzydła motyla *Callophrys eryphon*, a na jej lewym profilu minę zacieklej obrończyni.

– Wymieniają tu moje imię i nazwisko. Nazwę restauracji też. Bliss ostrzeże Guiliana, a on przypomni wszystkim pracownikom, że mają nie odpowiadać na żadne pytania niezwiązane z jedzeniem.

– A jej dane też podają?

– Keely Rudolph ze Sharpsburga w stanie Maryland. Piszą nawet, do której chodzi szkoły. Do którego, jebanego, gimnazjum.

– Może Baltimore to nie taki zły pomysł. Mogliby ją zapisać do szkoły pod nazwiskiem matki.

– Przetrwaliśmy. Nie powinniśmy musieć się ukrywać.

– Nie, nie powinniście.

– Niektóre dzieci w szkole uprzykrzały jej życie. Obklejały jej szafkę naklejkami z motylami, zostawiały figurki motyli na jej ławce. Jedna nauczycielka zapytała ją nawet, czy Ogródnik miał już dla niej wybrany gatunek.

– To straszne.

– Przywykłam do gównianego życia. Dzięki temu jestem nieustannie wdzięczna za moich przyjaciół, ale to też oznacza, że przyzwyczaiłam się do kolejnych złych rzeczy. Ona nie. I nigdy nie powinna. To dobra dziewczynka, dla której rodzice zrobiliby wszystko, i...

Eddison odchrząkuje ze skrępowaniem.

– I to nie jest sprawiedliwe?

– Więcej. To jest po prostu złe. – Odkłada telefon i zamykając oczy, delikatnie uderza głową o ścianę za nimi. – Blizny bledną – mówi cicho. – Ale nie znikają. To nie jest w porządku. Żyjemy już z tymi wspomnieniami. Czy musimy mieć też blizny?

Eddison nie ma na to odpowiedzi.

Inara nie wysłuchałaby go, nawet gdyby próbował.

Dalej więc patrz, jak ojciec Keely krąży po szpitalnym korytarzu, nasłuchując niewyraźnych szmerów dobiegających z pokoju, i czekają.



*Nazywa się Laini Testerman i jedwabny hibiskus, który wkłada codziennie za ucho, jest najskromniejszym elementem stroju, jaki nosi z własnej woli.*

*Nigdy w życiu nie widziałeś czegoś takiego, ale cieplejsza niż zazwyczaj wiosna w Missisipi sprawiła, że ta dziewczyna zrzuca z siebie ciuchy nawet wtedy, kiedy nie powinna. Nigdy nie widziałeś tak krótkich szortów, podjeżdżających pod tyłek aż widzisz zgięcia jej pośladków. Jeśli nie jest w szkole, to siedzi nad basenem w samej górze od bikini, z dnia na dzień coraz mniej zakrywającej.*

*Kiedy pilnuje dzieci, wychodzi z nimi na zewnątrz, żeby biegały przez wodę ze zraszacza lub węża albo żeby pobawiły się w basenie. Nigdy nie każe im najpierw przebrać się w kostiumy. Zupełnie na widoku, tam gdzie każdy może zobaczyć, zwyczajnie mówi dziewczynkom, żeby rozebrały się do majtek i wskakiwały do wody, bez względu na to, czy na trawniku lub w basenie bawią się z nimi chłopcy. Zaraz przy ulicy.*

*Już wcześniej zastanawiałeś się, czy zabić ją ze względu na jej własny brak skromności, ale właśnie to przypieczętowało sprawę. Nie możesz jej pozwolić, by zepsuła inne dziewczynki.*

*Nie chcesz jednak, żeby dzieci to widziały, a ona większość swojego czasu po szkole spędza jako niania. Dowiadujesz się, że zbiera na samochód, i słuchasz, jak rozwodzi się w rozmowie z koleżanką, o ile więcej będzie mieć swobody, gdy go sobie kupi. Rzadko kiedy jest gdzieś sama, biorąc od uwagi, ile pracuje.*

*Ale pewnego razu późnym wieczorem wsiada na rower, jedzie na osiedlowy basen i wspina się na ogrodzenie mimo kłódki na bramie. Kładzie torbę i ręcznik na leżaku, a następnie*



*kostium kąpielowy, aż w końcu z elegancją wskakuje do wody naga jak w dniu narodzin.*

*Nadal ma we włosach spinkę z kwiatem, którego jaskrawy kolor widać nawet w odległym świetle ulicznych lamp.*

*Wtedy słyszysz, jak ogrodzenie znów zaczyna grzechotać i przy basenie pojawia się chłopak. Kładzie swój ręcznik i spodenki do pływania obok jej rzeczy, ale nie wskakuje do wody. Siada na brzegu, zanurzając nogi, i patrzy na nią, jak przepływa kolejne długości basenu. Prędko porusza się w wodzie, jej wymachy są silne i precyzyjne, wiesz, że należy do szkolnej drużyny pływackiej.*

*Czy nadal chcieliby ją w zespole, gdyby o tym wiedzieli?*

*Śmieje się, kiedy zauważa chłopca, i podpływa bliżej, żeby oprzeć się łokciami o jego rozstawione szeroko kolana.*

*Kusi cię, aby załatwić sprawę już dziś, ale nie masz kwiatów. Wiesz, gdzie możesz je znaleźć – w końcu obserwujesz ją już jakiś czas i wiesz, że to musi być ona – ale kilkugodzinna podróż za miasto zajmie ci jeszcze jeden dzień. Przykładasz się bardziej niż zwykle, ale w tej miejscowości odbywa się Festiwal Hibiskusów. Uznajesz to za stosowne.*

*Stosowne wydaje ci się też umieszczenie po jednej główce kwiatu na jej sutkach, które powinno zakrywać ubranie, oraz ich pęk na jej zbyt często odsłanianym kroczu, i jeszcze jeden, najbardziej jaskrawy ze wszystkich, wprost w ustach tej dziwki.*



Po wizycie Sterling i Archera związanej z dostarczonym we wtorek bukietem aksamitek idę na szachy, bo potrzebuję zrobić sobie przerwę od naszego domu, pudeł i dzienników. Mama kocha aksamitki. Tata miał na nie alergię, a przynajmniej tak mówił. Tak naprawdę ich nie cierpiał i wymyślił alergię, żeby mama nie zносиła ich do domu ani nie sadziła w naszym ogródku. Skończyło się na tym, że obsadziła aksamitkami długość całego muru dawnego kościoła, przez co tata, chcąc wejść do środka, musiał obchodzić budynek, aby potrzymać swoją bajkę.

Ale ponieważ zbliżamy się do rocznicy śmierci Chavi, nadchodzi także rocznica jego odejścia, więc aksamitki są dziś nieco bardziej bolesne, rana bardziej rozdarta.

Jest na tyle ciepło, że wystarczą mi dzinsy, polar i szalik na wszelki wypadek zarzucony wokół szyi. Polar należał kiedyś do Chavi i jest dużo bardziej krzykliwy niż rzeczy, które zwykle noszę. Ma w sobie jednak coś pocieszającego. Jest równie czerwony co moja szminka, a szalik ma głęboki szmaragdowy kolor, który uwielbia mama, i czuję się, jakbym miała dziś na sobie po odrobinie każdej z nich.

Ale nie w tym samym sensie co Ed Gein[11].

Zauważam spojrzenia, jakie wymieniają weterani, zanim w końcu wyznaczą kogoś, kto mnie o to zapyta. Pierce odchrząkuje i wbija stanowcze spojrzenie w szachownicę pomiędzy nami.

– Wszystko w porządku, Niebieska?

– Zbliża się kilka trudnych dla mnie rocznic – odpowiadam, bo to prawda, ale nie mam zamiaru wdawać się w więcej szczegółów. Salwa wie, że moja siostra została zamordowana. Wszyscy słyszeli, że wspominam o mamie, ale nigdy o ojcu. Nosimy swoje blizny i czasem ból jest zarówno faktem, jak i wspomnieniem.

– Landon więcej się nie pokazał.

Kładę dłonie na uda.

– Mam za to przeprosić?

– Nie! – skrzeczy, a Jorge i Steven patrzą na niego, kręcąc głowami. – Chcieliśmy tylko wiedzieć, czy zaczął cię jeszcze gdzieś indziej.

– Nie widziałam go. – Ale przypominam sobie o obawach Finneya. – A wy?

Wszyscy kręcą głowami.

Gdy przesunę swoją królową o trzy pola na skos, gdzie jest wystawiona na łatwy atak, z powrotem odkładam dłonie na uda. Pierce rzuca mi beznamiętne spojrzenie, ale przyjmuje moją ofiarę. To równie dobry moment na zmianę tematu jak każdy inny.

– Ile jeszcze z nami będziesz, Niebieska? – pyta Corgi.

– Niecałe sześć tygodni. Tkwimy po szyję w sortowaniu naszych rzeczy i wyrzucamy sporo badziewia, które bez wyraźnego powodu woziliśmy ze sobą z miejsca w miejsce.

– Kobiety bywają takie sentymentalne – wzdycha Szczęściarz.

Płochy szturcha go w bok.

– Bardziej leniwe niż sentymentalne – mówię, uśmiechając się niemrawo. – Tyle razy się przeprowadzałyśmy, że rozpakowywanie wszystkiego za każdym razem nigdy nie miało dla nas zbyt wiele sensu, a skoro się nie rozpakowywałyśmy, to po co segregować rzeczy w pudełach?

– Ale jeśli czegoś nie używacie, to po co to trzymać?

– Bo te rzeczy, które się liczą, i te, które nie, są ze sobą wymieszane. Nie możemy tak po prostu wyrzucać całych pudeł.

– Nie dyskutuj z kobietą, Szczęściarz – upomina go Corgi. – Nawet z młodszą. Logika jest nie ta co u nas.

Salwa budzi się, gdy cały pawilon wybuchła rechotem, i uśmiecha się do mnie, mrugając zaspanymi powiekami.

– Masz dobry wpływ na tych starych baranów, panno Priyu.

– Wy też macie na mnie dobry wpływ – mamrocze w odpowiedzi i taka jest prawda. Pomijając Landona, to dla mnie bezpieczne miejsce, pełne ludzi, którzy sprawiają, że nie tylko czuję się akceptowana, ale mile widziana mimo moich blizn i niepokojącego uśmiechu.

Po spektakularnej przegranej z Piercem – który nie jest tym zachwycony – rozgrywam spokojną partyjkę z Salwą, a potem kręcę się po namiocie z aparatem w ręce. FBI ma zdjęcia, z których może skorzystać, ale ja chcę więcej dla siebie na czas, gdy już mnie tu nie będzie.

Nadal mam aparat zawieszony na szyi, kiedy wchodzi do Krogera. Widzę, jak Joshua stamtąd wychodzi, ubrany w kolejny rybacki sweter, bez płaszcza. Robię mu kilka zdjęć, bo był dla mnie miły, ale nienachalny. Kiedy mnie zauważa, uśmiecha się, ale nie zatrzymuje. Nigdzie nie widzę Landona, więc odbieram swoje zamówienie i ruszam z powrotem do domu. Nadal się rozglądam w drodze powrotnej, ale nie czuję uporczywego wrażenia, że ktoś się na mnie gapi.

Wysłałam Finneyowi i Sterling SMS-y z wiadomością, że weterani też nie widzieli Landona, po czym dzwonię do Eddisona. Przeczytałam o ataku na Keely, widziałam też zdjęcie Inary. Nie postanowiłam jeszcze, czy sama podejmę z nią ten temat, czy pozwolę jej przejąć inicjatywę. Biorąc pod uwagę, że Eddison przez pół ostatniego weekendu przysyłał mi długie SMS-y o wiosennych treningach drużyny Nationals, nadal jest po tej całej historii mocno poruszony.

– Nie jestem pewien, czy to dobre wieści, czy nie – oznajmia, kiedy mówię mu o Landonie. – Ciszę się, że cię już nie nagabuje, ale dużo trudniej go przez to znaleźć.

– Dlaczego jesteś taki pewien, że to on?

– Dlaczego jesteś taka pewna, że to nie on?

– Zrobił na tobie wrażenie bystrego gościa?

– Społecznie niekompetentny nie oznacza mało inteligentny.

– Ale oznacza, że się wyróżnia. Gdybyś był nastolatką, chciałbyś go spotkać gdzieś po ciemku?

– Gdybym był nastolatką – powtarza – to chyba miałbym koszmary z nim w roli głównej.

– No to mam dla ciebie kolejny – mruczę, docierając pod drzwi. – W ciągu ostatnich kilku godzin dostarczono kolejną przesyłkę.

Eddison przeklina cicho i słyszę jednolity ciąg ostrych sylab, rzucanych nerwowo i z zakłopotaniem.

– Co tym razem?

– Nie wiem. – Na liście znajdują się dwa gatunki kwiatów na literę „h” i teraz do głowy przychodzą mi tylko hiacynty – Jakieś tropikalne. Wyglądają jak z butelki balsamu do opalania. – Kwiaty są duże, kilka z nich nawet bardzo, ich płatki nieco nakładają się na siebie, a z kielichów wystają długie pręciki wyglądające jak pokryte pyłkiem wzwoły. Płatki są ciemnofioletowe w środku i stopniowo jaśnieją, przechodząc w krwistą czerwień, pomarańczowy szkarłat, a na końcu radosną żółć. Z góry wyglądają jak z bajki Disneya zatytułowanej *Fantazja*. Przelącam Eddisona na głośnik, żebym mogła zrobić zdjęcia i mu wysłać.

– To hibiskus – mówi po chwili ochryplym z rezygnacji tonem. – Czujesz się bezpieczna?

– Do domu jeszcze nie wszedł.

– Bądź poważna, Priyu.

– Zamieniasz się w Vica.

– *Czy czujesz się bezpieczna?!*

– Bezpieczna na tyle, na ile mogę – odpowiadam. – Obiecuję, zamknę drzwi, nie będę

podchodzić do okien i będę mieć pod ręką jeden z ostrych noży.

– A wiesz w ogóle, gdzie macie te ostre noże?

– Pewnie. Mama je wczoraj znalazła. Leżą na blacie w pudle, które próbujemy dopakować.

W słuchawce rozlega się cichy plask. Podejrzewam, że Eddison właśnie walnął się ręką w czoło.

– No dobra. Finney z tobą zostanie, aż do domu wróci mama. Albo Sterling i Archer, ktokolwiek się pojawi. Nie kłóć się ze mną. Zostaną i już.

– Nie miałam zamiaru się kłócić. – Biorąc pod uwagę ich tempo, potrzebują niespełna godziny, żeby przyjechać tu z Denver. Mama wróci dopiero za trzy. W którymś momencie będą chyba musieli przekazać obowiązki lokalnej policji i uzyskać od nich analizy laboratoryjne, ale nie wiem, na jakich zasadach to funkcjonuje.

– Skontaktuję się z Finneyem. Zadzwoń do mnie, jeśli będziesz czegoś potrzebować. Albo żeby dać mi znać, że nadal wszystko okej.

– Sprawdzę nagranie i przygotuję dla nich odpowiedni fragment.

– Zuch dziewczyna.

Siadam na kanapie i kładę nóż na jednym z oparc, kolejny na stoliku, a na kolana biorę laptopa. Nie było mnie dwie, może dwie i pół godziny, więc nie powinno być trudno znaleźć odpowiedni fragment.

W teorii.

Jedyną osobą, jaką widzę na nagraniu po wyjściu agentów, jestem ja sama. Dostawa zdaje się w ogóle nie mieć miejsca. Jeszcze raz przewijam materiał, tym razem wolniej i odnajduję dziesięć minut, gdzie obraz jakby zamarł. Kamery podpięte są do naszego Wi-Fi, które jest zabezpieczoną siecią. Nikt nie powinien być w stanie się z nią połączyć.

Jeszcze raz sprawdzam godzinę zatrzymania kamery. O Boże. Kwiaty podrzucono tuż przed moim powrotem.

Nie pamiętam, kiedy sięgnęłam po nóż, ale zaciskam rękojeść w dłoni, aż zbieleły mi knykcie. Nie spotkałam po drodze żadnych pieszych ani rowerzystów, więc ktokolwiek zostawił kwiaty, musiał odjechać jednym z aut, które mnie minęły.

Nie pytajcie mnie, dlaczego to jest bardziej przerażające niż bycie samej w domu, kiedy zostają dostarczone. Może dlatego, że gdy idę ulicą, jestem bardziej podatna na atak. Tutaj mam broń – noże, tępe przedmioty, kij baseballowy Chavi – na zewnątrz mam tylko gaz pieprzowy.

Powinam być bezpieczna, dopóki kwiaty się nie skończą.

Jeśli będę to sobie powtarzać, może w to uwierzę.

[10] Nationals – drużyna baseballowa z Waszyngtonu.

[11] Ed Gein – „Rzeźnik z Plainfield”, seryjny morderca, który ze skór swoich ofiar szył między innymi maski i stroje.

## KWIECIEŃ

Geoffrey MacIntosh przebywa w izbie chorych swojego szpitala, jego zdrowie wciąż jest zbyt słabe, żeby można było przenieść go do celi. Cały czas jest podpięty do maski tlenowej, ponieważ jego płuca uległy permanentnemu poparzeniu w wyniku eksplozji kompleksu szklarni, a wenflon wpięty ma za głowę, żeby nie mógł poluzować ciągnących się od niego rurek i zrobić sobie nimi krzywdy. Albo – jak podejrzewałby Eddison – żeby *ktoś inny* nie mógł mu zrobić krzywdy. Informacje o ataku na Keely podano w ogólnokrajowych serwisach.

Ogrodnik był kiedyś przystojnym mężczyzną. W aktach znajdują się jego zdjęcia, tak samo zresztą jak w internecie. To czarujący, charyzmatyczny pięćdziesięciokilkulatek o turkusowo-zielonych oczach i ciemnych blond włosach. Zawsze doskonale ubrany, obrzydliwie bogaty, zarówno dzięki odziedziczonej fortunie, jak i samodzielnie zarobionym pieniądзом, chętnie przekazujący pokaźne sumy na cele charytatywne i działania dobroczynne.

I oczywiście na swoją szklarnię. Swój Ogród.

Ale ten mężczyzna w szpitalu ma pęcherze po oparzeniach na prawej stronie ciała, które jest powyginane i rozciągnięte. Jego palce są grube i sztywne od marszczącej się tkanki. Gardło ma usiane plamami i obwisłe, a blizny pną mu się aż do twarzy. Z jednej strony usta opadają prawie do podbródka, miejscami odsłaniając zęby i kości. Oka nie ma – było zbyt zniszczone, by dało się je uratować. Wygojone oparzenia na głowie sięgają aż tylnej części czaszki. Lewa strona twarzy Ogrodnika wygląda lepiej, ale nie jest bez blizn. Ból wyłobił głębokie zmarszczki wokół jego ust i oka. Niektóre z oparzeń wciąż nie chcą się zagoić i wokół świeżych przeszczepów skóry powstają infekcje.

Zupełnie nie przypomina człowieka, który przez trzydzieści lat porywał, więził i zabijał nastoletnie dziewczyny, zamieniając je w ludzkie motyle.

Eddison naprawdę chciałby móc zrobić mu zdjęcie, aby pokazać jego ofiarom, co się z nim stało. Aby dodać im otuchy.

Bliss pewnie poczułaby też mściwą satysfakcję, bo taki ma charakter.

Prawnik MacIntosha – a przynajmniej jeden z nich, bo Ogrodnik zatrudnił cały zastęp obrońców – siedzi po lewej stronie swojego klienta, w zasięgu jego ocalałego oka. To wysoki, chudy mężczyzna w drogim garniturze, który nie jest do końca dobrze skrojony, sprawia

wrażenie szytego w pośpiechu. Prawnik wygląda, jakby garnitur trochę go „połykał”, a jego zauważalny gołym okiem dyskomfort wynikający z przebywania w izbie chorych, wcale mu nie pomaga.

– Czy istnieje jakiś powód, dla którego musieli panowie spotkać się z moim klientem osobiście? – pyta ostrym tonem. Jak mu tam? Redling? Reed?

Vic opiera się o ramę łóżka, zaciskając dłonie na solidnej, plastikowej poręczy. Nawet Eddisonowi trudno rozszyfrować jego minę. Jakby nie ufał własnej osobie na tyle, by dać po sobie cokolwiek poznać, z obawy przed tym, co może wyrazić jego twarz.

Eddison to rozumie.

– Uznajmy to za akt dobroci – mówi Vic umiarkowanym tonem. – Panie MacIntosh, półtorej godziny temu pana syn Desmond został znaleziony martwy w swojej celi. Podarł sobie spodnie, splótł z nich pętlę i próbował się powiesić na łóżku piętrowym. Nie złamał sobie karku, ale odciął dopływ tlenu. Zgon odnotowano o piątej czterdzieści pięć.

Pomimo nagłego pisku kardiomonitora MacIntosh ma nieruchomą twarz, nie jest w stanie zareagować. Spogląda jednym okiem we wszystkie strony, na agentów, prawnika, przestrzeń na końcu łóżka, gdzie jak powiedziała pielęgniarka, czasem siadał Desmond.

– Samobójstwo? – pyta prawnik, drżącymi dłońmi sięgając po telefon. – To pewne?

– W celi byli biometrycy, nikt do niej nie wszedł po przeliczeniu więźniów poprzedniego wieczoru. Otwarto ją dopiero dziś rano i znaleziono zwłoki. Zostawił list.

– Możemy go zobaczyć?

Jest już zapakowany w torebkę na dowody, inicjały Vica widnieją na etykiecie, ale wyciąga go w stronę prawnika, żeby mógł zobaczyć. Nie ma właściwie co oglądać – to tylko jedna linijka, skreślona czarnym długopisem, pochyłym pismem, pewnie z pośpiechu: „Powiedzcie Mai, że przepraszam”.

Prawnik gapi się na swojego klienta, ale McIntosh nie daje znaków, by zauważył list.

Do środka wpada jedna z pielęgniarek, żeby wyciszyć monitor i kładzie dłoń na zdrowym ramieniu więźnia.

– Musi pan oddychać.

– Jego syn właśnie zmarł – mamrocze prawnik.

– No to jeśli ojciec nie chce do niego dołączyć, musi oddychać – odpowiada pielęgniarka z pragmatyzmem.

Vic patrzy na to w ciszy, aż w końcu zwraca się do adwokata.

– Niczego od niego nie potrzebujemy. Nie mamy żadnych pytań.

– Tak pan rozumie akt dobroci?

– Usłyszał to z pierwszej ręki od kogoś, kto się tym nie napawa. Usłyszał to od innego ojca. Na tym polega akt dobroci.

Eddison po raz ostatni spogląda na człowieka na łóżku, zanim wyjdzie za Victorem. Nic nie powiedział. Nie miał takiego zamiaru. Jest tam ze względu na swojego partnera i ofiary.

Ze względu na Inarę, która rozumiała napiętą relację pomiędzy ojcem a synem lepiej niż sami MacIntoshowie. Na Inarę, która będzie wiedziała, że Desmond całkowicie się poddał, jak wtedy, kiedy w końcu zadzwonił na policję. Nie wykazał się odwagą, nie postąpił słusznie. Po prostu się poddał.

Vic milczy, gdy wychodzą z więzienia, odbierają swoją broń i samochód. Zostawia konwersację partnerowi, a Eddison wie, jak rozmawiać ze strażnikami. To nic w porównaniu z trudnymi rozmowami z ofiarami. Kiedy wreszcie ruszają w drogę powrotną do Quantico, Vic wciąż jest pogrążony w swoich myślach.

Eddison wyciąga telefon z kieszeni i sprawdza kilka rzeczy, nim roześle SMS-y. Już

prawie wjeżdżają na parking podziemny, gdy w końcu dostaje odpowiedź, na którą czekał. Wybiera numer i łączy się przez bluetooth z zestawem głośnomówiącym w samochodzie. Słyszając sygnał oczekiwania na połączenie, Vic rzuca mu podejrzliwe spojrzenie.

– Świnia z ciebie, że dzwonisz przed południem – mamrocze zaspana Inara.

Kiedyś wypomni jej to w żartach, ale nie dziś.

– Chciałem się upewnić, że to my przekazemy ci wiadomość. – Spogląda na Vica, który kiwa głową. – Pozostałe dziewczyny śpią?

– Jest ledwie ósma, no jasne, że śpią.

– Przed waszymi drzwiami czeka paczka, weź ją, telefon i idź na dach.

– Czy to ma jakiś sens?

– Proszę, Inaro. – W głosie Vica pobrzmiwa ciężar, jakiś żal, co sprawia, że Eddison zaczyna wiercić się na swoim miejscu. Po szeleście tkaniny dobiegającym z głośnika poznaje, że Inara też to wyczuwa.

– Puść, Bliss – mamrocze. – Muszę wstać.

– W środku nocy? – stęka przyjaciółka. – Po co?

– Ty możesz spać.

– Aha, to... cholera. To znaczy, że to coś ważnego. Gdzie my idziemy?

– Na dach.

Agenci słuchają w samochodzie szmerów i stukotów towarzyszącym dziewczynom podczas wstawania z łóżka i Eddison zastanawia się, która z nich miała ciężką noc, że postanowiły spać razem. Dziewczyny robiły tak w Ogrodzie – wtulały się w siebie jak szczenięta, kiedy potrzebowały odrobiny pocieszenia. W tle słychać chrapanie dwóch osób, jedno delikatne i sapliwe, drugie zawstydziłoby piłę łańcuchową, jak również delikatne dźwięki pianina. Drzwi się zamykają i następne, co słyszą, to bolesne stękanie Bliss.

– Kurwa mać, to pudło jest w chuj ciężkie, Eddison!

– Twoja poranna elokwencja jest zadziwiająca – odpowiada ironicznie.

– Jeb się na ryj.

Eddison szeroko się uśmiecha. Vic tylko kręci głową.

– Ty weź telefon, ja wezmę pudło – mówi Inara i zanim połączenie zostanie przerwane, agenci słyszą głuchy huk.

Eddison raz jeszcze wybiera numer.

– Zamknij się – odbiera Bliss. – Tak wcześnie rano nikt nie jest skoordynowany.

W nałogowych błuznierstwach Bliss jest coś krzepiącego. Są pewne jak śmierć i podatki.

– No dobra, jesteśmy na dachu i jest kurewsko zimno – oznajmia normalnym głosem. –

Co się dzieje?

– Jestem na głośniku?

– No raczej.

– Jesteś tam, Inaro?

– Jestem. – Jej słowa dławi ziew.

– Mamy dla was pewne wieści.

– Dobre czy złe?

– Chyba po prostu wieści. Same musicie zdecydować. – Robi głęboki wdech, zastanawia się, dlaczego to on mówi, a nie Vic. – Dziś rano znaleziono martwego Desmonda w celi.

Na linii zalega długa cisza. Eddison słyszy szum wiatru, a nawet ciche odgłosy klaksonów z ulicy.

– Popęłnił samobójstwo – w końcu mówi Inara.

Bliss prychna prosto do słuchawki.

– Ktoś mógł załatwić gnoja.  
– Nie, zrobił to sam. Prawda?  
– Tak – potwierdza Eddison i Bliss mamrocze pod nosem nowe inwektywy. – Pudło jest dla was, jeśli będziecie potrzebować coś potłuc. Mój znajomy wam to podrzucił.

– Jeśli będziemy potrzebować... Eddison. – Agent prawie słyszy śmiech w głosie Inary i wie, że otworzyła karton.

A wie, bo w środku znajduje się zapas najohydniejszych kubków na świecie, tanich i tak okropnie ozdobionych, że trudno sobie wyobrazić, że nie rozdają ich za darmo. Jego kuzynka kupuje je w hurtowych ilościach i wykorzystuje podczas terapii w schronisku dla kobiet, bo w tłuczeniu tych przeklętych szkaradzieństw jest coś, co daje ludziom mnóstwo satysfakcji.

– Jeśli będziesz potrzebować więcej, daj mi znać. Mam dobre dojsčia.

Vic wzdryga się na dźwięk tłuczonej ceramiki.

– To była Bliss – informuje ich Inara, lekko kpiąc. – Jak on to zrobił?

I na tym właśnie polegają rozmowy z Inarą. Nawet jeśli nie robi tego, żeby celowo zwodzić ludzi, zawsze kręci się wokół tematu i czeka, aż będzie można podjąć go ponownie w odpowiednim momencie.

– Próbował się powiesić – odpowiada Vic. – Ostatecznie się udusił.

– Dupek nawet tego nie potrafił zrobić, jak trzeba – warczy Bliss.

– Inaro...

– W porządku, Vic – odpowiada cicho. O dziwo Eddison jej wierzy. – Ogrodnik może próbować wywinąć się podczas procesu, licząc na luki w systemie i swoje własne poczucie wyższości. Desmond nigdy nie miał tego typu pewności siebie.

Vic spuszcza jedną rękę z kierownicy, dotyka kieszeni z pożegnalnym listem Desmonda. Eddison kręci głową.

– A Ogrodnik? Ktoś mu powiedział?

– Właśnie wróciliśmy z więziennej izby chorych.

– Powiedzieliście mu osobiście?

– Vic jest ojcem.

Zaskarbia tym sobie ostre spojrzenie swojego partnera, ale z głośnika dobiega go delikatny odgłos zrozumienia.

– Zadzwonili do mnie z prokuratury w sprawie zawartości listów – mówi Inara. – Powiedzieli, że po śmierci Amiko Desmond zrobił się bardziej niestabilny.

– Mówiłaś, że dzięki muzyce powstała między nimi jakaś więź.

– Dowiedział się pewnie, że oddałam listy bez czytania, dostał zakaz kontaktu... chyba nie ma czemu się dziwić, co?

– To nie znaczy, że wiadomość nie jest szokująca – odpowiada jej Vic.

– Zgoda. Ale... nie czuję się tak źle, jak można by się spodziewać.

– W związku z jego śmiercią?

– Myślałam, że dzwonicie, żeby mi powiedzieć, że zabiła się kolejna dziewczyna.

Cholera. Eddison zdecydowanie nie wziął tego pod uwagę.

Po pobladłej twarzy Victora Eddison poznaje, że on też nie.

Co za poranek.

Słyszając odgłos kolejnego rozbijanego kubka.

– Chyba będziemy potrzebować namiar na twojego dostawcę.

– Inaro? Jeśli zechcesz go opłakiwać, to nie ma w tym nic złego.

– Nie wiem, czego chcę, Vic – odpowiada i zaczyna się gorzko śmiać. – Raczej nie chcę mu poświęcać więcej swojego czasu i uwagi. Choć to chyba nie fair, co?



– Ale o czym mówisz? – pyta Eddison, zanim zdoła się zastanowić.

Inara lekko wzdycha, jak wtedy w korytarzu szpitala, gdy obserwowali maszerującego ojca skrzywdzonej dziewczynki.

– Znajdziemy sobie zastępstwo na dzisiejszą zmianę. Może znowu pojedziemy na tę plażę?

– Wtedy wam pomogło?

– Mogłyśmy biec bez końca i nie powstrzymała nas żadna szklana ściana.

Czyli pomogło.

– Postarajcie się na razie nikomu nie mówić. Chcemy mieć pod kontrolą to, w jaki sposób informacja dostanie się do mediów.

– Dziękuję, że nam powiedzieliście. I za wykurwiste kubki.

Słyszą, jak tłucze się następny.

Eddison tłumi śmiech dłonią.

– Prześlę ci nazwisko mojego dilera. Powie wam, gdzie je kupuje.

– Nie, Bliss! Nie z dachu! – Rozmowa gwałtownie się urywa.

Ale Vic uśmiecha się pod nosem, a jego potworne przygnębienie powoli się rozprasza.

– Dadzą sobie radę, prawda?

– Myślę, że Inara będzie mieć gorsze dni, ale raczej tak. Może teraz będzie jej trochę lżej.

Nagle rozlega się sygnał komórki, obaj aż się wzdrygają. Eddison czuje wibracje na swoim pasie. Wyciąga telefon i serce podchodzi mu do gardła, gdy widzi na ekranie imię Priyi.

– Hej, wszystko w porządku?

– Na progu leżą petunie – mówi ostrym, przestraszonym głosem. – Mama czegoś zapomniała i wróciła się, zanim jeszcze wyjechała z miasta, a one już tam czekały. Kamera niczego nie zarejestrowała.



Piątkowe nagranie z kamery zamiast dostarczenia petunii rejestruje pół godziny szumów. Obraz nie zastygł w miejscu jak poprzednim razem – czasówka idzie dalej, ale tylko śnieży. Przez pół godziny. Potem wszystko wraca do normy. Ponieważ we frontowej części domu zresetowały się też wszystkie zegary, Archer uważa, że to przez generator impulsu elektromagnetycznego o krótkim zasięgu. Nie tak trudno go kupić, można go nawet zrobić w domu.

Ach, cuda technologii.

Archer robi... coś... z kamerami, a Sterling zaciekle tłumaczy coś przez telefon, próbując uzyskać zgodę szefa wydziału na przeszukanie prawdopodobnych rejonów miasta ze zdjęciami Landon. Rozmowa nie idzie najlepiej i zaraz po niej następuje telefon do Finneya. Nie może wydać rozkazu sprzecznego z decyzjami przełożonej, a po zniekształconym tonie jego głosu można poznać, że jest tak samo sfrustrowany jak Sterling.

Archer nie tryska optymizmem, jeśli chodzi o kamerę.

– *Miejmy nadzieję*, że ta osłona ochroni ją przed kolejnym impulsem – mówi, przykręcając pokrywę.

– *Miejmy nadzieję?* – powtarza za nim mama niebezpiecznym tonem, wciąż ubrana w służbowe ciuchy.

– To zwykła kamera monitoringu domowego. Nie jest doskonała.

Mama spogląda groźnie w stronę kamery i przeklina pod nosem w hindi.

W sobotę jedziemy do Denver na zakupy. Robimy to tak naprawdę tylko po to, żeby na

jakiś czas uciec z Huntington. Mama pokazuje mi budynek w centralnej części miasta, w którym pracuje, nie proponuje jednak, żebyśmy weszły do środka. Nawet gdybym była w tak dobrym nastroju, żeby chcieć poświęcić trochę czasu na poznanie kolegów i koleżanek mamy z pracy, od czasów Bostonu mama nie łączy życia prywatnego z zawodowym.

Przez pierwsze dwa lata przeprowadzek firma wysyłała ją, żeby robiła porządki w działach HR w filiach korporacji, które nie najlepiej sobie radzą. Była tam po to, żeby nadać sprawom odpowiedni tor. Zaraz po naszej przeprowadzce do San Diego zaproponowali jej stanowisko dyrektora działu zasobów ludzkich w oddziale w Paryżu. Obecny dyrektor szykował się do przejścia na emeryturę, ale kobieta, którą szkolił na swoje miejsce, została podkupiona przez niemiecką konkurencję. Zarząd firmy chciał, żeby mama nadal zajmowała się załatwianiem bieżących problemów w różnych biurach w Stanach, ale jednocześnie zaczęła się doszkalać w zakresie międzynarodowych przedsięwzięć firmy, francuskiego prawa i przepisów Unii Europejskiej.

Myślę, że przez to zaprzyjaźniłam się z Aimée, choć zwykle w nowych miejscach unikałam znajomych. Była strasznie podekscytowana, kiedy dowiedziała się, że przeprowadzę się do Paryża, bo to było jej marzenie. Podczas gdy nasza klasa uczyła się tylko po to, by zaliczyć przedmiot, Aimée i ja doprowadzałyśmy nauczycieli do szału, bo ciągle było nam mało wiedzy.

Jemy w ładniejszej restauracji niż zwykle, bo w sumie dlaczego nie, i przez cały czas, kiedy tam jesteśmy, czuję złość. Pełza po moim żołądku, gnieździ się w nim i wbija pazury, pragnąc więcej niż to, co mam na talerzu, ponieważ nie potrafię przestać myśleć o petuniach.

Wszyscy, którzy znali Kiersten Knowles, mówili o jej niezwykłym śmiechu. Potrafił wypełnić cały pokój, zarazić cię, zanim jeszcze zdążysz się odwrócić, żeby sprawdzić, co jest takie zabawne. Kiersten Knowles była uosobieniem radości. To znaczy do czasu, aż jej ciotka – i najlepsza przyjaciółka – zginęła pod kołami pijanego kierowcy.

Kiersten przestała się śmiać.

Zamordowano ją po pogrzebie ciotki. Została w kościele, podczas gdy pozostali udali się na stypę – powiedziała ojcu, że potrzebuje trochę więcej czasu, żeby się pożegnać. Kiedy zaczął się o nią martwić, wrócił i znalazł ją martwą na podłodze, ułożoną równolegle do trumny ciotki, a jej ciało ozdobione było małymi bukietami petunii.

Niesamowity widok – widziałam zdjęcie w internecie wraz z tym, które nigdy nie miało zostać dołączone do akt sprawy, a co dopiero pokazane światu. Przedstawia jej ojca, któremu w końcu pozwolono zbliżyć się do córki, jak pada na kolana, z jedną dłonią wspartą o trumnę siostry, drugą zawieszoną nad petuniemi we włosach córki.

Istnieje też zdjęcie płaczącej matki Aimée, gdy wyrывa wszystkie amarantusy z ogrodu na dachu ich ganku. To mocne, emocjonalne ujęcia, które przytrafiają się fotografom raz na milion. Jak to, na którym, niesiona przez ratownika medycznego, wyciągam ręce do siostry.

Wszystkie te zdjęcia zyskują popularność, bo nasza kultura zafascynowana jest zbrodnią, bo myślimy, że prywatny ból rodzin nadaje się do publicznej konsumpcji.

Sprawa Kiersten to pierwsza, w którą włączyło się FBI. Jeden z funkcjonariuszy przyjaźnił się z bratem Mandy Perkins i wspomniawszy swojemu kapitanowi o podobieństwach, a przynajmniej tak twierdzą artykuły, które czytałam. Mandy Perkins była ofiarą numer pięć – pięć lat i pięć zbrodni przed Kiersten – tą, która tworzyła w ogrodach wioski krasnali. Mercedes była na ostatnim roku studiów, jeszcze nawet nie w akademii FBI, kiedy zamordowano Kiersten, ale istnieje zdjęcie przedstawiające Eddisona i Vica, jak stoją przed kościołem i rozmawiają z umundurowaną policjantką. Vic sprawia wrażenie spokojnego, kompetentnego i panującego nad wszystkim, co się wokół niego dzieje.

Eddison ma wkurzoną minę.

Wracamy do domu, a na gałce drzwi wisi wieniec z koniczyny, którego kształt utrzymuje sztywny drut. Na miejscu kamery wiszą luźne kable.

Mama i ja po prostu stoimy tam przez kilka minut, przeskakując wzrokiem pomiędzy jednym a drugim.

Koniczyna jest dla Rachel Oritz zamordowanej podczas średniowiecznego jarmarku, na którym odgrywała jedną z ról. Jej bohaterka miała na imię Clover, była głupiotką pasteczką, przechadzającą się wśród gości tanecznym krokiem, z koszykiem pełnym białej i różowej koniczyny, którą rozdawała dzieciom. Na gorsecie miała przypinkę z napisem *pacholica*, żeby ludzie wiedzieli, że jest nieletnia i nie należy jej nagabywać.

Została zgwałcona. Gorset wraz z przypinką leżał koło jej zwłok, kiedy znaleziono ją w maleńkiej drewnianej kaplicy, gdzie na jarmarku udzielano ślubów.

Mama mówi, że sama zadzwoni do Finneya i Eddisona, więc maszeruję po schodach na górę, żeby przebrać się w piżamę. Woła za mną, że Archer będzie za kilka minut, bo jest w okolicy. Sterling i Finney przyjadą z Denver i przywiozą nową kamerę. Widziałyśmy Archera dziś rano, kiedy przejeżdżał koło domu, zanim pojechał do pracy. Te patrole może i poprawiają samopoczucie Finneyowi i Vicowi, ale głównie dają dla poprawy mojego bezpieczeństwa.

Nie schodzę na dół. Nie mogę się im na nic przydać. Po przyjeździe woła mnie Finney, ale nie odpowiadam, a chwilę później słyszę delikatne pomrukiwanie mamy. Wiem, że agent chce sprawdzić, jak się czuję, by potem przekazać Trójce z Quantico, że jakoś sobie radzę i widział to na własne oczy.

Ale ja idę do szafy, znajduję pudełko po butach, w którym trzymałam kiedyś wstążki z konkursów fotograficznych, i kładę je na podłodze. Już dawno przerzuciłam wstążki do innego pudełka, ale tak długo je tu trzymałam, że mama się przyzwyczaiła i nigdy nie przyszło jej do głowy sprawdzić, czy nie chowam tu oreo.

Trzęsą mi się ręce, przez co celofanowe opakowanie szeleści. Dwa razy upuszczam pierwsze ciastko, zanim w końcu wpakuję je do ust, a na kciuku i palcu wskazującym pozostają czarne okruszki. Mocno miażdżę je w palcach.

Smakuje jak popiół.

Ale przelykam je i wpycham do ust kolejne, gryząc tylko tyle, byleby szybciej połknąć.

Nie powinnam była czytać o poprzednich morderstwach. Wmówiłam sobie, że muszę, że jestem to winna Aimée – zachować imiona tych dziewczyn w sercu. Nie powinnam była nigdy tego robić, bo teraz tak wyraźnie je wszystkie widzę. Wiem, co mówili o nich rodzina i przyjaciele. Czuję się, jakbym je znała.

Kiedy zamknę oczy, widzę nie tylko Chavi otoczoną żółtymi chryzantemami, których płatki nasiakają krwią. Widzę Aimée z wiechami amarantusa w dłoniach złożonych na jej płaskiej piersi baletnicy. Widzę Darlę Jean Carmichael, pierwszą ofiarę, i jej podcięte gardło pośród białozółtych żonkili. Leigh Clark, tak brutalnie zgwałconą, że lekarz sądowy miał wątpliwości, czy w ogóle by przeżyła, nawet gdyby nie poderżnięto jej krtani. Natalie Root, której głowa leży na grubych łodygach hiacyntów w odcieniach różu i fioletu, ułożonych niczym patchworkowa narzuta.

Oreo ciężko siadają mi na żołądku po bardziej obfitym niż zwykle posiłku, ale nie potrafię przestać jeść, bo widzę tępe spojrzenie ojca, kiedy przyjechał do szpitala, i szok, który nigdy nie opuścił jego oczu. Nadal słyszę płacz Franka, gdy próbuje odciągnąć mnie od Chavi. Czuję krew, zimną i lepłą, na swoich dłoniach, policzkach, piersi, całkowicie przesiąkniętych ubraniach, gdy klęczałam przy siostrze leżącej nago na podłodze kościoła.

Widzę zdjęcie Inary, zrobione gdy próbuje obronić dziecko przed kolejnym bezsensownym atakiem. Na jej twarzy maluje się zapalczywy gniew.

Czuję, jak wszystko przewraca mi się w żołądku, jak mój brzuch protestuje, ale gdy tylko kończę pierwszą paczkę, otwieram kolejną i wmuszam w siebie następne ciastko mimo mdłości. Ten ból jest uzasadniony. Przeszanę go czuć w tej samej chwili, gdy nad sobą zapanuję, ale nie mogę przestać, bo wtedy wszystko znów straci sens.

Nic z tego nie ma – kurwa – sensu i nie potrafię zrozumieć, jak to może być ich wybór – Trójki z Quantico, Finnegana, Sterling i Archera. Nie rozumiem, jak mogą codziennie się z tym wszystkim mierzyć. Nie ma znaczenia, że to przydarza się obcym ludziom.

Kiersten Knowles, Julie McCarthy, Mandy Perkins – wszystkie były mi obce.

Ale widzę to wszystko – petunie, dalie i frezje, zakrwawioną skórę, kościelne podłogi i to nie ma...

– Priya! Nie, dziecko, nie!

Zaciskam dłoń na paczce ciastek, zanim mama zdąży mi je wyrwać. Chwyta pudełko po wstążkach, widzi dwa kolejne opakowania i wychodzi z pokoju, żeby zrzucić wszystko ze schodów. Klęka przede mną, zaciska dłoń na moich i zasłania kciukami otwór w opakowaniu, żebym nie mogła wyciągnąć następnego ciastka.

– Priya, nie.

Płacze.

Ja też.

Przecież to ona jest silna, to ona zawsze ma się w porządku, nawet kiedy nic nie jest dobrze (zwłaszcza gdy nie jest), więc jak może płakać? To dla mnie tak szokujący widok, że puszczam ciastka, a ona odrzuca paczkę na bok, nie przejmując się okruciami, które rozsypują się po szarym dywanie. Jej ramiona zaciskają się wokół moich jak imadło.

Czuję palenie z tyłu gardła i skoro nie wtłaczam już w siebie więcej oreo, zbiera mi się na wymioty.

– Chodź, skarbie, musisz wstać.

Mama ciągnie mnie za sobą – jest silniejsza, niż można się spodziewać po jej wyglądzie – i obie idziemy korytarzem do jej łazienki, bo w mojej wciąż odruchowo rozglądam się za porozrzucanymi rzeczami Chavi. Ale w łazience mamy panuje ład i porządek, wszystko jest odłożone do małych pojemników lub kubków schowanych w szafce za lustrem. Gdy mama przeczesuje jej zawartość, upadam na miękkie, grube dywaniki pomiędzy ubikacją a wanną. Ma delikatny poblisk bladości złota jak światło świecy.

Na linię włosów występują mi krople potu i czuję dreszcze, które przemieszczają się od dłoni ku reszcie ciała.

– Dwie szklanki – mówi mama, przykucając przy mnie. Podaje mi pierwszą szklankę słonej wody. Jest ohydna i ciężko się ją pić, ale gdy skończę, dostaję kolejną. Wymioty zawsze są bolesne i nieprzyjemne, w szczególności kiedy to ty wiesz nad muszlą. Jeśli załatwię to teraz, później nie będzie aż tak źle.

Choć nadal jest źle.

Mama odgarnia mi włosy i skręca w improwizowany kok, a przy pomocy jednej ze swoich frotowych opasek robi porządek z tymi, które kleją mi się do spoconego czoła. Obok na podłodze leży jej miseczka do manicure, a w środku ręcznik zamoczony w chłodnej wodzie.

Nie robiłam tego od miesiąca – przysięgam, było mi coraz lepiej – ale tryb działania w takich sytuacjach się nie zmienił.

Gdy dopada mnie wyjątkowo wredny skurcz, zaczynam rzygać do muszli. Między falami wymiotów mama spuszcza wodę, wyciska szmatkę, ściera mi z twarzy pot i wymiociny. Nawet kiedy wymioty (prawdopodobnie) się kończą, paskudne uczucie pozostaje. Mam wątpliwości, czy to aby na pewno koniec, przez co nie chcę wyjść z łazienki.

Wymioty bolą, są silne, kwaśne i drażnią mi gardło. Zaczynam płakać, co tylko pogarsza sprawę. Pierś boli z każdym wdechem od szarpiących mną torsji.

Mama tuli mnie, gładzi po włosach, szyi. Jej palce są chłodne i wilgotne od ciągłego płukania ręcznika.

– Wiem, dlaczego to robisz – szepcze mi do ucha. – Jakoś to pokonamy.

– Chcę, żeby to się skończyło – chrypię – ale z drugiej strony...

– Co?

– Powiedziałyśmy mu, gdzie nas znaleźć. Powiedziałyśmy mu, gdzie wyjeżdżamy. Rzuciłyśmy mu wyzwanie, żeby nas znalazł.

– Wyzwanie? Nie. My go o to błagałyśmy – mówi mama zdecydowanym tonem. – Ale jeśli masz jakiegokolwiek wątpliwości, to natychmiast z tym skończymy.

To się wydawało takie proste, kiedy mama przedstawiła mi swój pomysł w Birmingham. Jeśli morderca naprawdę nas obserwuje, a jego obecność w San Diego i zabicie Aimée to nie był przypadek, to na pewno zauważy artykuł w „The Economist”. Powiemy mu, gdzie będziemy, a on przyjedzie. To będzie szansa, żeby go złapać.

To brzmiało świetnie, tylko że nadal nie możemy go znaleźć.

Nie mogłyśmy przewidzieć, że oddział FBI w Denver będzie miał szefową z piekła rodem. Powinnyśmy za to wziąć pod uwagę, że morderca poradzi sobie z kamerami. Już dawno zostałby złapany, gdyby zachowywał się lekkomyślnie. Pomysł mamy wydawał mi się rewelacyjny, choć każda z nas działa z innych pobudek. Ona chce go znaleźć i zabić.

Ja chcę przekazać skurwysyna naszym agentom.

A przynajmniej wtedy chciałam.

Teraz chcę... sama nie wiem. Trudno mi myśleć przy bolesnych skurczach w brzuchu, czując się tak samotna. Nie jestem porzucona, mam tego świadomość. Ale wiem też, że FBI podcina nogi własnym agentom, a my poniesiemy tego konsekwencje.

– Nie poddamy się – mamroczę.

– Skarbie...

– On będzie zabijał, aż ktoś go powstrzyma. – Czy nie to zawsze powtarzają nam agenci, że jeśli mordercy coś uchodzi na sucho, to nie ma powodu, by przestać?

– Priyu...

– Kolejne matki tracą swoje córki.

– Kolejne siostry – wzdycha mama. – Wiesz, jestem o krok od wysłania cię na jakieś miesięczne wakacje. Powinam cię już dawno temu wyprawić do Paryża, żebyś zaczęła urządzić dom.

– On nadal będzie zabijał.

– Nie możemy go powstrzymać twoim kosztem. To nie jest tego warte.

Patrzę, jak wychodzi z łazienki, ale wiem, że nie idzie daleko. Może do mojego pokoju, żeby posprzątać ciastka, zanim zainteresują się nimi owady. Słyszę szum miniodkurzacza, a chwilę później mama wraca z moją szczoteczką do zębów.

Moje usta są teraz wstrętne i brzydzę się ich dotknąć szczoteczką, ale posłusznie szoruję i płuczę zęby, a kiedy nie ma już bezpośredniego zagrożenia wymiotów, mama pomaga mi umyć twarz. Wieczór jest jeszcze wczesny, ale kładziemy się do jej łóżka, które od śmierci taty jest dla niej trochę za duże. Mama włącza telewizor i skacze po kanałach, aż w końcu włącza film przyrodniczy, którego narrator ma niski kojący głos z brytyjskim akcentem.

Mama mówi, że BBC to jedyna rzecz z Londynu, za którą tęskni.

Nie jestem pewna, czy któraś z nas naprawdę śpi, raczej drzemiemy z fizycznego wycieńczenia i emocjonalnego odrętwienia. Kiedy włącza się budzik, mama rzuca nim o ścianę.

Ale alarm co chwile się włącza.

Chowam twarz w jej ramieniu.

– Nie ma kabla, żeby wyszarpnąć go z kontaktu.

– Wiem.

– Nie przestanie dzwonić, jeśli go nie wyłączysz.

– Cicho.

Mija jeszcze pięć minut, zanim którakolwiek z nas postanowi się ruszyć. Bierzemy na dół kołdrę mamy i kładziemy się razem na kanapie. Mama trzyma w dłoni telefon i słyszę, jak stuka paznokciem w ekran. Zakładam, że pisze SMS-a do swojego szefa.

Ale może też pisać do Eddisona.

Pewnie powinnam dać mu znać o incydencie z ciastkami, ale naprawdę nie chcę tego robić. Nie dlatego, że go rozczaruję – zrozumiałby – ale dlatego, że będzie się martwił.

Jeszcze bardziej.

Cholera.

W końcu mamie zaczyna burczeć w brzuchu na tyle głośno, że musi opuścić nasze ciepłe gniazdo. Też jestem głodna, ale na myśl o jedzeniu robi mi się niedobrze. Mama wraca z miską owsianki z bananami dla siebie i podaje mi koktajl owocowy. To dobry kompromis. Posiłek, którego potrzebuje moje ciało, ale niezbyt ciężki. I w dodatku płynny. Nie jestem pewna, dlaczego robi to jakąś różnicę, że pijesz zamiast gryźć i żuć, ale mnie to pomaga, nawet jeśli wymyślam.

– Pójście na szachy poprawi ci nastrój?

Poczucie braterstwa nie jest jedynym powodem, dla którego weterani z problemami trzymają się w kupie. Widząc na czyjejś twarzy odbicie własnych demonów, czujesz się bezpieczniej ze swoim bólem. Zyskujesz świadomość, że nie musisz udawać, że dobrze się czujesz. Idziesz do swoich braci (i sióstr), a oni nie dość, że otoczą cię opieką, kiedy bez wątpienia sam jesteś do tego niezdolny, to jeszcze nigdy nie każą ci być kimś innym, niż naprawdę jesteś. Nawet jeśli danego dnia został z ciebie wrak człowieka.

– Może – odpowiadam w końcu.

– No to idź się umyć i ubrać. Pójdę z tobą.

– A muszę się umyć i ubrać?

Mama spycha mnie z kanapy.

Kiedy schodzę na dół, nakładając błyszczący na brutalnie czerwony pigment do ust, stoi na dole schodów gotowa do wyjścia. Zamykamy za sobą drzwi, a mama sprawdza, czy nowa kamera jest włączona i prawidłowo ustawiona.

Biorąc pod uwagę to, jak morderca rozbroił i zerwał ostatnią, nie sądzę, by tę czekał lepszy los.

Ale to działa jak zamykanie drzwi na klucz – daje poczucie bezpieczeństwa zamiast samego bezpieczeństwa, więc czekam na nią, aż skończy, zanim ruszymy chodnikiem. Na końcu ulicy mama zatrzymuje się, spogląda na dom przez ramię i kręci głową.

Kiedy wchodzimy na porośniętą trawą wysepkę – która z każdym wiosennym dniem zaczyna robić się coraz bardziej zielona – połowa weteranów wstaje na widok mamy.

Szczęściarz i Corgi nawet gwizdzą.

Mama rzuca im jeden ze swoich bezlitosnych, ale czarujących uśmiechów.

Ciężko przełykają ślinę i Pierce zaczyna się śmiać.

– Niebieska ma to chyba w genach – charczy, łapiąc się za pierś.

Kiedy rozsiadamy się naprzeciw przysypiającego Salwy, mama rzuca mi pytające spojrzenie.

– *Niebieska?*

– A skoro już o tym mowa – musimy kupić farbę. Moje odrosty lada dzień osiągną pełnoletniość.

Dziwną rzeczą w tym, że mama przyszła ze mną na szachy – tak naprawdę jedną z wielu dziwnych rzeczy, biorąc pod uwagę, że jest połowa dnia powszedniego – jest fakt, że ona nienawidzi tej gry. Nienawidzi w niej uczestniczyć, patrzeć na nią, a nawet nie może o niej słuchać. Raz anulowała nam na tydzień abonament na kanały kablowe, żeby tata nie kazał jej oglądać kolejnych filmów dokumentalnych o słynnych graczach lub partiach szachowych. To, że siedzi ze mną na końcu stołu i przygląda się wszystkim partiom z trudno skrywanym rozbawieniem, nie wynika z miłości do szachów, tylko do mnie.

Mama nie jest nadopiekuńcza i nie śledzi każdego mojego kroku. Czasem jednak potrzebne jest fizyczne zapewnienie, że ludzie, których kochasz, mają się dobrze i że są tuż przy tobie. Na tyle blisko, że możesz ich dotknąć.

Niedługo po tym, jak Salwa się budzi i przedstawia mamie, obok wysepki parkuje policyjny radiowóz. Wszyscy weterani się prostują, a ci, którzy siedzą plecami do parkingu, obracają się, żeby lepiej widzieć. Z samochodu wysiada dwóch funkcjonariuszy w czarnych puchowych kurtkach odcinających się na tle ciemnoniebieskich mundurów z musztardowymi lampasami wzdłuż nogawek.

Kilku weteranów ich rozpoznaje i od razu zachowują się swobodniej.

– Pierce, Jorge – wita weteranów starszy z funkcjonariuszy, o gęstych, całkowicie białych włosach. – Jak się macie?

– Całkiem ciepło, Lou – odpowiada Jorge. – Co cię do nas sprowadza?

Lou wyciąga z kieszeni notes wielkości dłoni.

– Słyszeliśmy od sąsiadów, że Landon Burnside czasem grywa z wami w szachy.

Burnside?

Mama mocno szturcha mnie w udo.

Corgi drapie się po bulwiastym nosie.

– Zgadza się, bywa tu jakiś Landon, ale nie znam nazwiska. Taki przeciętny z wyglądu?

Mały bezbarwny człowiek-nikt.

Partner Lou wyciąga zdjęcie i owszem – mowa o Landonie.

Corgi i inni potakują głowami.

– To on. Co takiego zrobił? – Nie przerzuca wzroku na mnie, gdy to mówi, ale Płochy i Steven tak.

– Wczoraj wieczorem znaleziono go martwego w jego mieszkaniu. – Przed oczami widzę białe światło, które nie znika mimo wielokrotnego mrugania. Mama szturcha mnie palcem między żebra na tyle mocno, że aż się krztuszę. W końcu światło zamienia się w jasne plamki i po chwil znów widzę świat wyraźnie.

– Jak umarł? – pyta mama spokojnym tonem. – Może nam pan powiedzieć?

Funkcjonariusze wymieniają spojrzenia i wzruszają ramionami.

– Trudno stwierdzić, nie żyje już od kilku dni. Technik kryminalistyki próbuje ustalić, co mu zrobiono.

– Zrobiono? – powtarza mama. – Czyli podejrzewacie udział osób trzecich?

– Tak, proszę pani.

Mama klepie mnie po dłoni, żeby przywołać mnie do rzeczywistości, i pokazuje skinieniem głowy w stronę parkingu.

– Ja im powiem, ty idź zadzwonić.

– Czy ma pani jakieś informacje na temat pana Burnside'a?



– Mogę jedynie powiedzieć, że interesuje się nim FBI w związku z toczącym się dochodzeniem – odpowiada, a jej głos jest władczy i zdecydowany, jak w pracy.

Wstaję od stolika i wychodzę z namiotu, ale staram się zostać w zasięgu wzroku policjantów. Ręce mi się trzęsą i niemal dwa razy upuszczam telefon, zanim wybiorę numer.

– Cześć, Priya – chwilę później odzywa się ochryply głos Eddisona. – Meldujesz się?

– Landon ma na nazwisko Burnside.

– Nazwisko! Świetnie, to nam ułatwi... a jak się o tym dowiedziałas?

Duszę w sobie zdeorientowany śmiech.

– Zamordowano go kilka dni temu. Znaleźli go wczoraj.

– Lokalne gliny?

– A kto inny?

– Podaj im telefon.

Obaj policjanci na mnie spoglądają, choć Lou nadal uważnie słucha mamy. Wracam do namiotu i podaję mu komórkę.

– Na linii jest agent specjalny Brandon Eddison. Chce z panem rozmawiać.

Partner Lou uporczywie się we mnie wpatruje, po czym delikatnie bierze telefon z moich rąk, jakby się bał, że jeśli mnie dotknie, to rozpadnę się na kawałki. Zanim się odezwie, oddala się na koniec porośniętej trawą wysepki. Pewnie podaje swoje imię i nazwisko, ale nic nie słyszę. Zanim zdążę usiąść, mama podaje mi swój telefon.

– Agent Finnegan. Na wszelki wypadek.

Kiwam głową, znów odchodzę i wybieram numer agenta z Denver. Zwykle wysyłam mu e-maile, choć ostatnio przerzuciłam się na SMS-y, gdy przychodzą nowe kwiaty. Liczę sygnały w słuchawce, zanim odbierze.

– Tu agent Finnegan – odpowiada rześkim, prawie niemiłym tonem.

– Mówi Priya Sravasti. Wczoraj Landon-zbok został znaleziony martwy.

Agent wyrzuca z siebie kilkanaście przekleństw po japońsku.

– Zadam ci pewne pytanie, choć zrozumiem, jeśli się oburzysz...

– Nie wiedzą, kiedy go zamordowano, więc nie mogę powiedzieć, gdzie wtedy byliśmy.

– Poinformowałaś Hanoveriana?

– Eddison rozmawia właśnie z jednym z miejscowych policjantów.

– Dobrze, wezmę od niego namiar, żebyśmy mogli uzyskać zgodę na oględziny zwłok i miejsca zdarzenia. Jesteś bezpieczna?

– Jesteśmy z mamą w pawilonie na szachach. – Gdyby się nad tym zastanowić, nie jest to właściwie odpowiedź na pytanie. Ale co innego mam powiedzieć?

– Kiedy skończycie rozmawiać z policjantami, wróćcie do domu i nie wychodźcie. Jeśli nie czujecie się bezpieczne w domu, to jedźcie do Denver i zatrzymajcie się w hotelu, tylko dajcie mi znać w którym.

– Tak jest.

– Priyu?

– Tak?

– Poradzimy sobie z tym. – Jego głos jest ciepły i stanowczy. W innych okolicznościach dodałby mi otuchy, a może nawet pocieszył.

Ale on ma związane ręce.

Siadam z powrotem w pawilonie i oddaję komórkę mamie. Boże, ten koktajl leży mi teraz na żołądku, próbuję przełknąć wzbierające nudności.

– Czyli ten człowiek za tobą chodził? – pyta mnie starszy funkcjonariusz.

– Może – mamroczę niewyraźnie. – Zdecydowanie zwracał na mnie za dużo uwagi, więc

nie czułam się bezpiecznie. – Spoglądam na mamę, która kiwa głową. Przecież i tak policjanci wkrótce się tego dowiedzą. – Od pewnego czasu dostaję kwiaty, które są powiązane z serią nierozwiązanych morderstw. Biorąc pod uwagę to, jak Landon się mną interesował, agenci uznali, że być może ma z tym jakiś związek. Chcieli z nim porozmawiać, ale przestał przychodzić na szachy, a nie mogli też znaleźć jego żadnych dokumentów.

– Nie miał dowodu osobistego. Znamy jego nazwisko od właściciela budynku.

Jego partner wraca do stolika i oddaje mi telefon.

– Ale masz szczęście, panno Priyu.

– Słucham?

– Byłem na służbie w Bostonie, kiedy zamordowano twoją siostrę – tłumaczy mi z silnym teksańskim akcentem. O Boże, nic dziwnego, że tak się na mnie gapił. Rozpoznał mnie. – Przeprowadziliśmy się tu z żoną, bo jej starszerek zachorował, ale twojej rodziny bym nie zapomniał. Co za tragedia. Ale wyrosłaś na równie śliczną dziewczynę co twoja siostra.

Gapię się na niego z rozdziawionymi ustami. Tylko na tyle mnie stać.

Mama podnosi się z ławki i staje przede mną, prawie całkiem mnie zasłaniając.

– Jeśli uważa pan, że to stosowny temat konwersacji z moją córką, to w takim razie nie będzie pan z nią rozmawiać – informuje go lodowatym tonem. – Porozmawiamy z pana partnerem, a pan niech bierze dupę w troki.

Podczas gdy funkcjonariusz bąka jakieś przeprosiny, Corgi nachyla się w moją stronę i klepie mnie po kolanie.

– Ucz się od mamy, Niebieska – szepcze. – Razem zrobiłybyście na świecie porządek.

Ściskam jego dłoń, bo trudno mi zmusić się nawet do uśmiechu.

– Idź wezwać kapitana – rozkazuje Lou partnerowi i patrzy, jak ten się oddala. – Bardzo panie przepraszam. Rozmówię się z nim.

– Proszę mi przypomnieć jego nazwisko – mówi mama tonem, który bardziej jest rozkazem niż pytaniem.

– Funkcjonariusz Michael Clare – odpowiada. – A ja jestem Lou Hamilton. Przepraszam, że proszę o to teraz, bo to dla pań trudny czas, ale muszę zadać wam obu kilka pytań w świetle tych nowych informacji. Obiecuję, że to ja będę je zadawać. – Pokazuje na supermarket. – Może w środku będzie nam wygodniej. Panowie – zwraca się do zatroskanych weteranów – Clare zada wam kilka pytań dotyczących pana Burnside'a.

Salwa z powagą kiwa głową.

– Zaczekamy na niego. Uważaj na siebie, panno Priyu.

W kawiarni Lou sadza nas przy stoliku i idzie przynieść coś do picia. Kilka stolików dalej widzę Joshuę pogrążonego w lekturze. Stojąca za ladą baristka o ptasiej urodzie wita policjanta jak dobrego znajomego.

Szczerze mówiąc, nie pamiętam funkcjonariusza Clare'a. Właściwie to nie pamiętam żadnego mundurowego, którego poznałam w noc morderstwa Chavi i przez kolejne dni. Pierwsi obcy, jacy wywarli na mnie wrażenie, to Trójka z Quantico. Ale pięć lat później funkcjonariusz Clare pamięta właśnie mnie.

Nigdy nie sądziłam, że to Landon stoi za dostawami kwiatów, jednak jest coś przerażającego w odkryciu, że to na pewno nie on.

A jeśli nie on, to kto?



– No dobrze, Finney, grzebiez w tym już od tygodnia, przekaz nam dobre wieści.  
Bezradny śmiech, który rozlega się z głośnika w sali konferencyjnej, nie wróży nic dobrego.

– Chciałbym, Vic, ale straciliśmy jedynego potencjalnego podejrzanego.

– Czy z tego, co o nim teraz wiemy, wnioskujesz, że mógłby popełnić poprzednie morderstwa? – pyta Vic wygodnie rozparty na jednym z obrotowych krzeseł. Jednym łokciem wspiera się o plastikowe oparcie, a w skroń zagłębia dwa palce, jakby próbował rozmasować potworną migrenę. Ramirez wali długopisem w blat biurka jak zawodowa perkusistka, co ani odrobinę nie pomaga.

Dlatego Eddison przechadza się jak najdalej od niej.

– Landon Burnside żył poza radarem. Brak wydanego przez władze stanowe dowodu tożsamości, brak samochodu, brak kart kredytowych, brak kont bankowych, brak nieruchomości. Pracował w różnych miejscach za gotówkę, wynajmował po znajomości mieszkanie nad garażem kumpla.

– Ale?

– Ale kumpel to tak naprawdę kuzyn, a prawdziwe nazwisko denata brzmi Landon Cooper. Odsiedział dwa i pół roku za gwałt i pokrewne zarzuty. Powinien był zgłosić się u kuratora, kiedy wyszedł na wolność, ale uciekł do Colorado. Dziś rano dostaliśmy wyniki badania DNA potwierdzające jego tożsamość.

– Jakież szanse, że dwa lata temu przebywał w San Diego?

– Nie, nadal był w więzieniu. Żył na wolności od czternastu miesięcy. Odsiadywał wyrok tylko raz, choć rozpraw miał kilka i składano na niego różne doniesienia, z których niewiele wynikało. Zbok jakich wiele – na te słowa wszyscy agenci się wzdrygają – który lubi nastoletnie dziewczyny dużo bardziej niż one jego. Przebywał w więzieniu w Michigan, kiedy zamordowano Aimée Browder.

– A jeśli został zamordowany, aby chronić Priyę?

Ramirez i Vic obracają się na krzesłach, żeby spojrzeć na Eddisona, i nawet Finney na moment milknie.

Eddison wzrusza ramionami.

– Pytam poważnie – może skurwiel zabił Landona, bo ten nagabywał Priyę.

Ramirez nadal gapi się z obrzydzeniem, ale Vic najwyraźniej też o tym pomyślał.

– Rozwiń temat – sugeruje.

– Gdyby wcześniej kwiaty dostał członek rodziny innej ofiary albo sama ofiara, można by je uznać za groźbę. Ale dostała je tylko Priya. Te dostawy kwiatów dotyczą jej, nie morderstw. Jeśli przyjmiemy, że te kwiaty to prezenty...

– ... to on się do niej zaleca, a kiedy się wyprowadziła, zabił Aimée, bo tylko w ten sposób mógł się jeszcze w jakiś sposób do niej zbliżyć – mówi Ramirez.

– Cokolwiek go motywuje do zabijania, nie jest to seks. Tylko połowa ofiar została zgwałcona, a nawet w tych przypadkach stosunek był sposobem wymierzenia kary, nie przyjemnością. On widział w tych dziewczynach coś wyjątkowego, cokolwiek to było, ale Priya jest od nich lepsza. Jest mu potrzebna do czegoś, do czego pozostałe ofiary nie były nawet brane pod uwagę. Znaczą dla niego tak wiele, że aktywnie szukał jej nie raz, a dwa razy. I znalazł ją.

– Więc znów zaczyna ją adorować. – Ramirez podłapuje wątek jak w tysiącach innych rozmów, kiedy przekomarzania kończą się konstruktywną robotą i spójnymi wnioskami. – Wysłała kwiaty, bileciki. Ale pojawia się Landon. Morderca wie, że ją niepokoił.

– Skąd? – Pyta Finney.

– Bo on znów ją obserwuje. Wie, kiedy Sravastich nie ma w domu, kiedy dostarczyć kwiaty samodzielnie albo komuś to zlecić. Plan dnia Deshani jest raczej stały, ale Priya działa w zależności od nastroju. A wiemy też, jaka jest pobudka dla tego typu prezentów – on chce widzieć jej reakcję, gdy je odbiera.

– Widzi Landona, bo i tak śledzi już Priyę.

– I tu właśnie Landon przekracza granicę, którą wyznaczył morderca uważający Priyę za swoją. Landon naruszał jego własność.

– Minie kilka dni, zanim dostaniemy oficjalne wyniki autopsji – z głośnika trzeszczy głos Finneya – ale lekarz sądowy z Huntington nie miał większych problemów z zasugerowaniem prawdopodobnego scenariusza. Landon zmarł jakieś trzy tygodnie przed odnalezieniem ciała, pewnie niedługo po wizycie Eddisona. Nie miał ogrzewania, więc chłód spowolnił rozkład zwłok, ale w końcu smród zaczął się przenosić do innych części domu. więc jego kuzyn postanowił to sprawdzić. Przed śmiercią Landon został najpierw ogłuszony, prawdopodobnie został też związany sznurem. Wtedy go wykastrowano.

Eddison wie o tym od miejscowego policjanta, ale mimo to się krzywi.

– Sprawca nie był delikatny – ciągnie Finney. – Chciał, żeby bolało. Po wszystkim jeszcze bardziej go pobił, a na koniec poderżnął mu gardło. – Cięcie jest szarpane, silne, pełne wściekłości. Gość był nieźle wkurzony.

– Ten sam nóż?

– Nie da się tego stwierdzić. Zrobią odlew, ale na tym etapie rozkładu trudno, żeby był dokładny. Co najwyżej można powiedzieć, że jest podobny.

– I morderca niczego po sobie nie zostawił?  
– Tylko Landona. Zabrał nawet sznur.  
– W takim razie dlaczego nie próbował wejść do domu Priyi? – pyta Ramirez. – Wiemy, że umie sobie poradzić z kamerami, ale nie było żadnej próby włamania, nawet gdy Priya była sama w domu. Dlaczego?

Eddison pociera twarz, groźnie pomrukując. Skinieniem głowy pokazuje na stertę kolorowych teczek.

– Odpowiedź na to pytanie jest gdzieś tam. Coś, na co nie wpadliśmy.  
– Finney? – odzywa się Vic. – Masz z naszej trójki najświeższe spojrzenie. Coś zwraca twoją uwagę?

Słyszą odgłosy klawiszy i szelest kartek, gdy Finney przeszukuje swoje kopie raportów i dotyczące ich notatki.

– Może.  
Agenci z Quantico czekają, ale on nie od razu mówi dalej. Cisza staje się niekomfortowa i Ramirez rzuca w głośnik długopisem.

– No mów.  
– Co sprawia, że czasem gwałci dziewczynę, a czasem nie?  
– Nigdy się tego nie dowiedzieliśmy – automatycznie odpowiada Eddison.  
– Przyjrzyjcie się Leigh Clark – mówi Vic. Żaden z jego partnerów nie sięga po folder, nie muszą oglądać zdjęć. – Ze wszystkich przypadków atak na nią był najbardziej brutalny. Gdyby w jakiś sposób przeżyła, to niemal na pewno miałyby po tym gwałcie trwałe obrażenia. Dlaczego on aż do tego stopnia stracił nad sobą kontrolę?

– Jej rodzice byli powściągliwi podczas składania zeznań. Nie chcieli powiedzieć o córce niczego złego, ale większość pozostałych przesłuchiwanym wspominała, że Leigh to była szalona dziewczyna. Seks, papierosy, narkotyki... więc może nadmierna brutalność to była kara?

– Zoraida Bourret została potraktowana łagodnie, podcięto jej gardło, kiedy wciąż była nieprzytomna – i to nie od uderzenia w głowę, a częściowego uduszenia. – Vic stuka o blat stołu grubymi palcami. – W każdym zeznaniu w tej teczce pada stwierdzenie, że była dobrą dziewczyną, troszczyła się o rodzinę, nie wychodziła wieczorami, bo była potrzebna w domu.

– Ale Natalie Root nie była dziewicą – zauważa Eddison. – Kilka miesięcy wcześniej bała się, że jest w ciąży, a mimo to nie była molestowana przez sprawcę.

– Za to Rachel Ortiz – dodaje Ramirez – została zgwałcona, ale lekarz sądowy stwierdził, że prawie na sto procent była dziewicą przed atakiem.

– Ale my patrzymy na fakty. On podejmuje działania na podstawie swojego postrzegania tych dziewczyn.

– Zaczynam rozumieć, dlaczego żaden z szefów nie chce rozdzielić waszej trójki – ironicznie rzuca Finney. – Ale pójdźmy tym tropem – jeśli obserwował dziewczyny, by wyrobić sobie o nich zdanie, to w takim razie obserwował Priyę pięć lat temu. Ona i jej siostra były niesamowicie blisko, więc żeby móc w jakiś sposób ocenić Chavi, musiał też w dużej mierze przyglądać się Priyi.

– I się w niej zakochał.  
– Czy to trochę nie za daleko? Zwłaszcza jeśli twierdzimy, że nie chodzi o seks?  
Ramirez kręci głową.

– Chodzi mi o miłość, nie pożądanie. Na przykład miłość dworską – cnotliwą, niewinną. Zastanówcie się, Priya nie chodzi na randki, nie przyjaźni się z chłopcami. Odrabia lekcje, gra w szachy z bandą emerytowanych żołnierzy, siedzi w domu z matką. Jeśli kręci go pozorna czystość, to chyba nie można trafić na kogoś lepszego niż ona.

– W takim razie czy nie zaatakowałby jej po mojej wizycie? – zauważa Eddison, czując ucisk w piersi.

– Nie zostałeś na noc.

– Nie, ale byliśmy sami w domu przez kilka godzin, zanim przyjechała Deshani. I wróciliśmy razem do domu po szachach następnego ranka.

Wszyscy zastanawiają się nad tym w ciszy, po czym Finney odchrząkuje.

– Ty ją chroniłeś. Wypytyując o Landona, troszczyłeś się o Priyę. Prawdopodobnie uznał cię za sprzymierzeńca.

Ramirez spogląda na Eddisona i kącik jej ust lekko wędruje do góry.

– Każdy, kto zobaczyłby cię z Priyą, uznałby was za rodzinę.

Eddison pokazuje jej w odpowiedzi środkowy palec, choć Ramirez się nie myli.

– Więc kiedy morderca ofiaruje jej wszystkie kwiaty, to co się wtedy stanie? – pyta Finney. – Spróbuje nawiązać bezpośredni kontakt? Zaatakować ją?

– Ona się za miesiąc przeprowadza.

– A dziewczyna Chavi, Josephine? – mówi Ramirez, przeglądając żółty folder. – Wspomniała o nieznanym mężczyźnie, który pojawił się na sąsiedzkim pikniku wiosennym kilka tygodni przed zdarzeniem. Mówiła, że nie zachowywał się dziwnie, tylko uważnie się im przyglądał, zwłaszcza Chavi i Priyi.

– Im obu?

– Mówił, że też ma siostrę. Podobno zachwycał się tym, jak mocno są ze sobą związane.

– Zamyka folder i zaczyna wystukiwać kciukiem jakiś nierozpoznawalny rytm. – Tylko ich matki i Priya wiedziały o związku Chavi i Josephine. Deshani powiedziała, że jej mężowi eksplodowałby łeb, gdyby się o tym dowiedział, ale dziewczyny przyjaźniły się, odkąd tylko rodzina Sravastich zamieszkała w Bostonie, więc nikt nie podejrzewał, że są parą.

– Wiedział, że Chavi była dobrą przyjaciółką i wspaniałą siostrą.

– Josephine jest... – Po maniackalnym stukaniu w klawiaturę Finney wydaje cichy odgłos triumfu. – Jest w Nowym Jorku. Studiuje prawo na Uniwersytecie Columbia.

– Mogę tam pojechać pociągiem – oferuje się Eddison. – Wezmę zdjęcia, które zrobiła Priya, może Josephine kogoś na nich rozpozna. Minęło pięć lat, ale jest szansa, że coś jej się przypomni.

– Załatw więcej kubków – rzuca Vic. – Inara mówi, że prawie im się skończyły.

– W półtora tygodnia? W pudełku były trzy tuziny!

Uderzając głową o blat, Ramirez daje się ponieść fali cichego, na wpół historycznego śmiechu.

– Priya dzwoniła dziś po południu – mówi Finney, kiedy na linii robi się ciszej. – Gdy wróciła do domu, na progu czekały na nią żółte chryzantemy. Najstarszy weteran i jego wnuczka zabrali ją na wycieczkę do kościoła z ciekawymi malowidłami w oknach. To pierwsze kwiaty od tygodnia.

Chavi otoczona była aureolą z żółtych chryzantem, a kilka z nich wpleciono jej we włosy.

– Czy Priya... – Ale Eddison nie wie, jak zadać to pytanie. Nie Finneyowi i nie przy Ramirez i Vicu.

– Poprosiła o numer Ward, żeby dać go matce – odpowiada. – A skoro o tym mowa...

– Nawet nie mów – stęka Vic.

– Ward odrzuciła wniosek o wyznaczenie nadzoru nad domem, po czym naskoczyła na mnie za marnowanie środków FBI na morderstwo, które nie ma związku z żadną toczącą się sprawą.

– Żadnego związku? – syczy Eddison.

Ale Vic wydaje z siebie tylko zrezygnowane westchnienie.

– Niech zgadnę, to nie może być nasz morderca, bo z profilu wynika, że nie zabija mężczyzn. To też nie nasz stalker, bo nic nie wskazuje na to, żeby był brutalny. Czysty zbieg okoliczności.

– Mniej więcej. Na dodatek ma poparcie góry. Policja z Huntington zrobiła nam dużą grzeczność, nie informując Ward, że mieszkamy się im w śledztwo. Podejrzewam, że możemy za to podziękować Deshani, która wypatroszyła komendanta za zachowanie jednego z funkcjonariuszy. Dzięki temu zgodzili się też informować nas o postępach dochodzenia.

– Czy Ward wsiadła już na Sterling i Archera?

– Jak na razie koncentruje się na mnie, a ja staram się, żeby tak zostało. Bądźmy szczerzy, Vic, jeśli ona jeszcze bardziej przycisnie mnie do ściany, to będę się starał, ale...

– Zrozumiałe. Jutro mam spotkanie z jednym z zastępców dyrektora. Nie lubi Ward, ale nie chce się też mieszać w sprawy innych agentów. Nie wiem, jak to się potoczy.

– Deshani i Priya zeznały, co robiły w okresie, w którym mógł nastąpić zgon Landona. – Nie ma w tym na tyle dużych luk, by miejscowi mogli je o cokolwiek oskarżyć. To już coś.

– Tak? – Głos Vica jest zbyt łagodny jak na skomplikowaną minę, która maluje mu się na twarzy. – A myślałem, że wszyscy grzecznie ignorujemy fakt, że Deshani jest na sto procent zdolna zabić z zimną krwią człowieka zagrażającego jej córce.

– Nie zostawiłaby takiego bałaganu – jednocześnie kwitują Eddison i Ramirez.

Finney stęka.

– Przerazająca kobieta. Dajcie znać, jeśli wyciągniecie coś z Josephine.

Ramirez wyłącza głośnik i kończy połączenie.

– Priya i Deshani są ostrożne – szepcze. – Są mądre, spostrzegawcze i uważne. Kiedy instynkt podpowiada im, że coś jest nie tak, to go słuchają. Jak znajdziemy kogoś, kogo one nie zauważyły?

Żaden z agentów nie próbuje odpowiedzieć na to pytanie.

Żaden z nich nie mówi też, że pozostały już tylko cztery bukiety kwiatów.



Przy czwartym wielkim huku tego ranka mama klnie z akcentem, który pozostawiła za sobą w Londynie, na wszelki wypadek dorzucając kilka inwektyw w hindi. Gdy zerkam na zewnątrz, widzę, że kontener wysyłkowy znów znajduje się na środku podjazdu, a nie po prawej stronie, żeby mama mogła wyjechać autem z garażu. Prawie szkoda mi kuriera, który go tu przywiózł, a teraz niezdarnie próbuje ustawić. Tym bardziej, że mama nie była zachwycona, że musi wziąć wolne w pracy, żeby pokwitować odbiór przez jakieś pieprzenie, że niby mój podpis nie wystarczy, bo jestem nieletnia. Ale cztery nieudane podejścia? Poważnie?

Mama jest w złym humorze, bo rano znalazłyśmy na progu hiacynty. Zamykam się w swoim pokoju z jednym z dzienników Chavi i nie wchodzę jej w drogę.

Nie czytam wszystkich pamiętników po kolei – jest ich za dużo, żeby to szybko zrobić – przeskakuję tu i tam, wybieram je przypadkowo i pobieżnie przeglądam. Tam, gdzie moje zawierają wsunięte pomiędzy kartki zdjęcia w formie przedziwnych zakładek, jej są pełne szkiców. Rysowała też, kiedy umykało jej to, co chciała powiedzieć albo nie potrafiła tego wyrazić słowami. Nawet po jej śmierci nigdy nie ośmieliłam się ich przeczytać. Nadal były dla mnie zbyt osobiste.

Chavi sprzed pięciu wiosen była mniej więcej w równym stopniu podekscytowana co przestraszona. Była bardzo szczęśliwa z Josephine, niemal oszołomiona faktem, że spotyka się ze swoją najlepszą przyjaciółką, bała się jednak reakcji taty, gdyby się dowiedział. Nie tylko ze względu na siebie, ale także na mnie. Czy uparłby się, żebyśmy zerwały kontakt, gdy Chavi wyjedzie na studia? Martwiła się też uczelnią. Została przyjęta do Sarah Lawrence, a Josephine



na NYU, mieszkałyby więc w obrębie tego samego miasta, ale to były studia, nowe miejsce, i choć nie mogła się już doczekać, bardzo się bała.

Jest mi niezręcznie, gdy czytam wpis o tym, jak z mamą sprezentowały mi bindi, głównie dlatego, że przerodziło się to w dyskusję na temat tamponów, podpasek i rzeczy związanych z okresem. Nawet jak go dostałam, nazajutrz wciąż była to dla mnie straszna ohyda. W teorii byłam przygotowana, bo przeżyłam wiele okresów mamy i Chavi, ale mimo wszystko. Nie miałam wtedy nawet dwunastu lat. Chyba nie ma sposobu, żeby lekcja na temat używania tamponów nie była żenująca dla dziewczynki w moim wieku.

Pod koniec rysunki przeplatają się ze wspomnieniami z wiosennego pikniku. W starym kościele organizowaliśmy różnego rodzaju sąsiedzkie przyjęcia i imprezy. Czasem, żeby zebrać pieniądze na naprawy, podwyższyć pensję Franka bez jego wiedzy albo na cele dobroczynne. A czasem dla przyjemności. Chavi spędziła dwa dni, malując dzieciom buzie i rysując ich karykatury, a ja pomagałam młodszemu pleść wianki z kwiatów i biegać po labiryncie zrobionym ze starych prześcieradeł.

Pomysł na moje przyjęcie urodzinowe wpadł mi do głowy, gdy patrzyłam na dzieciaki biegające w wiankach z powiewającymi wstążkami na głowie.

Zostawiając na łóżku otwarty brulion, przesuвам się na bok i otwieram górną szufladę mojej komody. Powinam chyba trzymać w niej skarpetki czy coś innego, ale ja wyścieliłam ją aksamitem i przechowuję w niej kwiatowe korony z moich urodzin. Wianek Chavi był z jedwabnych chryzantem, wyglądał jak włochata opaska. Mama miała sterczący z szorstkiej lawendy, w którym wyglądała jak brązowoskóra Demeter. Mój był z białych róż o wielkich, ciężkich pąkach, przepleciony wstążkami w pięciu odcieniach niebieskiego, które opadały mi na plecy.

Nadal jest ciężki, ale teraz odrobinę za mały.

Kiedy podczas festiwalu miałyśmy przerwę, Chavi goniła mnie po labiryncie i obie śmiałyśmy się do rozpuku. Znalazłam wyjście, a wtedy złapała mnie Josephine i zaczęła obracać, aż w końcu Chavi wpadła na nas obie. Tak strasznie się śmiałyśmy, że nie byłyśmy w stanie podnieść się z ziemi.

Nie miałam zamiaru rozluźnić kontaktów z Josephine, ale chyba obie wiedziałyśmy, że tak się stanie. Choć kochałam ją jak drugą siostrę, powstała między nami przepaść w kształcie Chavi, o bardzo bolesnych krawędziach.

Z za małym wiankiem róż na głowie, który układa się pod dziwnym kątem, wracam do łóżka i znów zaczynam czytać.

Chavi opowiada o następnym dniu, w którym tata zrobił mamie straszną awanturę o to, że zjadła burgera. Ona zaś kupiła sobie dwa wołowe hot dogi tylko po to, żeby zrobić mu na złość. Ja i Chavi zwykle siadałyśmy razem z Josephine na uboczu, na kocu rozłożonym w cieniu, z dala od reszty ludzi, zamiast przy stołach piknikowych lub namiotach, aby zjeść nasze burgery tak, by tata nas nie widział.

Nie był bardziej religijny od mamy, ale czuł większe wyrzuty sumienia niż ona.

Albo po prostu w ogóle czuł jakieś wyrzuty sumienia. Mama zdawała się przyjmować swój agnostycyzm z otwarcie okazywaną ulgą.

Gdy czytam słowa Chavi, jak przez mgłę potrafię sobie przypomnieć mężczyznę, który do nas podszedł i zapytał, czy jesteśmy siostrami. Siedziałam u niej na kolanach i nawet wtedy, gdy byłam przesadnie chudą prawie dwunastolatką, czekająca, aż moja waga dogoni wzrost, pomyślałam, że to głupie pytanie. Chavi miała ciemniejszą skórę niż ja, ale ja nadal byłam o wiele tonów ciemniejsza od naszych białych sąsiadów.

Wydawał się smutny. Nie potrafiłam powiedzieć, dlaczego tak sobie pomyślałam, nawet

gdy Chavi potem mnie o to zapytała, ale pamiętam to wrażenie. Po prostu wydawał się nieszczęśliwy, mimo że się do nas uśmiechał.

Chavi wspomina go tydzień później, po naszym comiesięcznym śniadaniu w pobliskiej knajpce z okazji Dnia Siostry. Potem udałyśmy się do kina – w sobotnie poranki puszczały czarno-białe klasyki. Ona poszła kupić nam coś słodkiego, podczas gdy ja byłam w łazience. Gdy wróciłam, była zdenerwowana, a na moje zdziwienie odpowiedziała, że jakiś palant z jej szkoły poprosił ją o numer telefonu.

W dzienniku napisała jednak coś innego. Zauważyła to, czego ja nie dostrzegłam – że ktoś śledził nas po drodze z restauracji. Kiedy byłam w łazience, napadła na niego, że zachowuje się jak świr, zagroziła mu, że wezwie obsługę kina i gliny, jeśli nie zostawi nas w spokoju.

A on jej za to podziękował.

Pisze, że zbiło ją to z tropu. Ten mężczyzna podziękował jej za to, że jest taką dobrą siostrą, i wyszedł z kina.

Więcej o nim nie wspomina.

Tydzień później była martwa.

Cholera. Nie zapamiętałam, jak on wygląda. Tylko to, że był smutny i miał siostrę. Nic o nim nie napisałam. Przez jakiś czas po śmierci Chavi kompulsywnie czytałam zapiski z naszych ostatnich wspólnych tygodni.

– Priya! – woła mama, stojąc przy schodach na dole. – Archer przyjechał!

Pewnie ledwo dojechał do Denver, kiedy wysłałyśmy Finneyowi SMS-a, więc musiał zawrócić i pokonać całą tę trasę raz jeszcze.

Na dole pochyła się nad zawiniętymi w papier hiacyntami na progu. Spogląda na mnie z kwaśną miną.

– Sterling mówi, że masz jej dać znać, jeśli znów powiem coś nie tak, a wtedy spuści mi łomot na sali treningowej.

– Lubię Sterling.

– Przepraszam, że musiałem na ciebie ściągnąć tego typu obronę.

– Więc po co to zrobiłeś?

Nie odpowiada od razu, nadal kuca i robi zdjęcia nietkniętym kwiatom.

– FBI posługuje się nierozwiązanymi sprawami podczas szkolenia w akademii, żeby nas nauczyć, że nie z każdą sprawą sobie poradzimy – mówi w końcu. – To ma nas nauczyć pragmatyzmu.

– A czego to cię nauczyło?

– Wiesz, naprawdę myślałem, że niektóre sprawy pozostają nierozwiązane tylko dlatego, że śledczy robią się leniwi. – Wkłada kwiaty do torby na dowody, zamyka ją i podpisuje. Kiedy staje prosto, opiera się o ścianę, jakby szykował się na dłuższą rozmowę. – Byłem idiotą, arogantem. Podczas pobytu w akademii, zarzekaliśmy się z kumplami, że nasze akta zawsze będą perfekcyjne.

– I wtedy odkryłeś, że życie jest bardziej zagmatwane?

– Wychowałem się w małym miasteczku w Karolinie Południowej, maskotką naszego liceum był generał wojsk konfederackich. Myślałem, że wiem wszystko o tym, jak zagmatwane może być życie. Ludzie patrzą na mnie teraz, gdy mam na sobie garnitur i odznakę, i myślą, że do nich nie pasuję.

– A ty chcesz im udowodnić, że jest inaczej.

– Chcę. Ale... nie mogę wykorzystywać innych ludzi do tego, by to osiągnąć. A widząc, w jakim żyjesz napięciu... to było z mojej strony bardzo głupie, że chciałem cię wykorzystać jako przynętę. To było szczeniackie, niestosowne i szczerze cię za to przepraszam.

– Przeprasiny przyjęte.

Patrzy na mnie z niedowierzaniem.

– Jeśli chcesz się trochę dłużej płaszczyć, to mogę cię odesłać do mamy. Ona zwykle każe dłużej błagać o przebaczenie.

Lekko rechocząc, Archer ściąga rękawiczki z neoprenu i chowa je do kieszeni.

– Ty to dopiero jesteś.

Kiedy odjeżdża, piszę SMS-a do Sterling.

*Ciosy w krocze zbędne, naprawdę ładnie mnie przeprosił.*

Niedługo potem dostaję odpowiedź:

*To dobrze, ale i tak się za niego wezmę. Lepiej zapamięta lekcję.*

Kiedy kontener w końcu stoi, jak powinien, mama jedzie do Denver, żeby przez kilka godzin popracować. Przeprowadzka już za niecałe trzy tygodnie, więc zwalają na nią dużo roboty, żeby była w pełni gotowa do objęcia posady. Aby zdążyć wykonać swoją działkę w związku z przygotowaniami do przeprowadzki, zabieram się za naukę, na którą rano było za głośno.

Około czwartej rozlega się pukanie do drzwi.

Zamieram i wlepiam wzrok w drzwi z taką intensywnością, jak bym się spodziewała, że zobaczę, kto za nimi stoi. O mały włos krzyknęłabym „Kto tam?”.

Zsuwam się z kanapy i sięgam po kij baseballowy Chavi, który noszę za sobą po całym domu. Musiałyśmy spakować noże. Kij jest ciężki i solidny, a gdy trzymam go w rękach, czuję się pewniej.

– Panno Priyu? – odzywa się męski głos. – Jesteś w domu?

Czy to... czy to funkcjonariusz Clare?

Włączam na komputerze obraz z kamery i rzeczywiście na ganku stoi Clare z kapeluszem w dłoni. Jego teksański akcent jest nie do pomylenia. Nie mając zamiaru mu otwierać, przyglądam się policjantowi. Jest prawdopodobnie po czterdziestce, twarz ma podstarzałą, ale brak na niej wydatnych cech. Próbuję porównać ją w pamięci do nieco zatartych twarzy mundurowych, którzy zajmowali się morderstwem Chavi.

Wydaje mi się dziwnie znajomy, ale w żaden znaczący sposób. Nie jest aż do przesady nijaki jak Landon, ale nie budzi we mnie żadnych skojarzeń.

– Jeśli jesteś w domu – woła przez drzwi – to przyjechałem tylko przeprosić za to, co powiedziałem. Zajrzę kiedy indziej.

Dzisiaj jest jakiś narodowy dzień przeprosin?

Mama ma kontakt do Hamiltona. Wysyłam jej SMS-a z wiadomością o wizycie Clare’a, żeby dała znak jego partnerowi.

Dlaczego Clare miałby przyjeżdżać do naszego domu sam, gdzie spodziewa się zastać nieletnią bez nadzoru dorosłych? To co innego, gdy robi tak Eddison – on należy do rodziny, a poza tym upłynęły lata zanim mama zostawiła mnie z nim samą. Może mam paranoję przez to wszystko, co się wokół mnie dzieje, ale nie podoba mi się, że Clare przyjechał.

Mama wysyła mi w odpowiedzi trzy rzędy emotikon płomieni.



*Nazywa się Chavi Sravasti i jest wyjątkowa.*

*Gdy widzisz ją po raz pierwszy, maluje buzie dzieciom na wiosennym pikniku i natychmiast wypełnia cię gniew. Minęły lata, ale nadal pamiętasz drugie – złe – oblicze Leigh Clark. Jak urocza i skromna zdawała się córka pastora, wykonując podobne zadanie, które było jedynie przykrywką jej prawdziwego zachowania.*

*Ale w Chavi jest coś innego. Śmieje się i żartuje z dziećmi, namawia dorosłych, żeby też pomalowali sobie twarze. Jest utalentowana i wykracza poza rysowanie symboli wiosny, tworząc maski i skomplikowane wzory. Jak większość dziewczyn i wielu chłopców ma na głowie wianek z drobnych materiałowych róż odznaczających się na jej ciemnych włosach.*

*Nie jesteś pewien, co o niej myśleć. Zachowuje się przyjacielsko, ale nie flirtuje, kiedy najstarsi chłopcy i młodszy mężczyźni starają się zwrócić jej uwagę. Jej zachowanie sugeruje dobrą dziewczynę, ale jej wygląd... w jej włosach widać jaskrawoczerwone pasemka, jej makijaż jest biało-złoty, kreska podkreślająca oczy gruba, usta intensywne i czerwone. Na jej nosie i między brwiami połyskują kryształy i złoto.*

*Podchodzi do niej siostra, niezgrabna, nadmiernie chuda dziewczynka o jasnym uśmiechu, i mimo tego, jaka jest młoda, też ma jaskrawoniebieskie pasemka we włosach. Jej makijaż jest mniej wyraźny, usta w delikatnym odcieniu różu. Stosownym jak dla kogoś w jej wieku. Z ciekawości rozglądasz się za ich rodzicami. Nietrudno ich znaleźć – ich brązowa skóra sprawia, że wyróżniają się na tle sąsiadów. Matka nie ma wianka na głowie, ale nawet z odległości widzisz jej ciemnoczerwone usta i złoty kolczyk wokół dolnej wargi, jak również*

*iskierki kryształu na jej nosie i między brwiami.*

*A więc to rodzinna tradycja.*

*Jakiś chłopiec podchodzi, by zmienić Chavi na stanowisku z farbami i dziewczynki biegną, trzymając się za ręce, śmiejąc się i wspólnie tańcząc, ani razu się nie płacząc, nie potykając. Śledzisz je z oddali, zauroczony ich widokiem. Po przerwie wracają do swoich stanowisk, ale są świadome wzajemnej obecności, często na siebie spoglądają i wymieniają uśmiechy.*

*Chavi to taka dobra siostra. Obserwujesz je przez dwa tygodnie, Priyę – w końcu udaje ci się dowiedzieć, jak ma na imię młodsza dziewczynka – robiącą wszystkiemu zdjęcia, i Chavi, rysującą bez chwili wytchnienia. Obie mają swoje grona przyjaciół, ale nigdy nie widziałeś siostr, które tak jak one czerpałyby tyle przyjemności ze wspólnego spędzania czasu.*

*Priya nigdy cię nie zauważa, ale Chavi...*

*Starsza siostra cię widzi i nie jesteś do końca pewien, co z tym zrobić. Przywykłeś do tego, że pozostajesz niezauważony, ale ona przesywa cię wzrokiem za każdym razem, gdy orientuje się, że przyglądasz się jej siostrze. A to naprawdę coś wyjątkowego. Chavi ma duszę artystki i potrafi dostrzec to, co dla innych pozostaje niewidoczne.*

*Regularnie dajesz się jej przyłapać w małym, ceglany budynku, który kiedyś służył jako kościół i może kiedyś w przyszłości też będzie spełniał tę rolę. Kościół w czyścicu – jest w tym coś zabawnego, prawda?*

*Kręcisz się w pobliżu na przyjęciu urodzinowym, w którym udział bierze większość sąsiadów. To swobodniejsza powtórka wiosennego festynu sprzed dwóch tygodni. Wszędzie są kwiaty – prawdziwe kwitną wokół szarego kościółka na otoczonych troskliwą opieką klombach, a jedwabne i plastikowe na głowach większości gości. Widzisz, jak kobiety z rodziny Sravasti, ubrane w letnie sukienki i rozpięte sweterki, boso chodzą po trawie.*

*Słodka Priya ma białe róże na tle swoich ciemnych włosów.*

*Pełna życia Chavi z żółtymi chryzantemami, prawie tak jasnymi jak jej uśmiech. Przyjęcie wypada w sobotę, ale obserwujesz dziewczynki też w niedzielę, kiedy rodzina świętuje we własnym gronie. Wychodzą razem, a gdy wracają, Priya dotyka koleczyka w nosie. Normalnie nigdy byś tego nie pochwalili, ale pojechała z nią rodzina, więc to musi coś dla nich znaczyć, a to zmieniło twój punkt widzenia.*

*W poniedziałek, kiedy idziesz za nimi do szkoły, słyszysz, jak Chavi przypomina siostrze, że będzie się uczyć z przyjaciółmi z klasy i nie odprowadzi jej po lekcjach. Zastępujesz ją i podążasz za Priyą w pewnej odległości, upewniając się, że spokojnie wróci do domu. Mieszkają w bezpiecznej dzielnicy, na zamożnym osiedlu na przedmieściach, gdzie ludzie na tyle się znają, że troszczą się o siebie nawzajem, ale mimo wszystko musisz mieć pewność. Wiesz najlepiej ze wszystkich, że zło potrafi czaić się zupełnie na widoku. Priya idzie prosto do domu po spotkaniu swojego kółka i przystaje od czasu do czasu, żeby porozmawiać z sąsiadami, ale nie schodzi z właściwej drogi.*

*Jesteś z niej taki dumny. Jest taką dobrą córką.*

*Jest taką dobrą młodszą siostrą.*

*Chavi przychodzi tej nocy do kościoła pełna żalu, wściekłości i miłości – miłości do swojej siostry. Prawie nie chcesz jej zabić, prawie nie chcesz zabrać jej Priyi, ale Chavi wyjedzie jesienią na studia, a ty widziałeś, co to robi z ludźmi. Pożera dobre dziewczyny i zostawia tylko ich skorupy.*

*Ale wierzysz w aniołów stróżów i wiesz, że tak będzie najlepiej. Chavi zawsze będzie dobra i zawsze będzie strzec swojej siostry.*

*A Priya będzie słuchać, bo Priya jest dobrą dziewczyną.*

*Kiedy wkładasz jej we włosy chryzantemy, wyglądają jak słońca na niebie i myślisz sobie, że to nawet pasuje. Chavi ma przecież w sobie tyle światła.*



– Jedz.

Eddison zrywa się gwałtownie, słysząc niespodziewany głos, i tylko odruchowe złapanie się stołu ratuje go przed upadkiem z krzesła i obtłuczeniem sobie tyłka.

– Jezu, Ramirez, kup sobie dzwonek.

– Mógłbyś trochę popracować nad świadomością sytuacyjną. – Podsuwa mu bliżej wielką, białą torbę, po czym siada kilka krzeseł dalej przy stole konferencyjnym.

– A teraz jedz.

Mrucząc coś pod nosem, Eddison otwiera torbę i wyciąga ciepły pojemnik wołowiny z brokułami.

– Która godzina?

– Prawie trzecia.

– To co ty tu w ogóle jeszcze robisz?

– Przynoszę ci jedzenie z jedynej chińskiej knajpy w Quantico, która jest otwarta po północy.

Eddison zawsze zdaje się zapominać, jak Ramirez-po-służbie zdaje się jednocześnie

delikatniejsza i ostrzejsza niż w godzinach pracy. Delikatniejsza, bo zamienia eleganckie garsonki, szpilki i zdecydowany makijaż na dzinsy, przyduże swetry oraz kudłaty kucyk, które czynią ją nieco bardziej przystępną. Ale jej ostry charakterek nadal w niej siedzi, a może nawet jest bardziej wyraźny, ponieważ znika makijaż i nic nie kryje już jej blizn – długich białych linii ciągnących się od lewego oka, przez policzek aż pod linię zuchwy. Blizny przypominają, że ona też jest ocalałą, ale wyposażoną w odznakę i broń oraz absolutną chęć rozpierdolenia czego się da, jeśli w ten sposób uratuje zaginione dziecko.

Nie wyobraża sobie lepszej partnerki.

– Nie będziesz nawet udawała zaskoczonej, że tu jestem?

Lekceważąco macha na niego ręką.

– Priya dostała wczoraj kamelie, a dziś amarantus. Został tylko jeden kwiat. Nie możesz lecieć do Denver, więc gdzie indziej miałbyś siedzieć.

– Trochę cię nienawidzę.

– Tak sobie powtarzaj, *mijo*, a pewnego dnia w to uwierzysz. A teraz powiedz, nad czym tu ślęczysz.

– Rejestry pocztowe – odpowiada z ustami pełnymi warzyw. – Jeśli on obserwuje swoje ofiary, to mało prawdopodobne, że tylko przejeżdża przez dane miasto, więc przeglądam dyspozycje przekierowań.

Ramirez zaczyna kiwać głową, ale po chwili na jej twarzy pojawia się grymas.

– Widzę tu przynajmniej dwa problemy.

– Co jeśli nie przekierowuje swojej poczty?

– No dobra, trzy.

Eddison parska śmiechem i wzrusza ramionami.

– No to jakie są twoje dwa?

– Może on nie mieszka w miastach? Może mieszka w pobliskim miasteczku...

– W małych miasteczkach zauważają tymczasowych lokatorów. Małe społeczności są bardziej ze sobą żyte, a to dla niego potencjalne ryzyko. Poza tym patrzę na stany, nie miasta.

– Masz dużo do przejrzenia.

– Yvonne pokazała mi, co zrobić, żeby komputer wykonał większość roboty.

– Pokazała ci?

Eddison wskazuje na białą tablicę na ścianie, której większość pokrywają szczegółowe instrukcje, jak ustawić i zdefiniować każdy parametr wyszukiwania w intranecie FBI. Uwielbiana przez ich zespół analityczka Yvonne doskonale zdaje sobie sprawę, jakie są indywidualne mocne punkty i słabości każdego z agentów w kwestii komputerów.

Pierwszy podpunkt treści „Włącz komputer” uważa za lekką przesadę, ale złapał Yvonne w ostatniej chwili, zanim wyszła do domu, więc ta szpila mu się należała.

– Jaki jest drugi problem? – pyta.

– A jeśli morderca nie udaje się bezpośrednio z punktu A do punktu B? Priya i Deshani były w Birmingham tylko przez cztery miesiące. W Chicago niecałe trzy. Nie one jedyne żyją w ten sposób.

Eddison stawia na stole pojemnik z jedzeniem, który wydaje z siebie mokry plask.

– Jak go mamy w takim razie znaleźć? Ten gość to jebany duch?

– Gdybyś wiedział, że to duch, to byś przestał?

Wzbiera w nim furia, aż jego mięśnie spinają się i drgają. Czuje wściekłość i strach. Deshani zadzwoniła do Vica dziś po południu z pytaniem, czy Priya powinna coś zrobić, nim ten skurwiel się do niej zbliży. Vic nie wiedział, co jej powiedzieć poza tym, żeby zachowały spokój, spróbowały skłonić go do mówienia i wezwały pomoc. Wiedzą, że drań chce Priyi, tylko w jakim

celu?

Zabił, żeby uchronić ją przed niebezpieczeństwem, ale sam jest dla niej największym zagrożeniem.

– Chodź – raptownie mówi Ramirez i wstaje od stołu.

– Muszę...

– Komputer nie potrzebuje, żebyś się na niego gapił, kiedy będzie robić swoje. Dam ci tu wrócić, obiecuję, ale teraz chodź. – Kiedy Eddison nie porusza się tak szybko, jak by chciała, chwyta oparcie jego krzesła i zaczyna pchać go do drzwi. Eddison wstaje, zanim walną we framugę.

– Przecież wstałem i idę. Teraz przestaniesz? – rzuca z irytacją.

W odpowiedzi Ramirez chwyta go za łokieć i ciągnie za sobą do windy.

Kończą w jednej z sali treningowych, gdzie podłogi otaczające podniesiony ring wyścielone są grubymi matami. Wzdłuż ściany ciągnie się szereg gruszek i worków bokserskich. Ramirez pokazuje na worek.

– Dajesz.

– Zwariowałaś, Ramirez.

– Słuchaj, Eddison. – Puszczą jego łokieć i krzyżuje dłonie na piersi. – Ledwie żyjesz ze zmęczenia. Jesteś taki wściekły, przestraszony, skołowany, że nie potrafisz logicznie myśleć. Nie dostrzegasz tego, co oczywiste, a kopanie sobie jeszcze głębszego dołu w niczym ci nie pomoże. A teraz do rzeczy. Jesteś taki spięty, że nie będziesz w stanie spać, więc wyładuj się na worku.

– Ramirez...

– Wyładuj się na worku!

Przebąkiwanie pod nosem na temat rządzących się kobiet, które mieszają się w nie swoje sprawy, kompletnie nie rusza Ramirez, więc Eddison ostatecznie się poddaje i podchodzi do worka. Podwija rękawy, rozstawia nogi... i gapi się.

– Do kurwy nędzy, Eddison, wal w worek!

No to wali i już po pierwszym ciosie zbity węzeł, który skręcał mu żołądek, pęka. Agent zasypuje worek ciosami, nie zwracając uwagi na ich wykonanie czy skuteczność. W swoim gniewie jest chaotyczny, silny i nieustępliwy. Jego mięśnie protestują wobec nagłej aktywności, ale ignoruje ból, skupiony tylko na ruchu wiszącego worka i ustawieniu swoich pięści.

W końcu jednak zwalnia, aż przestaje i opiera się o worek, dysząc. Jego ramiona pulsują i trochę boi się spojrzeć na swoje niezabandażowane dłonie. Ale czuje się bardziej skupiony.

Ramirez delikatnie bierze jego lewą dłoń i sprawdza knykcie.

– Niczego sobie nie złamałeś – mówi cicho. – Będziesz miał śliczne sińce i opuchliznę i chyba zostawiłeś większość skóry na worku.

– Czemu nie powiedziałaś mi, żebym się obandażował?

Ramirez bierze jego drugą dłoń i patrzy na niego spod rzęs. Nie robi tak z kokieterii, a raczej kiedy nie wie, że na twarzy malują się jej myśli.

– Wyglądałeś, jakbyś potrzebował bólu.

Eddison nie wie, co na to powiedzieć.

– Chodź, oczyścimy i zabandażujemy rany. Masz w domu co trzeba, żeby jutro zmienić sobie opatrunek?

– Raczej tak. Po drodze muszę tylko kupić... – Milknie, niemal zbyt zmęczony, by złapać urwaną myśl, która właśnie przyszła mu do głowy. Ramirez tylko czeka, przyglądając mu się z troską. – Jak myślisz, ile kwaciarni w rozsądnej odległości od Huntington sprzedaje dalie?

– Co?

– Dalie. Nie tak łatwo je dostać. Kiedy Julie McCarthy została w zeszłym roku



zamordowana, minął tydzień z hakiem, zanim ustaliliśmy, skąd pochodziły jej dalie, ale znaleźliśmy konkretny sklep, co zwykle się nam nie udaje. Niewiele kwiaciarni sprzedaje dalie.

– Okej...

– Przez cały ten czas próbujemy dogonić mordercę, a może by tak spróbować go wyprzedzić? Jeśli chce skończyć listę, musi gdzieś znaleźć dalie. Gdybyśmy dali znać do wszystkich kwiaciarni...

– Na terenie stanu? Eddison, to...

– Wiem, długa lista, więc stworzymy najbardziej prawdopodobną i zbierzemy techników, agentów i do cholery, studentów z akademii i każemy im je obdzwaniać. Dostarczane kwiaty zawsze są świeże, więc jeśli już je ma, to kupił je pewnie nie wcześniej niż dwa dni temu. Sprzedaż mniej popularnego kwiatu jest łatwiejsza do zapamiętania. Może nawet udałoby się nam sporządzić portret pamięciowy albo znaleźć zapis z kamery od sprzedawcy.

– To... właściwie całkiem niezły pomysł – przyznaje Ramirez. – Ale potrzebna nam będzie Yvonne.

– Jak to?

– Nawet z jej instrukcjami tego typu wyszukiwanie jest nieco poza zasięgiem naszych możliwości.

– No dobra, czyli...

– Nie zadzwonimy do niej o czwartej nad ranem – mówi stanowczo. – Zajmiemy się twoimi rękami. Następnie pójdziemy na górę i wszystko to spisujemy, żebyśmy o rozsądnej godzinie mogli zawiadomić Vica i dostać pozwolenie, żeby zlecić Yvonne nadgodziny. Wtedy do niej zadzwonimy. Wiesz, co będziemy robić pomiędzy robieniem notatek a dzwonieniem do Yvonne?

– Cokolwiek mi każesz, bo inaczej pożałuję?

– Widzisz, *mijo*? – Bierze go pod rękę i zaczyna ciągnąć w stronę drzwi. – Od razu lepiej myślisz.



*Nazywa się Aimée Browder i jest chyba darem od Boga.*

*Martwiłeś się o Priyę. Wyjechałeś już z Bostonu – bo nigdy nie spędziłeś w żadnym mieście więcej niż sześć miesięcy – ale kiedy wróciłeś w odwiedziny, Priyi już nie było. Nie od razu udało ci się ją odnaleźć, ale w końcu natknąłeś się na jej nazwisko i miejsce zamieszkania w gazecie, gdzie widniała jako finalistka konkursu fotograficznego. Od razu przeprowadziłeś się do San Diego. Musiałeś się upewnić, że wszystko u niej dobrze.*

*Przekonałeś się jednak, że tak nie jest. Nadal jest dobrą dziewczyną, jaką zapamiętałeś, ale zniknęła jej radość, jej ciepło. Jest krucha i delikatna i bardzo, bardzo samotna.*

*Wtedy spotyka Aimée.*

*Jak zahipnotyzowany, patrzysz na Aimée cierpliwie wyciągającą Priyę z jej bólu, plotącą bez przerwy po francusku i kręcącą się blisko niej. Czasem nawet dosłownie – w baletowym piruecie. Aimée ma tyle wdzięku i poświęca mnóstwo czasu na lekcje i treningi. Nawet kiedy wychodzi ze studia tańca późnym wieczorem i wydaje się wyczerpana, na jej twarzy wciąż maluje się tyle miłości do tańca, że nie potrafisz odwrócić od niej wzroku. Widzisz, jak Priya zaczyna rozkwitać, uśmiecha się, czasem nawet głośno śmieje, rozmawia o francuskim kinie, operze i trupach baletowych.*

*To Aimée przedstawia Priyi chłopca, któremu pomaga w nauce, i od razu widzisz, że on zaczyna się w niej podkochiwać. Nie dziwisz mu się, ale uważnie obserwujesz na wypadek, gdybyś musiał interweniować. Ale nie musisz tego robić. Priya zna swoją wartość, wie, co to znaczy być dobrą, i nigdy nie zachęca chłopca, nigdy nie siada bliżej niego, niż musi, nigdy nie*

*przyjmuje żadnych zaproszeń na wspólne wyjścia.*

*Matka Aimée używa w kuchni ziaren amarantusa, który rośnie na dachu ich ganku. Nigdy nie sądziłeś, że kwiaty mogą mieć wyższy cel, niż tylko ładnie wyglądać, karmić pszczoły czy jaka tam jest ich rola, ale słyszysz, jak matka i córka przekomarzają się na temat roślin w kuchni i kwiatów wokół jej koka, kobiety po francusku i hiszpańsku, ojciec okazjonalnie po niemiecku, którego nikt inny nie rozumie, a który zawsze je rozśmiesza.*

*Obdarzają Priyę niemal równie silną sympatią co Aimée i jesteś wdzięczny za to, że ludzie pomagają jej odzyskać blask.*

*Wysyłasz Priyi kwiaty, aby okazać jej swoje uznanie dla tego, jaka jest dobra, i robi ci się lżej na sercu, kiedy widzisz, jak śmieje się, gdy dostaje gipsówkę i wtyka ją we włosy przyjaciółce, aż tworzy się z niej stercząca korona wprost na scenę.*

*I wtedy pewnego dnia Priya znika. Nie było cię przez kilka dni, bo szukałeś potrzebnych ci kwiatów w pobliskich miastach, żeby nikt nie powiązał kolejnych bukietów ani z tobą, ani ze sobą nawzajem. Udało ci się to robić przez tyle lat dlatego, że nie jesteś nieostrożny. To było tylko kilka dni, ale przegapiłeś furgonetkę transportową, pożegnanie i wyjazd. Tyle czasu zajęło ci jej odnalezienie, a teraz...*

*Aimée też tęskni za Priyą, widzisz to, zanim jeszcze wspomni o tym matce. Widzisz to w sposobie, w jaki obraca w dłoniach kiść amarantusa i przygląda się jej ze smutnym uśmiechem, zanim zacznie wpinać ją sobie we włosy.*

*Zbierasz więc amarantus – ile tylko możesz, nie ogoławając całkowicie upraw jej matki – i czekasz. Obserwowałeś ją na tyle długo, by wiedzieć, że kiedy nie może spać, nie budzi ani swoich rodziców, ani brata, ani siostry. Wymyka się z domu i idzie do kościoła trzy ulice dalej, do którego drzwi zawsze są otwarte, i tańczy. Zwykle szła najpierw dwie ulice w przeciwną stronę, żeby sprawdzić, czy Priya chce do niej dołączyć, i spędzały w kościele całe godziny – Aimée tańczyła, a Priya robiła zdjęcia witraży zalanych światłem księżycą.*

*Starasz się, by Aimée cierpiała jak najmniej. Robisz to i ze względu na nią, i na Priyę. To naprawdę taka dobra dziewczyna, dobra przyjaciółka, która pomogła, gdy Priya najbardziej jej potrzebowała. Otaczasz ją ciemnoróżowymi kiściami amarantusa i siedzisz przez chwilę, podziwiając witraże i myśląc o Priyi.*

*Była taką dobrą młodszą siostrą, tak wartą opieki. Ani trochę nie przypomina Darli Jean. Zawsze będzie dobra. Będzie wdzięczna, gdy się dowie, jak bardzo ją kochasz.*

*Znów ją znajdziesz i tym razem nie przestaniesz, aż dowie się, co czujesz. Nie możesz się doczekać, gdy usłyszysz, jak mówi, że ona też cię kocha.*



Daliej przychodzą we wtorek: trzy kwiaty rozmiaru mojej dłoni w tak ciemnym odcieniu fioletu, że wydają się prawie czarne. Nie minął jeszcze pełen rok, odkąd czternastoletnia Julie McCarthy została znaleziona zgwałcona i zamordowana w kościele w Charlotte w Północnej Karolinie, z trzema daliami ułożonymi w linię od jej ust, przez tors, aż po krocze, w formie jakiejś poronionej mapy czakr.

Pierwszą osobą, do której dzwonię, nie jest Eddison ani mama, ani Finney. Jest nią Hannah Randolph, wnuczka Salwy. Odkąd dowiedzieliśmy się o morderstwie Landona – a raczej odkąd weterani dowiedzieli się o okolicznościach towarzyszących jego morderstwu – mężczyźni poprosili mnie z troski, żebym nie chodziła sama na szachy. Hannah zaproponowała, że będzie mnie podwozić, biorąc pod uwagę, że większość czasu i tak spędza w samochodzie. Koledzy będą mieć oko na Salwę, a ona w tym czasie podjedzie do mnie te dwa i pół kilometra.

Widziałam, że są przygotowani, żeby przemówić mi do rozsądku, jeśli się uprę, a przynajmniej tyle się domyśliłam, widząc ich zszokowane miny, gdy od razu się zgodziłam i podziękowałam. Ma to sens i jestem za to bardzo wdzięczna. Więc ostatnio o godzinie, o której zwykle wyszłabym z domu na szachy, dzwonię do Hannah, żeby jej powiedzieć, że się wybieram.

A dziś dają znać, że się nie wybieram.

– Może przyjechałabym trochę z tobą posiedzieć? – pyta natychmiast. – A przynajmniej do czasu, aż przyjadą agenci? Nieswojo mi, gdy pomyślę, że jesteś teraz sama.

– Ale Salwa...

- Pierce się o niego zatroszczy. Jeśli coś się stanie, to jestem pięć minut od nich.
- Byłoby mi rażniej – przyznaję. – Dzięki.
- No to jadę. Zadzwoń do agentów.

Wysłałam wiadomość Eddisonowi i dzwonię do Finneya, jednocześnie robiąc gorącą czekoladę. Kiedy przyjeżdża Hannah, ostrożnie przechodzi nad kwiatami, żeby niczego nie poruszyć i przyjmuje kubek z uśmiechem, skinieniem głowy pokazując na komórkę przy moim uchu. Podczas gdy ja zgrywam nagranie z kamery, ona siada na fotelu ze swoją robótką.

Powinłam się nauczyć robić na drutach. Wydaje się, że to bardzo uspokajające zajęcie.

- Co pokazuje nagranie? – pyta Finney zmartwionym tonem.
- Urywa się o dziewiątej trzydzieści osiem – odpowiadam. – Potem nic.
- Szum?
- Po prostu nic. Jak gdyby kamera nie łapała sygnału, ale sieć działa bez zarzutu.

– A kamera na tyłach?

– Radośnie nagrywa szaleństwa najgrubszej wiewiórki, jaką w życiu widziałam.

– Będziesz się czuć bezpiecznie do naszego przyjazdu? Mogę poprosić, żeby posłano do ciebie kogoś z miejscowej policji.

Przypominam sobie funkcjonariusza Clare'a i aż się wzdrygam.

– Hannah ze mną jest.

– To dobrze. Przyjedziemy najszybciej, jak się da.

Przez jakieś dziesięć minut siedzimy z Hannah w ciszy – komfortowej na tyle, na ile pozwalają okoliczności. Wsłuchuję się w miarowe stukanie drutów i czuje się trochę, jakbym medytowała.

Słyszę pukanie do drzwi.

To zdecydowanie nie moi agenci, nie przyjechaliby tak szybko. Nawet przy tym, jak niebezpiecznie jeżdżą.

O Boże, to pewnie...

– Panno Priyu? Chłopcy powiedzieli, że masz kłopoty.

Funkcjonariusz Clare. Mówi, że podjechał bez swojego partnera do pawilonu szachowego, żeby sprawdzić, jak się mam. Zarówno Lou, jak i komendant powiedzieli mu, żeby tego nie robił, ale to go nie powstrzymało. Twierdzi, że jechał do sklepu czy na lunch i akurat tamtędy przejeżdżał.

– Panno Priyu, wiem, że jesteś w domu. Widzę przed domem samochód panny Randolph. Chciałem się tylko upewnić, że nic ci się nie stanie, dopóki nie przyjadą federalni.

Hannah ostrożnie odkłada druty na bok.

– Odprawię go, co?

– Nie krępuj się – szepczę.

Idzie do drzwi i otwiera je nieznacznie, zasłaniając swoim ciałem wnętrze mieszkania, w tym mnie.

– Świetnie dajemy sobie radę – odpowiada mu grzecznym tonem. – Proszę się odsunąć od dowodów.

– Mogę z wami zostać...

– Dziękuję za propozycję, ale to nie jest konieczne.

– Ja tam byłem, kiedy ona straciła siostrę. Biedne dziecko. Kiedy pomyślę o swojej własnej... młodsze siostry trzeba chronić.

– Panie policjancie, pana pomoc jest nam teraz zbędna. Proszę odejść.

Mężczyzna mówi głośniej.

– Ale, panno Priyu...

Wyszukuję w ostatnich połączeniach numer jego komendanta i czekam na linii. Mężczyzna zgłasza się swoim nazwiskiem, bez powitania.

– Panie komendancie, tu Priya Sravasti...

– Błagam, powiedz mi, że on cię znów nie nachodzi – odpowiada burkliwie.

– Stoi pod drzwiami i nie chce odejść.

– Bardzo przepraszam. Zajmę się tym. – Gdy się rozłącza, słyszę gderanie, które brzmi trochę jak „wywalę bałwana”, i zastanawiam się, czy naprawdę się tak stanie.

Hannah ostatecznie zamyka policjantowi drzwi przed nosem i przekręca oba zamki. Po chwili zasuwają też łańcuch na wszelki wypadek.

– Z tym człowiekiem jest coś nie tak – mówi, znów biorąc do rąk druty. – Czemu tak się na ciebie uwziął?

– Najwyraźniej sprawy tego typu wyzwalają w ludziach podobne zachowania – wzdycham. – Mercedes tłumaczyła mi to kiedyś z psychologicznego punktu widzenia. Czasem pierwszy funkcjonariusz na miejscu zdarzenia może dostać małej obsesji na temat sprawy, która nie daje mu spokoju, zwłaszcza jeśli w jego życiu dzieją się jakieś poważne rzeczy. Niektórzy uporczywie starają się doprowadzić śledztwo do końca, inni nagabują rodziny.

– Robił tak w Bostonie?

– Z tego, co pamiętam, to nie, ale jeśli tam był, to zachowywał się nieco bardziej subtelnie.

– Jeśli? – powtarza Hannah.

– To nie byłby najdziwniejszy ze sposobów, w jaki fan próbuje włączyć się do sprawy, a przynajmniej tak mówi Mercedes. Sprawdza go w najdrobniejszych szczegółach.

Hannah kręci głową.

– Wiem, że ludzie są skomplikowani, ale to już lekka przesada.

Finney i Sterling przyjeżdżają niedługo potem. Finney wydaje się trochę zielony na twarzy, kiedy wysiada z samochodu. Sterling po stronie kierowcy ma za to zadowoloną z siebie minę.

– Fajnie się bawiliście z włączonym kogutem i syrenami? – pytam ironicznie.

Sterling puszcza mi uśmiech, zanim ukryje go za bardziej profesjonalną miną.

– Straciliśmy trochę czasu, stojąc w korku za wypadkiem. Nie chciałam, żebyś czekała.

Przewracając oczami, Finney podchodzi do Hannah i podaje jej rękę.

– Dziękuję, że pani z nią została.

– Czy mam jeszcze zostać? W sensie, gdy wy już odjedziecie – odpowiada, odwzajemniając uścisk.

– Właściwie to... – przenosi na mnie wzrok – twoja matka poprosiła nas, żebyśmy zabrali cię do Denver, jeśli nie masz nic przeciwko. Chyba poczuje się lepiej, jeśli będzie cię mieć na oku.

– W porządku. Bardzo ci dziękuję, Hannah.

– Nie ma sprawy – mówi, ściskając mnie przelotnie. – Uważaj na siebie, Priyu – Jej dziadek mówi na pożegnanie to samo, tylko że on nazywa mnie panną Priyą i nawet funkcjonariusz Clare nie jest w stanie mi tego obrzydzić.

A skoro o tym mowa... opowiadam Finneyowi o wizycie Clare'a, po czym idę na górę, żeby się przebrać i spakować do torby kilka rzeczy. Nie wiem, czy firma mamy ma Wi-Fi dla nie-pracowników, więc nauka może nie wchodzić w grę.

– Znów załatwił kamerę przez generator, a następnie przeciął kable – ogłasza Sterling, gdy schodzę na dół.

– I co teraz?

– Teraz zabierzemy cię do matki – odpowiada Finney. – Następnie omówimy kwestie bezpieczeństwa.

„Kwestie bezpieczeństwa” oznaczają w tym przypadku, że Archer zostanie ze mną w ciągu dnia, a Sterling będzie u nas nocować i wszyscy będą się modlić, żeby szefowa wydziału się o tym nie dowiedziała. Technicznie rzecz biorąc, sprawa jest nieoficjalna – to osobista przysługa – co też jest puszką Pandory. Jeśli w tym czasie wywiąże się jakaś akcja, agentom nieźle się za to oberwie. Przeprowadzamy się za nieco ponad tydzień, ale mam wrażenie, że to cała wieczność, zwłaszcza przy tej rotacji. Mama ustala godzinę przyjazdu Sterling, a ponieważ w jej biurze jesteśmy względnie bezpieczni, agenci jadą do siebie.

Siadam ze swoim laptopem w sterylnym biurze mamy. Powinam wziąć się do nauki – dała mi hasło do Wi-Fi – ale wyciągam zdjęcia z kościoła Salwy i Hannah. Spędziłam z nimi przymiłe popołudnie, a interesujące okna były tu zdecydowanym bonusem. Obrazy namalowano na gładkich szybach, zamiast tworzyć witraże, i choć farba była półprzezroczysta, zmieniła kolor światła przenikającego do środka.

Pod malowidłem przedstawiającym kobiety nad pustym grobem Salwa przejechał powykrzywianymi palcami po maleńkiej mosiężnej tabliczce, na której znajdowało się imię i nazwisko jego żony.

Kościelna była chyba jeszcze starsza niż Salwa i знаła historię każdego z okien oraz jego sponsora. Kiedy wspomniałam jej o mojej fascynacji kościelnymi oknami, dała mi pocztówkę z kaplicą znajdującą się około godziny drogi stąd.

– Niektórzy ludzie mówią, że Bóg dał nam zdolność tworzenia, żebyśmy mogli go czcić – powiedziała z uśmiechem. – Patrząc na okna w kaplicy Shiloh, łatwo w to uwierzyć.

Wątpię, bym zdołała się o tym przekonać.

Zamykam laptopa z pełnym frustracji westchnieniem. Liczyłam na to, że oglądanie zdjęć mnie rozweseli, ale poczułam się tylko gorzej. Sięgam głębiej do torby i wyciągam kopertę, która znajdowała się w naszej skrzynce pocztowej, zaadresowaną starannym pismem Inary.

*Droga Priyu,*

*Desmond MacIntosh nie żyje.*

*Nie żyje już od ponad miesiąca, a ja nadal nie wiem, jak się z tym czuję. Wszyscy oczekują ode mnie, że będę smutna, bo byliśmy „przekłętymi kochankami”, czy jakkolwiek nazywają nas ludzie, choć nie mają pojęcia, co to w ogóle znaczy. A może myślą, że powinnam się cieszyć, bo w końcu zabił się jeden z moich prześladowców, a nie kolejna dziewczyna.*

*Przeważnie czuję jednak ulgę, tylko co to jest, do cholery, za reakcja?*

*Czuję ulgę, że nie będę musiała na niego patrzeć na sali sądowej, że nie będę czuć na sobie jego wzroku, gdy będę zeznawać przeciw niemu i jego ojcu. Czuję ulgę, bo nie będę musiała godzinami oglądać jego miny zbitego psa. Czuję ulgę, że jego los się wypełnił i nie będę musiała dłużej się nim przejmować.*

*Zawsze wiedziałam, że mówiąc ogólnie, jestem złym człowiekiem, ale teraz przesłam samą siebie.*

*Zwłaszcza jeśli pomyślę o tym – byłabym bardzo wdzięczna, gdyby Ogrodnik wziął się w garść i po prostu zmarł w wyniku obrażeń. Nie pragnę go zabić albo żeby sam się zabił. Ja tylko chcę, żeby nie żył.*

*Proces zacznie się pewnie dopiero jesienią i choć nie mam w sobie tyle z pesymistki, żeby myśleć, że go uniewinnią, nadal istnieje wiele innych niesatysfakcjonujących mnie scenariuszy. Nie chcę, żeby trafił do szpitala psychiatrycznego ani domu opieki. Chcę, żeby zrobiono z nim to, co on z nami – zamknięto go w klatce, odarto z ubrań i odebrano wszelką siłę.*

*A nawet więcej, chcę po prostu, żeby nie żył. Pomysł z klatką jest atrakcyjny, ale*

*Ogrodnik ma na tyle pieniędzy, że zdołałby wygodnie ją urządzić. A ja nie chcę, żeby było mu wygodnie.*

*Chcę, żeby umarł. Ludzie cały czas na mnie patrzą, jak gdybym powinna być ponad tym, a do cholery! Ja wcale nie chcę być ponad. On sobie nie zasłużył na taką łaskę.*

*Jeśli kiedykolwiek nadarzy ci się okazja, Priyu, to po prostu zabij tego mordercę. Samoobrona i po wszystkim.*

No proszę.

Teraz wrócił mi dobry nastrój, dzięki Inaro.

Skoro mam zamiar nadal się nad sobą użalać, to mogę równie dobrze robić to jak trzeba, więc otwieram laptopa. Wszystkie ofiary tego skurwysyna mają swoje profile pamiątkowe na Facebooku, nawet te, które za życia nie miały na nim konta. Najwięcej ruchu jest tam wiosną, w okolicy rocznic, bo wtedy ludzie zamieszczają wspomnienia lub modlitwy, czasem pojawiają się też życzenia urodzinowe. Administratorzy szybko usuwają niestosowne komentarze palantów.

Zaczynam od Julie McCarthy i cofam się do wcześniejszych ofiar, czytając co nowsze posty. Oglądam też ostatnie zdjęcia umieszczone przez przyjaciół, rodzinę oraz kolegów i koleżanki z klasy. Pomijam profil Chavi.

Nie zaglądałam do niego od jej śmierci. Nie mam niczego za złe ludziom, którzy coś tam publikują, bo wielu z nich naprawdę się z nią przyjaźniło. Stroną administruje Josephine, więc wiem, że pamięć o mojej siostrze jest traktowana z szacunkiem. Jeśli to pomaga im ją oplakiwać i jakoś się z tym pogodzić, tym bardziej to pochwalam. Nie chcę tylko, żeby wspomnienia innych ludzi wkradły się w moje własne.

Kiedy dochodzę do Darli Jean – pierwszej ofiary – widzę post zamieszczony przez jej matkę, Eudorę Carmichael, datowany na ostatnią rocznicę śmierci dziewczyny. Eudora pisze o tym, że tęskni za pogodną naturą córki za tym, jak Darla Jean była uwielbiana przez swoją rodzinę. Pisze o tym, jak tęskni za synem, który nigdy nie pogodził się ze śmiercią siostry. Na koniec modli się o sprawiedliwość i dołącza zdjęcie – rodzinną fotografię z tamtej ostatniej wspólnej Wielkanocy.

Darla Jean to blond ślicznotka w białej koronkowej sukience, obok niej stoi Eudora, pulchna i sympatyczna kobieta, o serdecznych oczach, które przekazała córce w genach. Za nimi stoi jej syn i... o cholera, rozpoznaję jego twarz, choć jest tu siedemnaście lat młodsza.

Znam go.

– Mamo! – wołam ochryplym głosem.

Mama gwałtownie spogląda na mnie znad komputera.

– Wszystko dobrze, Priyu?

– Chodź coś zobaczyć.

– Po co?

– Mamo, proszę. Chodź coś zobaczyć.

Powoli wstaje i dołącza do mnie na twardej jak kamień sofie. Zerka to na mnie, to na monitor.

– Poznając po twojej twarzy, że to coś ważnego, ale nie nadażam.

Otwieram jeden z folderów ze zdjęciami, które zrobiłam tej wiosny, i przewijam je, aż znajdę właściwe. Zmniejszam okno, żeby móc je umieścić obok zdjęcia Carmichaelów.

Mama przez chwilę gapi się na twarz z fotografii i w jej zuchwie zaczyna drgać mięsień. To on, mama to wie, to człowiek, który zabił Chavi, i prawie na pewno ten, który zostawia mi prezenty.

Z trudem przelęka ślinę, próbując odgonić niewypłakane łzy.

– Nie masz w dłoni komórki. Jesteś po prostu zszokowana czy się wahasz? – pyta



Moja mama zna mnie aż za dobrze.

– Waham się.

– Dlaczego? – Jej ton głosu jest ciekawski, nie oskarżycielski. Sama też nie sięga po telefon.

Podaję jej list Inary i patrzę, jak przebiega wzrokiem po kartce.

– Chyba lubię tę dziewczynę – oznajmia, gdy kończy.

– Gdyby Eddison to usłyszał, strzeliłby sobie w łeb.

– Wiemy, co ona myśli. A ty?

Robię głęboki wdech i daję sobie chwilę na głębsze zastanowienie. Bywają takie momenty, kiedy dociera do mnie, jak niekonwencjonalna jest moja relacja z mamą. Chwile, kiedy muszę przyznać, że ma pewne skłonności socjopatyczne, ale zwyczajnie postanawia nie wykorzystywać ich w złych celach.

A ja jestem jej nieodrodną córką.

– Jak myślisz, ile istnieje dowodów na tego gościa? – pytam w końcu. – Nie dał się złapać przez siedemnaście lat, więc to raczej pewne, że nie jest idiotą. Jeśli podamy jego nazwisko FBI, to ile, twoim zdaniem, na niego znajdą, co nie zostanie uznane w sądzie za poszlakę? Gdyby chciał przyznać się do winy, to zrobiłby to lata temu.

– Uważasz, że nawet jeśli zbierze się wystarczająca ilość dowodów, by doszło do procesu, to będzie ich za mało, żeby go skazać?

– Jeśli postawią go przed sądem i uniewinnią, to koniec. Nie mogą oskarżyć go po raz drugi za te same morderstwa. A wtedy nie będzie sprawiedliwości dla nikogo, począwszy od Darli Jean, kończąc na Julie McCarthy. Żadnej sprawiedliwości dla Chavi.

– I Landona – mamrocze w zamyśleniu mama.

– Landon był pedofilem. Sprawiedliwość dla niego mnie nie interesuje.

Mama rozciąga wargi w dumnym uśmiechu.

– Co możemy zrobić, żeby nie pojechał za nami do Francji? – pytam.

– Co masz na myśli? Chcesz skłonić go podstępem, żeby do wszystkiego się przyznał i to nagrać? Żeby wyrok skazujący był bardziej pewny?

– Nie.

Mija chwila, zanim mama w pełni to zrozumie. Z nas dwóch ja nigdy nie byłam tą okrutną.

– Mówisz poważnie – stwierdza mama.

– Chcę mieć to z głowy – odpowiadam głosem tylko trochę głośniejszym niż szept. – Nie chcę spędzić reszty życia, co chwilę oglądając się za ramię albo zastanawiając, kogo jeszcze zabił. Nie chcę się przeprowadzać, skoro to wciąż nad nami wisi. Ja po prostu chcę, żeby to się skończyło.

Mama robi głęboki wdech i składa na udach zaciśnięte dłonie.

– No to jak to zrobimy?

Laptop upada głucho na podłogę, gdy wyciągam ręce do mamy i mocno ją obejmuję.

– Kocham cię.

– Ale?

– Ale ta część należy do mnie, nie do nas.

Mama niebezpiecznie wysoko unosi brew.

– Musisz mi to wytłumaczyć.

– Jeśli ja to zrobię, to będzie samoobrona. Jeśli ty to zrobisz – samosąd, mamó. Może ława przysięgłych potraktuje cię z sympatią i uniewinni, ale stracisz pracę i nikt nie będzie cię chciał zatrudnić. Jeśli ze mną będziesz, Trójka z Quantico nigdy ci nie uwierzy, że to był

wypadek.

– A myślisz, że tobie tak?  
– Jeśli będę całkiem sama? Nie, to by była pułapka. – Wyciągam z torby pocztówkę z kaplicą Shiloh. – Ale gdyby był ze mną agent Archer i tylko na moment zostawiłby mnie samą?  
– Czyli jednak pozwolisz mu wykorzystać się jako przynętę?

– Tak.  
– Ufasz mu na tyle, by mieć pewność, że cię nie zdradzi?  
– Zwariowałaś? Dlatego mu właśnie nie powiem. – Uśmiecham się mimo woli, słysząc jej śmiech. – Przeprosiny Archera były szczerze, a to znaczy, że czuje się winny.

– A kiedy porządny człowiek czuje się winny, to chce to wynagrodzić, nie tylko przeprosić.

– Poproszę Archera, żeby zabrał mnie do kaplicy. Powiesz, że nadganiaś zaległości w pracy po wszystkich tych ostatnich nieobecnościach z mojego powodu i nie możesz mnie tam zawieźć. A w sobotę są moje urodziny. Ten skurczybyk przeszedł już przez całą listę kwiatów, co oznacza, że cokolwiek sobie dla mnie zaplanował, jest następne w kolejności. Potrzebuje tylko dobrej okazji. Możemy mu ją dać.

– Widzę, że dobrze cię wyszkoliłam.  
– Ty będziesz tutaj, z dala od podejrzeń, a jeśli on obserwuje mnie tak uważnie, jak sądzimy, to pojedzie za mną.

– A nasz młody, entuzjastyczny Archer zauważy w tym szansę, by schwytać seryjnego mordercę, rozwiązać sprawę i pokazać, ile jest wart. Zostawi cię samą, ale nie oddali się zbyt daleko.

– Będzie moim planem B, gdybym stchórzyła albo coś poszło nie tak. To zmniejsza ryzyko.

Siedzimy w ciszy, próbując przemyśleć nasz plan.

– Wiesz, że jeśli coś ci się stanie, to Brandon sobie z tym nie poradzi.

Patrzę na nią z niedowierzaniem.

– Nigdy nie mówisz mu Brandon. Nikt nie mówi mu Brandon.

– Mówię. Dlatego uważam, że Archer to dobry pomysł.

Mama też by z tym sobie nie poradziła, ale żadna z nas tego nie mówi. To by ją zmiąrdziło, może nawet zdruzgotało, ale podniosła by się z tego ostrzejsza i silniejsza. Jeśli jest coś, czego Deshani Sravasti nie potrafi, to być pokonaną. Bez względu na to, co się stanie, nigdy nie pozwoli światu całkowicie się złamać.

Brandon Eddison ma jednak coś, czego mama nie ma – otwartą, krwawiącą ranę imieniem Faith. Może i szuka jej w twarzy każdej zbliżającej się do trzydziestki blondynki, jaką spotka na ulicy, ale nadal myśli o niej jak o małej dziewczynce z dwoma kucykami i dziurawym uśmiechem – małym uroczym dziwadle, które nigdy nie widziało różnicy pomiędzy księżniczką a superbohaterem. Dopóki jej nie znajdą – chyba że jej nie znajdą – ta rana nigdy się nie zagoi.

Myślę, że tam jest chyba moje miejsce, cząstki mnie owijają to niezwykle kruche serce. Chronię jego resztę przed tym wrzodem, ale sprawiaam też, że krwawi. Jestem blisko i niewystarczająco blisko jednocześnie. Wystarczy mocny cios we mnie, by posypało się to, co zostało po Faith.

Nigdy celowo nie wyrządziłabym Eddisonowi krzywdy, ale nie mogę żyć życiem, które pokazuje mi Inara. Potrzebuję sprawiedliwości, a nie nadziei na nią. Ale potrzebuję też czegoś więcej – potrzebuję, by to wszystko wreszcie się skończyło.

– Porozmawiasz rano z Archerem?

Kiwam głową.

– Musisz być tego pewna, córeczko – mówi mama poważnym tonem. – Jeśli w którymś momencie najdą cię wątpliwości, to się wycofaj. Nadal możemy go wystawić FBI.

– Wiem.

Następnego dnia przed południem, kiedy schodzę na dół po kilku godzinach nauki, zastaję Archera na kanapie pochylonego nad rozmontowanymi kamerami rozłożonymi na stoliku.

– Dzień dobry, śpiochu – wita mnie.

– Raczej kujonie, a nie śpiochu. – Idę do kuchni i robię sobie koktajl na spóźnione śniadanie.

Idzie za mną.

– Masz jakieś plany na dzisiaj?

Udaję, że się zastanawiam.

– Mogę iść na szachy?

– O ile nie pójdziesz beze mnie.

Przelewam koktajl do dwóch kubków termicznych, podaję mu jeden i stukamy się jak do toastu.

– Pójdę po torebkę.

Archer rozgląda się po drodze na wszystkie strony. Jego samochód stoi na podjeździe, ale tęsknię za chodzeniem, więc mi ustępuje. Trochę dodatkowego czasu na zebranie myśli zdecydowanie nie zaszkodzi. Mogę się też poprzyglądać, jak Archer rejestruje wszystko, co się wokół nas dzieje.

– Ile swobody ruchu jest przewidziane w tym nadzorze osobistym? – pytam, kiedy mijamy stację benzynową. – W sensie, jeśli jestem z tobą lub Sterling, to wycieczki wchodzą w grę?

Spogląda na mnie z zaciekawieniem.

– Masz coś konkretnego na myśli?

Wyciągam z torebki pocztówkę z kaplicą Shiloh.

– Mam słabość do okien. A właściwie to moja siostra miała słabość do okien, a ja mam słabość do tego, że Chavi miała słabość do okien.

– Trudniej się tego nie dało wyjaśnić?

– A na dodatek w sobotę są moje urodziny i miałyśmy tam pojechać z mamą.

– *Miałyśmy?*

– Musi pracować. Przejęcie nowego działu lada dzień i dyrektor HR w Paryżu zaczyna się denerwować. Naprawdę chcę zrobić zdjęcia tej kaplicy, zanim wyjedziemy, a w normalnych okolicznościach zawiozłabym mamę do pracy, a potem pojechała tam sama.

– Nie ma na to szans.

– Przecież mówię w *normalnych okolicznościach*. Skup się, Archer.

Parska śmiechem, a jego ramiona nieco się rozluźniają.

– Czyli chcesz, żebym pojechał z tobą godzinę drogi stąd, żebyś mogła porobić zdjęcia oknom.

Jeszcze raz sięgam do torebki i wyciągam z niej moją sekretną broń – ulubione zdjęcia z pudełka pod łóżkiem, z etykietą „Chavi w kościele”. Na samej górze pliku znajduje się fotografia, którą kocham najbardziej ze wszystkich. Zrobiłam ją w jednym z większych kościołów katolickich w Bostonie, ze strzelistymi sufitami, które dawały uczucie nieważkości, jak gdyby wszystko w środku tylko dryfowało w przepastnej przestrzeni. Chavi od paru godzin siedziała w nawie głównej i w skupieniu rysowała, a ja robiłam mnóstwo zdjęć wnętrza i okien.

Wysłałam też na chór i wychyliłam się za krawędź przedniego wykuszu, w którym zwykle staje dyrygent. Sfotografowałam ją, jak stoi bokiem przed oświetlonym słońcem witrażem,

a fruujący wokół kurz sprawia wrażenie migocącej złotej aureoli. Jeśli zdjęcie naturalne oddawało osobowość Chavi, to oddawało jej duszę – jasną i pełną zachwyty.

– Chavi zawsze starała się uwiecznić to na papierze – mówię cicho, czując lekki dyskomfort, że wykorzystuję jej wspomnienie do manipulacji. Tylko nie pękaj, Priya! – Kolor, nasycenie i to, jak światło przenika przez szyby. Czasem mam takie wrażenie, że jeśli robę jakieś świetne zdjęcia, to w jakiś sposób ona je widzi.

Archer przegląda resztę zdjęć z cudownie skonfundowaną miną. Bardzo dobrze. Wyraz jego twarzy świadczy o tym, że jego myśli zacierają dokładnie tam, gdzie oczekiwałam. Kiedy wylania się przed nami pawilon szachistów, w końcu odpowiada.

– Pewnie, możemy pojechać. W końcu to twoje urodziny.

– Naprawdę?

– Tak mi przed chwilą powiedziałaś – uchyla się i śmieje, kiedy próbuję pacnąć go w ramię. – To dla twojej siostry.

– Dzięki. – Biorę plik zdjęć i chowam je z powrotem do zewnętrznej kieszeni torebki. – Obiecuję, że zostanę w namiocie, jeśli wolisz poczekać w kawiarni. – Kiedy zaczyna się wahać, unoszę brew. – Kimkolwiek jest ten skurczybyk, nie rzuci się na mnie, gdy będę w grupie.

– W porządku, ale jeden z nich ma cię przyprowadzić do mnie do środka, kiedy będziesz chciała wracać.

– Zgoda.

Archer właduje się w niezłe kłopoty, kiedy zostawi mnie samą w tej kaplicy. Mam nadzieję, że czegoś się nauczy, że stanie się dzięki temu lepszym agentem. Może wtedy nie będę miała takiego poczucia winy.

Salwa nie śpi, gdy wchodzę do pawilonu i uśmiecha się do mnie znad partyjki z Jorgem. Odwzajemniam uśmiech w sposób delikatny i ciepły, przeznaczony tylko dla niego, pozbawiony jakichkolwiek ostrych krawędzi.

Jeśli nauczyłam się czegoś ze służbowych imprez, na które czasem zabiera mnie mama, to tego, jak kierować rozmowę po swojej myśli. Mama jest w tym wręcz obrzydliwie dobra. Więc kiedy gram z niespokojnym Płochym i pozwalam mu namyślać się, ile chce, nad każdym ruchem, słucham niezobowiązujących rozmów o wizytach lekarskich, filmach, pieprzonych idiotach, którzy nie wiedzą, jak się jeździ, aż w końcu Pierce wspomina, że jego siostra chce, żeby przyjechał obchodzić wspólnie z rodziną święto wiosny.

– Jeden z jej wnuków co roku odpala małe, nędzne fajerwerki... głupie kapiszony. Robią dużo hałasu i mało błysków. Nawet kiedy tam jadę i wiem, że będą, to po prostu... – Urywa i wpatruje się pośpiesznie w szachownicę.

– Zabierz ze sobą tego tu – sugeruje Szczęściarz, szturchając Corgiego łokciem. Z jego styropianowego kubka ulewa się trochę kawy i myślę sobie, że chyba wszyscy grzecznie udajemy nieświadomość, że połowa zawartości to czysta whiskey. – Jego parszywa morda wywoła u ciebie więcej koszmarów niż te fajerwerki.

– Sam jesteś taki brzydki, ćwoku, że lustra przed tobą pękają – odpala mu Corgi z zadowoleniem.

Męskie przyjaźnie są takie dziwne.

– A reszta z was ma jakieś plany na weekend? – pytam, przesuwając moją wieżę z dala od bezpośredniego niebezpieczeństwa.

Płochego odwiedzają córki. Widuje je tylko raz w miesiącu zgodnie z orzeczeniem sądu, które wydano, gdy przechodził dość trudny okres w swoim życiu, a nie czuje się jeszcze na siłach, by próbować je zmienić. Jego twarz łagodnieje, kiedy mówi o swoich dziewczynkach, a ręka przestaje tak mocno się trząść. Myślę, że mogłyby mu bardzo pomóc, ale on nie chce, żeby

widziały go, gdy ma gorszy dzień.

Steven, jak się okazuje, ma randkę i większość grupy zaczyna wiercić mu dziurę w brzuchu. Przyjmuje to z głupawym uśmiechem.

– To wdowa po żołnierzu Marines – tłumaczy. – Wie, jak to jest.

Salwa jedzie do Denver na recital baletowy swojego wnuka, na który jak zawsze zawiezie go Hannah.

– Mam tylko nadzieję, że nie zasnę w połowie – wzdycha. – Ostatnimi czasy to coraz trudniejsze.

– Niech Hannah cię obudzi, jak będzie wychodził na scenę – radzi mu Phillip. – Nie ma większego znaczenia, jeśli prześpisz resztę, o ile będziesz przytomny we właściwym momencie.

Salwa kiwa głową, bije królową Jorge'a i spogląda na mnie po drugiej stronie stołu.

– A ty, panno Priyu? Masz plany?

– Mama musi pracować w sobotę, żeby załatwić jakieś sprawy. – Płochy zbija mi gońca. Jeszcze kilka ruchów i rozłoży mnie na łopatki. – Ale agent Archer zgodził się zawieźć mnie do Rosemont.

– A co jest w Rosemont? – pyta Jorge.

– Bardzo ładna kapliczka z niesamowitymi oknami. Kościelna z kościoła Salwy mi o niej powiedziała. Lubię robić zdjęcia witrażom.

– To prawie godzina drogi stąd – zauważa Steven. – Takie poświęcenie dla okien?

– Tak naprawdę to moja siostra je lubiła – mówię cicho. Szachiści wiercą się niezręcznie jak wróble na kablach elektrycznych. – To chyba taki sposób, żeby się z nią pożegnać, zanim wyjedziemy.

– Słyszałem, że w Paryżu też jest dużo ładnych witraży. – Corgi drapie się po nosie, a wokół pękniętego od nacisku naczynka pojawiają się małe czerwone kropeczki. – Tam jest Notre Dame, prawda?

Tłumię śmiech gdy słyszę, jak dziwnie próbuje wymówić francuskie „r”.

– Zgadza się – odpowiadam. – Trudno to wyrazić słowami. Chyba bardziej chodzi o to, że... Chavi widziała tamte witraże. Byłyśmy w Paryżu kilka razy jako małe dziewczynki, kiedy jeszcze mieszkaliśmy w Londynie.

– Mieszkaliście w Londynie?

– Do piątego roku życia. Urodziłam się tam. – Wzruszam ramionami, widząc ich zaskoczone spojrzenia. – Mama dostała świetną ofertę pracy w Bostonie. – I naprawdę bardzo chciała odgrodzić się całym oceanem od naszej rodziny ze strony taty i swojej, ale nie mogę tego powiedzieć mężczyznom, którzy tęsknią za bliskimi, ale przez swoje problemy nie potrafią codziennie z nimi przebywać. Nie wszyscy, ale wielu z nich.

– Nie mówisz jak Brytyjka.

– Nie słyszałeś mnie po maratonie oglądania BBC. – No i po mojej wieży. – Zgubiłam akcent w podstawówce, bo dzieci się ze mnie śmiały, a mama pomogła mi wygładzić resztę. Słyszała go mocniej, kiedy jestem zmęczona.

– Moja synowa ma tak z akcentem z Minnesoty – śmieje się Jorge. – I strasznie się go wstydzi.

Szczęściarz robi z rozmowy diatribę na temat ludzi pracujących w call center i wtedy odpuszczam. Jest piękny dzień, który można by nawet nazwać ciepłym, i kusi mnie, żeby zostać tu całe popołudnie, ale Archer czeka, a ja naprawdę czuję się w domu bezpieczniej. Na drugim końcu parkingu, przy delikatesach, widzę funkcjonariusza Clare'a w cywilnych ubraniach. Obserwuje mnie. Nie mam wątpliwości, że tu podejdzie, żeby zapytać weteranów, co u mnie.

Hannah odprowadza mnie do supermarketu i zostaje ze mną, aż Archer podniesie wzrok

znad tabletu i nas zobaczy. Wtedy dziewczyna całuje mnie w policzek i wraca do auta.

– Czego się napijesz? – pytam agenta. – Ja stawiam.

– Potrójne americano. Dzięki.

– Nie masz zamiaru spać przez najbliższy tydzień, co? – Robię krok w tył, żeby pójść do kolejki, ale wpadam na kogoś. Torebka upada mi na podłogę i wypadają z niej pocztówka, zdjęcia i portfel. – O nie! – Przykucam, żeby je zebrać, ale uprzedza mnie czyjaś para rąk.

Podnoszę wzrok i widzę, że klęczy przede mną Joshua. Podaje mi plik zdjęć i pocztówkę. Na podłodze obok niego stoją kubek z herbatą oraz książka w twardej oprawie. Przez kołnierzyk cienkiego puloweru przewieszona ma wąskie okulary do czytania. Swetry rybackie czekają pewnie głęboko w szafie na jesień.

– Dzięki. Przepraszam, że na ciebie wpadłam.

– Nic nie szkodzi. Dobrze, że zdjęcia się nie poniszczyły. – Kiwa głową do Archera, który odwzajemnia porozumiewawczy gest.

Odkładam zdjęcia i pocztówkę na stolik.

– Tak jest bezpieczniej. Aha, Archer? W ramach podziękowań za podwózkę, przygotowuję ci porządną dawkę kofeiny na sobotę. Chcę być w Rosemont przed wschodem słońca.

Słyszę, jak klnie pod nosem, gdy idę do kolejki.

Gdy wracam z gorącą czekoladą i siekierą w filiżance, Archer siedzi sam przy stoliku.

– Przed świtem? – pyta z kwaśną miną.

– A przynajmniej w okolicach świtu. Widziałeś kiedyś wschód słońca przez witraż, Archer?

– Nie – odpowiada posępnie. – I nie jestem przez to nieszczęśliwy.

– Ale są moje urodziny.

Wzdycha i upija łyk kawy.



– Przesyłka dla agenta Hanoveriana!

Eddison mruga, wpatrując się w papiery, i spogląda w stronę drzwi do sali konferencyjnej. Vic i Ramirez wydają się równie zaskoczeni, oceniając po tym, ile czasu schodzi Victorowi, żeby wstać z krzesła.

Wtedy Vic zaczyna się śmiać.

– Mama przysłała nam obiad.

– Złota kobieta – stęka Ramirez.

Spychając swoje notatki na jedną stronę, Eddison przyjmuje plastikowy pojemnik z nadal ciepłym gulaszem wołowym oraz zawinięte w folię aluminiową posmarowane masłem bułeczki.

– Twoja matka to anioł – przyznaje.

Przez kilka minut skupiają się wyłącznie na jedzeniu. Od lunchu minęło już sporo czasu. Kiedy Vic rozdaje im po trójkątnym kawałku ciasta z orzechami pekan, wracają do swoich obowiązków.

– Te dziewczyny stały się dla niego ważne – mówi Vic. – Czy zachowuje ich pozorną czystość, czy karze je za ich nieczne uczynki, chodzi mu o coś osobistego.

– Więc co takiego było w Darli Jean? – zastanawia się Ramirez, składając swoją folię w wachlarz. – Nie była tylko pierwszą ofiarą. Ona ukształtowała motyw mordercy.

– Wszyscy przesłuchiwani mówili, że była dobrą dziewczyną. Jej chłopak twierdził, że dopiero niedawno po raz pierwszy się pocałowali. Zнали ją wszyscy w mieście i wszyscy ją kochali.

– Ale została zgwałcona – kontruje Ramirez. – A więc morderca dostrzegł coś, co uznał za grzeszne. Może nawet ten pocałunek.

Vic bierze teczkę Darli Jean i przelatuje wzrokiem po zebranych zeznaniach.

– Chłopak nie zauważył nikogo w pobliżu. Tylko pastora, który wyszedł ze swojej kancelarii. Kiedy chłopak poszedł do domu, pastor zostawił Darlę Jean samą, po czym poszedł do miasta. Był przekonany, że w kościele nie ma nikogo prócz niej.

– Nie próbowała uciekać – zauważa Eddison. – Nie próbowała walczyć, aż było już za późno. To nie był tylko ktoś, kogo znała, to był ktoś, komu ufała.

– Nawet biorąc pod uwagę gwałt, naszym pierwszym podejrzanym normalnie byłby ktoś z rodziny – mówi Ramirez. – Ojciec, brat, kuzyn, ktoś, kto widzi pocałunek, i stwierdza, że jej zdżone zachowanie czyni ją niegodną tej rodziny.

– Ojciec zmarł dwa lata przed Darlę Jean na zawał serca, a jej kuzyni płci męskiej byli albo za mali, albo poza miastem. Ale miała starszego brata – Vic przewraca kartki w folderze – Jamesona Carmichaela. Miał wtedy dwadzieścia jeden lat. Rok wcześniej skończył studia na Uniwersytecie w Teksasie z dyplomem z projektowania stron internetowych. Dostał pracę w małej firmie marketingowej w mieście, gdzie dojeżdżał z rodzinnego domu w Holyrood.

– Jest na naszej liście podejrzanych?

Eddison kręci głową, ale i tak sprawdza. Wstukuje nazwisko do tabletu i zaczyna przesiewać wyniki wyszukiwania.

– Wygląda na to, że ostatnio nie był na niczyjej liście. Rzucił pracę i opuścił obszar Holyrood i San Antonio kilka miesięcy po śmierci siostry. Jest wymieniony w kilku upamiętnieniach i artykułach, ale nie wyświetla się nic innego.

– Brzmi złowieszczo.

Chwyając za telefon, Eddison wstukuje numer i przekierowuje rozmowę na główny głośnik na stole.

– Czego ci potrzeba? – pyta Yvonne, darując sobie grzecznościowe wstępy.

– Twojej mądrości i porady – odpowiada. – A przynajmniej twoich umiejętności komputerowych. Czy jest choć cień szansy, żebyś mogła dziś przyjść do pracy?

– Jestem sama z dzieckiem, ale wzięłam do domu zabezpieczony laptop, więc mam dostęp do wszystkich systemów. Kto mnie kocha?

– My! – śmieje się Ramirez. – Szukamy Jamesona Carmichaela. To brat Darli Jean.

– Możesz nam też podesłać najnowsze arkusze na temat obdzwonionych kwaciarni? – prosi Eddison.

– Zdajesz sobie sprawę, ilu analityków cię teraz nienawidzi? – Ale słyszą już w tle szybkie stukanie w klawisze laptopa, a także zadowolone gaworzenie dziecka.

– Wiem, że to otępiające zajęcie, ale czy dzwonienie po kwaciarniach to naprawdę najgorsza rzecz, jaką możemy komuś zlecić?

– Znam szacunkową liczbę kwaciarni w Colorado. Myślisz, że to kiedykolwiek mnie interesowało?

– Jestem pewien, że w Colorado jest wielu mężów, którzy byliby bardzo wdzięczni za ten arkusz.

– Od tego jest wujek Google, nie FBI. Ale wracając do tego Carmichaela – są jakieś szanse, że to martwy N.N.? Po tym jak wyjechał z domu, po prostu zniknął. Zamknął konto bankowe i nie wygląda na to, żeby otworzył gdzieś inne. Prawo jazdy wydane w Teksasie straciło ważność i nie zostało odnowione, ale nie złożył też wniosku o nowe w żadnym innym stanie. Żadnych rachunków, biletów, umów najmu, paszportu, przyjęć do szpitala pod tym imieniem i nazwiskiem. Nie siedzi też w więzieniu, chyba że figuruje tam jako N.N. albo pod innym



nazwiskiem. Twój chłopaś albo nie żyje, albo ma amnezję, albo stworzył sobie nowe życie i nową tożsamość.

– A jego samochód? Możesz poszukać numeru nadwozia, bo może przerejestrował auto na kogoś innego albo w innym stanie, prawda?

– A i owszem, ale nie zrobił tego. Skasował samochód kilka tygodni po śmierci siostry. Z raportu policji i ubezpieczyciela wynika, że uderzył w jelenia.

– Jeleń całkowicie skasował mu samochód?

– Znana praktyka – odpowiada Yvonne. – Bambi i jego dziewczyna potrafią całkowicie zmasakrować ci front. Carmichael wpłacił na konto kasę z ubezpieczenia na jakieś dwa tygodnie przed zlikwidowaniem go.

Eddison kręci głową.

– Możesz uzyskać wszystkie te informacje w kilka sekund, ale całą wieczność zajmuje ustalenie, czy ktoś sprzedał ostatnio dalje.

– Bo tym razem kazałeś mi sprawdzić konkretne nazwisko, kotku, a nie setki małych sklepików i właścicieli, którzy nie zawsze odbierają telefony albo oddzwaniają.

– Okej, należało mi się – mówi z grymasem na twarzy.

– Tak, należało.

– Przepraszam, Yvonne.

– Wiem, że ta sprawa jest ważna – mówi łagodnie. – Gdybym mogła dać światu kopniaka i pogonić go, żeby działał dziesięć razy szybciej, to bym to zrobiła.

– Wiem.

– Do akt Carmichaela powinny być dołączone odciski palców z tamtego dochodzenia. Możesz sprawdzić, czy nie pojawiły się gdzieś indziej?

Ramirez spogląda na Vica, a z jej spiętego ołówkiem koka wypada kilka loków.

– Nie mamy odcisków palców sprawcy z żadnego miejsca zbrodni.

– Fakt, ale może ściągnięto mu je, kiedy posługiwał się innym nazwiskiem. Dane można zmienić, odciski nie bardzo.

– Nadal pudło.

– Warto było zapytać – wzdycha. – Dzięki, Yvonne. I proszę, prześlij nam te uzupełnione arkusze.

– Jasne. Spróbujcie się wszyscy trochę przespać. – Rozłącza się i Eddison wyłącza głośnik.

– Ona ma rację, idźcie oboje do domu.

– Ale, Vic...

– Wszyscy jesteśmy wyczerpani – oznajmia im przełożony, wstając z krzesła. – Idźcie do domu. Prześpijcie się. Wstąpcie do mnie rano. Mama się ucieszy, że będzie mogła was dokarmić i razem zadzwonimy do Finneya, żeby sprawdzić, jak sprawy stoją.

Eddison waha się, spoglądając na stos dokumentów i folderów na stole. Słyszy, jak Vic i Ramirez mamrocą coś między sobą, a potem trzaśnięcie drzwi. Czuje na ramieniu czyjąś silną dłoń.

– Vic.

– Brandon.

Podnosi wzrok. Vic mówi do niego po imieniu tylko wtedy, gdy chce mieć pewność, że ma jego pełną uwagę.

– Jutro są urodziny Priyi – mówi cicho. – Wiesz, że to dla niej ciężki dzień. Ze względu na nią musisz być jutro w formie.

– A jeśli to nie wystarczy?

Zamiast odpowiedzieć, Vic ściska go za ramię i odchodzi.

## MAJ

Mama rusza do biura w Denver nieco przed piątą, bo nie potrafi już dłużej wysiedzieć. Przed wyjazdem przytula mnie tak mocno, że pewnie będę mieć siniaki.

– Bądź pewna – mówi raz jeszcze. – Bądź rozsądna i uważaj na siebie. – Ogólnie mówiąc, nie najgorsze błogosławieństwo, jakie można dać córce, która jedzie kogoś zamordować.

Leżę w łóżku, jeszcze nie całkiem przytomna, ale zdecydowanie nie pogrążona we śnie. W nocy właściwie nie zmrużyłam oka. Mózg nie chciał wyłączyć niespokojnych myśli, by dać mi odpocząć.

Wspomnienia Chavi, która goni mnie przez labirynt prześcieradeł, obraca mnie dookoła w tańcu, śmieje się i która wykrwawiła się na szarej kamiennej posadzce.

Myśli o tacie, załamany i otępiały, pogrążonym we wstydzie w szpitalu, zwisającym z balustrady, kiedy wróciłam do domu ze szkoły.

Myśli o innych dziewczynach, których nazwiska są mi tak dobrze znane jak moje własne.

Darla Jean, Zoraida, Leigh, Sasha.

Mandy, Libba, Emily, Carrie.

Laini, Kiersten, Rachel, Chavi.

Natalie, Meaghan, Aimée, Julie.

Prędzej zapomnę swoje własne imię niż ich.

Zamykam oczy i prawie czuję za sobą ciężar Chavi. Wspominam te wszystkie długie noce, kiedy siedząc obok siebie, pisałyśmy w naszych pamiętnikach i zasypiałyśmy przytulone. Leniwe poranki, gdy leżałyśmy opatulone pościelą, aż wskakiwała na nas mama. Zaczynała nas łaskotać, a my śmiałyśmy się, aż brakowało nam tchu. Pamiętam to uczucie, jak moja siostra gładziła mnie po włosach i odgarniała mi je z twarzy albo jak oddzielała pasma, żeby pomóc mamie je ufarbować. Pamiętam jej ciepły oddech przy moim uchu, to jak rysowała mi palcem różne wzory na udzie, zanim jeszcze się obudziłam, to, jak nigdy przypadkowo nie znalazła w ustach moich włosów i jak ja co chwilę wypluwałam jej.

Ostatecznie wstaję, biorę prysznic i z dużo większą dbałością niż zwykle suszę włosy, na których nie ma już odrostów. Za ucho wkładam wielką białą różę, największą, jaką udało mi się znaleźć na maleńkim stoisku kwaciarskim w sklepie spożywczym. Założenie kwiatowej korony

z moich urodzin byłoby trochę zbyt oczywiste. Zwykle nie przeglądam się w dużym lustrze, gdy szykuję się do wyjścia. Wolę to w pudernicze, bo w nim mogę patrzeć tylko na to, nad czym akurat pracuję. Dziś jednak nakładam makijaż, patrząc na całą siebie. Wyglądam jak Chavi, ale delikatniejsza, nie tak jaskrawa i śmiała. Patrę na rysy mojej siostry jak przez szkło w innym kolorze. Zakładam warstwową białą sukienkę, szafirowy sweter i legginsy, które przyszykowałam wczoraj wieczorem. Wczoraj nadciągnął do nas dziwny prąd atmosferyczny, co oznacza, że szykują się opady śniegu, ale jeśli założę płaszcz, powinno mi być ciepło.

Słyszę, jak Archer i Sterling rozmawiają na dole, zmieniając wartę. Kiedy schodzę na dół z torbą na aparat przerzuconą przez ramię, Sterling już nie ma. Archer spogląda na mnie niespokojnym wzrokiem. Wątpliwości? Ale rzuca mi niepewny uśmiech i otwiera drzwi, więc chyba wszystko zgodnie z planem. Podejrzewam, że Sterling nigdzie by nie pojechała, gdyby wiedziała, jakie mamy plany.

Mogę się nadal wycofać. Powiedzieć mu albo komukolwiek z pozostałych agentów o bracie Darli Jean, pozwolić im go znaleźć i zaarrestować.

Ale myślę o długim oczekiwaniu na to, aż sąd odda mi sprawiedliwość, choć sprawiedliwość nie przywróci nikogo do życia. Bądź pewna, powiedziała mama.

Jestem pewna.

Wstępujemy do Starbucksa po coś ciepłego do picia na drogę i wyjeżdżamy z miasta.

Droga do Rosemont jest długa, więc nasze napoje szybko się kończą. Z radia dobiega cicha muzyka, którą zagłusza szum nawiewu ogrzewania. W połowie drogi zaczynają padać wielkie, mokre płatki śniegu, które zamieniają się w breję na przedniej szybie w kontakcie z ciepłym szkłem. Od czasu do czasu GPS Archera informuje nas o zmianie kierunku.

Cały czas trzęsą mi się ręce. Chowam je w rękawiczkach, mimo że szybko zaczynają się pocić. Teraz, myślę sobie, warto byłoby być wierzącą. Miło byłoby mieć coś lub kogoś, do czego można by się pomodlić z relatywną pewnością, że jest się słuchaną. Ale z drugiej strony, gdybym była religijna, to pewnie nie robiłabym tego, co zamierzam, więc nie ma tematu.

Śnieg pada coraz intensywniej. Kiedy przejeżdżamy przez niewielkie Rosemont, widzimy wiele mężczyzn i kobiet w pomarańczowych kamizelkach z łopatami do odśnieżania i wiadrami z solą. Na pobliskim parkingu obok straży pożarnej stoją trzy pługi, gotowe, by umożliwić mieszkańcom wydostanie się dziś z domu. To mała społeczność. Zgodnie z artykułami na temat kaplicy, które przeczytałam wcześniej, Rosemont istnieje tylko po to, żeby ludzie mieszkający w okolicy mieli gdzie robić zakupy, wysłać pocztę i kształcić dzieci.

Archer marszczy czoło, widząc nieukrywane zainteresowanie, jakie wzbudzamy, jadąc główną ulicą.

– Obcy ludzie są aż tak zdumiewający?

– To małe miasteczko.

Kaplica Shiloh znajduje się kilka kilometrów za miastem. Choć Rosemont jest małe, ma cztery kościoły pokaźnych rozmiarów. Kaplica to pozostałość po bogatej rodzinie związanej z branżą górniczą, która kiedyś posiadała większość okolicznych ziem. Podobno pobiera się tu wiele par bez względu na wyznanie. Archer parkuje samochód nieco dalej i przez chwilę jestem tak oczarowana widokiem, że prawie zapominam, po co tu przyjechałam.

Czuje się, jakbym stała w środku śnieżnej kuli. Biel pokrywa skośny dach, ale nie zasłania w pełni czerwonoróżowych ceramicznych dachówek. Ściany też są białe – pokryte gipsem, stiukiem czy czymś w tym stylu, na którym widać grube zawijasy, teksturowane pociągnięcia jak na olejnym obrazie. Małe rozety po obu stronach drzwi w czerwobrnatnym kolorze mają niebieski kolor i jest w tym coś doskonałego.

Dzień nie będzie na tyle słoneczny, by móc podziwiać pozostałe okna w pełnej krasie, ale

ma to swoją magię.

Sprawdzam aparat, zarzucam torbę na ramię i wysiadam z samochodu ze sprzętem w dłoniach. Zatrząskuję drzwi, popychając je biodrem. Opieram się o maskę samochodu, spod której pod mój płaszcz sączy się ciepło i przez chwilę podziwiam krajobraz.

Zdjęcia robię później. Przez wizjer nie da się zobaczyć wszystkiego.

Archer nadal siedzi w samochodzie, kiedy podnoszę aparat i zaczynam fotografować małą kapliczkę, która prawie stapia się ze śniegiem, pomijając miejscowe akcenty koloru. Obchodzę budynek szerokim kołem, szukając ciekawych ujęć. Wschodnia i zachodnia ściana wyglądają jak kaplica Metodystów w Huntington – ścian i cegieł jest tylko tyle, by mogły utrzymać okna i dach. Nawet bez słońca okna są imponujące. Zachodnia ściana przedstawia Jezusa idącego po wodzie podczas burzy oraz apostołów skulonych w łódce znajdującej się w rogu.

Josephine należała do kościoła episkopalnego, czasem z ciekawości chodziłyśmy z nią na msze, a potem Chavi brała opowieści biblijne i szkicowała je w formie witraży podobnych do tego. Od lat o tym nie myślałam.

Północna strona jest jednolita, z wyjątkiem trzech rozet w ciepłych odcieniach żółci, bursztynu i brązu. Sprytnie wykonane, jeśli wierzy się w trójcę świętą – każda z rozet ma swój kolor, ale zawiera w sobie pozostałe, a wszystkie zlewają się ze sobą wzdłuż wewnętrznych krawędzi. Może to sprytnie, nawet kiedy się nie wierzy.

Robię kolejne okrążenie, tym razem dla ujęć w zbliżeniach. Owalne, zielone ślady pokazują mi, gdzie już byłam, choć świeży śnieg znów zasypuje trawę.

Wschodnia ściana tworzy swój własny wschód słońca i chciałabym móc ją zobaczyć, kiedy barwy rozpala światło. Na witrażu znajdują się kolory, których umieszczenie w ilustracji wschodu słońca nie przyszłoby mi do głowy: indygo i lawenda rozmywające się w jaskrawe błękity i delikatne zielenie. Chavi pewnie lepiej by to zrozumiała, a może nawet umiałaby to wytłumaczyć.

Kiedy wracam przed kaplicę, Archer wciąż siedzi w samochodzie.

– Wchodzisz? – pytam przez zasuniętą szybę.

Kręci głową.

– Dla mnie za zimno. Nie spiesz się.

Jasne.

W kaplicy nie ma krzeseł ani klęczników, tylko przestrzeń, w której nie słychać nawet szumu elektryczności. Robię zdjęcia, zafascynowana prostotą północnych rozet, których kolory i kojące światło przypominają blask świec. Powietrze jest nieruchome, jak na moment przed wdechem. Tu nie jest zwyczajnie cicho, tu jest głucho.

Tak chyba wygląda samotność, gdy wynika z natury, nie z wyboru.

Chowam aparat i bezpiecznie odkładam torbę w rogu kaplicy. Ściągam rękawiczki, szalik i płaszcz. Nie jest mi ciepło, ale wiem, jak wyglądam w tej sukience, bo pamiętam, jak wyglądała w niej Chavi. Należała do jej ulubionych i choć moja siostra była ode mnie wyższa o jakieś trzy centymetry i kolejne trzy centymetry węższa w biuście, sukienka dobrze na mnie leży, jest urocza i niewinna, a marszczone białe halki wyglądają bardzo zalotnie. Nie ma szans, żebym wyglądała jak przychuda dwunastolatka, ale jestem tylko bladym odbiciem Chavi.

Róża ciąży mi za uchem, jej waga walczy z wsuwkami, które trzymają ją w ryzach. Wydaje się cięższa, niż powinna, i nie jestem w stanie stwierdzić, czy rzeczywiście tak jest, czy może mój umysł płata mi figle.

Z telefonem w dłoni upuszczam płaszcz na środek posadzki i siadam na nim. Nawet przy grubej wełnie i getrach podszytych polarem, czuję skradające się zimno. Chavi lubiła tak

siedzieć, zafascynowana tym, co próbowała narysować.

Słyszę silnik cofającego auta. Oczywiście, nikt tu nie przyjdzie, jeśli Archer będzie siedział w samochodzie przed samym wejściem. Schowa się pewnie trochę dalej i będzie obserwował. Czekał. Wybieram numer w telefonie, po czym przełączam rozmowę na głośnik, nasłuchując tępych sygnałów, które wypełniają całą kaplicę.

– Wcześniej wstałaś jak na sobotę, jubilatko.

Potworne napięcie, które czuję w piersi, rozluźnia się na dźwięk głosu Eddisona. Słyszę panujący w tle chaos. Vic dostaje chyba burę od swojej mamy.

– Pada śnieg – mówię, na co Eddison się śmieje.

– Przeklęte Colorado. Ale zwykle czekasz, aż to ja zadzwonię do ciebie w urodziny. Wszystko w porządku?

Jest moim przyjacielem, ale jest także agentem, a może czasem nawet bardziej agentem niż przyjacielem, i zawsze będzie się dopatrywał schematów i tego, jak je łamiemy. To trochę pocieszające – coś, czego mogę mieć pewność.

– Mam tyle samo lat co Chavi.

– Cholera, Priyu.

– W przyszłym roku będę mieć osiemnaście lat i logicznie myśląc, wiedziałam, że to nastąpi, ale chyba nie jestem przygotowana na to, żeby być starsza od mojej starszej siostry.

Nie jestem w pełni przygotowana na wiele rzeczy, ale i tak idę do przodu z podniesioną głową.

– Mama cię jeszcze nie uszczypnęła za to, że robisz się cikliwa w swoje urodziny?

Prycham ze śmiechu.

– Siedzi w pracy do późna. Zresztą mam pozwolenie na pół godziny cikliwości. Taka zasada.

Tata zabił się w moje urodziny. Choć mama nie chce go opłakiwać, nigdy nie ma mi za złe, że od czasu do czasu ja chcę. Ona tłumi w sobie wiele rzeczy, ale nigdy nie narzucała mi, bym żyła w ten sam sposób.

– Mówiłem ci, że moja mama organizowała bal maturalny, w którym uczestniczyłaby Faith? – pyta. Próbuje nawiązać nić porozumienia, dać mi coś osobistego i bolesnego, co robi bardzo rzadko.

– Musiało wam być ciężko.

– Przez wiele tygodni była w fatalnym stanie. Ale po balu trochę się jej poprawiło. Pomogło jej to zaakceptować, że nawet gdybyśmy odzyskali Faith, stracone lata już nie wrócą.

– Czyli chcesz mi powiedzieć, że na moją osiemnastkę powinnam zrobić wielką imprezę i upić się do nieprzytomności, żeby jakoś się z tym uporać?

– Ani mi się waży. – Cicho stęka do słuchawki i wtedy słyszę w pobliżu głos Mercedes.

– Sto lat, Priya! – mówi radośnie.

– Dzięki, Mercedes.

– Gdzie jesteś? – pyta. – Słyszę echo.

– W kaplicy Shiloh – odpowiadam. – To w Rosemont, czyli trochę daleko od domu, ale szkoda, że nie widzicie tych witraży.

– Skoro twoja mama jest w pracy, to jesteś tam sama? – dopytuje Eddison ostrym tonem.

– Nie, Archer mnie przywiózł.

– Możesz mi go dać? – Jego głos brzmi nagle zbyt miło, co nie wróży dla Archera najlepiej.

– Jest na zewnątrz. Powiedział, że tu jest dla niego za zimno.

– Ramirez...

– Działam – odpowiada. – Zadzwoń później, Priyu.  
– Okej.  
– Co on sobie, do cholery, wyobraża? – warczy Eddison.  
– Że spełnia moją urodzinową prośbę?  
– Nie mogłaś sobie wybrać jakiegoś innego miejsca niż kościół?  
– Myślałam, że jestem bezpieczna, dopóki nie jestem sama.  
– Jeśli on jest na zewnątrz, to jesteś sama, a to nie do przyjęcia. Ramirez, dzwoń do niego!

– Z kim rozmawiasz, Priyu?  
To zdecydowanie nie jest głos Archera.  
Odwracam wzrok ku drzwiom. Chociaż wiem, kogo tam zobaczę, moje serce i tak łomocze mi w piersi. Nagle czuję w żołądku ciężki, zbity strach.  
– Joshua? Co ty tu robisz?  
– Priya! – Eddison jest wkurzony albo spanikowany. Albo jedno i drugie. – Kto tam jest?  
– Joshua – mówię otępiałym tonem. – Z kawiarni. Ten, który kiedyś wylał kawę na Landoną.

– Nie powinienem był ci się narzucać – mówi Joshua ciepłym i przyjaznym tonem. Ma na sobie kolejny sweter rybacki, tym razem szarozielony, który świetnie pasuje do jego oczu. Tych smutnych oczu, które prawie pamiętam z Bostonu. U jego stóp...

Błagam, niech to się nie okaże największą pomyłką mojego życia.

U jego stóp leży ogromny, wiklinowy kosz przepelnięty różami.

– Zabiłeś Landoną?

– Nie powinienem był ci się narzucać – powtarza łagodnie.

– Gdzie agent Archer? Co mu zrobiłeś?

Joshua śmieje się, na co po plecach przebiega mi dreszcz.

– Nie musiałem nic mu robić. Minąłem go w mieście po tym, jak cię tu zostawił.

– W mieście? – Wiedziałam, że odjedzie od kaplicy i że pomyśli, by posłużyć się mną jako przynętą, będzie dla niego kuszący, ale sądziłam, że wróci jakąś boczną drogą albo przez las. Dlaczego, do cholery, pojechał aż do miasta?

Bardzo duża część mojego planu zależała od Archera.

Mam przesrane.

– Po co ci te róże? – pytam głosem drżącym nie tylko z zimna. Słyszę dobiegające z telefonu stłumione przekleństwa Eddisona, jak gdyby zasłaniał słuchawkę dłonią. Słyszę wyraźnie, że woła Vica.

– Och, Priyu. – Joshua klęka, nadal kilka kroków ode mnie, i się uśmiecha. – One są w prezencie. Ojciec nauczył mnie, że dziewczynie zawsze przynosi się kwiaty. Z grzeczności. Jesteś inna niż pozostałe, zasługujesz na więcej.

Ostrożnie i powoli, tak by Joshua nie spanikował i nie rzucił się na mnie, wstaje, ściskając telefon w dłoni.

– Co tutaj robisz?

– Jestem tu, żeby cię chronić. – Wydaje się mówić tak szczerze, że zastanawiam się, jak bardzo musi mieć pojebane w głowie, żeby w to wierzyć? – Jesteś taką dobrą dziewczyną, Priyu. Wiedziałem o tym już w Bostonie. A Chavi była dla ciebie taką wspaniałą siostrą. Byłaś taka kochana i taka dobra.

– To dlaczego ją zabiłeś? – Łzy pieką mnie w oczy, grzęzną mi w gardle. – Dlaczego mi ją odebrałeś?

– Nie wiesz, co świat potrafi zrobić z dobrymi dziewczynami. – Wstaje, a ja zaciskam

palce na komórce. Ale telefon to nie broń. Joshua wyciąga do mnie rękę, muskając palcami powietrze zaledwie kilka centymetrów od mojego bindi i ćwieka w nosie. – Chavi też była dobrą dziewczyną, ale by taka nie została. Miała wyjechać na studia. Świat by ją zepsuł, a ona zrobiłaby to samo z tobą. Musiałem chronić was obie. I udało mi się. Nie zmieniłaś się. Martwiłem się, że po Chavi będziesz próbowała odreagować, ale nie. Aimée była dokładnie tym, czego było ci trzeba.

– Potrzebowałam przyjaciółki – odpalam – a ty ją zabiłeś!

– Była taka smutna, kiedy się wyprowadziłaś. Nie chciałem, żeby była smutna.

Jego palce muskają mój policzek, na co od razu odskakuję.

– Nie dotykaj mnie!

– Obiecuję, nie będzie bolało – mówi kojącym tonem. – Niczego nawet nie poczujesz.

A potem...

Odsuwam się od niego, aż dobrnę do ściany. O Boże, to naprawdę malutkie pomieszczenie, dużo mniejsze, niż sądziłam, zanim do środka wkroczył seryjny morderca. Seryjny morderca, który jest dużo wyższy i silniejszy ode mnie.

Kurwa.

Wciąż się uśmiechając, Joshua wyciąga mi telefon pomiędzy palców. W drugiej dłoni trzyma nóż myśliwski.

– A wtedy, Priyu, zawsze będziesz dobra. Już zawsze będę w stanie cię chronić. – Kończy połączenie i rzuca telefonem o przeciwległą ścianę.

– Proszę, nie rób tego – szepczę.

Jego uśmiech robi się jeszcze szerszy.

– Muszę. To dla twojego dobra. Teraz się nie ruszaj, bo inaczej będzie bolało. – Poprawia uścisk na nożu, który nadal trzyma przy boku.

Biorąc najgłębszy wdech, jaki tylko jestem w stanie, rzucam się na niego, jedną ręką łapiąc go za nadgarstek, drugą za włosy i wbijając mu kolano w krocze. Próbuje mi się wyrwać, ale kopię go, okładam ciosami i drapię, próbując utrzymać nóż jak najdalej od mojego gardła.

I krzyczę – krzyczę jeszcze głośniejsze niż za Chavi.

Krzyczę, modląc się, by Archer był w pobliżu.

Krzyczę i mogę nigdy nie przestać.





Eddisonowi serce staje w piersi, kiedy połączenie zostaje przerwane. Mimo posiadanej wiedzy ze zdobytej podczas szkoleń, mimo adrenaliny, która szaleje mu w żyłach, potrafi jedynie gapić się na telefon.

– Archer jest prawie pod kaplicą – informuje go Ramirez, przytrzymując ramieniem służbową komórkę. Kciukiem przeszukuje prywatny telefon. – Pojechał do miasta po wsparcie, przeklęty dupek zrobił z niej przynętę. – Ignoruje jęk protestu na linii. – Mam Sterling, Finney dzwoni do biura szeryfa. Rosemont nie ma swojej jednostki, więc wysyłają radiowozy z posterunku rejonowego. Archer ma ze sobą kilku byłych żołnierzy z Rosemont. Przestań gadać i jedź, palancie! – krzyczy do telefonu.

Vic także jest na dwóch telefonach – przez jeden załatwia lot do Colorado, a przez drugi rozmawia z Yvonne. Kiedy zadzwoniła Priya, przeglądali listę kwiaciarni; Marlene skarciła go za to, że pracuje przy śniadaniu. – Tak, jestem. Potrzebuję trzy bilety do Denver i musimy tam być najszybciej, jak to możliwe.

Otrząsając się z otępienia, Eddison bierze swój prywatny telefon i wyciąga służbową komórkę, którą ma przypiętą do paska. Zawsze sądził, że to idiotyczne, że mają sześć telefonów na troje agentów, ale teraz jest za to wdzięczny. Próbuje oddzwonić do Priyi, ale od razu zgłasza się poczta głosowa. Z drugiego telefonu dzwoni bezpośrednio do Finneya.

Ramirez odsuwa telefon od ucha i z niedowierzaniem wlepia w niego wzrok.

– Dojechali do kaplicy, usłyszeli, jak Priya krzyczy, i palant się rozłączył!

– Wolisz, żeby trzymał telefon czy pistolet?

- Powinien się nie rozłączać i schować telefon, żebyśmy słyszeli. Dupek.
- Eddison nie jest pewien, czy mówi o nim, czy o Archerze, ale nie ma zamiaru dopytywać.
- Musimy jechać na lotnisko – informuje ich Vic. – Macie w biurze torby podręczne?
- W bagażniku mamy rezerwowe – odpowiada Ramirez.
- No to w drogę.

Marlene patrzy, jak wychodzą, nic nie mówiąc ze zmartwienia.

Chyba dzięki czystej magii Vicowi udaje się załatwić im lot za niespełna godzinę. Zanim wsiądą na pokład, dostają najświeższe informacje od Finneya. Priya i Joshua – Jameson – zostali zabrani do najbliższego szpitala, skąd zostaną przetransportowani śmigłowcem do Denver, zanim pogoda pokrzyżuje wszystkim plany. Finney spotka się z nimi w szpitalu.

Sterling wysłała postscriptum do Ramirez: poranne opady śniegu zamieniają się w prawdziwą zamieć. Możliwe, że będą musieli polecieć do innego szpitala.

Eddison ma nadzieję, że śnieżycą ominie zachodnią część Denver. Modli się w duchu do Boga, z którym ma problemy od zaginięcia Faith, żeby śnieg nie zakłócił tego lotu.

Gdy zajmują miejsca w samolocie, muszą wyłączyć telefony i dla Eddisona czas niemiłosiernie zwalnia. Nie po raz pierwszy i pewnie nie po raz ostatni myśli, jak by to było, gdyby FBI dysponowało takimi środkami, jak pokazuje się na filmach i w serialach. Byliby teraz w prywatnym samolocie i mogli się kontaktować z ludźmi w terenie, a nie tkwić beczynnienie w klasie ekonomicznej na pokładzie przestarzałej maszyny, w której nie ma Wi-Fi.

Na pokładzie nie byłoby też dzieciaka, który drze się w niebogłosy i kopie w jego oparcie przez bite cztery godziny.

Podróż zdaje się trwać bez końca i Eddison aż się wzdryga, gdy czuje dłoń na swoim podskakującym kolanie. Zaczyna się czerwienić, widząc wyrozumiałe spojrzenie swojego przełożonego. Jednak zamiast walnąć wykład albo cięty komentarz, na które pewnie zasługuje, Vic wyciąga z torby zdjęcie i podaje je Eddisonowi.

- Uspokoisz się dopiero wtedy, gdy będziesz mógł zrobić coś więcej.

Nigdy nie widział tego zdjęcia. Zrobiono je od tyłu, z pewnej odległości, kiedy Eddison i Priya przyglądali się posągowi w Mauzoleum Lincolna. Stoją obok siebie, on obejmuje ją ramieniem. Tak jakby – opiera rękę na jej barku, ale zgina ją w łokciu i trzyma dłoń na jej głowie. Są nachyleni do siebie, a policzek Eddisona spoczywa na wierzchu jego własnej dłoni. Ona obejmuje go w pasie, zahaczając palcem o szlufkę spodni, tuż przy pistolecie.

Eddison robi głęboki wdech i uspokaja kolano.

Vic ma rację. Jak zwykle w kwestii ludzi.

Kiedy tylko będzie coś do zrobienia, to się za to weźmie.

Ale na litość boską, czy ten samolot może lecieć szybciej?

W końcu mogą wsiąść i Eddison wychodzi z samolotu z torbą pod pachą, zanim większość pasażerów zdoła w ogóle wstać. Ramirez i Vic są zaraz za nim. Przy wyjściu z hali przylotów stoi młoda kobieta z kartką papieru, na której niezgrabnie napisano „Quantico”. Prostuje się, kiedy widzi, jak się w nią wpatrują.

- Dowodzący Agent Specjalny Hanoverian? – pyta.

Vic kiwa głową.

– Agentka Sterling – kobieta przedstawia się. – Priya żyje i nic jej nie grozi. Ma pewne obrażenia, nie wiem, jak poważne, ale zawieźli ją do szpitala w Denver i zaraz was do niej zabiorę. Napastnik został przetransportowany helikopterem do Denver. Jest obecnie operowany. Lekarze przekazali nam próbkę krwi do analizy laboratoryjnej w trybie natychmiastowym. Odciski palców należą do Jamesona Carmichaela. Agent Finnegan jest w szpitalu z Priyą.

Vic jeszcze raz kiwa głową, tym razem wolniej, z aprobatą.

– Jedźmy do szpitala. Sprawdźmy, co u Sravastich i Finneya.

– Tak jest. – Agentka rusza żwawym krokiem – albo ma takie poczucie misji, albo ucieka przed ich emanującym niepokojem. Na zewnątrz czeka służbowy sedan, wyzywająco zaparkowany na zakazie postoj. Ochroniarz lotniska rzuca im wredne spojrzenie.

Eddison odwzajemnia się tym samym. Jego krzywa mina wygrywa.

Vic kręci głową i mruczy coś na temat lania na znaki drogowe.

Ulga, jaką poczuł na wiadomość, że Priya żyje, jest niesamowita.

Agent Sterling nie włącza syren, ale też okazuje niewiele szacunku dla przepisów ruchu drogowego. Eddison całkowicie to pochwała. Kobieta wysadza ich na podjeździe dla karettek.

– Gliny z Huntington są w mieszkaniu Carmichaela. Będę czekać w garażu podziemnym. Zadzwońcie, gdy będziecie gotowi tam jechać.

– Dzięki – odpowiada Vic nieobecny tonem. Jego uwaga skupiona jest na wyjącej karetce, która pędzi w ich stronę i agenci z Quantico szybko odskakują na chodnik, żeby Sterling mogła zrobić dla niej miejsce.

Ramirez aż się wzdryga.

– Prawie zahaczyła o karawan.

Eddison przewraca oczami.

– Ale pusty.

– Skąd wiesz?

– Nie było eskorty.

Vic nie zwraca na nich uwagi. Często to robi, kiedy jak zwykły mówić, bardziej przypominają mu jego dzieci niż współpracowników. Recepcjonistka o udreżonej minie kieruje ich na drugie piętro. Na szczęście nie muszą pytać o numer pokoju. Przed drzwiami najbliższej stanowiska pielęgniarek widzą dwóch mężczyzn, z których jeden ma na sobie mundur policji w Denver, a drugi pomięty garnitur i przekrzywiony krawat.

Ten w garniturze prostuje się na ich widok.

– Cześć, Quantico.

– Cześć, Finney. – Vic wyciąga ręce i mężczyźni przytulają się po męsku na powitanie.

Wita Ramirez i Eddisona skinieniem głowy.

– Została trochę poturbowana. Ma kilka sińców, pogruchotane zębra, lewy nadgarstek. Ma też ranę ciętą na szyi, która wymagała kilku szwów, ale nie jest zbyt głęboka. Dziewczyna zeznała, a pielęgniarka potwierdziła, że nie została zgwałcona.

Vic wypuszcza powolny wydech.

– To obrażenia fizyczne. A jak się czuje?

– Trudno powiedzieć. – Finney marszczy brew i próbuje wyprostować krawat, ale udaje mu się sprawić jedynie, że tył robi się dłuższy niż przód. – Pomijając wstrząs, jest dość stabilna, ale oczy ma rozbiegane. Trochę się uspokoiła, kiedy przyjechała jej matka.

– Deshani teraz u niej jest?

Agent kicha, choć Eddison jest prawie pewien, że to śmiech.

– Tak. Zdążyła już doprowadzić do placu dwóch stażystów i rezydenta, a potem zażądała pielęgniarki, żeby jej córką zajął się ktoś, kto ma pojęcie, co robi. Nie wiedziałem, że lekarze są tacy strachliwi.

– Efekt Deshani – wspólnie mówią Ramirez i Vic, uśmiechając się na widok zaskoczonej miny agenta.

– Możemy wejść? – pyta Eddison. Przesłupuje z nogi na nogę, próbując odruchowo nie chować rąk do kieszeni. Nigdy nie potrafił zrozumieć, jak Vic może trwać w takim bezruchu, kiedy się denerwuje.

– Tak, śmiało. Potem ustalimy jakiś plan działania. Teraz sami sprawdźcie, co i jak.

Finney nie upomina ich, że są w tę sprawę za mocno zaangażowani i że nie mają stosownego dystansu. Albo wynika to z lojalności wobec Vica, albo po prostu rozumie, jak to czasem bywa, i nie komentuje sytuacji.

Eddison puka do drzwi.

– Przychodzę z oreo – woła.

– No to włącz – odzywa się Priya. – Umieram z głodu!

Vic i Ramirez uśmiechają się pod nosem. Eddison opiera się czołem o drzwi i bierze głęboki wdech. Ręka nadal mu się trzęsie. Czuje uścisk dłoni Vica na swoim ramieniu i aż chce warknąć. Wie, że mógłby to zrobić i jego partner zrozumiałby to zachowanie – potrzebę, by sobie ulżyć, i właśnie z tego powodu się powstrzymuje. Kiedy trochę zapanuje nad kłębiącymi się w nim wściekłością i ulgą, otwiera drzwi i jako pierwszy wchodzi do środka.

Deshani Sravasti opiera się o poręcz na końcu łóżka. Przyjechała prosto z biura. Jej ciemnoszara spódnica i marynarka są eleganckie, ale wyglądają bardzo zasadniczo, co próbowała złagodzić pudroworóżową bluzką i prześwitującym szalem w wyraźny, kwiatowy wzór, owiniętym wokół szyi. Jej szpilki leżą wraz z torbą pod ścianą. Wygląda prawie komicznie w niebieskich, szpitalnych skarpetkach antypoślizgowych, założonych na cieliste pończochy, ale Eddison nie ma w sobie tyle odwagi, by zwrócić jej na to uwagę. Traktuje Deshani z tym samym szacunkiem co broń przy swoim biodrze, nie do końca pewien, które z nich jest bardziej niebezpieczne.

Priya siedzi na łóżku po turecku z poduszką na kolanach. Na szyi ma opatrunek i Eddisonowi serce na moment przestaje bić, kiedy widzi ilość krwi na jej ubraniach, leżących z boku w foliowej torbie dowodowej. Nieprędko zapomni jej widok w spłowiełej szpitalnej koszuli. Dziewczyna uśmiecha się do niego niemrawo, zasłaniając twarz dłonią i wybijając kciukiem rytm na kryształowym ewieku w nosie. Na jej policzkach i wokół oczu widać makijaż rozmazany przez, łzy, pot, krew i pobieżne mycie.

Wygląda jak своя siostra. Eddison czuje kolejny cios, gdy wyobrazi sobie, jak podobne byłyby ich zdjęcia z miejsca zbrodni, gdyby Priya nie miała tyle szczęścia.

– Niebieska – mówi dziewczyna, a jej uśmiech blednie. Opuszcza dłoń, w całości owiniętą gazą i plastrami, na poduszkę. Dłonie Inary wyglądały tak samo, gdy Eddison spotkał ją po raz pierwszy... Przestań, karci się w myślach.

Robi głęboki wdech.

– Co mówisz?

– Pasemka, biżuteria. Są niebieskie. Wciąż niebieskie. Jej były czerwone.

Eddison niemrawo rechocze i pociera żuchwę, czując zarost, którego nie miał siły rano zgolić.

– Dziękuję. – Dzięki tej uwadze trochę się otrząsa, ale niewystarczająco. Priya przygląda się swoim dłoniom, po czym spogląda na niego spod rzęs. Zanim Eddison zdoła się zorientować, idzie do niej i po chwili mocno obejmuje.

Priya wtula się w niego i gdy wypuszcza z płuc wielkie, rozedrgane westchnienie, agent czuje, jak opadają jej ramiona, a mięśnie się rozluźniają. Słyszy klik, co pewnie oznacza, że Ramirez zrobiła im zdjęcie, ale nic go to nie obchodzi. Priya żyje. Jest tutaj, a on po raz pierwszy od dwudziestu lat myśli, że być może Bóg jednak istnieje.

– Naprawdę masz oreo czy to był tylko wybieg, żeby dostać się do środka?

Eddison sięga do zewnętrznej kieszeni płaszczka i wyciąga małe opakowanie ciastek, które rzuca jej na poduszkę. Kupił je na wszelki wypadek na lotnisku, podczas gdy Vic klócił się ze stewardessą, żeby wpuściła ich na najbliższy lot.

Priya zasłania je dłonią, a drugą trzyma na ramieniu Eddisona, ani na moment nie puszczając.

– Jak tu tak szybko dojechaliście?

– Wsiadliśmy w pierwszy możliwy samolot. Vic wywalił trzech pasażerów na listę rezerwową, żebyśmy mogli zająć ich miejsca.

– Wolno mu?

– Nie wiem. Na szczęście obsługa lotniska nie sprawdziła.

– Brawo, Vic.

Agent dowodzący uśmiecha się i podchodzi do Deshani, wyciągając do niej dłoń. Kobieta przyjmuje ją, ale tylko na chwilę. Nie należy do kobiet, które pozwalają się zbyt długo pocieszać.

– Cieszę się, że nic ci nie jest, Priyu – ciepło mówi Vic.

– Przecież nigdy nic mi nie jest.

– To akurat nieprawda. I nie ma w tym nic złego.

Uśmiecha się do niego gorzko i niepewnie, ale mimo wszystko uśmiecha. Eddison niechętnie się od niej odsuwa, żeby mogła wygodnie usiąść. Ale zostaje przy łóżku.

– Jak tam twoje córki? – Priya pyta Vica.

– Holly ma zamiar urządzić swój pokój w akademiku jak z magazynu wnętrzarskiego, więc całymi dniami naradza się z matką. Dowiedziałem się, że istnieje coś takiego jak prześcieradło z gumką. – Uśmiecha się do niej przekornie, przez co wygląda zaskakująco młodo.

– Nie wnikałem, co się robi z tą gumką.

Ramirez prychnął śmiechem i poprawia pasek swojej torebki.

– Dobra, skoro wiem, że u ciebie wszystko jest w porządku albo będzie, idę sprawdzić, co się dzieje w terenie. Do zobaczenia później.

– Czy to nie działka Eddisona?

– W samochodzie siedzi żółtodziób. Jeśli Eddison pojedzie z nią na miejsce zdarzenia, dziewczyna rzuci tę robotę.

– Sterling jest twardsza, niż się zdaje. Może nawet zaprosiłaby Eddisona na randkę.

Gdyby stał wystarczająco blisko, Eddison wypchnąłby Ramirez za drzwi. Ale w obecnej sytuacji wystawia do niej tylko środkowy palec i macha na pożegnanie.

W pokoju znajdują się dwa krzesła – jedno obite ohydny winylem, a drugie z plastiku udającego drewno, które wygląda tak piekielnie niewygodnie, że stoi tu chyba tylko po to, żeby skracać czas odwiedzin. Vic popycha to drugie Eddisonowi, po czym zaciąga winylowe monstrem na przeciwną stronę łóżka. Żaden z nich nie proponuje krzesła Deshani – obaj wiedzą, że ma pewnie zszargane nerwy. Koniec łóżka to największa odległość, na jaką jest w stanie się odsunąć, żeby dać córce trochę przestrzeni.

Eddison spędził cztery godziny, myśląc o tym, że istnieją spore szanse, że gdy wysiądzie z samolotu, dowie się, iż Priya nie żyje. Rozważania nad przestrzenią nie są teraz jego priorytetem.

– Nie chcą mi nic powiedzieć na jego temat – mówi cicho dziewczyna.

– Jest operowany – odpowiada Vic. – Na razie nic więcej nie wiemy.

Priya kiwa głową.

Eddison nie jest w stanie powstrzymać się od przyglądania wszystkim jej ranom. Lewą rękę ma owiniętą bandażem elastycznym, który strzępi się przy ząbkach metalowej żabki. Widzi wyłaniające się sińce na jej ramionach, wokół szyi, na twarzy, a szczególnie na zuchwie i podbródku. Ma różowe zadrapanie i szramę pomiędzy oczami i Eddison zastanawia się, czy jej bindi leży gdzieś na podłodze w kaplicy, czy wypadło w karetce. Finney wspominał, że jest jakiś problem z jej zębami, ale nie potrafi zmusić się do zadania pytania. Jeszcze nie teraz.

Priya wyciąga z paczki jedno oreo, odrywa ciasteczko od nadzienia, lekko je przekręcając, i podaje herbatnik mamie. Na bandażach okrywających jej palce pozostają czarne okruszki. Po chwili zastanowienia dziewczyna zeskrobuje kciukiem krem z drugiego.

– Poważnie będziesz to jeść?

Spogląda na Eddisona z ukosa.

– Nie mam mleka.

– Jeśli zawołam kogoś, żeby coś na to poradził, to przestaniesz bezcześcić ciasteczka?

Priya robi z kremu gładką, niemal idealnie okrągłą kulkę i podaje mu goły herbatnik.

– Są teraz ważniejsze sprawy, prawda?

Eddison zastanawia się nad tym przez chwilę, po czym wkłada ciastko do ust.

– Nie.

– Tylko grzecznie, dzieci – mruczy Vic z poirytowaną miną.

Ale Priya prawie niezauważalnie kiwa do Eddisona głową, a on siada wygodniej. Gdyby naprawdę potrzebowała oreo, to nie bawiłaby się przy jedzeniu. Dziewczyna wkłada kuleczkę kremu do ust, wyciera palce o spraną tkaninę szpitalnej koszuli i odgarnia sobie włosy z twarzy. Jednak chwilę później oczy znów zasłania jej masa czarnych i niebieskich pasm.

– Mogę, mam?

– Z zabandażowanymi rękami niewiele zbroi – przyznaje Deshani. Podchodzi do córki od strony Eddisona i delikatnie zbiera jej włosy w dłonie. Mimo delikatności matki Priya kilka razy się krzywi. – Jest tam trochę zaschniętej krwi – stwierdza z ponurą praktycznością, choć jej głos lekko się łamie. – Umyjemy je, gdy wrócimy do domu.

Rozlega się pukanie do drzwi i Finney wtyka głowę do środka.

– Nadal operują, ale wysłali rezydenta, żeby przekazał nam najświeższe wieści, jeśli chcecie posłuchać.

To Eddison powinien wstać, ale Vic podnosi się z ohydneho, winylowego krzesła, które wydaje z siebie odgłos ssania.

– Masz może jakieś ubrania dla Priyi, Deshani?

Kręci głową.

– Przyjechałam prosto z pracy.

– Sprawdzę, czy mają coś w sklepie z pamiątkami, a twoje ubrania oddamy do laboratorium. – Obchodzi łóżko i zabiera torbę na dowody, po drodze kładąc Eddisonowi dłoń na ramieniu. Nie zaciska jej, nie napiera, tylko przez ułamek chwili tak ją trzyma. Taki mały prezent.

Bywają chwile, kiedy Eddison doskonale wie, jakie ma szczęście, że Vic jest jego partnerem.

Nie jest pewien, czy czuł to kiedyś równie mocno jak teraz.

– Przyniosę nam kawy – oznajmia Deshani. – Napijesz się, Eddison? Specjalnie dla ciebie każę im ją trochę sprofanować.

– Tylko wybrańcy mogą pić kawę taką, jaką ją Bóg stworzył – odpowiada, na co Deshani prychnie.

– Jesteś taki zgorzkniały, że ciągnie cię do swoich. – Skinieniem głowy dziękuje Vicowi, który otwiera przed nią drzwi.

W cichym pokoju Eddison przygląda się, jak Priya zdrapuje krem z pozostałych oreo, a herbatniki wrzuca z powrotem do opakowania.

– Co się stało? – pyta w końcu.

– Nie sądziłam, że uda mi się zobaczyć tę kaplicę przed wyjazdem – mówi po chwili. – Dopiero co się o niej dowiedziałam, ale pomyślałam... że spodobałaby się Chavi. Wiem, że to

głupie, ale nic nie poradzę, że czuje się tak, jakbyśmy ją porzucali, wyjeżdżając do innego kraju. Zabieramy ze sobą prochy i w ogóle, ale to...

– Duży krok – kończy za nią Eddison i czeka.

– Archer zgodził się, że mnie zawiezie. Kiedy weszłam do kaplicy, został w samochodzie. Joshua powiedział, że widział Archera w mieście. – Bierze powolny, niepewny wdech, a jej oczy zaczynają się szklić z niedowierzania. – Po co pojechał do miasta?

– Niedługo uzyskamy od niego pełne zeznania, ale z tego co wiem, pojechał po pomoc. Myślał, że morderca mógł was śledzić, więc zostawił cię jako przynętę. Szukał wsparcia, żeby cię lepiej chronić.

– Ale jak mógł mnie chronić z miasta?

Eddison kręci głową. Możliwe, że Archer straci przez to posadę w FBI – technicznie rzecz biorąc, złapał mordercę, ale będzie miał mnóstwo kłopotów. Eddison już tego dopilnuje.

– Byłaś sama w kaplicy, zadzwoniłaś do mnie i wtedy wszedł Joshua.

– W życiu bym się nie domyśliła, że to on. Zawsze był bardzo grzeczny. Życzliwy. Czarujący, ale bez podtekstów. Czułam się przy nim bezpiecznie. Myślałam... – Pociąga nosem i pociera zakrwawioną ranę pomiędzy brwiami, próbując odpędzić łzy. – Myślałam, że jeśli kiedykolwiek zobaczę mordercę swojej siostry, to on będzie wyglądał jak morderca. Że będę w stanie dostrzec wszystko to, co jest z nim nie tak. Nigdy sobie nie wyobrażałam, że to będzie ktoś taki jak Joshua. Ktoś tak normalny.

– On nie ma na imię Joshua, tylko Jameson. Jameson Carmichael. Pierwsza zamordowana dziewczyna była jego siostrą.

– Powiedział, że Chavi była dobrą siostrą.

– Wiem.

– Powiedział, że Aimée była dobrą przyjaciółką.

Jej oczy nadal niebezpiecznie się szkła.

– Co się stało po tym, jak się rozłączyłaś?

Dziewczyna przygryza wargę i zrywa zębami strupek. Eddison musi się wysilić, żeby się nie wzdrygnąć, gdy na wardze pojawiają się kropelki krwi. Oczy Priyi są ogromne i błyszczące od łez, a kiedy Eddison przesuwają się na skraj krzesła i wyciąga do niej rękę, ona mocno ją chwyta, przez co jego tygodniowe sińce i otarcia zaczynają piec.

– Powiedział, że musi mnie chronić przed światem, że musi się upewnić, że pozostanę dobra.

– Zaatakował cię.

– Miał nóż. To chyba oczywiste, bo lubi kłuju-kłuju.

– Raczej chlastu-chlastu.

– Kocham cię – wzdycha Priya.

Eddison ściska jej dłoń.

– Chyba się nie spodziewał, że będę stawiać opór. Może dobra dziewczyna, jaką sobie wyobrażał, by tego nie zrobiła? Ale ja jestem o wiele silniejsza, niż na jaką wyglądam, wiesz?

– Zawsze byłaś. – Kręci głową na jej powątpiewające spojrzenia. – Dwunastoletnia Priya, po najgorszym dniu w swoim życiu, zła, przestraszona i pogrążona w żalu, rzuciła mi w głowę miśkiem i kazała nie zachowywać się jak pierdolony tchórz.

– Bałaś się ze mną rozmawiać.

– I to jak. Ale mnie zdemaskowałaś.

Teraz Priya ujmuje jego dłoń w swoje i bawi się odstającym skórkami wokół jego paznokci, a on nie próbuje jej powstrzymać.

– Biliśmy się o nóż, ale on jest ode mnie dużo większy. W końcu mu go wyrwałam i...

i dźgnęłam go. – Ścisza głos do ledwie słyszalnego szeptu, grubego i gęstego od bólu. – Nie wiem nawet, ile razy, tak się bałam, że wstanie i znów się na mnie rzuci. Nie miał telefonu, a mój nie działał. Wyłączył się, gdy on rzucił nim o ścianę, ale na szczęście nie zepsuł, bo wywaliłyśmy z mamą dodatkową kasę na porządną obudowę.

– Priyu.

– Dźgnęłam go – powtarza. – A nóż... jedna strona była gładka, a druga z ząbkami, które wydają taki... rwący dźwięk, kiedy się go wysuwa. Już nigdy więcej nie chcę słyszeć tego dźwięku. W sumie nie powinnam go słyszeć, bo się szamotaliśmy, dyszeliśmy, a ja może nawet krzyczałam. Nie pamiętam, ale miałam wrażenie, że to jedyna rzecz, jaka do mnie dociera.

– Co się działo dalej?

– Archer wbiegł do środka w tej samej chwili, w której Joshua padł na posadzkę. Było z nim dwóch ludzi. Jeden z nich wyprowadził mnie na zewnątrz i obwiązał szyję szalikiem, żeby zatamować krwawienie. Powiedział, że był sanitariuszem w wojsku. Przepraszam, Eddison. Przepraszam.

– Za co?

– Za to, że byłam taka głupia. – Z oczu kapią jej łzy, Eddison czuje ich ciepło, gdy lądują na jego dłoni. – To bez znaczenia, że nie podejrzewałam Joshuy, wiedziałam, że ktoś mnie śledzi. Nie powinnam była pozwolić, żeby Archer pilnował mnie bez wsparcia. Trzeba było dać spokój tym głupim oknom i zostać w domu.

Pierdolić dystans i profesjonalizm.

Eddison siada na łóżku, obejmuje ją i delikatnie kołysze, czując, jak ostatecznie pęka. Jej łkania są prawie bezgłośnie, a gdy zaczerpuje powietrza, całe jej ciało drży. Eddison nie próbuje jej uspokoić, nie powtarza, że już wszystko dobrze, nie mówi, że jest teraz bezpieczna.

Nauczył się w życiu, że bezpieczeństwo to bardzo ulotna i relatywna rzecz.

Powoli fala płaczu przemija i Eddison sięga po pudełko chusteczek przy łóżku, żeby pomóc Priyi wytrzeć twarz. To, co zostało z jej makijażu, wygląda nieco przerażająco, więc ściera go na tyle, na ile jest w stanie bez pogarszania sprawy. Dotyka krwawego zadrapania między jej brwiami i nachyla się, żeby pocałować miejsce nad nim.

– Dziękuję, że nie dałaś się zabić – szepcze.

– Dziękuję, że dałaś mi się cały obsmarkać.

Mówi jak Priya.

Vic i Deshani wracają razem. Matka Priyi trzyma w dłoniach dociśnięte do siebie trzy kubki, a Vic własną kawę oraz reklamówkę w biało-niebieskie paski z małymi niebieskimi stópkami i powtarzającym się napisem „Masz synka!!!”. Ma tak zażenowaną minę, że Priya i Eddison równocześnie parszczą śmiechem.

Vic wzdycha i podaje Priyi torbę.

– Reklamówki z napisem „Gratulacje, to guz” niestety się skończyły – mówi, z trudem zachowując powagę.

Eddison wstaje z łóżka i podchodzi do Vica, podczas gdy Deshani zaciąga zasłonę wokół łóżka, żeby pomóc Priyi się przebrać.

– Masz wieści od Ramirez?

– SMS-a. Archer jest wciąż w Rosemont. Finney wraz z zespołem starszych agentów jedzie na miejsce przejąć dochodzenie i ściągnąć tu tego kretyna. Sterling i Ramirez pojechały do domu Carmichaela. Znalazły dużo zdjęć.

– Priyi? – Eddisona aż ścisza w żołądku.

– Wszystkich dziewczyn. Zabezpieczają na jego biurku bileciki, długopisy, próbki pisma. No i oczywiście te fotografie. Można śmiało powiedzieć, że jeśli przeżyje, to stanie przed sądem.



– A jakie ma szanse na przeżycie?  
– Operacja nadal trwa, ale nie dają mu wielkich szans. Jego płuca i żebra są w fatalnym stanie, dostał też w serce i istotne naczynia krwionośne. – Mówi wyćwiczonym szeptem, który słyhać wyraźnie, ale który nie niesie się dalej niż krąg rozmówców. – Archer zabezpieczył nóż na miejscu zdarzenia, więc zbadamy go w kontekście poprzednich morderstw.

– A tak zupełnie nieoficjalnie – jesteś przekonany, że nasz morderca leży teraz na stole operacyjnym?

– Gdyby przeżył, żeby przyznać się do winy, to byłoby fajnie.

– Czy Priya będzie musiała zostać w szpitalu?

Vic kręci głową i krzyżuje ręce na piersi.

– Kiedy tylko wydadzą jej odpowiednie lekarstwa, lekarze chcą ją wypuścić do domu. Możesz z nimi pojechać. Jeśli potrzebują zatrzymać się po drodze po jakieś podstawowe rzeczy, to w porządku, ale tylko te niezbędne. A kiedy dojedziesz z nimi na miejsce, zostań tam.

Kolejny prezent. Zwykle to zadanie Vica. Rozmowy z rodzinami, monitorowanie, kto przychodzi z wizytą i co mówi. Eddison z czasów studiów w akademii miałby z tego ubaw po pachy, ale człowiek, którym jest obecnie – agent, którym jest obecnie – wie, że za prawdziwą przyjaźń trzeba być bardzo wdzięcznym.

– Tak na wszelki wypadek Finney postawił strażników przed salą operacyjną i umywalnią – ciągnie Vic, zanim Eddison zdoła zdecydować, czy powinien podziękować koleżkę, czy milczeć. – Zaczekam na jakieś nowe informacje, a w międzyczasie porozumiem się z Ramirez i ekipą w Rosemont.

Słyszą brzęk metalowych haczyków na szynie i odwracają w chwili, gdy Deshani rzuca reklamówkę pod ścianę. Priya siada na łóżku ubrana we flanelowe spodnie od piżamy w optymistycznie żółtym kolorze oraz koszulkę z długim rękawem i logo FBI.

– Ten sklep z pamiątkami jest dobrze zaopatrzony – mówi ironicznym tonem, biorąc do rąk kubek z gorącą czekoladą.

– Też tak sądzę.

Rozlega się pukanie do drzwi i staje w nich pielęgniarka w bladuróżowym fartuchu chirurgicznym. Porozumiewawczo puszcza Priyi oko.

– Ej, mała, mam twoje dragi – mówi jak dealer z marnego serialu. Pokazuje jej trzy białe-niebieskie papierowe torebki, spięte u góry zszywkami, do których przyczepiono długie instrukcje dawkowania.

Deshani z poirytowaniem ściska palcami grzbiet nosa.

Pielęgniarka zauważa to i zaczyna się śmiać.

– Miejcie litość i dajcie się człowiekowi trochę pobawić. Pracuję na podwójną zmianę z lekarzem, który nie potrafi upilnować swoich stażystów. Muszę jakoś odreagować.

– To akurat potrafię zrozumieć – odpowiada Deshani. Przechyla głowę w tył i rozciąga szyję, aż wszyscy w pokoju słyszą cichy trzask.

– No dobrze, drogie panie, no więc tak. – Zaczyna zwięzłe, ale dokładne wyjaśnienia na temat każdego z leków i wyjaśnia, jak stosować je na rany, oraz opowiada, czego się spodziewać i kiedy przyjść na kontrolę. Widać, że ma duże doświadczenie. Kiedy kończy, bierze się pod boki i mierzy wzrokiem matkę i córkę. – Najważniejsze, poza pamiętaniem o tym, że jestem pielęgniarką – więc skarbnicą mądrości – jest to, by o sobie dbać. Przez jakiś czas będziesz mieć dodatkowe ograniczenia. Jakies pytania?

Priya i Deshani przyglądają się ulotkom, po czym obie przecząco kręcą głowami.

Obaj mężczyźni się uśmiechają.

– To w takim razie, jeśli tylko ci mili agenci nie muszą was tu dłużej trzymać, jesteście

wolne. Mam przynieść wypis?

Deshani zerka na Vica, który zachęcająco kiwa głową.

– Poprosimy.



Śnieżycą, która miarowo pokrywała całe Rosemont śniegiem, zaczyna przemieszczać się nad Huntington, gdy mama wiezie nas do domu. Choć Eddison jest koszmarnym pasażerem, upiera się, żebym siedziała z przodu, a sam wierci się na tylnym siedzeniu. Kiedy zatrzymujemy się pod apteką po rzeczy potrzebne do zmiany opatrunku, mama zostawia nas samych w samochodzie. Pod sklepem spożywczym – nie Krogerem w pobliżu pawilonu szachowego – postanawiam wysiąść i odpinam pas.

– Jesteś pewna? – pyta mama.

– Mam ochotę na jakiś deser. Coś, co nie jest oreo.

– No to chodźmy.

Eddison z koszykiem przewieszonym przez ramię prowadzi nas przez sklep i nie potrafię sobie nawet wyobrazić, jak musimy wyglądać. W sumie trochę mogę, bo ludzie puszczają nam najdziwniejsze spojrzenia. On w koszulce Nationals i rozpiętej bluzie FBI pod kurtką, ja w pizamie i z bandażami, mama w garsonce. Obie mamy na stopach niebieskie, szpitalne skarpetki zamiast butów. Ale mama piorunującym spojrzeniem rzuca wyzwanie każdemu, kto

ośmieliłby się powiedzieć choć jedno słowo.

Mama jest w tym bardzo, bardzo dobra.

Deshani Sravasti to królowa sukowatości.

Kupujemy kanapki w delikatesach, bo dziś są jeszcze mniejsze szanse niż zwykle, że same coś ugotujemy, a także trochę przekąsek i rzeczy na śniadanie. Na koniec idziemy do lodówek, abym mogła sobie wybrać pomarańczowy sorbet, który będzie łagodniejszy dla mojego gardła niż lody, o które mama i Eddison się kłóca, aż w końcu każdy kupuje własny kubełek.

Kasjer gapi się na mnie, kiedy skanuje zakupy.

– Co ci się stało?

Eddison już ma coś wypalić, ale ja posyłam chłopakowi mdły uśmiech.

– Opętany przez szatana pistolet na gwoździe – odpowiadam spokojnym tonem. – Narysowaliśmy diagram w garażu, bo rozumiesz, tam jest więcej miejsca, i odprawiliśmy cały rytuał, ale nie zauważyliśmy, że kabel wpadł w magiczny krąg.

Eddison chce coś powiedzieć, ale mama klepie mnie po ramieniu.

– Następnym razem będziesz pamiętać, że wszystko trzeba zawsze sprawdzać dwa razy. Ale przynajmniej go odprawiłaś.

Eddison pakuje zakupy, żeby dzieciak nie widział, że się śmieje.

To przerażający skrawek normalności w dniu, który zdecydowanie nie jest normalny.

Kanapa jest cała zaścielona prześcieradłami, ponieważ jutro miałyśmy zdecydować, które zatrzymać, które oddać, a które wyrzucić. Znając mamę, to nadal może być plan na jutro. Nie żebyśmy nie mogły tego robić i jednocześnie rozmawiać. Ale dziś nawet Eddison musi sięść z nami na podłodze, żeby zjeść, i nie ma z tego powodu aż tak skwaszonej miny jak zwykle. Prawie skończyliśmy, gdy wstaje i idzie do kuchni zadzwonić do Vica.

Mama uznaje, że to świetny moment, żeby pójść na górę i umyć mi włosy. No i resztę mnie, ale włosy są naprawdę problematyczne. Z powrotem wkładam żółte spodnie od piżamy i koszulkę FBI, częściowo dlatego, że są wygodne, ale przede wszystkim, bo podnoszą mnie na duchu.

Wszystko mnie boli. Mam pęknięte kilka żeber – lekarz nie chciał podać konkretnej liczby – a moje mięśnie są napięte i zbite. Nie brak mi powietrza i nie dyszę, ale czuję każdy wdech i wydech, co nie jest normalne. Kiedy nie ma się problemów z oddychaniem, zwykle nie zwraca się na to uwagi. Nie czuję dolegliwości tylko w klatce piersiowej, bolą mnie też siniaki, które puchną mi na gardle.

Nie przypisałam adrenalinie wystarczająco dużej roli, kiedy zastanawiałam się, jak to się wszystko potoczy. Zarówno on, jak i ja działaliśmy przez nią głupio, desperacko. Gdy teraz o tym myślę – działanie hormonu walki to jedyne wytłumaczenie, dlaczego złapałam za ostrze i trzymałam je z całych sił. Nie rękojeść – ostrze. Moje zabandażowane palce są sztywne i pulsują od bólu. Przez jakiś czas będą bezużyteczne.

Ale jeśli nie zrobię nic głupiego – głupszego – powinnam w pełni wydobrzeć. Może zostanie mi kilka blizn, ale szanując swoje ograniczenia i dbając o siebie, odzyskam pełną sprawność. Tylko jeden lekarz sprawdzał moje żebra, ale aż trzech oglądało moje ręce. Mam antybiotyki, pastylki przeciwbólowe i środki nasenne. Jasno zasugerowano mi też, żebym znalazła sobie psychiatrę, który przypisze mi jakieś leki przeciwłękowe.

Pewnie powinnam była je brać przez ostatnie pięć lat, ale teraz, po raz pierwszy od tamtej strasznej nocy, kiedy czekałyśmy na Chavi, myślę, że chyba całkiem dobrze się bez nich czuję. *Prawie* dobrze.

Będę się czuć dobrze.

I to chyba jest bardziej niepokojące.

Eddison wraca do salonu i zaczyna składać prześcieradła, które rozłożyliśmy do inspekcji. Ani na moment nie robi potulnej miny, gdy mama za to na niego naskakuje.

– Jestem za stary, żeby siedzieć na podłodze – oznajmia.

– Jestem od ciebie starsza.

– Wysysasz ludziom dusze, żeby zachować młodość.

– Fakt. – Bierze od niego stos złożonych prześcieradeł i wrzuca je do pierwszego lepszego pudła.

– Co ci powiedział Victor?

– Gość jest nadal na stole. Laboratorium pracuje nad próbką krwi i dowodami, które Ramirez i Sterling znalazły w jego mieszkaniu.

– Jeśli nie przeżyje, poinformujecie rodziny? – Mama delikatnie popycha mnie na kanapę, a sama siada na podłodze i opiera się o moje nogi, w zamyśleniu sięgając po kontroler Xboxa. To sposób na zajęcie rąk podczas rozmowy, bo bezruch zarezerwowany jest na chwile, gdy coś naprawdę jest nie tak.

Taka jest mama i taka była całe moje życie, a Eddison zna ją na tyle dobrze, żeby nie patrzeć na nią krzywo z tego powodu.

– To będzie zależec od tego, jak mocno dowody powiążą go z pozostałymi morderstwami. To, co powiedział w kaplicy i co już znaleźliśmy, obciąża go, ale może nie wystarczyć szefostwu, żeby wydało publiczne oświadczenia. Zobaczymy.

Eddison przegląda moje biało-niebieskie torebki z lekami i czyta instrukcje dawkowania, po czym otwiera dwie fiołki. Jedna duża pastylka, dwie mniejsze, wszystkie białe. Bierze moją dłoń i ostrożnie przekłada na nią leki. Następnie idzie do kuchni i wraca ze szklanką mleka. – Wiem, że masz pełny żołądek, ale czasem leki lepiej siadają z mlekiem.

– Dobrze się znasz na prochach na receptę? – pyta mama.

Eddison zażenowany wierci się na swoim miejscu, choć próbuje to ukryć.

– Jak się parę razy oberwie kulkę, to się człowiek uczy różnych sztuczek.

Mama zatrzymuje grę, żeby spojrzeć na niego przez ramię. Cokolwiek wyczytuje z jego twarzy, nie komentuje tego, tylko wraca do gry.

Biorę proszki. Piję mleko.

Na zewnątrz rozlega się grzmot, cichy i przeciągły. Pada śnieg, czyste, białe kłęby wirują na wietrze. To jeden z tych wieczorów, kiedy lepiej zostać w ciepłym domu ze swoimi bliskimi. Biorę Eddisona za rękę, żeby przyciągnąć go na środkowe miejsce na kanapie.

Żeby mogła się o niego oprzeć.

Obejmuje mnie i nachyla w moją stronę. Siedzimy tak w ciszy i patrzymy, jak mama gra. Są pewnie pytania, które powinien mi zadać.

Prawdopodobnie mi je zada, gdy dojdzie do tego, jak ubrać je w słowa. Chodzi o to, że Eddison mnie zna.

Wie, gdzie kończy się moja głupota.

Więc myślę sobie, że Eddison czeka, żeby zadać mi to pytanie, aż będziemy wiedzieć na pewno, czy Joshua przeżyje, czy nie. Bo to zmieni obraz sprawy.

A może nie.

Przynajmniej nie w sensie prawnym.

– Co ci się stało w ręce? – mamrocze mu w koszulę.

– Długa historia. I proszę, nie pytaj Ramirez o jej wersję zdarzeń.

Choć jestem bardzo zmęczona, nie mogę się powstrzymać od cichego chichotu.

W końcu wszyscy zaczynamy odczuwać, że to był długi dzień. Teoretycznie rzecz ujmując, Eddison jest tu na straży, tak samo jak wcześniej Sterling, ale to nie wydaje się

w porządku, żeby kłaść członka rodziny na kanapie, więc ścielimy mu łóżko w sypialni mamy. Wydaje się to odrobinę mniej niezręczne, niż gdyby miał spać w moim, i podejrzewam, że on czuje tak samo. Mama pomaga mi przyszykować się do spania i przez moment mam wrażenie, że to Chavi szturcha mnie biodrem w wąskiej łazience i szoruje zęby, stojąc koło mnie.

Kładziemy się razem w moim łóżku, a migocząca elektryczna świeczuszka rzuca cienie na ramkę ze zdjęciem mojej siostry i znajdującą się za nim ścianę. Miś, którego dostałam od Mercedes przy naszym pierwszym spotkaniu, zwykle stoi na komodzie, ale teraz podpira moją obolałą brodę. Agentka zdaje się mieć niewyczerpane zapasy misiów do rozdania ofiarom przestępstw i ich rodzeństwu, gdy jedzie na miejsce zbrodni. Wtedy przyniósł mi pocieszenie, tak samo jak teraz.

To także miś, którym dałam Eddisonowi po głowie, kiedy się poznaliśmy, więc ma podwójną wartość.

– To nie poszło zgodnie z planem – w końcu szepcze mama, a ja nie mogę się powstrzymać od śmiechu. Nie mogę przestać, co bardzo ją bawi, więc po chwili obie ryczymy ze śmiechu, bo to, co powiedziała, jest chyba niedopowiedzeniem roku. Żebra pieką mnie z bólu, nawet kiedy uda się nam uspokoić oddechy.

– Wiedziałam, że Archer mnie zostawi – mówię jej poważnie. – Ale naprawdę nigdy nie przyszło mi do głowy, że może odjechać gdzieś dalej, zamiast po prostu się schować. Myślałam, że będzie na tyle blisko, żeby usłyszeć mój krzyk. Byłam... – Wypuszczam powietrze z płuc, wstrzymuję następny wdech i robię to samo. – Byłam przerażona.

– Zaczęłam się bardzo martwić, gdyby było inaczej. – Mama mości się i wierci, aż przytula się do mnie policzkiem i wbija podbródek w moje ramię. – Czułam się w pracy jak w piekle. Cały czas musiałam się powstrzymywać, żeby za wami nie pojechać. Nie możesz mi tego więcej robić.

– Nie mam już więcej potworów do zabicia – mruczę.

– Jeden i koniec?

– Całe szczęście.

– Co byś pomyślała... – Na moment milknie, co tak bardzo do niej nie pasuje, że odwróciłabym się i spojrzała na nią, gdyby żebra tak mnie nie bolały. W zamian szukam po omacku jej dłoni, splatam nasze palce i przyciągam je sobie do brzucha. – Przez długi czas byłyśmy same przeciw wszystkim – mówi po chwili – ale mamy naszych agentów, a ty masz Inarę i weteranów... może czas się trochę otworzyć.

– Będę się starać zaprzyjaźnić z kimś w Paryżu. Nie tylko niechętnie na to przyzwolić, jak z Aimée, ale aktywnie się postarać.

– Dobrze. A co byś powiedziała...

Jakakolwiek jest reszta tej myśli, wydaje się niemożliwa do zwerbalizowania.

– Niektórzy twoi kuzyni studiują na uczelniach na kontynencie albo tam pracują. Kilku z nich mieszka w Paryżu. Może zacniemy nawiązywać kontakt z wolnymi elektronami i stopniowo zacniemy się przedzierać do starszych pokoleń?

– Przedzierać?

– Powiedziałam, co myślę. – Całuje mnie w ucho i zrównuje mój oddech ze swoim. – Mogłaś dziś zginać, córeczko. Nagle uświadomiłam sobie, że nie chcę być całkiem sama. Z pewnością dałabym sobie radę, ale po prostu nie chcę. I zdałam sobie sprawę, że gdyby cokolwiek mi się stało... wiem, że by się tobą zaopiekowano. Vic adoptowałby cię w pięć minut. Pomyślałam tylko... Ratunku, córeczko, przecież wiesz, że nie umiem być miękka.

Śmiejąc się cicho, ściskam palce mamy.

– Kuzyni świetnie się nadadzą na początek.

Przez długi czas milczy, ale nie zasypia.

– Czy on się bał? – pyta w końcu.

– Tak.

– I dobrze.

Nawet przy spadku adrenaliny, lekach i ciepłym, dodającym otuchy, ciężarze tulącej się do mnie mamy jestem trochę zaskoczona tym, z jaką łatwością odpływam w półsen.

Wtedy pika mój telefon.

Mama podnosi się i bierze go z szafki nocnej. Numer należy do Inary, ale wiadomość jest wysłana zarówno do mnie, jak i Eddisona. To tylko zdjęcie bez podpisu, ale nie widzę na miniaturze, co naprawdę się na nim znajduje. Mama podaje mi telefon, a ja wstukuję pin i otwieram zdjęcie.

Inara stoi na nim z inną dziewczyną, mniej więcej w naszym wieku, ale dużo niższą, na Times Square, gdzie otaczają je krzykliwe neony. Obie mają w rękach transparenty zrobione z kartonów, a na ustach niebezpieczne uśmiechy. Niższa dziewczyna stoi po lewej, a na jej transparencie złotym brokatem napisane jest „odpierdolicie się”. Na kartonie Inary: „źli ludzie” srebrnym brokatem.

Na drugim końcu korytarza słysząc głucho walnięcie i przekleństwo, a po nich:

– A niech cię cholera, Bliss!

Patrzemy na zdjęcie jeszcze przez chwilę, po czym mama prychna.

– Jestem pod wrażeniem – przyznaje. – Chodzi po Times Square z transparentem z napisem „Odpierdolicie się”. Uroczo.

– „Odpierdolicie się, *źli ludzie*” – odpowiadam, starając się zachować poważny ton, ale ostatecznie i ja parskam śmiechem.

– Zrobiłaś, co w twojej mocy, by zaciągnąć naszego złego człowieka wprost pod bramy piekieł. Zobaczymy, czy tam zostanie.

Wyłączam dźwięk w telefonie i odkładam go na stolik, ale kiedy odpływam w półsen, słyszę wibracje komórki na drewnie, co znaczy, że Eddison i Inara dalej do siebie piszą. O dziwo, to bardzo przyjemny dźwięk.



Jameson Carmichael – znany również jako Joshua Gabriel – umiera w czwartek, piątego maja o ósmej czterdzieści siedem rano czasu górskiego[12].

Nigdy się nie obudził.

Eddison nie potrafi zdecydować, czy to dobrze, czy nie. Przyznanie się do winy, a przynajmniej szansa na przesłuchanie, wniosłoby wiele do śledztwa. Z drugiej strony cieszy się, że nigdy nie usłyszeli, jak próbuje usprawiedliwić to, co zrobił. Nadal trzeba wykonać sporo analiz, zanim ktokolwiek zezwoli na poinformowanie pozostałych rodzin, ale Eddison ma poczucie zakończenia sprawy.

Vic i Finney jadą do Teksasu, żeby porozmawiać z Eudorą Carmichael. Po powrocie do domu Vic ma udęczony wyraz twarzy, co sprawia, że Eddisona przechodzą dreszcze. Córki Vica spoglądają na ojca raz i od razu przykuwają go do kanapy, obsiadają z przekąskami i puszczaają bez końca kolejne filmy animowane. On zawsze tak robił, kiedy miały zły dzień, a jego córki są zbyt bystre, by nie zdawać sobie sprawy, że to działa w obie strony.

Kiedy dziewczynki zasypiają, Vic uwalnia się z ich objęć, poprawia koce, którymi są przykryte, i układa na kanapie ich niebezpiecznie dyndające nad ziemią ręce i nogi. Ruchem ręki pokazuje partnerom, żeby wyszli z nim na zewnątrz. Idą za nim, ale dopiero, gdy Eddison robi zdjęcie, które wysłał Priyi.

W końcu w przeszłości ona też gnieździła się na tej kanapie.

Idą na pobliski plac zabaw. Tamtejsze ławeczki widziały wiele spontanicznych konferencji lub chwil odprężenia po zakończeniu sprawy. Vic siada ciężko na jednej z nich,

wyglądając dużo starszej niż dotąd, a Ramirez przysiada na drugim końcu i wyciąga nogi na ławkę. Nie zostawiają miejsca dla Eddisona – prawie nigdy nie siada podczas poważnych rozmów, jeśli ma możliwość chodzić w tę i z powrotem.

Vic sięga do kieszeni i wyciąga paczkę papierosów oraz zapalniczkę.

– Ani słowa mojej żonie i matce – ostrzega ich, częstując.

Eddison od razu bierze jednego, Ramirez kręci głową na nie.

– Twoja dziewczyna z antyterrorystycznego nie lubi smaku fajek? – pyta ją Eddison.

– Ona ma imię.

– Z imieniem nie ma zabawy.

Mercedes bierze papierosa, zanim Vic zdoła schować paczkę.

– Pani Carmichael była załamana – mówi im Vic, wypuszczając długą, cienką stróżkę dymu. – Ostatnim razem widziała go, kiedy wyjechał z domu kilka miesięcy po śmierci siostry. Na początku była w hysterii, ale jak się trochę uspokoiła...

– Zaczęła inaczej postrzegać jego zachowanie – kończy za niego Ramirez.

Vic kiwa głową.

– Powiedziała, że zawsze był bardzo opiekuńczy wobec Darli Jean. Bardzo troskliwy starszy brat. Nie lubił, kiedy chłopcy zwracali na nią uwagę ani gdy ona zwracała uwagę na chłopców. Nie lubił, kiedy ubierała się w pewien sposób albo mówiła pewne rzeczy. Patrząc wstecz, pani Carmichael stwierdziła, że okazywał siostrze więcej fizycznej czułości niż większość braci, ale była tak zadowolona, że się nie kłóca, że zbytnio się nad tym nie zastanawiała.

– Więc Darla Jean całuje chłopca w kościele, wokół którego rosną żonkile – mówi Ramirez – i brat to widzi. Czuje się zdradzony?

– Gwałci ją, zabija, biegnie z powrotem do domu, zanim ktokolwiek ją znajdzie. Teksaska wieś, założę się, że większość tamtejszych umie polować. Wielu z nich mogło mieć takie noże – ciągnie Eddison.

– Nie od razu ucieka. Czeka, aż śledztwo utknie w miejscu i jego wyjazd nie będzie budził podejrzeń. To małe miasteczko, a on jest bystrym młodzieńcem, który oplakuje siostrę, więc kto mógłby się dziwić, że nie wraca?

– Wszyscy litują się nad panią Carmichael, że straciła oboje dzieci w tak niewielkim odstępie czasu. – Eddison strzepuje popiół na gołą ziemię i przydeptuje go dla pewności. – Wszyscy zapomnieli o Jamesonie, więc został Joshua.

– Przeprowadza się, nie potrafi znaleźć sobie miejsca bez Darli Jean, więc znów wyjeżdża. Widzi Zoraidę, ucieleśnienie idealnej siostry.

– Pamięta, że Darla Jean była dobrą siostrą, dobrą dziewczyną, aż do czasu tego chłopca, więc postanawia chronić Zoraidę przed tym samym losem. Zabija ją, żeby zachować jej niewinność, ale obchodzi się z nią łagodnie.

– Mimo to każdej wiosny wspomina Darlę Jean, a kiedy widzi kombinację ładnej dziewczyny, kościoła i kwiatów, coś w nim pęka. Obserwuje je, żeby sprawdzić, czy spełniają jego wymagania.

– Mam nadzieję, że zdajecie sobie sprawę, że żadne z was nie dostanie awansu tak długo, jak będziecie kończyć za siebie zdania – zauważa Vic. Gasi peta o podeszwę buta, ściąga papiera z filtra i wrzuca wszystko z powrotem do paczki.

Ramirez daje mu do skończenia swojego papierosa.

– Dowiaduje się, że Priya jest w San Diego dzięki konkursowi fotograficznemu – znaleźliśmy gazetę w jego mieszkaniu. Priya, piętnaście lat, San Diego. Postanawia spróbować ją odszukać.



– Ale znajduje ją tuż przed jej wyjazdem, a więc wkrótce potem musi zacząć szukać od nowa. Trochę mu to zajmie, ale w „The Economist” pojawia się artykuł o Deshani, gdzie wspomina, że przenoszą się z Priyą do Huntington. Postanawia dotrzeć tam jako pierwszy.

– Reszta to już przeszłość.

Jest pewne pytanie – myśl, a może możliwość – które zadaje sobie każde z nich. Eddison pamięta to uczucie, kiedy wrócił do domu po pierwszej wizycie w Denver – to uporczywe wrażenie, że coś było nie tak z reakcjami Sravastich. Cicho prychnął.

– Nie powiemy tego głośno, prawda?

– Nie – natychmiast odpowiada Vic twardym tonem.

– A powinniśmy?

Nie ma na to łatwej odpowiedzi i wszyscy o tym wiedzą. Jest prawo i ich przysięga wobec FBI. Jest też dużo bardziej mętne terytorium tego, co słuszne, a co nie.

Ale jest też Priya, roześmiana dziewczyna, którą kiedyś była, i Deshani, zbyt silna, by się potknąć, nawet gdyby miało ją to zabić. I są te wszystkie pozostałe dziewczyny.

Eddison nigdy nie wiedział do końca, co sądzi o życiu po śmierci, czy istnieją zagubione dusze, które potrzebują odpowiedzi, zanim będą mogły ruszyć ku światłu, niebu czy czemuś tam innemu. Ale bez względu na to, jak bardzo chce temu zaprzeczyć, istnieje część niego, która zawsze będzie mówić martwym, by odpoczywali w pokoju, kiedy ich ekipa rozwiąże sprawę morderstwa. Jak gdyby ta wiedza mogła dać niespokojnym duchom poczucie satysfakcji i umożliwić im dalszą wędrówkę.

Czy wszystkie te dziewczyny, począwszy od Darli Jean Carmichael aż po Julię McCarthy, są teraz w stanie spoczywać w pokoju?

Myśli też o Faith. Zawsze o Faith. Jeśli kiedykolwiek znajdzie skurwiela, który to zrobił...

– Priya jest nieodrodną córką swojej matki bardziej, niż nam się zdawało – mówi w końcu.

– Kiedy dostaniemy nową partię raportów, Finney i ja zarekomendujemy oficjalne zamknięcie sprawy – informuje ich Vic. – Priya Sravasti jest ofiarą niekompetencji FBI. Nadgorliwy agent, któremu powierzono jej bezpieczeństwo, wykorzystał ją jako przynętę, ponieważ szefowa wydziału była bardziej zajęta bawieniem się w politykę niż przyjrzeniem się faktom. W sprawie działań Ward zostanie przeprowadzone pełne wewnętrzne dochodzenie.

– I na tym koniec? – pyta Ramirez.

– A pasuje ci to?

Ramirez spogląda na rząd drzew na tyłach placu zabaw, biegnący wzdłuż pasa zieleni oddzielającego od siebie dwa szeregi domów. Nienawidzi lasów i potrzeba było prawie dwóch lat i wieczoru mocno zakrapianego tequilą, żeby wyznała im dlaczego. Vic mógł się już zresztą tego domyślać, jeśli miał dostęp do jej akt, ale nawet jeśli, to nigdy nic na ten temat nie powiedział. Większość jej koszmarów zrodziła się w lesie i być może już nigdy jej nie opuszczą.

Mimo to nigdy nie zawahała się ani chwili, by wbiec do lasu, jeśli istniał choć cień szansy, że dziecko, którego szukają, zostanie tam odnalezione żywe.

– Tak – mówi ostatecznie, przeciągając słowo. – Myślę, że tak.

Bo jest prawo i jest sprawiedliwość, a to nie zawsze to samo.



W ostatni wieczór przed naszym wyjazdem z kraju salon Hanoverianów wypełnia śmiech, żarty i hałas. Tyle hałasu, że aż można się nim zachwycić. Vic jest zdominowany przez matkę, żonę i trzy córki, a ponieważ Inara i Bliss też tu są, Eddison stoi po przeciwnej stronie salonu i nawet nie próbuje pomóc starszemu agentowi. Mercedes dokucza im obu.

To wspaniałe, rodzinne pożegnanie.

Gdy robi się późno, Marlene i Jenny całują wszystkich w czoła lub policzki przed pójściem spać. Dopadają policzki Eddisona w tym samym momencie, na co on robi minę cierpiętnika.

Wychodzi z tego świetne zdjęcie. Inara i Bliss każą je sobie wysłać na komórkę. Podobnie jak Vic i Mercedes, kiedy Eddison ich nie słyszy.

Mam przeczucie, że w którymś momencie Mercedes postawi je sobie na biurku tylko po to, żeby go wkurzyć.

Mama wygania mnie na piętro, gdzie dzielimy pokój Brittany, ale sama zostaje na dole z dorosłymi, i domyślam się, że nieprędko przyjdzie na górę. Idę więc do pokoju Holly z Inarą i Bliss.

Przyjechały z Nowego Jorku kilka dni temu, po drodze zatrzymując się w Sharpsburgu, żeby sprawdzić, jak się miewa najmłodsza uratowana z Ogrodu. Najlepsze w ich wizycie jest chyba to, że mogłam obserwować, jak niekomfortowo czuje się przy nich Eddison. Stał w progu każdego pomieszczenia, w którym przebywałyśmy, jakby z jednej strony chciał uciec w cholerę, ale z drugiej przypilnować, żebyśmy przypadkowo nie przejęły kontroli nad światem.

Jestem pewna, że gdyby do tego doszło, na pewno nie byłby to przypadek.

Bliss jest tak samo kąśliwa jak mama i ja, ale przy tym nieco bardziej agresywna. Zwykle warczę na ludzi w reakcji na ich zachowanie, ona w ten sposób prowokuje. Nie dziwię się jej. Jej historia, była dużo bardziej nagłośniona niż moja, nawet gdy serwisy informacyjne podłapały temat Chavi i serii niewyjaśnionych morderstw.

Inara jest spokojniejsza niż Bliss – nie nieśmiała albo wycofana, tylko bardziej cierpliwa. Badając sytuację, Bliss sieje zniszczenie. Inara najpierw się przygląda, obserwuje. Czeka, zanim się odezwie, aż całkowicie wie, co chce powiedzieć i potrafi przewidzieć, jak inni na to zareagują. Łatwo się domyślić, dlaczego Hanoverian przysposobił je do rodziny.

– Podobno twoi rodzice i rodzeństwo są w Paryżu – mówię do Bliss, przeczesując palcami włosy Inary, które zaplatam jej na noc w warkocz.

Bliss robi wredną minę, a Inara odwraca się do mnie przez ramię.

– Większość ludzi powiedziałaby *rodzina*.

– Twoja rodzina jest w Nowym Jorku. Może was za dobrze nie znam, ale jest to dla mnie jasne.

Inara śmieje się, widząc szkarłatny rumieniec na bladej twarzy Bliss.

– Tak – mówi niższa z dziewczyn, wcześniej odchrząkując. – Są w Paryżu. Mój ojciec jest wykładowcą.

– Namawiają cię, żebyś przyjechała ich odwiedzić?

– Tak.

– Jeśli się kiedyś zdecydujesz... to będziemy mieć w Paryżu kilka wolnych pokoi. Gdybyś chciała się spotkać albo potrzebowała zrobić sobie od nich wolne. Albo jeśli sprawa się zjebie i stwierdzisz, że masz wszystko gdzieś. Masz tam swoich ludzi. I nie musiałabyś wysłuchiwać smutów swoich starych, jeśli pojedziesz z Inarą.

– Strasznie się o to wściekają – przyznaje. Bez żadnego ostrzeżenia ściąga z siebie wszystkie ciuchy i zaczyna szperać w torbie, szukając piżamy.

– Nasze mieszkanie to jeden wielki pokój – wyjaśnia Inara. – Skromność nie jest tam priorytetem.

– Znam to. Miałam siostrę. – Związuję warkocz Inary, oddaję jej szczotkę i odwracam się, żeby mogła mi się teraz odwzajemnić. Jej ruchy szczotką są płynne i pewne, nigdy mnie nie ciągnie i pozwala szczotce delikatnie masować mnie po głowie.

– Myślicie, że to się kiedyś skończy? – nagle pyta Bliss.

– Co?

– Wrażenie bycia ofiarą.

To trochę dziwne, jak obie w tym momencie się we mnie wpatrują. Są ode mnie starsze, nawet jeśli niewiele, ale z drugiej strony, pięć lat temu mój świat stanął w płomieniach. W jakiś nienormalny sposób mam chyba nad nimi starszeństwo.

– Zmieni się – mówię w końcu. – Nie wiem, czy skończy. Czasem stan się zaostrza. Bez wyraźnego powodu. Ale im więcej dokonujemy wyborów, im więcej żyjemy swoim życiem... Myślę, że to pomaga.

– Eddison powiedział, że zabiłaś sukinsyna. Tego, który cię prześladował.

– Zabiłam. – Ręce mam złożone na kolanach, wolne od ciężkich bandaży, ale nadal większość skóry zakrywają plastry. Inara ma blade, pomarszczone blizny na dłoniach po oparzeniach i ranach. – Przyszedł za mną, zaczęliśmy się szamotać, bo chciałam wyrwać mu nóż, i dźgnęłam go. Wiele razy. Adrenalina, wiecie jak to jest.

– Ja zastrzeliłam Avery'ego. Starszego syna Ogrodnika. Tego, który lubił robić krzywdę. Nie wiem, ile razy oddałam strzał.

– Cztery – mówi cicho Inara.  
– Czasem w snach do niego strzelam, ale w pistolecie nie ma naboju. Czasem strzelam, strzelam i strzelam i kule mi się nie kończą, ale on się nie zatrzymuje. Tylko jest coraz bliżej.

– Czasem budzę się w nocy i muszę całkiem się rozebrać i położyć naga w wannie, bo ubrania i pościel za bardzo przypominają mi płatki kwiatów – odpowiadam. – Bo w moim koszmarze żyję, ale się wykrwawiam, nie mogę się ruszać, a on otacza mnie białymi różami. Jestem jak Pani z Shalott[13] w łodzi płynącej w dół rzeki.

– Lubisz klasyki? – pyta Inara.

– Niektóre.

– Tylko jej nie zachęcaj, żeby zaczęła głądzić o Poe – ostrzega mnie Bliss. – Potrafi go cytować bez końca. A przez *cytować* chce powiedzieć *recytować*. Zna wszystkie wiersze. Każde przeklęte słowo.

Inara zawiązuje warkocz, który opada mi na plecy.

– Miałam dzięki nim czym zająć myśli.

– Na tym chyba polega cała sztuka. – Wyciągam się w poprzek łóżka. Inara i Bliss ani trochę nie przypominają Chavi i Josephine, ale wrażenie jest podobne. Czuję się z nimi swobodnie, choć nie spodziewałabym się, że stanie się to tak szybko. – Nic się samo magicznie nie poprawi, ale my same możemy coś zdziałać.

– Powoli – dodaje Inara.

– Przejebanie powoli – wzdycha Bliss.

– Robię zdjęcia Agentu Specjalnego Kena i wysyłam je Eddisonowi. Kiedy dojedziemy do Paryża, przebiorę lalkę w strój mima i posadzę w kawiarni. Mogę zagwarantować, że odpowiedź Eddisona będzie w stylu: „To przerażające”, czy coś takiego. – Znow zaczynamy się śmiać. Bliss wsuwa się za mnie, uważając na moje pokiereszowane i obandażowane zębra. Ma czuprynę dzikich loków, których na sucho nie da się zapleść w warkocz. Widzę skrzydła dziewczyn, a właściwie ich fragmenty, tam gdzie koszulki ich nie zakrywają.

Są piękne i ohydne jednocześnie. Mam wrażenie, że one postrzegają je w podobny sposób. A przynajmniej Inara tak je postrzega, ale z drugiej strony ona miała chyba najwięcej okazji do zmiany swojego podejścia.

Inara wyciąga się na łóżku, zarzucając mi nogi na uda, i przytula się policzkiem do ramienia Bliss.

– Ile razy go dźgnęłaś? – pyta cicho.

– Siedemnaście. Raz za każdą dziewczynę, którą zabił, i raz za mnie.

Jej leniwy, zadowolony uśmiech jest równie przerażający co wspaniały.

Nie pamiętam, żebyśmy w ten sposób zasnęły, ale mama rano pokazuje mi zdjęcie. Przy niesamowitych cynamonowych bułeczkach Marlene Eddison nabija się z tego, jak to Bliss lubi się przytulać. Trochę za bardzo się cieszy, że założył jej za skórę, a przynajmniej do chwili, gdy Inara podaje mi małego niebieskiego słonia z gliny i prosi, żebym odesłała jej go z powrotem, kiedy Agent Specjalny Ken nie będzie się chciał nim dłużej bawić.

Lubię patrzeć, jak Eddison próbuje walczyć z rumieńcem.

Żegnamy się w domu z paniami Hanoverian, obładowane torbami pyszności od Marlene. Zarzeka się, że nie będziemy miały z nimi problemu na odprawie, na co stojący za nią Vic zaczyna przewracać oczami.

– Przestań, Victor – upomina go matka.

Vic nieruchomieje i wzdychając, kręci głową.

Mama przygląda się mu z rozbawieniem.

– Chyba nie myślałeś, że z tego wyrośniesz, co?

- A ty?
- Na mnie upomnienia nigdy nie działały.  
Eddison szturcha Vica w bok.
- Nie mogę w to uwierzyć. A ty?
- Ja absolutnie mogę.

Inara i Bliss jadą z nami na lotnisko i siedzimy razem na samym końcu auta, a mama i Mercedes w środkowym rzędzie. Walizki wypełniają cały bagażnik. Nasze rzeczy zostały nadane z Colorado w zeszłym tygodniu i zapakowane do specjalnego kontenera przez profesjonalną ekipę, która odpowiednio rozdysponowała kartony. Byli dużo lepsi niż ci, którzy przywieźli nam kontener. Mimo to miną jeszcze dwa lub trzy tygodnie, zanim nasze rzeczy pojawią się w nowym domu. Do tego czasu będziemy żyć z tym, co mamy w walizkach.

W jednej z nich znajduje się wyłącznie ekspres do kawy mamy, zapakowany w pudełko i owinięty prawie wszystkimi ręcznikami, jakie posiadamy, dla lepszej ochrony.

Eddison i Vic biorą większość bagaży, pomijając podręczne, oraz ogromny pomarańczowo-żółty koc, który Hannah zrobiła dla mnie na drutach i podarowała mi, gdy przyszedłam się pożegnać z weteranami. Dała mi też swój adres, żebym mogła do niej napisać, i podejrzewam, że namówi Salwę i resztę, aby od czasu do czasu napisali do mnie. Koc jest ciepły i miękki, oślepiający jak słońce, od którego łzawią oczy. Musiała go wyrwać niekryjącemu łez Szczęściarzowi, kiedy o mały włos się w niego wysmarkał.

Przyszedł też funkcjonariusz Clare, żeby przeprosić, pod czujnym okiem partnera, który go pilnował. Został zawieszony w służbie czynnej do czasu, aż psycholog wydziałowy zezwoli na jego powrót. Niektóre sprawy potrafią bardzo podziałać na ludzi, zwłaszcza jeśli niedługo przedtem porzuca cię żona. To nie wymówka, ale sytuacja jest, jaka jest, i to już nie mój problem.

Salwa długo mi się przyglądał, po czym delikatnie mnie przytulił.

– Zawieszenie broni, panno Priyu? – szepnął.

Coś w tym rodzaju.

Corgi natomiast delikatnie poklepał mnie po plecach i powiedział, że widząc mój uśmiech, nie miał aż takiej ochoty chlać. Takie historie.

Będę za nimi tęsknić i choć to może dziwne, czuję ulgę, bo od dawna za nikim nie tęskniłam. Tęskniłam za agentami, ale byliśmy w tak bliskim kontakcie, że tak naprawdę po prostu chciałam, żeby byli blisko. Tęskniłam za Aimée, ale tęsknota za nią mieszała się ze sprawami morderstw, co było zawikłane, skomplikowane i naprawdę nie fair wobec niej.

Odprawiamy nasze bagaże i na całe szczęście mama płaci za nie służbową kartą, bo jest ich od cholery. Następnie całą grupą kierujemy się w stronę hali odlotów. Panuje tu absolutny chaos, co na lotnisku Reagana późnym przedpołudniem nie jest niczym niezwykłym.

– No dobra, wy trzy – mówi Eddison, wyciągając swoją komórkę i pokazując ją na mnie, Inarę i Bliss. – Stańcie razem do zdjęcia, żebym przez najbliższe lata miał o czym śnić koszmary.

Śmiejąc się pod nosem, Inara i Bliss biorą mnie do środka, obejmują i razem uśmiechamy się do aparatu. Eddisona aż przechodzi dreszcz.

– Trzy najniebezpieczniejsze istoty na tej planecie – mamrocze.

– A ja? – pyta mama.

– Jesteś ich demoniczną przywódczynią. – Ale całuje ją w policzek.

– Będziemy pisać – mówi mi Inara. – Na pewno damy ci znać, kiedy rodzice Bliss doprowadzą ją do kresu wytrzymałości.

– Nasze drzwi stoją zawsze przed wami otworem.

– Tak jak nasze – mówi Bliss. – Gdybyś kiedyś chciała zrobić sobie wolne, to mamy dla ciebie łóżko. Razem podbijemy Nowy Jork.

– Tylko czy my będziemy w stanie się po tym pozbierać? – pyta Mercedes rozbawionym tonem, obejmując mnie od tyłu.

Pożegnania nie były tak trudne, odkąd mieszkaliśmy w Bostonie, ale jestem za to wdzięczna. Boże, jestem tak strasznie wdzięczna za to, że mam ludzi, którzy tyle dla mnie znaczą. Mercedes oddaje mnie Inarze i Bliss na serię uścisków, a one przekazują mnie Vicowi. Najstarszy z agentów obejmuje mnie przez dłuższą chwilę.

– Tak się cieszę, że jesteś bezpieczna – szepcze. – I że znów zaczniesz być szczęśliwa. Jesteś mi bliska jak własna córka, Priyu, mam nadzieję, że o tym wiesz.

– Wiem – szepczę w odpowiedzi i mocno go do siebie przytulam. – Łatwo się nas nie pozbędziesz.

Eddison odciąga mnie nieco na bok, kiedy mama rozpoczyna swoją rundę pożegnań. Inara i Bliss są nią trochę zafascynowane, ale nie na tyle, żeby na jej widok odbierało im mowę. Raczej chcą być takie jak ona, kiedy dorosną. Od grupy dzieli nas przyzwoita odległość, a Eddison przyciąga mnie do siebie.

– Jest pewna rzecz, o którą cię nie pytam – mówi cicho. – Możesz z tym żyć?

Od tygodni się nad tym zastanawiałam, nawet jeszcze przed moimi urodzinami.

– Tak, myślę, że mogę. – odpowiadam. – Może nie będzie to łatwe, ale tak chyba jest najlepiej. Poinformowaliście pozostałe rodziny. Nikt nie musi się już zastanawiać. Mogę z tym żyć. – Opieram głowę na jego ramieniu, pachnącym korzenną wodą kolońską, której używa, kiedy nie chce mu się sięgnąć po wodę po goleniu. Albo golić. – Rozmawialiśmy o tym z mamą i chcemy rozsypać prochy Chavi. Myślałyśmy o polu lawendy z zamkiem i rzeką w tle. Chavi powinno się to spodobać. Chcemy, żeby to była dobra przeprowadzka.

– Okej.

Podnoszę głowę i zarośnięty policzek Eddisona drapie mnie w czoło, gdy całuje mnie tuż nad bindi. Zaczęłam je nosić w zeszłym tygodniu, kiedy skóra w końcu się wygoiła.

– Będę za tobą tęsknić, wiesz?

– Bzdura – odpowiada szorstko. – Oczekuję, że Agent Specjalny Ken będzie mi wysyłał regularne sprawozdania. I... tak się składa, że mam bardzo dużo niewykorzystanego, płatnego urlopu. Może kiedyś z niego skorzystam.

– Zawsze znajdziesz u nas miejsce.

Znów mnie całuje, po czym puszcza, lekko popychając w stronę grupy. Jeszcze raz się przytulamy, po czym stajemy z mamą w kolejce do odprawy osobistej. Przyciskam do siebie złożony koc i choć przez chwilę ze sobą walczę, odwracam się do nich przez ramię. Inara i Bliss opierają się o Vica, a Mercedes szturcha rumianego Eddisona w ramię. Dziewczyny ją zachęcają, a Vic zachowuje się, jakby on był tu jedynym dorosłym.

Kolejka przesuwa się do przodu i mama obejmuje mnie ramieniem, przyciąga do siebie i całuje w policzek.

– Jesteś na to gotowa, córeńko?

– Tak. – Patrzę przed siebie i robię głęboki wdech. – Jestem gotowa.



*Nazywałeś się Jameson Carmichael i Darla Jean była dla ciebie wszystkim.*

*Czekałeś tylko, aż dorosnie, prawda? Aż będzie na tyle dorosła, żeby mogła opuścić wasze małe miasteczko w Teksasie i nigdy nie wrócić, pojechać z tobą gdzieś, gdzie nikt by nie wiedział, że jesteście spokrewnieni, i moglibyście rozpocząć wasze właściwe życie. Nigdy oczywiście jej o tym nie powiedziałeś. Nigdy nie przyszło ci na myśl, że powinieneś.*

*Darla Jean kochała cię jak brata, ale to by ci nigdy nie wystarczyło.*

*Przez całe lata nas za to karałeś – za jej pozorne grzechy. Zniszczyłeś tyle żyć matek i ojców, sióstr i braci, kuzynów i przyjaciół, a nasz ból dotykał wszystkich, z którymi mieliśmy styczność.*

*Moja mama uprawia ogród, ale pewnie o tym wiesz, prawda? Bo obserwowałaś nas już w Bostonie, a potem w San Diego. Zawsze planuje swoje klomby na papierze, żeby wiedzieć, gdzie co posadzić, i by ogród zachował harmonię. Tu rośliny jednoroczne, które wsadza się co roku. Tam wieloletnie, które kwitną, wegetują i znów kwitną. Przy odpowiedniej opiece cały czas żyją i cały czas rosną, choć inne wokół nich umierają.*

*Przez ostatnie pięć lat żyłam, ale wegetowałam, zimowałam czy jak to się tam określa. Byłam w żałobie. Teraz myślę, że w końcu wiem, jak to jest znów zakwitnąć.*

*Potrzeba było tylko twojej krwi na moich rękach – cieplej, gęściej i lepkiej.*

*Podoba ci się, Joshuo? Że na swój własny, szczególnie sposób ostatecznie pomogłeś mi się uwolnić od tego, co robiłeś przez tyle lat?*

*Nóż rwał i szarpał za każdym razem, gdy go z ciebie wyciągałam, i chyba wiem, dlaczego*

*zawsze cięś i podrzywałeś, a nie dźgałeś. To taki okropny dźwięk i uczucie, gdy ciało zahacza o ząbki. Mam nadzieję, że czuleś każdy z nich. Studiowałeś swoje wybranki, dobre dziewczyny, żeby śmierć była dla nich jak najmniej bolesna, ale mnie anatomia nigdy nie interesowała. Gdyby tak było, to może wiedziałabym, jak łatwo jest wbić się między żebra i jaką trzeba mieć siłę, aby przebić kość. Może dowiedziałabym się, jak twarde są mięśnie albo jak łatwo przekłuć nożem płuco, którego słabość oznajmia mokry, ssący dech. Może przeczytałabym gdzieś, że krew jest ciemniejsza bliżej serca, a może tylko tak wygląda.*

*O dziwo – a może nie – na myśl przychodzą mi róże. Przywiozłeś ich ze sobą tak wiele. Wypełniłeś nimi cały samochód. Dopiero gdy wyszłam na zewnątrz, zdałam sobie sprawę, ilu kwiatów jeszcze nie przyniosłeś. Stworzyłyś mi w kaplicy różaną altanę.*

*Ale róże mnie nie otoczyły. Krwawiłam, ale nie na tyle, by paść w kałużę krwi. Ty tak. To twoje życie zalalo białe płatki, twój własny mały bajeczny ogród. Nigdy nie przypuszczałeś, że ktoś może zmienić twoje zasady, że może je obalić.*

*Chciałam cię zapytać o wiele rzeczy, ale nawet na samym końcu nie ośmieliłam się. Mógłbyś oprzytomnieć, mógłbyś powiedzieć coś, co uczyniłoby oczywistym – jeszcze bardziej oczywistym – fakt, że wiedziałam, kim jesteś.*

*Nie szkodzi, ponieważ wiesz, z czego zdałam sobie sprawę, Joshuo, stojąc na zimnie pośród padających płatków śniegu, czując ciepłą, mokrą, gęstą krew na swoich ubraniach, jak nocą z Chavi wiele lat temu?*

*Zdałam sobie sprawę, że twoje odpowiedzi nie mają znaczenia. Nieważne, dlaczego to zrobiłeś, dlaczego je wybrałeś. Wybrałeś nas, wybrałeś mnie. Nieważnie, jak to usprawiedliwisz. Te odpowiedzi nigdy nie będą mieć sensu dla nikogo prócz ciebie. Były twoje. I były złe.*

*Byłeś jedną z zakat tego świata, ale teraz to koniec.*

*Nazywam się Priya Sravasti i nie jestem niczyją ofiarą.*

[12] Czas górski (z ang. *Mountain Standard Time*) strefa czasowa odpowiadająca południkowi 105°, w której znajdują się niektóre obszary Kanady oraz Stanów Zjednoczonych, w tym Kolorado.

[13] „Pani z Shalott” – poemat Alfreda Tennysona inspirowany legendami arturiańskimi. Tytułowa bohaterka opuszcza swój zamek i płynie łodzią z prądem rzeki do Camelotu. Im bliżej celu, tym bardziej opada z sił, aż w końcu umiera, zanim dobrnie do brzegu.



## PODZIĘKOWANIA

Dziękuję wszystkim ludziom, którzy zostali przy mnie i wspierali mnie, mimo że przez większą część roku ta książka doprowadzała mnie na skraj załamania nerwowego. Nie dałabym rady bez moich kibiców – wszystkich tych, którzy powtarzali mi, żebym się nie zniechęcała, osób, które słuchały, jak panikuję, narzekam i ogólnie rzecz ujmując, odchodzę od zmysłów.

Dziękuję JoVonowi, który kupił tę książkę, kiedy była jedynie zarysem o zupełnie innej fabule, oraz Jessice, która całkowicie w nią uwierzyła, a także Caitlin, która zasługuje na medal za proces redakcyjny. Caitlin, masz niesamowity dar sprawiania, że rzeczy niemożliwe stają się wykonalne, a Twój spokój i pewność siebie zdecydowanie pomogły mi osiągnąć cel. Dziękuję mojej agentce Sandy za to, że znalazła dom dla *Motyli* i otworzyła drzwi dla ich dalszych losów.

Dziękuję Isabel, Marie, Kelie, Roni, Pam i Allyson, ponieważ nie byłoby ani jednej części tego procesu, o której byście nie słyszały, a mimo to nadal jesteście moimi przyjaciółkami. Ogromne podziękowania kieruję do mojej rodziny za to, że tak się ekscytowała każdym pokonanym etapem i sukcesem oraz okazała zrozumienie, kiedy spędziłam Święto Dziękczynienia, ślęcząc nad poprawkami redaktorskimi. Dziękuję wszystkim w księgarni Crossroads za promowanie *Kolekcjonera motyli* i świętowanie wraz ze mną, kiedy do sklepu trzeba było zamówić nowe egzemplarze (i za to, że nigdy nie kazaliście mi się zamknąć, kiedy gadałam jak najęta o wszystkim, co mnie stresuje).

Zauważam tu jakiś motyw przewodni.

Dziękuję też wszystkim, którzy pokochali *Kolekcjonera motyli*, podzielili się swoją recenzją albo mówili o nim w internecie, wszystkim, którzy przeczytali go w klubie książki albo polecili znajomym. Dziękuję za Wasz entuzjazm, wsparcie i że tak długo ze mną wytrzymaliście.

## O AUTORCE

Dot Hutchison jest autorką *Kolekcyjnera motyli* i *Krwawych róż*, pierwszych dwóch tomów trylogii *Kolekcyjnerzy*, jak również powieści dla młodzieży pt. *A Wounded Name*, opartej na *Hamlecie* Szekspira. Hutchison uwielbia burze z piorunami, mitologię, historię i filmy, które może oglądać na okrągło. Więcej informacji na temat jej bieżących projektów znajdziesz na stronie [www.dothutchison.com](http://www.dothutchison.com), jej Tumblrze ([www.dotchutchison.tumblr.com](http://www.dotchutchison.tumblr.com)), Twitterze (@DotHutchison) lub Facebooku ([www.facebook.Com/DotHutchison](http://www.facebook.Com/DotHutchison)).

